POLECAMY

Kate Mosse
LABIRYNT

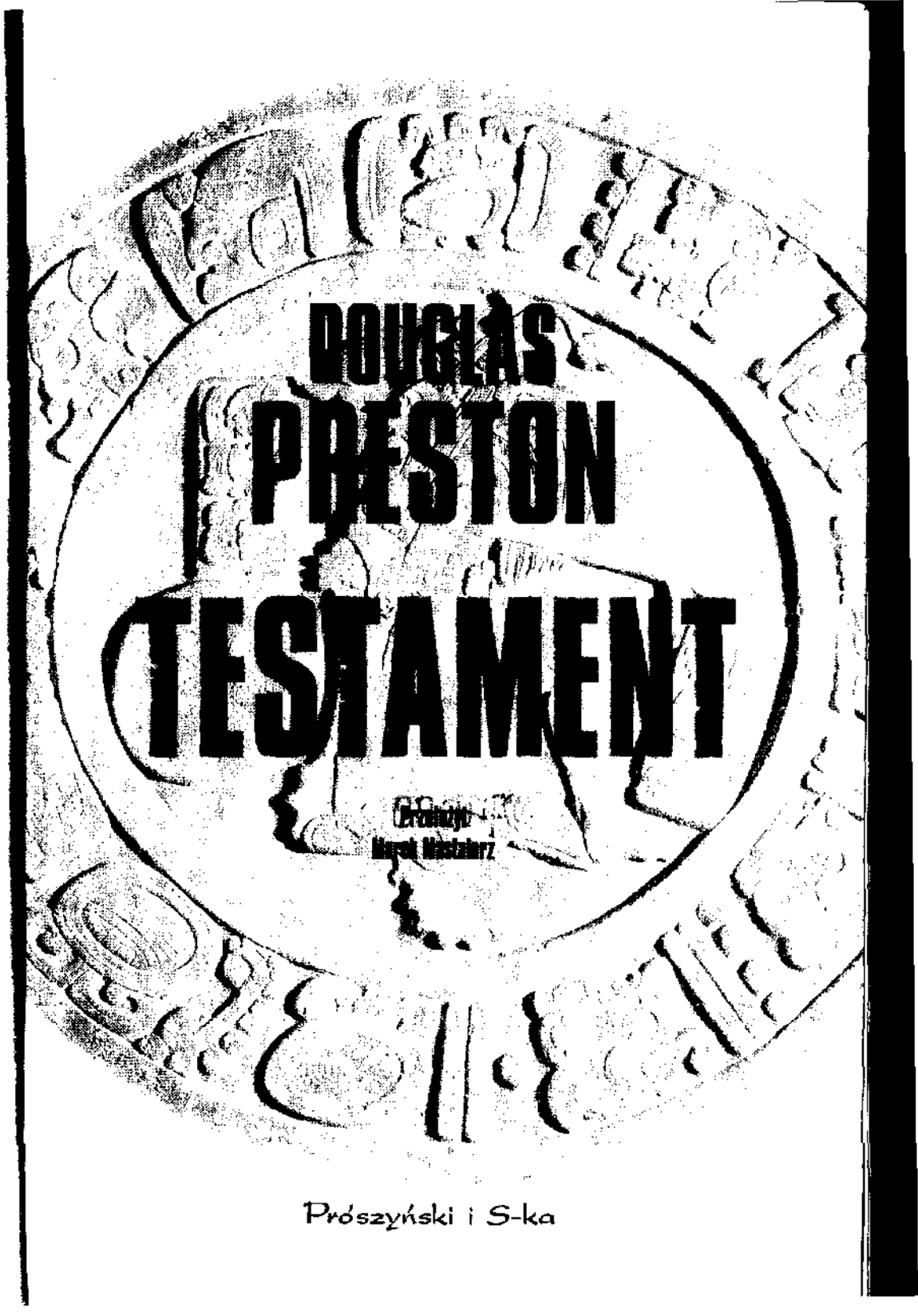

PODZIĘKOWANIA

Za powstanie tej książki bardziej niż wszystkim innym należy się wdzięczność jednej osobie - mojemu dobremu i nieocenionemu przyjacielowi Forrestowi Fennowi, kolekcjonerowi, uczonemu i wydawcy. Nigdy nie zapomnę naszego obiadu w Sali Smoczej restauracji Pink Adobe, podczas którego opowiedział mi osobliwą historię - i w ten sposób podsunął mi pomysł tej powieści. Mam nadzieję, iż uzna, że spełniłem jego oczekiwania.

Wspomniawszy o Forreście, czuję, iż muszę jasno powiedzieć jeszcze jedno: postać Maxwella Broadbenta jest całkowicie fikcyjna. Jeśli chodzi o osobowość, etykę, charakter i wyznawane wartości, ci dwaj ludzie nie mogliby się bardziej różnić. Chcę to podkreślić, by nikt nie podejrzewał, iż ma do czynienia z powieścią z kluczem.

Wiele lat temu młody redaktor dostał od pary nieznanych pisarzy na poły ukończony rękopis pod tytułem „Relikt". Kupił go i wysłał pisarzom skromny list redakcyjny, szkicując, jak według niego należałoby tę powieść poprawić i dokończyć. List ten był początkiem drogi dwóch autorów na szczyty list bestsellerów i do nakręcenia filmu, który zajął pierwsze miejsce w zestawieniach wpływów kasowych. Redaktorem tym był Bob Gleason. Mam wobec niego wielki dług za tamte początki i wskazówki przy kończeniu powieści. Tak samo pragnę podziękować Tomowi Doherty'emu za przyjęcie syna marnotrawnego.

Chcę też wyrazić podziękowanie niezrównanemu Lincolnowi Childowi, zaiste lepszej polowie naszej autorskiej spółki, za wyborny i wyjątkowo przenikliwy krytycyzm wobec niniejszego maszynopisu.

Jestem też winien mnóstwo wdzięczności Bobby'emu Rotenbergowi, nie tylko za wnikliwą i szczegółową pomoc przy kształtowaniu postaci oraz fabuły, ale również za głęboką i trwałą przyjaźń.

Chciałbym podziękować moim agentom, Ericowi Simonoftbwi z Janklow & Nesbit w Nowym Jorku i Matthew Snyderowi z Hollywoodu. Dziękuję Marcowi Rosenowi za pomoc w rozwinięciu pewnych wątków w powieści i Lyndzie Obst za wizję wykorzystania możliwości, kryjących się w siedmiostronicowym szkicu.

Wiele zawdzięczam Jonowi Couchowi, który przeczytał maszynopis i poczynił wiele cennych uwag, zwłaszcza jeśli chodzi o broń białą i palną. Niccoló Capponi jak zwykle podsunął kilka błyskotliwych pomysłów, dotyczących trudniejszych scen w książce. Jestem również dłużnikiem Steve'a Elkinsa, poszukującego prawdziwego Białego Miasta w Hondurasie.

Podczas pisania tej powieści przydatnych dla mnie było kilka książek, w szczególności „In Trouble Again" Redmonda 0'Hanlona i „Sastun: My Apprenticeship with a Maya Healer" Rosity Arvigo - doskonała praca, którą mogę polecić wszystkim zainteresowanym tematem medycyny Majów.

Moja córka Selene przeczytała kilka razy maszynopis z najwyższej próby krytycyzmem, za który jestem jej wyjątkowo wdzięczny. Chciałbym również podziękować mojej żonie Christine i moim pozostałym dzieciom, Alethei i Isaacowi. Dziękuję wam wszystkim za miłość, życzliwość i poparcie, bez których nie byłoby ani tej książki, ani niczego wspaniałego w moim życiu.

I

Tom Broadbent minął ostatni łuk krętego podjazdu i zobaczył, że jego dwaj bracia już czekają przed wielką żelazną bramą rodzinnej posiadłości. Zirytowany Philip wytrząsał kopeć z fajki, postukując nią o jeden z filarów, Vernon zaś raz po raz przyciskał energicznie dzwonek. Przed nimi na szczycie wzniesienia górowało pogrążone w ciszy domostwo, przypominające pałac jakiegoś paszy, chociaż znajdowało się w Santa Fe w stanie Nowy Meksyk. Mansardowe okna, kominy i wieżyczki lśniły złotem w intensywnym popołudniowym świetle.

- To do ojca niepodobne, że tak się grzebie - powiedział Philip.

Wsunął fajkę między białe zęby i zacisnął je, aż rozległo się ciche szczęknięcie. Tym razem sam dźgnął palcem przycisk dzwonka, popatrzył na zegarek i obciągnął rękaw.

Philip wygląda jak zawsze, pomyślał Tom: wrzoścowa fajka, sardoniczne spojrzenie, gładko wygolone i natarte wodą po goleniu policzki, starannie sczesane z wysokiego czoła włosy, połyskujący na nadgarstku złoty zegarek, szare spodnie z samodziału i stalowoniebieska marynarka. Jego angielski akcent wydawał się jeszcze wyraźniejszy. Natomiast Vernon w spodniach w stylu meksykańskiego pastucha, z długimi włosami i brodą niesamowicie przypominał Jezusa Chrystusa.

- Bawi się z nami w swoją kolejną gierkę - odparł Vernon i ponownie nacisnął kilka razy dzwonek. Wiatr szeleścił w sosnach, niosąc ze sobą woń rozgrzanej żywicy i kurzu. W wielkim domu panowała cisza.

W powietrzu uniosła się woń drogiego tytoniu, gdy Philip odwrócił się w stronę Toma.

- Co tam u Indian, braciszku?
- W porządku.
- Miło to słyszeć.
- A u ciebie?

- Wspaniale. Lepiej być nie może.

- Vernon? - rzucił pytającym tonem Tom.

- Wszystko w porządku. Naprawdę świetnie.

Rozmowa utknęła. Wszyscy trzej popatrzyli po sobie, po czym zażenowani odwrócili wzrok. Tom nigdy nie miał za wiele do powiedzenia braciom. W górze zaskrzeczała wrona. Wśród oczekujących przed bramą zapanowało niezręczne milczenie. Po długiej chwili Philip ponownie wcisnął wiele razy dzwonek, chwycił za pręty kraty i marszcząc brwi, przyjrzał się domowi.

- Jego samochód jest w garażu. Dzwonek chyba się zepsuł. - Nabrał powietrza. - Halo! Ojcze! Halo! Przybyli twoi oddani synowie!

Pod ciężarem Philipa brama uchyliła się nieco ze skrzypieniem.

- Jest otwarta - powiedział zaskoczony Philip. - Nigdy nie zostawiał otwartej bramy.

- Czeka na nas w środku, to wszystko - uznał Vernon.

Naparli ramionami na ciężkie wrota. Uchyliły się z protestującym zgrzytem zawiasów. Vernon i Philip wrócili do swoich samochodów, wjechali za bramę i zaparkowali, podczas gdy Tom przeszedł ją na piechotę. Stanął zwrócony w stronę domu, w którym spędził dzieciństwo. Ile lat minęło, odkąd był tu ostatni raz? Trzy? Ten widok przepełnił go sprzecznymi uczuciami - oto dorosły mężczyzna wracał w scenerię swojego dzieciństwa. Była to imponująca rezydencja w stylu Santa Fe w najbardziej dosłownym sensie tego określenia. Żwirowany podjazd zataczał półkole przed siedemnastowiecznymi odrzwiami w stylu zwanym *zaguan,* zbitymi z deszczułek z ręcznie obrobionego drzewa *mesquite.* Sam dom stanowił rozłożystą budowlę z suszonej na słońcu cegły, z zaokrąglonymi ścianami, rzeźbionymi przyporami, portykami, niszami i innymi detalami architektonicznymi w hiszpańskim stylu, z prawdziwymi cylindrami na kominach - imponujące dzieło samo w sobie. Otaczały go topole amerykańskie i szmaragdowy trawnik. Położony na szczycie wzgórza, zapewniał rozległy widok na góry, pustynną wyżynę i światła miasta, a także pozwalał podziwiać grozę letnich burz, kłębiących się nad górami Jemez. Tom pomyślał, że być może to on się zmienił.

Jedne z drzwi garażowych były otwarte i zobaczył zaparkowanego w środku zielonego mercedesa gelaendewagen, należącego do ojca. Dwa pozostałe boksy były zamknięte. Usłyszał chrzęst opon samochodów braci na podjeździe, cichnący przed portykiem. Szczęknęły zatrzaskiwane drzwi i obaj dołączyli do niego przed domem.

W tym właśnie momencie Tom poczuł nagły niepokój.

- Na co czekamy? - zapytał Philip. Wspiął się na schody, podszedł pewnym krokiem do drzwi i zdecydowanie nacisnął kilka razy dzwonek. Vernon i Tom ruszyli jego śladem.

Odpowiedziało im jedynie milczenie.

Wiecznie niecierpliwy Philip nacisnął dzwonek ostatni raz. Słychać było rozlegające się we wnętrzu domu niskie tony melodii, przypominającej pierwsze takty „Mamę". Tom pomyślał, że to typowy przejaw poczucia humoru ojca.

- Halo! - zawołał Philip, złożywszy ręce przy ustach.

Wciąż cisza.

- Może mu się coś stało? - zapytał Tom. Uczucie niepokoju narastało.

- Na pewno nie - odparł z irytacją Philip. - Kolejna z jego gierek.

Zaczął walić w wielkie meksykańskie drzwi zaciśniętą pięścią, aż w środku odezwało się echo.

Tom rozejrzał się i spostrzegł, że trawnik wygląda na zaniedbany - nie skoszono trawy, świeże chwasty pojawiły się w kępach tulipanów.

- Zajrzę przez okno - powiedział.

Przecisnął się przez żywopłot z przystrzyżonej chamisy, na palcach przestąpił przez kwietnik i zajrzał do salonu. Coś było bardzo nie w porządku, lecz minęła chwila, nim uświadomił sobie co. Pokój wyglądał normalnie: te same skórzane sofy i wysokie fotele, ten sam kamienny kominek, ten sam stolik do kawy. Nad kominkiem jednak wisiał dawniej wielki obraz - Tom nie przypominał sobie jakiego malarza - lecz teraz zniknął. Poszperał w pamięci. Braque czy Monet? Po chwili spostrzegł, że zajmujący dotąd honorowe miejsce po lewej stronie kominka rzymski spiżowy posąg chłopca również zniknął. Na półkach widać było wolne przestrzenie po wyjętych książkach. Wydawało się, że w pokoju zapanował nieład. Za drzwiami do holu Tom dojrzał leżące na podłodze śmieci: zgnieciony papier, pas folii bąbelkowej i kółko po taśmie do pakowania.

- I co tam, doktorku? - rozległ się zza rogu głos Philipa.

- Sam zobacz.

Philip pokonał zarośla w swoich lakierkach od Ferragamo. Na jego twarzy rysowało się wyraźne niezadowolenie. Za nim zbliżył się Vernon.

Philip zajrzał przez okno i stęknął.

- Lippi! - zawołał. - Znad sofy! Lippi zniknął! Braque znad kominka też! Zabrał wszystko! Sprzedał!

- Nie histeryzuj, Philipie - odezwał się Vernon. - Pewnie je po prostu popakował. Może się przeprowadza. Od lat mu powtarzałeś, że mieszka za bardzo na uboczu, a dom jest zbyt duży.

- Tak... - Philip nagle się rozluźnił. - Oczywiście.

- Pewnie tego właśnie ma dotyczyć dzisiejsze tajemnicze spotkanie - dodał Vernon.

Philip pokiwał głową i wytarł czoło jedwabną chusteczką.

- Muszę być przemęczony po locie. Masz rację, Vernon. Oczywiście, że kazał wszystko popakować, ale narobili niezłego bałaganu. Szlag ojca trafi, kiedy to zobaczy.

Zapanowało milczenie; wszyscy trzej popatrywali na siebie, stojąc wśród krzewów. Niepokój Toma nabrał jeszcze większej intensywności. Jeśli ich ojciec rzeczywiście się przeprowadzał, wybrał na to dziwny sposób.

Philip wyjął fajkę z ust.

- Jak myślicie, może to jakiś kolejny jego test? Zagadka dla nas?

- Włamię się do środka - powiedział Tom.

- A alarm?

- Do diabła z alarmem.

Tom przeszedł na tyły domu. Bracia szli jego śladem. Przelazł przez mur do małego ogrodzonego ogródka z fontanną. Na poziomie głowy było tu okno od sypialni. Tom wyrwał paroma szarpnięciami głaz z kamiennego obramowania kwietnika. Podszedł do okna, ustawił się i podniósł kamień na wysokość ramienia.

- Naprawdę chcesz wybić szybę? - spytał Philip. - *Cóż* za inteligentne rozwiązanie.

Tom rzucił kamieniem w okno. Gdy ucichł brzęk sypiącego się szkła, wszyscy trzej nasłuchiwali, co będzie dalej.

- Alarm milczy - zauważył Philip.

Nie podoba mi się to. - Tom pokręcił głową.

Philip zaglądał do środka przez rozbitą szybę. Tom zauważył, że wyraz twarzy brata świadczy, iż przyszła mu do głowy jakaś myśl. Philip zaklął i w jednej chwili przeskoczył przez okno, nie oglądając się na swoje pantofle czy fajkę.

- Co go ugryzło? - Vernon obejrzał się na Toma.

Tom bez odpowiedzi wspiął się na parapet. Vernon ruszył jego śladem.

Sypialnia przypominała resztę domu - zabrano z niej wszystkie dzieła sztuki. Tutaj również panował bałagan: ślady zabłoconych butów na dywanie, skrawki taśmy do pakowania, folia bąbelkowa i kawałki styropianu, do tego gwoździe i obcięte kawałki listewek. Tom wyszedł na korytarz. Rozpostarły się przed nim kolejne ogołocone ściany, na których, jak pamiętał, wisiał wcześniej Picasso i jeszcze jeden Braque; stało tu też parę steli Majów. Znikło; wszystko znikło.

Tom w panice ruszył korytarzem i zatrzymał się w łukowato sklepionym wejściu do salonu. Philip stał na środku pokoju i rozglądał się wokoło z całkowicie pobielałą twarzą.

- Powtarzałem mu tyle razy, że coś takiego go spotka. Był cholernie niefrasobliwy, że wszystko tu trzymał. Cholernie, cholernie niefrasobliwy.

- Co się stało? - zawołał zaalarmowany Vernon. - Philip? Co się dzieje?

- Okradli nas - powiedział udręczonym, niewiele głośniejszym od szeptu głosem Philip.

Detektyw porucznik Hutch Barnaby z Wydziału Policji Santa Fe przyłożył dłoń do kościstej piersi i odchylił się na krześle. Podniósł do ust świeży kubek kawy ze Starbucks - dziesiąty tego dnia. Gorzki aromat wypełnił jego nozdrza, gdy wyglądał przez okno na samotną topolę. Piękny wiosenny dzień w Santa Fe w Nowym Meksyku, pomyślał, bujając się na krześle. Piętnasty kwietnia. Idy kwietniowe. Termin rozliczenia podatku. Wszyscy liczyli w domu pieniądze, otrzeźwieni rozmyślaniami o śmiertelności i niedostatku. Nawet przestępcy robili sobie tego dnia wolne.

Z niezmiernym poczuciem zadowolenia upił łyk kawy. Życie byłoby piękne, gdyby nie ciche brzęczenie telefonu.

Mimowolnie słyszał kompetentny głos odbierającej zgłoszenie Doreen. Perfekcyjnie wypowiadane samogłoski wpadały przez otwarte drzwi:

- Przepraszam, ale czy mógłby pan mówić trochę wolniej? Poproszę sierżanta...

Barnaby zagłuszył odgłos rozmowy głośnym siorbnięciem kawy, wyciągnął przed siebie nogę i delikatnie pchnął drzwi, przymykając je. Powróciła błogosławiona cisza. Po chwili jednak doczekał się tego, czego się spodziewał - pukania.

Cholerny telefon.

Odstawił kawę na biurko i wyprostował się trochę na krześle.

-Tak?

Sierżant Harry Fenton z wyrazem gorliwości na twarzy otworzył drzwi. Fenton nigdy nie lubił bezczynnych dni. Jego spojrzenie wystarczyło Barnaby'emu, by zrozumieć, że zdarzyła się jakaś grubsza sprawa.

- Hutch?

-Hm?

- Obrabowano dom Broadbentów - wyrzucił z siebie Fenton bez tchu. - Na linii jest jeden z synów.

Hutch Barnaby nawet nie drgnął.

- Obrabowano z czego?

- Ze wszystkiego. - Czarne oczy Fentona zalśniły satysfakcją.

Barnaby wypił łyk kawy, potem następny, wreszcie opuścił nogi krzesła. Cholera.

Gdy jechali Starym Szlakiem, Fenton opowiedział mu o rabunku. Z tego, co słyszał, kolekcja była warta pół miliarda. Jeśli miało się to jakkolwiek do prawdy, to kroił się artykuł na pierwszą stronę „New York Timesa". Materiał, w którym będzie i o nim. Fenton na pierwszej stronie „Timesa"! Czy Barnaby to sobie wyobraża?

Barnaby nie mógł sobie tego wyobrazić, ale nie odpowiedział. Przywykł do porywów entuzjazmu kolegi. Zatrzymał samochód na końcu

krętego podjazdu, prowadzącego do samotni Broadbenta. Fenton wysiadł z drugiej strony. Oczy mu błyszczały z niecierpliwości. Wyciągnął przed siebie szyję, wielki nochal sterczał do przodu. Gdy szli podjazdem, Hutch przyjrzał się gruntowi. Dostrzegł ślady opon wjeżdżającej i wyjeżdżającej ciężarówki. Tamci w ogóle się nie kryli. Albo Broadbenta nie było, albo go zabili - raczej to drugie. Pewnie znajdą trupa w domu.

Za łukiem w polu widzenia policjantów pojawiła się otwarta brama, strzegąca rozłożystego domostwa z suszonej cegły pośród obsadzonego topolami, wielkiego trawnika. Barnaby przystanął, by przyjrzeć się bramie. Zamykały ją i otwierały dwa motorki. Nie wyglądało na to, że ją sforsowano, ale puszka z instalacją elektryczną była otwarta, a ze środka sterczał klucz. Barnaby przykląkł i przyjrzał się urządzeniu. Klucz wystawał z zamka, przekręcony tak, że mechanizm został wyłączony. Barnaby obejrzał się na Fentona.

- Co ci to mówi?

- Wjechali ciężarówką, mieli klucz do bramy - to zawodowcy. Wiesz, pewnie znajdziemy w domu zwłoki Broadbenta.

- Za to cię właśnie lubię, Fenton. Jesteś moim drugim mózgiem.

Usłyszał okrzyk. Podniósł wzrok i zobaczył trzech idących przez trawnik w jego stronę mężczyzn. Jak dzieci - prosto przez trawnik.

- Jezu Chryste! - Barnaby poderwał się na równe nogi. - Nie wiecie, że to miejsce przestępstwa?!

Dwaj idący z tyłu mężczyźni się zatrzymali, ale ten na przedzie, wysoki, w garniturze, szedł dalej.

- A pan kto taki? - zapytał spokojnym, wzgardliwym tonem.

- Detektyw porucznik Hutchinson Barnaby - odpowiedział Hutch. - A to sierżant Harry Fenton. Wydział Policji Santa Fe.

Fenton błysnął uśmiechem, niewiele różniącym się od wyszczerzenia zębów.

- Panowie są synami?

- Tak - odpowiedział facet w garniturze.

Barnaby zamilkł na chwilę, by przyjrzeć się im jako potencjalnym podejrzanym. Hipis miał otwartą, uczciwą twarz; może nie bystrzak, ale i nie rabuś. Ten w kowbojskich butach miał prawdziwe końskie łajno na cholewkach, zauważył z szacunkiem sierżant. Do tego facet w garniturku, sądząc po wyglądzie, z Nowego Jorku. Jeśli chodziło o Hutcha Barnaby'ego, każdy z Nowego Jorku był podejrzany. Nawet stara babcia. Przyjrzał się im raz jeszcze. Trudno byłoby wyobrazić sobie trzech bardziej odmiennych braci. Dziwne, co może się porobić w jednej rodzinie.

- To jest miejsce przestępstwa, więc muszę poprosić panów, byście je opuścili. Wyjdźcie za bramę, stańcie pod drzewem czy gdzieś i zaczekajcie na mnie. Wrócę za dwadzieścia minut i z wami porozmawiam, zgoda? Proszę, nie rozchodźcie się, niczego nie dotykajcie i nie rozmawiajcie

o przestępstwie ani o niczym, co zauważyliście. - Odwrócił się i jakby po namyśle jeszcze raz spojrzał w ich stronę.

- Cała kolekcja zniknęła?
- Przecież powiedziałem to przez telefon - odparł facet w garniturku.
- Ile była warta - pi razy drzwi?
- Około pięciuset milionów.

Barnaby musnął dłonią rondo kapelusza i popatrzył na Fentona. Mina nieukrywanej satysfakcji na twarzy sierżanta była wystarczająco wyraźna, by wystraszyć alfonsa.

Gdy porucznik ruszył w stronę domu, pomyślał, że lepiej być ostrożnym - znajdzie się dość chętnych, by oceniać później każdy jego krok. Federalni, Interpol, Bóg wie kto jeszcze się pod to podłączy. Uznał, że najlepiej będzie szybko się rozejrzeć, zanim zjawią się technicy kryminalistyki. Wepchnął kciuki za pasek i popatrzył na dom. Zadał sobie pytanie, czy kolekcja była ubezpieczona. Jeśli tak, może Maxwell Broadbent nie dołączył do grona sztywnych. Możliwe, że właśnie sączył margaritę z jakąś laską na plaży w Phuket.

- Ciekawe, czy Broadbent był ubezpieczony? - spytał Fenton.

Hutch uśmiechnął się do swojego partnera i przeniósł spojrzenie z powrotem na dom. Przyjrzał się wybitemu oknu, poplątanym śladom butów na żwirze i podeptanej roślinności. Świeże ślady należały do synów, ale było tu i mnóstwo starych. Wypatrzył, gdzie była zaparkowana ciężarówka i gdzie z trudem wykręciła. Wyglądało na to, że rabunek nastąpił tydzień lub dwa temu.

Ważne było przede wszystkim znalezienie ciała - jeśli tu się rzeczywiście znajdowało. Barnaby wszedł do środka. Powiódł spojrzeniem po resztkach taśmy klejącej, folii bąbelkowej, gwoździach, porzuconych kawałkach listew. Na dywanie leżały trociny, były w nim niewyraźne wgniecenia. Pewnie wstawiono tu krajzegę. Wyglądało to na wyjątkowo fachową robotę. I hałaśliwą. Ci ludzie nie tylko wiedzieli, o co im chodzi, ale nie szczędzili czasu, by zrobić to porządnie. Barnaby wciągnął powietrze w nozdrza. Nie czuć było kwaśno-słodkiej woni rozkładających się zwłok.

Stan domu w środku świadczył, że kradzież wydarzyła się tak dawno, jak to wyglądało z zewnątrz. Tydzień, może nawet dwa tygodnie temu. Hutch pochylił się i powąchał brzeg leżącej na podłodze deski ze śladem piły. Nie wyczuł woni świeżo przeciętego drewna. Podniósł zawleczone do środka źdźbło trawy i roztarł je palcami - było suche. Bryłki błota z protektora buta również doszczętnie wyschły. Barnaby wysilił pamięć: ostatni raz padało dokładnie dwa tygodnie temu. Właśnie wtedy doszło do kradzieży - w ciągu dwudziestu czterech godzin po deszczu, dopóki grunt był jeszcze wilgotny.

Ruszył obszernym, ciągnącym się przez środek domu korytarzem. Po bokach znajdowały się postumenty z mosiężnymi tabliczkami, na których

stały wcześniej rzeźby. Niewyraźne prostokąty i haczyki na tynku wskazywały miejsca, w których wisiały obrazy. Żelazne stojaki i plecione kółka świadczyły, gdzie stały antyczne naczynia, a wolne od kurzu przestrzenie na półkach wskazywały, skąd zabrano kolejne skarby. Luki na półkach z książkami dowodziły, że niektóre spośród nich również zabrano.

Barnaby dotarł do drzwi sypialni i popatrzył na promenadę wiodących w obie strony śladów stóp. Jeszcze więcej zaschniętego błota. Chryste, musiało być ich z sześciu. Nielichych rozmiarów przeprowadzka zajęła co najmniej dzień, może dwa.

W sypialni stała maszyna. Barnaby rozpoznał urządzenie do pakowania kruchych przedmiotów w styropian, takie, jakie widuje się w urzędach UPS. W kolejnym pokoju znalazł automat do pakowania w folię obiektów o dużych rozmiarach. Znalazł też sterty desek, bele filcu, metalową taśmę zabezpieczającą, śruby i nakrętki oraz parę pilarek. Porzucony sprzęt był wart parę tysięcy dolarów. Nie zawracano sobie głowy zabieraniem czegokolwiek oprócz dzieł sztuki; w salonie został telewizor za dziesięć tysięcy dolarów, magnetowid, DVD i dwa komputery. Barnaby pomyślał o swoim ciągle spłacanym na raty byle jakim telewizorze i magnetowidzie i o tym, że jego żona oraz jej nowy partner na pewno każdej nocy oglądali na nich filmy porno.

Ostrożnie ominął leżącą na podłodze kasetę wideo.

- Stawiam trzy do pięciu, że facet nie żyje - powiedział Fenton. - Dwa do pięciu, że to oszustwo ubezpieczeniowe.

- Przez ciebie życie traci cały czar, Fenton.

Ktoś musiał zauważyć, co tu się działo. Dom na szczycie wzgórza był widoczny z całego Santa Fe. Gdyby dwa tygodnie temu sam Barnaby zadał sobie trud wyjrzenia z okna swojego domku w dolinie, mógłby dostrzec rabunek - palące się przez całą noc światło w oknach, błysk reflektorów zjeżdżającej po zboczu ciężarówki. Znów zadumał się nad bezczelnością sprawców. Dlaczego byli tak pewni, że im się uda? Zachowali się więcej niż beztrosko.

Popatrzył na zegarek. Zostało niewiele czasu do przyjazdu techników.

Obszedł szybko i metodycznie pokoje, rozglądając się po nich, ale niczego nie zapisując. Wiedział z doświadczenia, iż człowiek zawsze żałuje, że cokolwiek notował. Opróżniono wszystkie pomieszczenia. Robotę przeprowadzono do końca. W jednym pokoju po podłodze walały się papiery i stało kilka pudeł. Barnaby podniósł jeden z arkuszy - list przewozowy z datą sprzed miesiąca, opiewający na francuskie naczynia oraz niemieckie i japońskie noże, wartości dwudziestu czterech tysięcy dolarów. Czyżby facet otwierał restaurację?

W sypialni w tylnej ścianie wbudowanej garderoby znaleźli wielkie, uchylone stalowe drzwi.

- Fort Knox - powiedział Fenton.

Barnaby przytaknął. W domu pełnym wartych miliony dolarów malowideł człowiek się zastanawiał, co jeszcze mogło być tak cennego, iż potrzebny był sejf, do którego można swobodnie wejść.

Nie dotykając drzwi, wsunął się do środka. Zobaczył wewnątrz tylko trochę porozrzucanych śmieci i kilka drewnianych pudeł na mapy. Barnaby wyjął chusteczkę i przez kawałek bawełny wyciągnął szufladkę. Zagłębienia w aksamicie znaczyły miejsca, gdzie niegdyś leżały przechowywane tu przedmioty. Barnaby zasunął szufladkę i odwrócił się w stronę drzwi, przyglądając się bliżej zamkowi. Nic nie świadczyło, że go wyłamano. Żadna z szufladek również nie wyglądała na otwartą siłą.

- Sprawcy mieli wszystkie kody i klucze - powiedział Fenton.

Barnaby przytaknął. Nie był to żaden rabunek.

Wyszedł na zewnątrz i szybko obszedł ogród. Wyglądał na zaniedbany, wszędzie zaczynały rosnąć chwasty. Trawy nie koszono przez parę tygodni. Cała posesja wyglądała na nieco zapuszczoną. Barnaby miał wrażenie, że ten stan trwał dłużej niż dwa tygodnie, które minęły od rzekomej kradzieży. Wyglądało to tak, jakby nikt nie troszczył się o posiadłość miesiąc czy dwa.

Jeśli w grę wchodziło ubezpieczenie, to trzeba było przyjrzeć się dokładniej synom. Może.

3

Wszyscy trzej stali w cieniu topoli, z założonymi rękami, milczący i ponurzy. Gdy Barnaby do nich podchodził, facet w garniturze zapytał:

- Znaleźliście coś?

- Na przykład?

- Macie pojęcie, co tu ukradziono? - Mężczyzna zmarszczył brwi. - Mówimy o dziełach sztuki, wartych setki milionów. Dobry Boże, jak ktokolwiek mógł mieć nadzieję, że mu się to uda? Niektóre z tych przedmiotów były znane na całym świecie. Sam Filippo Lippi jest wyceniony na czterdzieści milionów. Pewnie już są w drodze na Środkowy Wschód lub do Japonii. Musicie skontaktować się z FBI, Interpolem, pozamykać lotniska... - Urwał, by nabrać powietrza.

- Porucznik Barnaby ma kilka pytań - odezwał się Fenton, wchodząc w doskonale przećwiczoną wcześniej rolę. Mówił osobliwie wysokim i miękkim tonem, w którym pobrzmiewała groźba. - Proszę podać mi nazwiska.

Mężczyzna w kowbojskich butach wysunął się do przodu.

- Nazywam się Tom Broadbent, a to moi bracia, Vernon i Philip.

- Niech pan posłucha, poruczniku - powiedział ten, który miał na

imię Philip. - Dzieła sztuki na pewno są już w drodze do sypialni jakiegoś szejka. Złodzieje nie mogli w żaden sposób liczyć, że sprzedadzą je na wolnym rynku - są zbyt dobrze znane. Bez obrazy, ale naprawdę sądzę, że Departament Policji Santa Fe może sobie z tym nie poradzić.

Barnaby otworzył notes i popatrzył na zegarek. Zostało mu prawie trzydzieści minut do przybycia furgonetki z laboratorium kryminalistycznego z Albuquerque.

- Mogę panu zadać kilka pytań, Philipie? Nie przeszkadza panom, jeśli będę mówił wam po imieniu?

- Proszę bardzo, byleśmy tylko nie tracili czasu.

- Ile macie lat?

- Trzydzieści trzy - odezwał się Tom.

- Trzydzieści pięć - rzucił Vernon.

- Trzydzieści siedem - powiedział Philip.

- Proszę mi wyjaśnić, jak to się stało, że wszyscy trzej znaleźliście się tutaj jednocześnie? - Skierował wzrok w stronę Vernona, który ze swoim stylem New Age wyglądał na najmniej doświadczonego kłamcę.

- Ojciec przysłał mi list.

- Czego dotyczył?

- Cóż... - Vernon obejrzał się nerwowo na braci - nie napisał.

- Domyśla się pan?

- Raczej nie.

- Philip? - Barnaby przeniósł na niego wzrok.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Barnaby zwrócił spojrzenie na trzeciego z braci, Toma. Stwierdził, że podoba mu się jego twarz. Świadczyła, że ten człowiek nie będzie mydlił mu oczu.

- No cóż, Tom, może pan mi pomoże?

- Myślę, że chciał z nami porozmawiać o spadku.

- Spadku? Ile lat miał wasz ojciec?

- Sześćdziesiąt.

- Chorował? - przerwał ostrym głosem Fenton, wychylając się do przodu.

- Tak.

- Jak bardzo?

- Umierał na raka - wyjaśnił zimno Tom.

- Przykro mi - włączył się Barnaby, kładąc rękę na ramieniu Fentona, jak gdyby chciał uniemożliwić mu zadawanie dalszych nietaktownych pytań. - Czy któryś z was ma list przy sobie?

Wszyscy trzej wyciągnęli jednakowe egzemplarze, pisane ręcznie na czerpanym papierze. Ciekawe, że każdy ma swój, pomyślał Barnaby. Mówiło to co nieco o wadze, jaką przywiązywali do tego spotkania. Barnaby wziął jedną z kartek.

Drogi Tomie,

pragnę, byś przyjechał do mnie do domu w Santa Fe 15 kwietnia, dokładnie o 13.00, w bardzo ważnej sprawie, dotyczącej Twojej przyszłości. Poprosiłem o to samo Philipa i Yernona. Załączam fundusze potrzebne na drogę. Proszę, bądź na czas - dokładnie o pierwszej po południu. Wyświadcz swojemu staruszkowi tę ostatnią uprzejmość.

Ojciec

- Miał jakąś szansę na wyzdrowienie czy było już po nim? - zapytał Fenton.

Philip utkwił wzrok w sierżancie, po czym odwrócił się w stronę Barnaby'ego.

- Co to za człowiek?

Porucznik rzucił ostrzegawcze spojrzenie Fentonowi, który często wymykał się spod kontroli.

- Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie - chcemy rozwikłać tę sprawę.

- Z tego, co mi wiadomo, nie było szans na wyzdrowienie - oświadczył niechętnie Philip. - Nasz ojciec przeszedł radio- i chemioterapię, ale rak dał przerzuty, których nie sposób usunąć. Ojciec odmówił dalszego leczenia.

- Przykro mi - mruknął Barnaby, bez powodzenia siląc się na przywołanie jakiejś dozy współczucia. - Wracając do tego listu: mowa tu o funduszach. Ile panu wysłał?

- Tysiąc dwieście dolarów gotówką - odpowiedział Tom.

- Gotówką? W jakiej postaci?

- Dwanaście banknotów studolarowych. Przesyłanie gotówki było typowe dla ojca.

- Ile zostało mu życia? - ponownie włączył się Fenton.

Zadał to pytanie bezpośrednio Philipowi, wysuwając do przodu głowę. Sierżant miał paskudną twarz, bardzo wąską i ostrą, z grubymi brwiami, głęboko osadzonymi oczami, wielkim nosem, z którego każdej dziurki sterczały kępki czarnych włosków, nierównymi pożółkłymi zębami i cofniętym podbródkiem. Miał oliwkową cerę; mimo anglosaskiego nazwiska był Latynosem z miasteczka Truchas, leżącego w głębi gór Sangre de Cristo. Mógłby nieźle wystraszyć, gdyby się nie wiedziało, że trudno o łagodniejszego człowieka.

- Mniej więcej sześć miesięcy.

- W takim razie po co was tu zaprosił? Zagrać w „ene due rike fake" ze swoim majątkiem?

Fenton potrafił być obrzydliwy, jeśli tylko chciał, ale przynosiło to rezultaty.

- Czarująco pan to ujął - odpowiedział lodowatym tonem Philip. - Pewnie to możliwe.

- Ale czy mając kolekcję takiej wartości, ojciec nie zadbałby, by trafiła ona do jakiegoś muzeum? - włączył się gładko Barnaby.

- Maxwell Broadbent brzydził się muzeami.

- Dlaczego?

- Muzea wiodły prym w krytykowaniu nieco nieortodoksyjnych metod kolekcjonerskich naszego ojca.

- To znaczy?

- Kupowania dzieł sztuki wątpliwego pochodzenia, kontaktów z rabusiami grobów i złodziejami, przemycania antyków przez granice. Ojciec nawet sam okradał grobowce. W zasadzie podzielam jego antypatię. Muzea to bastiony hipokryzji, pazerności i chciwości. Krytykują wszystkich innych za stosowanie metod, jakimi one same powiększają swoje zbiory.

- A przekazanie kolekcji jakiemuś uniwersytetowi?

- Ojciec nienawidził naukowców. Nazywał ich bałwanami w tweedach. A oni, zwłaszcza archeolodzy, wytykali Maxwellowi Broadbentowi grabienie świątyń w Ameryce Środkowej. Nie zdradzam tu żadnych rodzinnych tajemnic - to sprawa powszechnie znana. Może pan wybrać dowolny numer pisma „Archeology", to się pan naczyta, że nasz ojciec był dla nich diabłem wcielonym.

- Zamierzał sprzedać kolekcję? - badał dalej Barnaby.

- Sprzedać? - Philip wydął z obrzydzeniem wargi. - Ojciec musiał całe życie zadawać się z domami aukcyjnymi i handlarzami dziełami sztuki. Wolałby, żeby go poszatkowano, niż zaproponowałby im najmarniejszą rycinę.

- Zamierzał więc zostawić wszystko wam trzem?

Zapadła niezręczna cisza.

- Tak sądziliśmy - odparł wreszcie Philip.

- Kościół? Żona? Przyjaciółka? - wtrącił się Fenton.

Philip wyjął fajkę spomiędzy zębów i odpowiedział, imitując bezbłędnie lakoniczny styl sierżanta:

- Ateista. Rozwiedziony. Mizoginik.

Dwaj pozostali bracia wybuchnęli śmiechem. Nawet Hutch Barnaby był zadowolony z pognębienia kolegi. Bardzo rzadko zdarzało się, że ktoś wziął górę nad Fentonem podczas przesłuchania. Ten cały Philip mimo swoich pretensji był twardy. Na jego pociągłej, inteligentnej twarzy widniał jednak pewien smutek, cień zagubienia.

Porucznik wyciągnął przed siebie list przewozowy dotyczący kuchennych utensyliów.

- Macie pojęcie, o co tu chodzi albo dokąd mogło to powędrować?

Bracia przyjrzeli się dokumentowi, pokręcili głowami i oddali go Hutchowi.

- Nie lubi! nawet gotować - powiedział Tom.

- Proszę opowiedzieć mi o swoim ojcu. - Porucznik wsunął papier do kieszeni. - Wygląd, osobowość, charakter, rodzaj interesów, tego typu rzeczy.

- Jest... jedyny w swoim rodzaju - odrzekł w końcu Tom.

- To znaczy?

- Pod względem fizycznym jest olbrzymem, sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Wysportowany, przystojny, o szerokich barach, bez śladu tłuszczu. Siwe włosy i broda, wygląda jak lew i ma odpowiedni do tego ryczący głos. Ludzie mówią, że przypomina Hemingwaya.

- Osobowość?

- Należy do ludzi, którzy nigdy się nie mylą, którzy depczą obcasami wszystkich i wszystko, co staje im na drodze do wymarzonego celu. Kieruje się w życiu własnymi zasadami. Nigdy nie skończył gimnazjum, ale wie więcej o sztuce i archeologii niż większość ludzi z doktoratami. Kolekcjonerstwo to jego religia. Pogardza przekonaniami religijnymi innych i to jedna z przyczyn, dla których czerpie tyle przyjemności z kupowania i sprzedawania przedmiotów zrabowanych z grobów - i grabienia ich samemu.

- Proszę mi powiedzieć coś jeszcze o tym okradaniu grobów.

- Maxwell Broadbent urodził się w robotniczej rodzinie - odezwał się tym razem Philip. - Jako młody człowiek wyjechał do Ameryki Środkowej i przepadł na dwa lata. Dokonał wielkiego odkrycia - obrabował świątynię Majów i łupy przeszmuglował tutaj. Od tego się wszystko zaczęło. Handlował sztuką i antykami wątpliwego pochodzenia - począwszy od greckich i rzymskich posągów, przemyconych z Europy, po freski Khmerów, zdarte z kambodżańskich świątyń, i renesansowe obrazy, wywiezione z Włoch podczas wojny. Handlował nie dla zarobku, ale żeby finansować własną kolekcję.

- Interesujące.

- Tak naprawdę jedynie metodami Maxwella można dzisiaj zdobyć autentycznie wielkie dzieła sztuki - dodał Philip. - W jego kolekcji nie znalazłoby się pewnie nawet jednej rzeczy, która nie byłaby trefna.

- Obrabował kiedyś grobowiec, nad którym ciążyła klątwa - odezwał się Vernon. - Cytował ją na przyjęciach.

- Klątwa? Jak brzmiała?

- Coś w stylu: „Ten, kto zakłóci pokój tych kości, zostanie obdarty ze skóry i rzucony na pożarcie parszywym hienom, a potem stado osłów będzie spółkować z jego matką". Lub coś w tym guście.

Fenton zachichotał. Barnaby rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Kolejne pytanie skierował do Philipa, skoro ten zaczął mówić. Dziwne, jak ludzie lubią narzekać na swoich rodziców.

- Czym się kierował?

- Można to ująć tak. - Philip ściągnął szerokie brwi i zmarszczył

czoło. - Maxwell Broadbent kochał swoją „Madonnę" Lippiego bardziej niż jakąkolwiek kobietę. Kochał swój namalowany przez Bronzina portret małej Bia de'Medici bardziej niż którekolwiek ze swoich prawdziwych dzieci. Kochał swoje dwa obrazy Braque'a, Moneta i swoje nefrytowe czaszki Majów bardziej niż otaczających go ludzi. Wielbił swoją kolekcję trzynastowiecznych francuskich relikwiarzy z domniemanymi kośćmi świętych bardziej niż któregokolwiek prawdziwego świętego. Kolekcje były jego kochankami, dziećmi i religią. Tym się kierował: miłością do pięknych rzeczy.

- To wszystko nieprawda - oświadczył Vernon. - Kochał nas.

Philip tylko parsknął pogardliwie.

- Mówi pan, że był rozwiedziony z waszą matką?

- To znaczy z naszymi matkami. Rozwiódł się z dwiema, raz owdowiał. Były też inne żony, z którymi nie miał dzieci, oraz spora liczba kochanek.

- Zdarzały się kłótnie o alimenty? - spytał Fen ton.

- Oczywiście - odrzekł Philip. - Alimenty i alimenty, nigdy nie było temu końca.

- Ale wychowywał was sam?

Philip zamilkł i odpowiedział dopiero po chwili:

- Na swój wyjątkowy sposób tak.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Barnaby zastanawiał się, jakim on sam byłby ojcem. Lepiej trzymać się wątku - kończył mu się czas. Technicy powinni zjawić się lada chwila, a wtedy będzie miał szczęście, jeśli w ogóle uda mu się jeszcze postawić stopę na miejscu przestępstwa.

- Miał ostatnio jakąś kobietę?

- Jedynie w celu niewielkiego wysiłku fizycznego wieczorami - odparł Philip. - Zapewniam pana, że niczego nie dostanie.

- Myśli pan, że naszemu ojcu nic się nie stało? - wtrącił się Tom.

- Mówiąc szczerze, nie widziałem najmniejszych śladów morderstwa. Nie znaleźliśmy w domu żadnego ciała.

- Mogli go porwać?

- Mało prawdopodobne. - Barnaby potrząsnął głową. - Po co się męczyć z zakładnikiem? - Popatrzył na zegarek. Zostało mu pięć, może sześć minut. - Był ubezpieczony? - Postarał się, by zabrzmiało to jak najbardziej niewinnie.

- Nie. - Po twarzy Philipa przemknął grymas.

- Nie? - Nawet Hutch nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- W ubiegłym roku starałem się załatwić ubezpieczenie, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać, dopóki kolekcja znajdowała się w tak słabo chronionym domu. Sam pan widział, jak łatwo tu się dostać.

- Dlaczego wasz ojciec nie udoskonalił zabezpieczeń?

- Był bardzo trudnym człowiekiem. Nikt nie mógł mu dyktować, co

ma robić. Miał w domu mnóstwo broni. Pewnie byłby gotów walczyć sam z rabusiami, jak przystało na Dziki Zachód.

Barnaby przejrzał notatki i jeszcze raz sprawdził, która godzina. Był wytrącony z równowagi. Kawałki układanki nie pasowały do siebie. Był pewny, że to nie zwykły rabunek, ale bez ubezpieczenia jaki sens okradać siebie samego? Do tego dochodził zbieg okoliczności w postaci listu do synów - ściągnięcie ich na spotkanie właśnie w tym czasie. Przypomniał sobie jego treść:"... bardzo ważna sprawa, dotycząca waszej przyszłości... bardzo rozczarowany, jeśli się nie zjawicie...". W tych sformułowaniach kryła się jakaś sugestia.

- Co było w sejfie?

- Niech pan nie mówi, że i tam się dostali! - Philip otarł pot z twarzy drżącą dłonią. Garnitur na nim obwisł, a załamanie widoczne na twarzy wyglądało na autentyczne.

- Owszem.

- Och, Boże. Były w nim szlachetne kamienie, biżuteria, złoto z Ameryki Środkowej i Południowej, rzadkie monety i znaczki, wyłącznie wyjątkowo cenne.

- Wydaje się, że włamywacze mieli szyfr do sejfu i klucze do wszystkich pomieszczeń. Domyślacie się, jak je zdobyli?

- Nie.

- Czy wasz ojciec miał jakąś zaufaną osobę - na przykład prawnika - u kogo byłby drugi zestaw kluczy lub szyfr do sejfu?

- Nikomu nie ufał.

Było to ważne stwierdzenie. Barnaby obejrzał się na Vernona i Toma.

- Zgadzacie się? - Obydwaj przytaknęli. - Miał gospodynię?

- Była kobieta, która tu przychodziła codziennie.

- Ogrodnika?

- Na pełnym etacie.

- Kogoś jeszcze?

- Zatrudniał kucharkę na pełny etat i pielęgniarkę na trzy dni w tygodniu.

- Pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie, Philipie? - przerwał Fenton, wychylając się do przodu i uśmiechając na swój dziki sposób.

- Jeśli pan musi.

- Dlaczego mówi pan o ojcu w czasie przeszłym? Wie pan coś, o czym my nie wiemy?

- Och, na miłość boską! - wybuchnął Philip. - Kto mnie uwolni od tej nędznej imitacji Sherlocka Holmesa?

- Fenton! - mruknął porucznik, rzucając koledze ostrzegawcze spojrzenie.

Sierżant odwrócił głowę, zobaczył wzrok Barnaby'ego i mina mu zrzedła.

- Przepraszam.

- Gdzie są teraz? - spytał Barnaby.

- Kto?

- Gospodyni, ogrodnik, kucharka. Do kradzieży doszło dwa tygodnie temu. Ktoś zwolnił służbę.

- Dwa tygodnie temu? - zapytał Tom.

- Zgadza się.

- Przecież dostałem list przez Federal Express trzy dni temu.

Ciekawy fakt.

- Czy ktoś zwrócił uwagę na adres nadawcy?

- To było jakieś biuro w rodzaju Mail Boxes Etc - powiedział Tom.

Barnaby zastanowił się chwilę.

- Muszę wam powiedzieć, że ten cały tak zwany rabunek ma wypisane na sobie: oszustwo ubezpieczeniowe - oświadczył.

- Już tłumaczyłem, że kolekcja nie była ubezpieczona - odparł Philip.

- Tłumaczył pan, ale ja w to nie wierzę.

- Poruczniku, znam się na rynku ubezpieczeń dzieł sztuki - jestem historykiem sztuki. Ta kolekcja była warta około pół miliarda dolarów, a ojciec ją przechowywał w domu na wsi, wyposażonym w urządzenia, jakie można kupić w każdym sklepie. Ojciec nawet nie miał psa. Powtarzam panu, tej kolekcji nie dało się ubezpieczyć.

Barnaby na długą chwilę utkwił spojrzenie w Philipie, po czym przeniósł je na dwóch pozostałych braci. Philip wypuścił z sykiem powietrze i popatrzył na zegarek.

- Poruczniku, nie sądzi pan, że to trochę za duża sprawa jak na Wydział Policji Santa Fe?

Skoro nie było to oszustwo ubezpieczeniowe, to co? Do diabła, to nie żaden rabunek. W umyśle Barnaby'ego zaczęła się rysować szaleńcza, jeszcze nieokreślona idea. Naprawdę wariacka. Zaczęła się jednak kształtować wbrew jego woli, przybierając postać czegoś w rodzaju teorii. Obejrzał się na Fentona, który najwyraźniej nie wpadł na nic podobnego. Mimo wszystkich uzdolnień brakowało mu poczucia humoru.

Barnaby przypomniał sobie w tym momencie telewizor z wielkim ekranem, magnetowid i kasetę wideo na podłodze. Nie, nie leżącą - położoną, obok pilota. Czyż nie było na niej napisanej ręcznie etykiety? OBEJRZYJ MNIE.

No właśnie. Wszystko się skrystalizowało, jak marznący lód. Barnaby zrozumiał dokładnie, co się wydarzyło. Odchrząknął.

- Chodźmy.

Trzej Broadbentowie weszli za nim do wnętrza domu i wreszcie do salonu.

- Proszę usiąść.

- O co tu chodzi? - Philip zaczął się denerwować. Nawet Fenton patrzył pytająco na Barnaby'ego.

Porucznik podniósł kasetę i pilota.

- Obejrzymy sobie film.

Włączył telewizor i wsunął taśmę do magnetowidu.

- To jakiś żart? - zapytał z zaczerwienioną twarzą Philip, nie siadając. Bracia stali obok niego, zdezorientowani.

- Zasłaniacie ekran - powiedział Barnaby, sadowiąc się na sofie. - Usiądźcie.

- To skandaliczne...

Nagły głośny dźwięk z telewizora uciszył Philipa. Na ekranie pojawiła się nadnaturalnych rozmiarów twarz Maxwella Broadbenta. Wszyscy trzej jego synowie usiedli.

Głęboki, pobrzmiewający echem głos ojca rozległ się w pustym pokoju:

„Witam z krainy zmarłych".

4

Tom Broadbent patrzył na powoli nabierającą ostrości twarz ojca na ekranie. Kamera stopniowo wykonała odjazd, pokazując, że Maxwell Broadbent siedzi za olbrzymim biurkiem w swoim gabinecie, z kilkoma kartkami papieru w wielkich dłoniach. Pokoju jeszcze nie ogołocono; za ojcem na ścianie wisiała „Madonna" Lippiego, półki wciąż były pełne książek, a wszystkie inne obrazy i rzeźby również znajdowały się na swoich miejscach. Tom zadrżał; nawet elektroniczne wyobrażenie jego ojca budziło w nim lęk.

Po przywitaniu ojciec umilkł, odchrząknął i skupił przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu na kamerze. Kartki drżały lekko w jego dłoniach. Wyglądało na to, że walczy z silnym wzruszeniem.

Maxwell Broadbent opuścił wzrok z powrotem na notatki i zaczął czytać:

„- Drogi Philipie, Vernonie i Tomie, aby nie owijać rzeczy w bawełnę: zabrałem swoje bogactwo ze sobą do grobu. Zamknąłem siebie i całą kolekcję w grobowcu. Grobowiec kryje się w pewnym miejscu na świecie, które znam tylko ja".

Broadbent urwał, znowu odkaszlnął, podniósł na chwilę wzrok tak, że jego oczy zabłysły błękitem, opuścił je i wrócił do czytania. Jego głos nabrał nieco pedantycznej nuty, dobrze znanej Tomowi ze spotkań przy obiadowym stole.

„- Od ponad stu tysięcy lat ludzi chowano z ich najcenniejszymi rzeczami. Grzebanie zmarłych ma szacowną historię, począwszy od neander-

talczyków poprzez starożytnych Egipcjan, prawie po dzień dzisiejszy. Ludzi grzebano ze złotem, srebrem, dziełami sztuki, lekarstwami, meblami, jedzeniem, niewolnikami, końmi, a czasem nawet z konkubinami i żonami - ze wszystkim, co ich zdaniem mogło się przydać w zaświatach. Dopiero w ubiegłym stuleciu ludzie przestali grzebać szczątki swych bliźnich razem z ich dobrami, w ten sposób łamiąc długą tradycję.

Jest to tradycja, którą chętnie ożywię.

W istocie prawie wszystko, co wiemy o przeszłości, ostało się do naszych czasów w grobowcach. Niektórzy zarzucali mi, że jestem ich rabusiem. Nieprawda. Nie byłem rabusiem, lecz zbieraczem surowców wtórnych. Zrobiłem fortunę na bogactwach, które głupi ludzie w błędnym przekonaniu zabierali ze sobą w zaświaty. Jedyna różnica pomiędzy mną i nimi polega na tym, że nie jestem głupcem. Wiem, że nie ma zaświatów, w których mógłbym cieszyć się swoim majątkiem. W odróżnieniu od tamtych umieram bez złudzeń. Kiedy umierasz, to po tobie. Kiedy umierasz, zamieniasz się w wór gnijącego mięsa, tłuszczu, kości i mózgu - nic więcej.

Zabieram mój dobytek ze sobą do grobu z całkowicie odmiennego powodu. Bardzo ważnego powodu. Powodu, który dotyczy wszystkich was trzech".

Broadbent przerwał i podniósł wzrok. Dłonie nadal mu lekko drżały, widać było napinające się mięśnie jego zaciśniętych szczęk.

- Jezu Chryste - wyszeptał Philip, na poły unosząc się z sofy z zaciśniętymi pięściami. - Nie mogę w to uwierzyć.

Maxwell Broadbent podniósł kartki, by czytać dalej. Potknął się na pierwszym słowie, zawahał, po czym nagle wstał i rzucił kartki na biurko.

„- Chrzanić to - powiedział, dostawiając gwałtownym ruchem fotel do biurka. - Mam wam do powiedzenia coś o wiele ważniejszego niż cholerne przemówienie z kartki".

Kilkoma długimi krokami obszedł biurko. Jego olbrzymia sylwetka wypełniła ekran i w rezultacie pokój, w którym znajdowali się jego słuchacze. Zaczął chodzić tam i z powrotem przed kamerą, w podnieceniu gładząc krótko przystrzyżoną brodę.

„- Nie jest mi lekko. Nie wiem, jak mam to wam trzem właściwie wytłumaczyć. - Odwrócił się i przeszedł na drugą stronę. - W waszym wieku nic nie miałem. Nic. Przyjechałem do Nowego Jorku z Erie w stanie Pensylwania z trzydziestoma pięcioma dolarami przy duszy, w starym garniturze ojca. Nie miałem rodziny, przyjaciół, świadectwa ukończenia college'u. Nic. Tata był dobrym człowiekiem, ale tylko murarzem. Mama nie żyła. Na dobrą sprawę byłem skazany na własne siły".

- O nie, znowu to samo - jęknął Philip.

„- Była jesień 1963 roku. Szlifowałem bruki, dopóki nie znalazłem

pracy - gównianej pracy przy zmywaniu naczyń u Mamy Giny na rogu Osiemdziesiątej Ósmej i Lexington Avenue. Za dolara dwadzieścia pięć centów za godzinę".

Philip dalej kręcił głową. Tom czuł się odrętwiały.

Broadbent zatrzymał się na wprost biurka i utkwił wzrok w obiektywie kamery. Zgarbił się lekko z ponurą miną.

„- Jakbym miał was przed sobą. Philipie, na pewno kręcisz ze smutkiem głową, Tom, ty pewnie zerwałeś się na nogi i klniesz, a ty, Vernonie, pewnie myślisz, że mi po prostu odbiło. Boże, mam was przed oczyma. Przykro mi za was, naprawdę. Nie jest mi łatwo. - Zaczął znów krążyć przed biurkiem. - «U Giny» było niedaleko od Metropolitan Museum of Art. Pewnego dnia strzeliło mi do głowy, aby tam zajrzeć i to odmieniło moje życie. Wydałem ostatniego dolara na karnet wstępu i zacząłem tam chodzić codziennie. Zakochałem się w muzeum. To było objawienie! Nigdy nie widziałem tyle piękna, tyle... - Machnął wielką ręką. - Chryste, przecież to wszystko wiecie".

- Niewątpliwie - powiedział ironicznie Philip.

„- Chodzi o to, że zaczynałem od niczego. *Niente.* Ciężko pracowałem. Aż znalazłem wizję w swoim życiu, jego cel. Czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. O Schliemannie i o odkryciu Troi, o Howardzie Carterze i grobowcu króla Tutenchamona, o Johnie Lloydzie Stephensie i mieście Copan, o wykopaliskach w Willi Tajemnic w Pompejach. Marzyłem o znalezieniu podobnych skarbów, wykopywaniu ich, posiadaniu ich na własność. Zadałem sobie pytanie: gdzie jeszcze na świecie można odnaleźć zaginione grobowce i świątynie? Odpowiedź brzmiała: w Ameryce Środkowej. Tam wciąż można odkryć zaginione miasta. Była jeszcze dla mnie szansa".

Broadbent urwał i otworzył pudełko na biurku. Wyjął cygaro, przyciął je i przypalił.

- Jezu Chryste - powiedział Philip. - Stary jest niepoprawny.

Broadbent zgasił zapałkę, rzucił ją na biurko i uśmiechnął się. Miał piękne, lśniące bielą zęby.

„- I tak umrę, więc dlaczego mam się nie nacieszyć ostatnimi miesiącami? Prawda, Philipie? Wciąż palisz fajkę? Na twoim miejscu dałbym sobie z nią spokój. - Odwrócił się i zrobił kilka kroków, zostawiając za sobą sine obłoczki. - Tak czy inaczej oszczędzałem, dopóki nie miałem dość pieniędzy na podróż do Ameryki Środkowej. Pojechałem tam nie dlatego, że chciałem się dorobić - chociaż przyznaję, że po części i o to chodziło - ale dlatego, że miałem swoją pasję. I znalazłem je. Znalazłem moje zaginione miasto. - Obrócił się na pięcie i zrobił kilka kolejnych kroków. - Taki był początek. Od tego się zaczęło. Handlowałem sztuką i antykami tylko po to, żeby finansować swoją kolekcję. I popatrzcie... - Urwał i gestem otwartej dłoni wskazał niewidzialną

kolekcję dookoła siebie w domu. - ... popatrzcie, oto rezultat. Jedna z największych prywatnych kolekcji dzieł sztuki i antyków na świecie. To nie są tylko rzeczy. Każda z nich ma swoją historię, wiąże się dla mnie ze wspomnieniem. Jak ją po raz pierwszy ujrzałem, jak się w niej zakochałem, jak zostałem jej właścicielem. Każda z nich jest częścią mnie. - Wziął w rękę nefrytową figurkę z biurka i wystawił ją do kamery. - Tak, jak ta olmecka głowa, którą znalazłem w grobowcu w Piedra Lumbre. Pamiętam ten dzień... upał, węże... i pamiętam, jak ją zobaczyłem po raz pierwszy, leżącą w pyle grobowca, gdzie spoczywała dwa tysiące lat".

- Ach, radość kradzieży! - parsknął Philip.

Maxwell odstawił rzeźbę.

„- Przez dwa tysiące lat tam spoczywała - rzecz tak nieskazitelnie piękna, że chce się płakać. Żałuję, że nie mogę przekazać wam uczuć, jakie mnie ogarnęły na widok tej doskonałej nefrytowej głowy, leżącej w pyle. Nie stworzono jej, by wegetowała w ciemnościach. Uratowałem ją i przywróciłem do życia".

Głos mu się łamał ze wzruszenia. Umilkł, odkaszlnął i zdjął dłoń z rzeźby. Sięgnął dłonią za siebie w stronę oparcia fotela i usiadł na nim. Odłożył cygaro do popielnicy. Odwrócił się z powrotem w stronę kamery i oparł o biurko.

„- Jestem waszym ojcem. Patrzyłem, jak wszyscy trzej dorastacie. Znam was lepiej niż wy sami".

- Mało prawdopodobne - wtrącił Philip.

„- Patrząc, jak dorastacie, z przerażeniem zauważyłem, że macie poczucie, iż wszystko się wam należy. Że jesteście uprzywilejowani. Syndrom bogatego dzieciaka. Poczucie, że nie musicie zbyt ciężko pracować, zbyt ciężko się uczyć, wysilać się, bo jesteście synami Maxwella Broadbenta. Bo któregoś dnia, nie kiwnąwszy nawet palcem, będziecie cholernie bogaci. - Wstał ponownie, bo rozpierała go energia. - Słuchajcie, wiem, że to głównie moja wina. Spełniałem wasze zachcianki, kupowałem wszystko, co się wam zamarzyło, posyłałem was do najlepszych prywatnych szkół, włóczyłem po Europie. Czuję się winny przez te rozwody i wszystko. Pewnie nie urodziłem się stworzony do małżeństwa. Ale co ja narobiłem? Wychowałem trzech synów, którzy zamiast żyć wspaniałym życiem czekają na spadek. «Wielkie Nadzieje» sprowadzone na bruk".

- Pierdoły - powiedział gniewnie Vernon.

„- Philipie, jesteś nauczycielem historii sztuki w college'u na Long Island. Tom - weterynarz, zajmuje się końmi w Utah. A Vernon? Hm, nawet nie mam pojęcia, co teraz robisz. Pewnie żyjesz w jakimś aśramie, oddając forsę guru-oszustowi".

- Nieprawda! - powiedział Yernon. - Nieprawda! Idź do diabła!

Tom nie był w stanie nic z siebie wykrztusić. Czuł wzbierającą w trzewiach kulę mdłości.

„- Na domiar wszystkiego - kontynuował ojciec - nie dogadujecie się ze sobą. Nigdy nie nauczyliście się współpracować, być braćmi. Zacząłem się zastanawiać: co ja narobiłem? Czy nauczyłem swoich synów niezależności? Czy nauczyłem ich wartości pracy? Czy wpoiłem im wartość bycia samowystarczalnym? Czy nauczyłem ich troszczyć się o siebie nawzajem? - Urwał i wręcz wykrzyknął. - Nie!... Po tym wszystkim, po wszystkich tych szkołach, Europie, wyprawach na polowania i na ryby, wychowałem trójkę prawie nieudaczników. Chryste, to moja wina, że do tego doszło, ale tak właśnie się stało. A potem dowiedziałem się, że umieram, co wprawiło mnie w panikę. Jak mam to wszystko naprawić? - Urwał i odwrócił się, z zarumienioną twarzą i zadyszany. - Nie ma lepszej metody niż śmierdząca gęba śmierci przed oczami, by człowiek zaczął się zastanawiać. Musiałem obmyślić, co zrobić z moją kolekcją. Wiedziałem, że za cholerę nie oddam jej jakiemuś muzeum czy uniwersytetowi, aby bałwany w tweedach się nad nią śliniły. Nie zamierzałem też dopuścić, aby jakiś handlarz czy parszywy dom aukcyjny wzbogacił się na mojej ciężkiej pracy, dzieląc kolekcję i wyprzedając ją na cztery strony świata po tym, jak zbierałem ją całe życie. Absolutnie nie. - Otarł czoło, zmiął chusteczkę w pięści i wyciągnął rękę w stronę kamery. - Zawsze zamierzałem wam ją zostawić, ale kiedy do tego doszło, zrozumiałem, że byłaby to najgorsza rzecz, jaką mogę dla was zrobić. Uznałem, że za nic nie dam wam pół miliarda dolarów, na które sobie nie zapracowaliście. - Wrócił za biurko, opuścił swe olbrzymie ciało na fotel i wyjął kolejne cygaro z obitej skórą szkatułki. - Patrzcie, ciągle palę. Już za późno".

Przyciął cygaro i zapalił. Obłok dymu zaburzył automatyczną regulację ostrości w kamerze; obraz się zamazał, wyostrzył i znów rozmazał, nim mechanizm wrócił do poprzedniego ustawienia. Gdy dym odleciał poza lewy skraj kadru, kwadratowa, przystojna twarz Maxwella Broadbenta znów nabrała ostrości.

„- Wreszcie wpadłem na rozwiązanie. Moim zdaniem błyskotliwe. Całe życie rozkopywałem groby i zajmowałem się zabranymi z nich skarbami. Znam wszystkie sposoby ukrywania grobowców, wszystkie pułapki, wszystko. Nagle dotarło do mnie, że ja też mogę zabrać wszystko ze sobą. I wtedy mógłbym zrobić coś, co będzie dla was prawdziwym dziedzictwem. - Urwał, złożył razem ręce i wychylił się do przodu. - Musicie zapracować sobie na te pieniądze. Zorganizowałem pogrzebanie mnie i mojej kolekcji w grobowcu, ukrytym gdzieś na świecie. Rzucam wam wyzwanie, byście go odnaleźli. Jeśli wam się to uda, będziecie mogli obrabować grób i mieć wszystko. Oto moje wyzwanie dla was trzech, moi synowie. - Wciągnął dym, usiłując się uśmiechnąć. - Ostrze-

gam - będzie to trudne i niebezpieczne. Nic wartościowego w życiu nie jest proste. I jeszcze gwóźdź programu: nie uda się wam, jeśli nie będziecie współdziałać. - Położył masywną pięść na biurku. - I to właściwie wszystko. Niewiele dla was zrobiłem za życia, ale na Boga, zamierzam to naprawić w chwili śmierci".

Wstał i podszedł do kamery. Wyciągnął rękę, by ją wyłączyć, po czym jakby po namyśle znieruchomiał. Gigantyczna twarz wypełniła ekran.

„- Nigdy nie przepadałem za czułościami, więc mówię wam po prostu: żegnajcie. Żegnaj, Philipie, Vernonie, Tomie. Zegnajcie i powodzenia. Kocham was".

Ekran zgasł.

fi*'
V

Tom został na sofie - chwilowo nie mógł się ruszyć. Pierwszy zareagował Hutch Barnaby. Wstał i delikatnie odchrząknął, by przerwać milczenie wstrząśniętych synów.

- Fenton? Wygląda na to, że przestaliśmy być tu potrzebni.

Sierżant przytaknął i niezgrabnie się podniósł - autentycznie zarumieniony. Porucznik odwrócił się w stronę braci i uprzejmie dotknął ręką ronda kapelusza.

- Jak sami widzicie, to nie robota dla policji. Zostawiamy was, żebyście, ehm... sami doszli z tym do ładu.

Detektywi ruszyli ku łukowatemu wyjściu. Nie mogli się doczekać, aż znajdą się poza domem. Philip wstał.

- Panie poruczniku? - powiedział na poły zduszonym głosem.

-Tak?

- Liczę, że nie będziecie o tym nikomu rozpowiadać. W niczym by nam to nie pomogło, gdyby... gdyby cały świat zaczął szukać grobowca.

- Słuszna uwaga. Nie mamy powodu komukolwiek o tym mówić. Żadnego powodu. Odwołam techników.

Wyszedł z pokoju i zniknął. Chwilę później rozległo się trzaśniecie wielkich frontowych drzwi.

Trzej bracia zostali sami.

Sukinsyn - powiedział spokojnie Philip. - Nie mogę w to uwierzyć. Sukinsyn.

Tom popatrzył na jego pobladłą twarz. Wiedział, że Philip żyje ponad poziomem, odpowiadającym pensji wykładowcy. Na pewno potrzebował pieniędzy. I niewątpliwe wydawał je, licząc na spadek.

- Co teraz? - spytał Vernon. Jego pytanie zawisło w ciszy.

- Nie mogę uwierzyć, co ten stary drań zrobił - powiedział Philip. - Ot tak sobie zabrał dziesiątkę obrazów starych mistrzów do grobu, nie wspominając o bezcennych figurkach Majów z nefrytu i złota. Wyjął jedwabną chusteczkę z kieszeni i przetarł czoło. - Nie miał prawa!

- I co zrobimy? - powtórzył Vernon.

- Oczywiście poszukamy grobu. - Philip utkwił w nim wzrok.

-Jak?

- Człowiek nie może pogrzebać siebie i kolekcji dzieł sztuki wartej pół miliarda dolarów bez czyjejś pomocy. Dowiemy się, kto mu pomagał.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwał się Tom. - Nigdy w życiu nikomu nie ufał.

- Nie dałby sobie sam z tym rady.

- To takie... w jego stylu - rzucił nagle Philip.

- Może zostawił ślady.

Vernon podszedł do komody, wyciągnął jedną z szuflad, pogrzebał w niej i zaklął. Wyciągnął drugą, potem trzecią. Ogarnęło go takie zdenerwowanie, że szuflada wypadła na podłogę, ujawniając swą zawartość - karty do gry, gra planszowa Parcheesi, szachy, chińskie domino. Tom przypomniał sobie dawne gry z dzieciństwa, pożółkłe i wyblakłe z upływem czasu. Poczuł zimny węzeł, zaciskający się w piersi; oto, do czego doszło. Vernon zaklął ponownie i kopnął stertę rzeczy z szuflady, rozsypując wszystko po całym pokoju.

- Zaśmiecanie domu nic nie da, Vernon.

Nie zwracając na niego uwagi, Vernon otwierał kolejne szuflady i wygarniał ich zawartość na podłogę. Philip wyjął z kieszeni spodni fajkę i przypalił ją drżącą dłonią.

- Marnujesz tylko czas. Uważam, że powinniśmy pojechać do Marcusa Hausera. On jest kluczem.

- Hausera? - Vernon znieruchomiał. - Ojciec nie kontaktował się z nim od czterdziestu lat.

- To jedyny człowiek, który naprawdę go znał. Spędzili dwa lata razem w Ameryce Środkowej. Jeśli ktokolwiek wie, dokąd zabrał się ojciec, to właśnie on.

- Ojciec nienawidził Hausera.

- Myślę, że się pogodzili, kiedy zachorował i tak dalej. - Philip otworzył złotą zapalniczkę i cmoknął, wciągając płomyk do fajki.

Vernon przeszedł do obniżonej części salonu. Słychać było otwieranie i zamykanie szafek, wyciąganie książek z półek, spadające na podłogę rzeczy.

- Mówię ci, że Hauser brał w tym udział. Musimy szybko działać. Mam długi.... zobowiązania.

Vernon wrócił z pełnym papierów pudłem, które z łoskotem postawił na stoliku do kawy.

- Wcale mnie nie dziwi, że zacząłeś już wydawać spadek.

- A kto wziął w ubiegłym roku od ojca dwadzieścia tysięcy? - zwrócił się do niego chłodno Philip.

- To była tylko pożyczka.

Vernon zaczął wertować papiery, otwierać teczki i wyrzucać ich zawartość na podłogę. Tom zobaczył, że z jednej z nich wypadają stare listy ocen z wywiadówek w podstawówce. Zaskoczyło go, że ojciec je przechowywał - zwłaszcza że nie był zbyt zachwycony ich stopniami.

- Zwróciłeś ją? - spytał Philip.

- Zwrócę.

- Oczywiście - odparł z ironią Philip. Vernon się zarumienił.

- A czterdzieści tysięcy, które ojciec zapłacił za twoje studia doktoranckie? Oddałeś je?

- To był prezent. Zapłacił także za uczelnię weterynaryjną Toma - prawda, Tom? Gdybyś ty wybrał się na studia, za nie również by zapłacił. Zamiast tego wybrałeś się do Indii i zamieszkałeś tam u jakiegoś szemranego swamiego.

Zapadło napięte milczenie.

- Idź do diabła - warknął wreszcie Vernon.

Tom przeniósł spojrzenie z jednego brata na drugiego. Działo się to samo, co tysiące razy wcześniej. Zwykle ingerował, starając się załagodzić sytuację. Przynajmniej w połowie wypadków mu to nie wychodziło.

- Sam idź do diabła - odparł Philip.

Wetknął fajkę z powrotem między zęby, aż zachrzęściła, i odwrócił się na pięcie.

- Zaczekaj! - zawołał Vernon, ale było za późno. Kiedy Philip się wściekał, wychodził, i właśnie zrobił to znowu. Wielkie drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- Na miłość boską, Vernonie, nie mogłeś sobie wybrać właściwszej pory na kłótnię?

- Pieprzę go. Przecież on zaczął, prawda?

Tom nawet nie mógł sobie przypomnieć, czy tak było rzeczywiście.

Po powrocie do gabinetu Hutch wyciągnął się w fotelu, postawił sobie na brzuchu świeży kubek kawy i wyjrzał przez okno. Sierżant usiadł na krześle z drugim kubkiem, wpatrując się posępnie w podłogę.

- Fenton, musisz przestać o tym rozmyślać. Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Wiem, że to popieprzona sprawa: facet zakopuje się w grobie z połową miliarda dolarów. Nie przejmuj się. Pewnego dnia ktoś w mieście popełni zbrodnię, która trafi na pierwszą stronę „New York Timesa",

i będzie tam twoje nazwisko. Tym razem po prostu nie wyszło. - Fenton zajmował się swoją kawą - i swoim rozczarowaniem. - Domyśliłem się, Fenton, zanim obejrzeliśmy kasetę. Wiedziałem, o czym będzie. Kiedy dotarło do mnie, że to nie oszustwo ubezpieczeniowe, jakby mi się zapaliła żarówka w głowie. Rany, byłby z tego materiał na świetny film, nie? Bogaty facet grzebie się z całym majątkiem. - Sierżant nie odpowiedział. - Jak myślisz, jak facet to zrobił? Zastanów się tylko. Potrzebował pomocy. Tych rzeczy było całe mnóstwo. Nie można wozić paru ton dzieł sztuki po świecie tak, żeby nikt tego nie zauważył.

Fenton upił łyk kawy. Barnaby popatrzył na zegarek i przeniósł wzrok na zaścielające jego biurko papierzyska.

- Dwie godziny do obiadu. Co jest, że w tym mieście nigdy nie dzieje się nic ciekawego? Popatrz tylko: narkotyki, narkotyki i jeszcze raz narkotyki. Dzieciaki nie mogą dla odmiany obrabować banku?

Jego kolega wypił kawę do ostatniej kropli.

- Gdzieś tam to jest.

Cisza.

- Co chcesz powiedzieć? Co chciałeś w ten sposób dać do zrozumienia? „Gdzieś tam to jest". I co z tego? Mnóstwo rzeczy gdzieś tam jest. - Fenton zgniótł kubek. - Nic nie sugerujesz, prawda? - Sierżant wrzucił kubek do kosza na śmieci. - Powiedziałeś: gdzieś tam to jest. Chcę wiedzieć, o co ci chodzi.

- Poszukamy tego.

- I?

- Zostawimy sobie.

- Fenton, wprawiasz mnie w zdumienie - roześmiał się porucznik. - Jesteśmy przedstawicielami organów ścigania, gdybyś nie zauważył. Może to umknęło twojej uwagi? Z założenia mamy być uczciwi.

- No - odrzekł kolega.

- Właśnie - powiedział Barnaby po chwili. - Uczciwość. Jeśli jej nie masz, Fenton, to co ci zostaje?

- Pół miliarda dolarów - odparł Fenton.

Nie był to stary budynek z piaskowca jak w filmie z Bogartem, lecz szklano-stalowe monstrum, podpierające niebo nad Zachodnią Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą - szkaradny wieżowiec z lat osiemdziesiątych. Przynajmniej czynsz musi tu być wysoki, pomyślał Philip. A skoro był wysoki, to oznaczało, że Marcus Aurelius Hauser odnosi sukcesy jako Prywatny detektyw.

Foyer przypominało gigantyczny, wypolerowany sześcian z granitu. Cuchnęło w nim płynami do czyszczenia. W kącie rosła kępka rachitycznych bambusów. Winda zabrała Philipa na czterdzieste piętro. Wkrótce znalazł się przed drzwiami z wiśniowego drewna, prowadzącymi do biura Marcusa Hausera, prywatnego detektywa.

Philip przystanął za drzwiami. Z pewnością nie oczekiwał po biurze prywatnego detektywa, że będzie to bezbarwne postmodernistyczne wnętrze z szarego łupku, przemysłowej wykładziny i czarnego polerowanego granitu. Jak ktokolwiek mógł pracować w tak sterylnej przestrzeni? Pokój wyglądał na pusty.

- Taa? - rozległ się głos zza łukowatej przegrody ze szklanych płytek.

Philip obszedł ją i znalazł się za plecami mężczyzny siedzącego za wielkim biurkiem w kształcie nerki, zwróconym nie w stronę wejścia, tylko ku przeszklonej ścianie, za którą widać było matowocynkową powierzchnię rzeki Hudson. Nie odwracając się, mężczyzna wskazał mu fotel. Philip przeszedł na drugą stronę i usiadł, chcąc lepiej się przyjrzeć Marcusowi Hauserowi - byłemu członkowi Zielonych Beretów w Wietnamie, byłemu złodziejowi grobowców i byłemu porucznikowi w oddziale Agencji do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni na Manhattanie.

W albumach ze zdjęciami ojca widział niewyraźne i rozmazane fotografie Marcusa jako młodego człowieka, ubranego w polowy kamuflaż, z jakąś bronią na biodrze. Hauser na wszystkich się uśmiechał. Philip poczuł się nieco dziwnie, mając go wreszcie przed sobą. Mężczyzna był jeszcze niższy, niż Philip sądził, i przesadnie elegancko ubrany w brązowy garnitur z kamizelką, na której błyszczał złoty łańcuch od zegarka. Przedstawiciel klasy robotniczej, imitujący arystokratę. Roztaczał wokół siebie ciężką woń wody kolońskiej. Resztkę włosów miał nadmiernie wypomadowaną; każdy kosmyk został ułożony tak, by maksymalnie zakrywać łysinę. Złote pierścienie połyskiwały na co najmniej czterech palcach. Mężczyzna miał wymanikiurowane ręce, wyczyszczone i wypolerowane paznokcie oraz starannie wyskubane włoski z nosa. Nawet łysina, widoczna przez przykrywające ją włosy, wyglądała na wywoskowaną i wypolerowaną. Philip złapał się na tym, iż zadaje sobie pytanie, czy to aby na pewno ten sam Marcus Hauser, który włóczył się z ojcem po dżunglach w poszukiwaniu zaginionych miast i starożytnych grobowców. Może zaszła jakaś pomyłka. Odchrząknął.

- Pan Hauser?

- Marcus - padła natychmiast odpowiedź, jak błyskawiczna kontra w meczu tenisa.

Głos mężczyzny również wytrącał z równowagi: wysoki, nosowy, z akcentem robotnika. Zielone oczy były jednak zimne jak u krokodyla.

Philip poczuł się zdezorientowany. Założył nogę na nogę, a potem, nie prosząc o pozwolenie, wyjął fajkę i zaczął ją napełniać. Na ten wi-

dok Hauser się uśmiechnął, otworzył szufladę biurka i wyjął nawilżacz, a z niego wielkie cygaro w stylu Churchilla.

- Cieszę się, że pan pali - powiedział, rolując cygaro w swoich wypielęgnowanych palcach. Wyjął z kieszeni przycinacz z monogramem i odciął koniec cygara. - Nie możemy pozwolić na triumf barbarzyńców. - Zapalił, a potem odchylił się w fotelu, popatrzył na gościa przez opończę dymu i zapytał: - Co mogę zrobić dla syna mojego dawnego wspólnika, Maxwella Broadbenta?

- Możemy rozmawiać poufnie?

- Oczywiście.

- Sześć miesięcy temu u ojca zdiagnozowano raka. - Philip zamilkł, sprawdzając po wyrazie twarzy Hausera, czy jest to dla niego nowość. Mina detektywa była jednak równie nieprzenikniona jak powierzchnia mahoniowego biurka. - Raka płuc - kontynuował. - Był operowany, dostał standardową chemio- i radioterapię. Rzucił fajki i wszedł w remisję. Przez jakiś czas wydawało się, że wyszedł z tego, ale rak powrócił ze zdwojoną siłą. Ojciec znów zaczął chemioterapię, jednak jej nie znosił. Któregoś dnia wyrwał wenflon, przyłożył pielęgniarzowi i wyszedł z kliniki. Po drodze do domu kupił paczkę cuba libres i już nie wrócił do szpitala. Dawano mu pół roku życia, a było to trzy miesiące temu. - Philip urwał. Hauser przysłuchiwał się, pykając z cygara. - Kontaktował się z panem?

- Od czterdziestu lat nie. - Detektyw potrząsnął głową i znowu wydmuchnął dym.

- Któregoś dnia w zeszłym miesiącu Maxwell Broadbent zniknął razem ze swoją kolekcją - powiedział Philip. - Zostawił nam kasetę wideo. - Hauser uniósł brwi. - Swego rodzaju ostatnią wolę i testament. Powiedział w nim, że zabiera wszystko ze sobą do grobu.

- Że co? - Hauser wychylił się do przodu, nagle zainteresowany. Maska obojętności na chwilę opadła, był autentycznie zdumiony.

- Zabrał ze sobą wszystko! Pieniądze, dzieła sztuki, całą swoją kolekcję. Zupełnie jak egipski faraon. Zakopał się gdzieś w jakimś grobowcu i rzucił nam wyzwanie: jeśli go odnajdziemy, możemy obrabować. Widzi pan, wpadł na pomysł, iż powinniśmy zasłużyć sobie na spadek.

Hauser odchylił się na oparcie i długo, głośno się śmiał. Kiedy wreszcie odzyskał oddech, parę razy leniwie wypuścił dym z cygara, wyciągnął rękę i strząsnął pięciocentymetrowy słupek popiołu.

- Tylko Maxa byłoby stać na taki plan.

- Zatem nic pan o tym nie wie? - spytał Philip.

- Nic. - Wyglądało na to, że Marcus mówi prawdę.

- Jest pan prywatnym detektywem - zaczął wyjaśniać Philip. Hauser przesunął cygaro z jednego kącika ust w drugi. - Dorastał pan z Maxem. Spędził pan z nim rok w dżungli. Zna go pan i jego metody postę-

powania lepiej niż ktokolwiek. Przyszło mi do głowy, czy nie pomógłby mi pan jako specjalista odnaleźć jego grobowiec. - Hauser wypuścił z ust obłok błękitnego dymu. Philip dodał: - Nie wydaje mi się to trudnym zadaniem. Tak wielka kolekcja dzieł sztuki nie może wędrować niezauważona.

- Może, jeśli Max skorzystał ze swojego gulfstreama IV.

- Wątpię, czy pogrzebał się w samolocie.

- Wikingowie grzebali się w swoich łodziach. Może Max zapakował skarby do szczelnego, odpornego na ciśnienie kontenera i spadł do morza na środku Pacyfiku, gdzie dno znajduje się na głębokości trzech kilometrów. - Marcus uśmiechnął się, rozkładając dłonie.

- Nie - zdołał odpowiedzieć Philip. Otarł czoło, starając się usunąć sprzed oczu wizję „Madonny" Lippiego, zagrzebanej w szlamie na głębokości trzech kilometrów. - Sam pan w to nie wierzy, prawda?

- Nie mówię, że to właśnie zrobił. Pokazuję panu tylko, do czego można dojść po dziesięciu sekundach zastanowienia. Działa pan wspólnie z braćmi?

- Przyrodnimi. Nie. Postanowiłem sam odnaleźć grobowiec.

- Co oni planują?

- Nie wiem i szczerze mówiąc mnie to nie obchodzi. Oczywiście podzielę się z nimi, gdy odnajdę kolekcję.

- Proszę mi o nich opowiedzieć.

- Według mnie trzeba uważać na Toma. Jest najmłodszy. Kiedy byliśmy dziećmi, najbardziej szalał. Należał do tych, którzy pierwsi skaczą do wody z urwiska czy rzucają kamieniem w gniazdo os. Wywalono go z kilku szkół, ale w college" u wziął się w garść i od tego czasu prowadzi się przykładnie.

- A drugi, Vernon?

- Teraz należy do jakiejś pseudobuddyjskiej wspólnoty, prowadzonej przez byłego profesora filozofii z Berkeley. Zawsze wydawał się najbardziej zagubiony. Chwytał się wszystkiego - narkotyków, sekt, guru, spotkań w grupach wsparcia. Jako dziecko znosił do domu okaleczone koty, przejechane przez samochody psiaki, pisklęta, wypchnięte z gniazd przez silniejsze rodzeństwo - i tak dalej. Wszystkie stworzenia, które pielęgnował, umierały. W szkole inni uwielbiali się nad nim pastwić. Nie dał sobie rady w college'u i nie zdołał utrzymać się w żadnej pracy. Miły chłopak, ale niepozbierany jako dorosły.

- Co teraz robią?

- Tom wrócił na swoje ranczo w Utah. Z tego, co ostatnio słyszałem, zrezygnował z poszukiwania grobowca. Vernon oświadczył, że będzie działać na własną rękę, nie chce, żebym mu pomagał.

- Ktoś o tym jeszcze wie oprócz was trzech?

- Dwaj policjanci z Santa Fe widzieli nagranie i znają całą historię.

- Ich nazwiska?

- Barnaby i Fenton.

Hauser je zanotował. Zaświeciło się światełko telefonu, więc podniósł słuchawkę. Słuchał przez długą chwilę, odpowiedział cicho i spiesznie, a potem po kolei przeprowadził trzy krótkie rozmowy. Philip poczuł irytację, że Marcus załatwia przy nim własne sprawy i marnuje jego czas. Wreszcie detektyw odłożył słuchawkę.

- W grę wchodzą jakieś żony czy przyjaciółki?

- Pięć byłych żon: cztery żyją, jedna zmarła. Żadnych przyjaciółek, o których warto by wspominać.

- Max zawsze potrafił sobie radzić z kobietami. - Usta Hausera wygięły się w przelotnym uśmiechu.

Znów zapadła przedłużająca się cisza. Detektyw najwyraźniej się zastanawiał. Następnie ku irytacji Philipa wybrał jeszcze jeden numer, mówiąc ściszonym tonem. Wreszcie odłożył słuchawkę.

- No cóż, Philipie, co pan o mnie wie?

- Tylko tyle, że towarzyszył pan mojemu ojcu podczas ekspedycji i przez parę lat kręciliście się po Ameryce Środkowej. I że się pokłóciliście.

- Zgadza się. Spędziliśmy prawie dwa lata w Ameryce Środkowej, poszukując grobowców Majów, które można by rozkopać. Było to na początku lat sześćdziesiątych, kiedy takie rzeczy robiło się jeszcze mniej lub bardziej legalnie. Znaleźliśmy co nieco, ale dopiero po naszym rozstaniu Max dokonał swojego wielkiego odkrycia i zdobył fortunę. Ja za to trafiłem do Wietnamu.

- A wasza kłótnia? Ojciec nigdy o niej nie mówił.

Na chwilę zapadła cisza.

- Max nigdy o niczym nie wspominał?

-Nie.

- Ledwie ją sobie kojarzę. Wie pan, jak to jest, gdy dwaj ludzie są skazani na siebie przez długi czas - działają sobie na nerwy. - Hauser odłożył cygaro na popielnicę z rżniętego kryształu, wielką jak półmisek i ważącą pewnie z dziesięć kilogramów. Philip zadał sobie pytanie, czy przyjazd tutaj nie był pomyłką. Ten człowiek sprawiał wrażenie amatora.

Światełko znów zamrugało i detektyw podniósł słuchawkę. Była to ostatnia kropla; Philip się podniósł.

- Wrócę, gdy będzie pan mniej zajęty - powiedział zwięźle.

Hauser pokiwał upierścienionym palcem, by Philip zaczekał. Posłuchał jeszcze przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę.

- Niech mi pan powie, Philipie, co takiego wyjątkowego jest w Hondurasie?

- Hondurasie? A co to ma do rzeczy?

- Bo właśnie tam wyjechał Max.

Philip wytrzeszczył oczy.

- Jednak pomagał mu pan!

- Bynajmniej. - Hauser się uśmiechnął. - Dowiedziałem się tego z telefonu, który właśnie odebrałem. Niecałe cztery tygodnie temu pilot Maxa zabrał go wraz z ładunkiem do miasta w Hondurasie o nazwie San Pedro Sula. Stamtąd Max poleciał wojskowym helikopterem do miejsca o nazwie Laguna de Brus. Potem zniknął.

- Tego wszystkiego dowiedział się pan w czasie naszej rozmowy?

Hauser wypuścił nowy potężny obłok dymu.

- Jestem prywatnym detektywem.

- I wygląda na to, że niezłym.

- Gdy tylko porozmawiam z pilotem, będę wiedział o wiele więcej. - Wyemitował kolejny obłok, zastanawiając się głośno. - Na przykład jakiego rodzaju był ów ładunek i ile ważył. Wygląda na to, że wasz ojciec wcale się nie krył z tym, że leci do Hondurasu. Wie pan, że kiedyś byliśmy tam razem? Nie jestem zaskoczony, że tam właśnie się wybrał. To wielki kraj, o najbardziej niedostępnym interiorze na świecie - gęsta, górzysta, niezamieszkana dżungla, poprzecinana głębokimi wąwozami, odcięta od Wybrzeża Moskitów. Przypuszczam, że właśnie tam zniknął - w interiorze.

- Możliwe.

- Biorę tę sprawę - dodał po chwili Marcus.

Philip poczuł rozdrażnienie. Nie przypominał sobie, by zaproponował Hauserowi to zlecenie. Detektyw zdążył jednak wykazać swoją kompetencję, a skoro dowiedział się już, o co chodzi, pewnie nie było innego wyjścia.

- Nie porozmawialiśmy o wynagrodzeniu.

- Będę potrzebował zaliczki. Spodziewam się, że wydatki w tej sprawie będą niemałe. Za każdym razem, kiedy się działa w jakimś zafajdanym kraiku Trzeciego Świata, trzeba posmarować łapę każdego Tomasa, Rica i Orlanda.

- Myślałem o wynagrodzeniu uzależnionym od rezultatów - odpowiedział szybko Philip. - Jeśli odzyskamy kolekcję, dostanie pan, powiedzmy, małą prowizję. Powinienem również wspomnieć, że zamierzam podzielić się z moimi braćmi. Uczciwość tego wymaga.

- Prowizja jest dobra dla adwokatów, żerujących na ofiarach wypadków. Potrzebuję zaliczki z góry. Jeśli mi się uda, dojdzie do tego ustalona z góry zapłata.

- Zaliczka? W jakiej wysokości?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Philip o mało się nie roześmiał.

- Skąd panu przyszło do głowy, że mam taką sumę?

- Mnie nic nie przychodzi do głowy, panie Broadbent. Ja wiem. Proszę sprzedać Paula Klee.

- Słucham? - Philip poczuł, że na chwilę zamarło mu serce.

- Proszę sprzedać „Blau Kirk", akwarelę Paula Klee, którą pan ma. Śliczności. Mogę dostać za nią dla pana ze czterysta tysięcy.

- Sprzedać? - wybuchnął Philip. - Nigdy! Ojciec podarował mi ten obraz. - Hauser wzruszył ramionami. - A poza tym skąd pan o nim wie?

Marcus uśmiechnął się i rozłożył miękkie, białe dłonie, podobne do dwóch rozchylających się kalii.

- Chce pan wynająć najlepszego w swoim fachu, prawda, panie Broadbent?

- Tak, ale to szantaż.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię, na czym rzecz polega. - Hauser wychylił się do przodu. - Jestem lojalny przede wszystkim wobec sprawy, nie wobec klienta. Kiedy biorę jakąś sprawę, rozwiązuję ją, bez względu na konsekwencje dla klienta. Zaliczkę zatrzymuję. Jeśli mi się uda, dostaję dodatkowe wynagrodzenie.

- Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Nie sprzedam akwareli.

- Czasami klienci zmieniają decyzję i chcą się wycofać. Niekiedy dobrych ludzi spotykają złe rzeczy. Ja zaś całuję dzieci, przychodzę na pogrzeby i działam, dopóki nie zamknę sprawy.

- Nie może pan oczekiwać, że sprzedam obraz, panie Hauser. To jedyna wartościowa rzecz, jaka mi pozostała po ojcu. Kocham tę akwarelę.

Philip spostrzegł, że tamten znów przygląda mu się w budzący niepokój sposób. Oczy Hausera były puste, mina spokojna, pozbawiona wyrazu.

- Niech pan o tym pomyśli w ten sposób: obraz to ofiara, którą musi pan złożyć, by odzyskać swoje dziedzictwo.

Philip się zawahał.

- Myśli pan, że nam się uda?

- Tak.

Philip nie odrywał od niego wzroku. Zawsze będzie mógł odkupić obraz.

- Dobrze, sprzedam akwarelę.

Hauser zmrużył oczy jeszcze bardziej. Po raz kolejny ostrożnie wydmuchnął dym, po czym wyjął cygaro z ust.

- Jeśli się nam uda, moje wynagrodzenie wyniesie milion dolarów - powiedział i dodał: - Nie mamy wiele czasu, panie Broadbent. Zamówiłem już dla nas bilety do San Pedro Sula na początek przyszłego tygodnia.

1

Gdy Vernon Broadbent skończył śpiewy, przez kilka chwil siedział jeszcze z zamkniętymi oczami w chłodnym, pogrążonym w mroku po-

koju, czekając, aż jego umysł zacznie funkcjonować po długiej medytacji. W miarę powrotu świadomości zaczął słyszeć odległy huk Pacyfiku i poczuł woń słonego powietrza, przenikającego do wypełnionej zapachem mirry zamkniętej vihary. Płomienie świec pod powiekami kreowały wyobrażenie czerwonawego, migotliwego blasku.

Wreszcie otworzył oczy, zaczerpnął kilka razy tchu i wstał, wciąż rozkoszując się kruchym poczuciem spokoju i równowagi ducha, uzyskanym dzięki godzinie medytacji. Podszedł do drzwi i przystanął, wyglądając na wzgórza Big Sur, porośnięte żywymi dębami i usiane manzanitami, oraz rozległy błękitny Pacyfik za nimi. Wiatr znad oceanu wydął jego szatę, wypełniając ją chłodnym powietrzem.

Vernon mieszkał w aśramie od ponad roku i dopiero teraz, w trzydziestym piątym roku życia uwierzył, że dotarł do miejsca, którego poszukiwał. Była to długa wędrówka, poczynając od dwóch lat w Indiach poprzez medytację zen, teozofię, EST, Źródło Życia i nawet krótki flirt z chrześcijaństwem. Odrzucił materializm swojego dzieciństwa i próbował odnaleźć w życiu głębszą prawdę. To, co dla innych zwłaszcza dla jego braci - wydawało się marnowaniem czasu, dla niego było bogatą egzystencją z określonym celem. Jakiż jest sens życia, jeśli nie pytanie: dlaczego?

Teraz dzięki dziedzictwu miał szansę stworzyć jakieś prawdziwe dobro. Nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Miał szansę zrobić coś dla świata. Ale jak? Czy powinien szukać grobowca na własną rękę? A może porozumieć się z Tomem? Philip jest dupkiem, ale może Tom zechciałby połączyć z nim siły. Musiał podjąć decyzję, i to szybko.

Vernon obciągnął lnianą szatę i ruszył ścieżką, wiodącą do chaty Nauczyciela - rozłożystego, otoczonego kępą wysokich dębów domu z sekwoi zbudowanego w płytkim zagłębieniu terenu, z widokiem na Pacyfik. Po drodze spotkał Chao, pogodnego chińskiego chłopca na posyłki Nauczyciela, spieszącego w podskokach z plikiem poczty w ręce. Takiego właśnie życia Vernon szukał: spokojnego i nieskomplikowanego. Fatalnie, że było takie drogie.

Gdy minął stok, ujrzał przed sobą chatę. Przystanął, trochę obawiając się Nauczyciela - ale po chwili rezolutnie ruszył dalej. Zastukał do drzwi. Po chwili z wnętrza dał się słyszeć niski, dźwięczny głos:

- Wejdź, jesteś mile widziany.

Vernon zdjął sandały, zostawił je na werandzie i wszedł do środka. Dom był w japońskim stylu, prosty i ascetyczny, z parawanami z papieru ryżowego i pokrytymi beżowymi matami, rozległymi podłogami z desek. Pachniało tu woskiem i kadzidłem. Słychać było ciche pluskanie wody. Przez kolejne otwarte przejścia widziało się japoński ogród po drugiej stronie chaty, z omszałymi skałami pośród zagrabionego żwiru i basenem, po którym pływały kwiaty lotosu. Nauczyciela nie było widać.

Vernon odwrócił się i zajrzał w korytarz po lewej stronie. Kilkoro drzwi dalej dojrzał bosonogą nastolatkę w powłóczystej szacie i z długim, starannie splecionym warkoczem na plecach, w który wpięte były więdnące kwiaty. Siekała warzywa w kuchni Nauczyciela.

- Jesteś tu, Nauczycielu? - zawołał.

Dziewczyna dalej wykonywała swoją pracę.

- Tędy - rozległ się cichy głos.

Vernon ruszył w jego stronę i zastał Nauczyciela w pokoju do medytacji, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczyma na macie. Nauczyciel uchylił powieki, ale nie wstał. Vernon zatrzymał się, czekając z szacunkiem. Wysportowaną, elegancką sylwetkę Nauczyciela okrywała prosta szata z niefarbowanego lnu. Długie siwe włosy miał sczesane w dół wokół niewielkiej łysiny, przez co wydawał się podobny do Leonarda da Vinci. Zmrużone niebieskie oczy spoglądały przenikliwie spod wyrzeźbionych łuków brwiowych poniżej szerokiego czoła. Twarz okalała przystrzyżona, piaskowa bródka. Nauczyciel mówił miękkim i dźwięcznym głosem, nieco chrapliwym w przyjemny sposób, ze słabym brooklińskim akcentem, świadczącym o skromnym pochodzeniu. Miał około sześćdziesiątki - nikt nie wiedział dokładnie ile. Dawniej nazywał się Art Brewer i był profesorem filozofii na Uniwersytecie Berkeley, ale wyrzekł się kariery naukowej na rzecz życia duchowego. Tu, w aśramie, zorganizował grupę oddaną modlitwie, medytacji i rozwojowi wewnętrznemu. Jego koncepcja wiary była przyjemnie pozbawiona związków z jakimkolwiek wyznaniem, luźno oparta na buddyzmie, nie propagowała jednak nadmiernej dyscypliny, intelektualizmu, celibatu i fatalizmu, które kaziły tamtą religijną tradycję. Zamiast tego w aśramie, uroczo położonym pięknym ustroniu, pod przewodnictwem Nauczyciela każdy wielbił bóstwo na swój sposób - za siedemset dolarów tygodniowo, z wliczonym wiktem i opierunkiem.

- Usiądź - powiedział Nauczyciel. Vernon spełnił polecenie. - W czym mogę ci pomóc?

- Chodzi o mojego ojca.

Nauczyciel słuchał dalej.

Vernon pozbierał myśli i zaczerpnął tchu. Potem opowiedział o chorobie swojego ojca, spadku i wyzwaniu, by znaleźć jego grobowiec. Gdy skończył, zapadła długa cisza. Vernon zadał sobie pytanie, czy Nauczyciel poleci mu zrzec się schedy. Przypomniał sobie jego liczne komentarze o złym wpływie pieniądza.

- Napijmy się herbaty - zaproponował Nauczyciel wyjątkowo łagodnym tonem, kładąc delikatnie rękę na łokciu Vernona. Nie wstając, wyraził głośno swoje życzenie i po chwili dziewczyna z warkoczem przyniosła czarki pełne naparu. Pili w milczeniu, aż Nauczyciel zapytał: - Ile właściwie jest wart ten spadek?

- Myślę, że po opodatkowaniu mój udział wyniesie sto milionów.

Nauczyciel upił bardzo duży łyk herbaty, a potem następny. Jeśli suma go zaskoczyła, nie okazał tego po sobie.

- Pomedytujmy.

Vernon za jego przykładem zamknął oczy. Miał trudności ze skupieniem się na mantrze. Czuł podniecenie wywołane powracającymi myślami, które stawały się coraz bardziej wyraziste i pełne znaczeń. Sto milionów dolarów. Sto milionów dolarów. Trzy słowa, nieco przypominające mantrę, zaburzały jego medytację, uniemożliwiając mu osiągnięcie spokoju czy wewnętrznej ciszy. *One hundred milion. Om mani padme hum.* Sto milionów dolarów!

Poczuł ulgę, gdy Nauczyciel podniósł głowę. Ujął dłoń Vernona w swoje ręce. W jego niebieskich oczach malowało się niezwykłe ożywienie.

- Niewielu dostało szansę taką jak ty, Vernonie. Nie możesz pozwolić, by przepadła.

- To znaczy?

Nauczyciel wstał i przemówił donośnym, dźwięcznym głosem:

- Musimy odzyskać twoje dziedzictwo. Musimy odzyskać je jak najszybciej.

linii

Zanim Tom skończył zajmować się chorym koniem, słońce zaczęło zachodzić nad płaskowyżem Toh Ateen, rzucając długie cienie bylicy i chamisy. Porzeźbiona, trzystumetrowa ściana z piaskowca lśniła czerwienią w gasnącym świetle dnia. Tom jeszcze raz szybko obejrzał konia i poklepał go po szyi. Odwrócił się do dziewczyny z plemienia Nawaho - właścicielki zwierzęcia.

- Wyliże się. Po prostu złapała go kolka od piasku. - Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech ulgi. - Na razie jest głodny. Oprowadź go kilka razy po wybiegu, a potem domieszaj do owsa łyżkę płesznika. Potem trzeba go napoić. Odczekaj pół godziny, później daj mu siana. Wyzdrowieje.

Babka dziewczyny, która przyjechała po Toma do kliniki weterynaryjnej konno osiem kilometrów - po jak zwykle rozmiękłej drodze - ujęła go za rękę.

- Dziękuję, panie doktorze.

- Do usług - skłonił się Tom.

Z przyjemnością pomyślał o powrocie do Bluff. Był zadowolony, że szosę podmyło, bo dało mu to pretekst do nadłożenia drogi. Zmarnował pół dnia, ale szlak biegł wśród najpiękniejszych bloków czerwone-

go piaskowca na południowym zachodzie - przez jurajskie niecki, zwane Formacją Morrisona, w których było mnóstwo skamielin dinozaurów. Na zboczach płaskowyżu Toh Ateen znajdowało się mnóstwo trudno dostępnych jarów. Tom zastanawiał się, czy jacyś paleontolodzy prowadzili tam kiedykolwiek poszukiwania. Pewnie nie. Któregoś dnia, pomyślał, nadłoży drogi i wybierze się do którego z kanionów...

Potrząsnął głową i uśmiechnął się sam do siebie. Pustynia to doskonałe miejsce na oczyszczenie umysłu, a tego właśnie bardzo potrzebował. Ta obłędna sprawa z ojcem była największym wstrząsem w jego życiu.

- Ile jesteśmy winne, panie doktorze? - zapytała babcia, wytrącając go z zadumy.

Tom obejrzał się na ubogą, pokrytą papą chatę, zepsuty samochód do połowy zarośnięty chwastami i wychudzone owce, kręcące się po zagrodzie.

- Pięć dolarów.

Kobieta sięgnęła pod bluzę, wyciągnęła spod niej plik wytłuszczonych banknotów dolarowych i odliczyła pięć.

Tom dotknął dłonią kapelusza i ruszył w stronę swojego konia, gdy spostrzegł niewielki obłok pyłu na horyzoncie. Dwie kobiety również go zauważyły. Od północy zbliżał się szybko jeździec na koniu; czarna plamka rosła na tle złotej niecki pustyni. Tom zadał sobie pytanie, czy to może Shane, jego wspólnik z kliniki. Poczuł niepokój. Musiało stać się coś bardzo poważnego, skoro Shane wyjechał tu po niego.

Gdy postać się zbliżyła, Tom zorientował się, że to kobieta, jadąca na jego koniu, Knocku.

Kobieta dotarła kłusem do chaty, pokryta kurzem z drogi. Spieniony koń rozdymał nozdrza. Nieznajoma zatrzymała go i zsiadła. Przejechała na oklep nawet bez wędzidła prawie dwanaście kilometrów. Absolutne, skończone szaleństwo. I dlaczego dostała jego najlepszego konia, a nie jedną ze szkap Shane'a? Miał ochotę go za to zabić.

Kobieta podeszła do niego.

- Jestem Sally Colorado - powiedziała. - Szukałam pana w klinice, ale pana wspólnik powiedział, że przyjechał pan tutaj. Dlatego tu jestem.

Wyciągnęła dłoń, a wtedy włosy barwy miodu poruszyły się wokół twarzy i opadły na ramiona. Zaskoczony Tom odruchowo uścisnął jej dłoń. Pokrytą kurzem, białą bawełnianą koszulę miała wsuniętą w obcisłe dżinsy. Roztaczała wokół siebie słabą woń mięty. Gdy się uśmiechnęła, jej oczy zmieniły odcień z zielonego na niebieski. Miała turkusowe kolczyki, a barwa jej oczu była jeszcze głębsza niż kamieni.

Po chwili Tom zorientował się, że nadal trzyma ją za rękę, i cofnął dłoń.

- Musiałam pana znaleźć - powiedziała. - Sprawa niecierpiąca zwłoki.

- Wypadek?

- Nie chodzi o żadne pilne wezwanie dla weterynarza, jeśli to ma pan na myśli.

- W takim razie o co?

- Powiem panu po drodze z powrotem.

- Do diabła! - wybuchnął Tom. - Nie mogę uwierzyć, że Shane pozwolił pani wziąć mojego najlepszego konia i przyjechać po prostu tutaj bez siodła czy wędzidła. Mogła pani się zabić!

- Shane mi go nie dał - odrzekła z uśmiechem Sally.

- To skąd go pani ma?

- Ukradłam go.

Minęła chwila konsternacji, nim Tom zdobył się na śmiech.

Słońce zaszło, zanim razem skręcili na północ w stronę Bluff. Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- W porządku - powiedział wreszcie Tom. - Niech usłyszę, co tak ważnego się wydarzyło, że musiała pani ukraść konia i ryzykować skręcenie karku.

- Cóż... - Zawahała się trochę.

- Zamieniam się w słuch, pani... Colorado. Jeśli rzeczywiście tak się pani nazywa.

- Wiem, że to dziwne nazwisko. Mój prapradziadek pracował w rewii. Jeździł w trasę, występował w spektaklach przebrany za Indianina i wybrał sobie „Colorado" jako pseudonim. Brzmiało lepiej niż poprzednie nazwisko - Smith - i pewnie dlatego przylgnęło. Niech pan mi mówi Sally.

- No dobrze, Sally, co masz do powiedzenia?

Tom z przyjemnością obserwował, jak jechała. Wyglądała na urodzoną w siodle. Wypracowanie wyprostowanej, beztroskiej i pewnej siebie pozy na grzbiecie zwierzęcia na pewno musiało kosztować mnóstwo.

- Jestem antropologiem - zaczęła Sally. - Konkretniej etnofarmakologiem. Studiuję medycynę ludową u profesora Juliana Clyve'a na Yale. Właśnie on kilka lat temu rozszyfrował hieroglify Majów. Naprawdę błyskotliwa praca. Pisano o tym w gazetach.

- Bez wątpienia.

Sally miała czysty, wyrazisty profil, niewielki nos i zabawnie wysuwała do przodu dolną wargę. Gdy się uśmiechała, w policzku robił się jej mały dołek, ale tylko z jednej strony. Ciemnozłote włosy zataczały lśniący łuk nad jej szczupłymi barkami, nim spadły na plecy. Była zdumiewająco piękna.

- Profesor Clyve zebrał największą istniejącą kolekcję pism Majów - zbiór wszystkich znanych inskrypcji, pozostałych po tej starożytnej cywilizacji. Składa się z kopii rytów na kamieniach, stron z kodeksów

i inskrypcji na naczyniach i tabliczkach. Z jego biblioteki korzystają uczeni z całego świata. - Tom wyobraził sobie starego, zasuszonego naukowca powłóczącego nogami pomiędzy stertami zakurzonych manuskryptów. - Najwięcej inskrypcji Majów zachowało się w tym, co nazywamy kodeksami. Są to oryginalne księgi Majów, spisane hieroglifami na arkuszach papieru z kory. Hiszpanie spalili większość z nich jako diabelskie księgi, ale parę niepełnych kodeksów zdołało tu i ówdzie przetrwać. Nigdy nie odnaleziono kompletnego manuskryptu Majów. Profesor Clyve znalazł to na dnie kartoteki jednego ze swoich zmarłych kolegów.

Wyciągnęła z kieszeni na piersi kartkę i podała ją Tomowi. Wziął papier do ręki. Była to stara, pożółkła fotokopia strony manuskryptu pokryta hieroglifami, z kilkoma rysunkami liści i kwiatów na marginesie. Wyglądała dziwnie znajomo. Tom zastanowił się, gdzie widział ją wcześniej.

- Pismo wynaleziono tylko trzy razy niezależnie od siebie w historii ludzkości. Jednym z tych trzech jest pismo Majów.

- Moja znajomość alfabetu Majów nieco przyrdzewiała. O co tu chodzi?

- To opis właściwości leczniczych pewnej rośliny z dżungli Ameryki Środkowej.

- Jakich? Leczy raka?

- Gdyby tylko - uśmiechnęła się Sally. - Roślina nazywa się *k'ik'-te,* czyli krwawe drzewo. Na tej stronie znajduje się przepis, jak gotować korę, z dodatkiem popiołu, by uzyskać odczyn zasadowy i stosować otrzymaną pastę do okładów na rany.

- Interesujące. - Tom oddał jej kartkę.

- Więcej niż interesujące. Medycznie uzasadnione. W korze znajduje się słabo działający antybiotyk.

Byli teraz na pustym skalnym płaskowyżu. Z odległego kanionu rozlegało się wycie pary kojotów. Musieli jechać jedno za drugim. Sally została z tyłu i Tom musiał nasłuchiwać jej słów.

- Ta strona pochodzi z kodeksu medycznego Majów. Prawdopodobnie został spisany około osiemsetnego roku naszej ery, w okresie największego rozkwitu ich klasycznej cywilizacji. W kodeksie umieszczono dwa tysiące wskazówek medycznych i opisów preparatów, sporządzonych nie tylko z roślin, lecz ze wszystkiego, co żyje w dżungli - owadów, zwierząt, nawet minerałów. Może naprawdę jest tam i lekarstwo na raka, a przynajmniej na niektóre jego rodzaje. Profesor Clyve poprosił mnie, abym znalazła właściciela księgi i spróbowała uzyskać jego zgodę na tłumaczenie i publikację. To jedyny znany kompletny Kodeks Majów. Byłoby to oszałamiające ukoronowanie i tak wybitnej kariery profesora.

- Domyślam się, że i twojej.

- Tak. Oto księga, zawierająca wszystkie odkryte przez stulecia sekrety medyczne dżungli. Mówimy o tropikalnej dżungli - najżyźniejszym lesie na świecie, z setkami tysięcy gatunków roślin i zwierząt, z czego wiele wciąż jest nieznanych nauce. Majowie znali każdą roślinę, każde zwierzę, wszystko, co kryła dżungla. I wszystko, co wiedzieli, znalazło się w tej księdze. - Podjechała do Toma; i znowu zakołysały się jej rozpuszczone włosy. - Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

- Na pewno medycyna zrobiła wielkie postępy od czasów Majów - zauważył.

- Dwadzieścia pięć procent wszystkich naszych leków pochodzi pierwotnie z roślin - prychnęła Sally. - A mimo to jedynie pół procent dwustu sześćdziesięciu pięciu tysięcy gatunków roślin na świecie zostało przebadanych pod kątem ich leczniczych właściwości. Pomyśl, jaki to potencjał! Najskuteczniejszy, cieszący się największą popularnością lek - aspirynę - odkryto w korze drzewa, wykorzystywanego przez tubylców do leczenia bólów. Taxol, ważny lek przeciwrakowy, również otrzymuje się z kory drzew. Kortyzon pochodzi z ignamów, a digitalis, lek nasercowy, z naparstnicy. Penicylinę po raz pierwszy wyekstrahowano z pleśni. Tom, ten kodeks może być medycznym odkryciem wszech czasów.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Kiedy profesor Clyve i ja przetłumaczymy i opublikujemy to dzieło, nastąpi rewolucja w medycynie. A jeśli to cię nie przekonało, pomyśl o czymś jeszcze. Lasy Ameryki Środkowej giną pod toporami drwali. Ta księga je uratuje. Dżungla nagle stanie się warta więcej pozostawiona sama sobie niż wycięta. Firmy farmaceutyczne będą wypłacały tym krajom tantiemy w miliardach.

- Bez wątpienia zostawiając sobie solidny zysk. Ale co ta księga ma wspólnego ze mną?

Księżyc w pełni świecił nad skałami Hobgoblin, barwiąc je na srebrno. Wieczór był uroczy.

- Ten kodeks należy do twojego ojca. - Tom zatrzymał konia i popatrzył na Sally. - Maxwell Broadbent wykradł go prawie czterdzieści lat temu z grobowca Majów. Napisał do Yale o pomoc w jego tłumaczeniu, ale wówczas nie rozszyfrowano jeszcze pisma Majów. Człowiek, który otrzymał list od twojego ojca, pomyślał, że to oszustwo, i wepchnął go bez odpowiedzi pomiędzy stare akta. Profesor Clyve odnalazł go czterdzieści lat później. Od razu zorientował się, że to nie fałszerstwo. Nikt nie zdołałby sfałszować pisma Majów czterdzieści lat temu z tego prostego powodu, że nikt go nie rozumiał. Profesor mógł je jednak przeczytać; w istocie to jedyny człowiek na świecie, który czyta je płynnie. Starałam się od kilku tygodni skontaktować z twoim ojcem, ale jakby zniknął z powierzchni ziemi. Dlatego więc w desperacji odnalazłam ciebie.

Tom popatrzył na nią w zapadającym zmierzchu, po czym zaczął się śmiać.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zapytała ze złością.

Tom zaczerpnął głęboko tchu.

- Sally, mam dla ciebie złe wiadomości.

Gdy skończył opowiadać jej o wszystkim, zapadło długie milczenie.

- Powiedz, że żartujesz - odezwała się wreszcie Sally.

-Nie.

- Nie miał prawa!

- Miał czy nie miał, tak właśnie postąpił.

- I co zamierzasz z tym zrobić?

- Nic - westchnął Tom.

- Nic? Co to znaczy nic? Nie zrezygnujesz chyba ze spadku, prawda?

Tom nie odpowiedział od razu. Dotarli na skraj płaskowyżu i przystanęli, by się rozejrzeć. Niezliczone kaniony, zbiegające ku rzece San Juan, zdawały się wyrzeźbione w oświetlonym przez księżyc krajobrazie jak ciemne fraktale. Dalej widać było obłok żółtych świateł Bluff, w tym kilkanaście budynków na skraju miasta - wśród nich klinikę Toma. Na lewo pięły się olbrzymie kamienne kręgi Comb Ridge niczym upiorne kości w świetle księżyca. Przypomniało to Tomowi ponownie, dlaczego tu się znajdował. Zaraz po powrocie, wciąż wstrząśnięty tym, co ojciec zrobił ze swoim majątkiem, sięgnął po jedną ze swoich ulubionych lektur - „Państwo" Platona. Przeczytał ponownie ustępy o micie Er, gdy Odyseuszowi zadano pytanie, jakiego rodzaju egzystencję wybrałby sobie na następne życie. Kim chciał zostać sławny Odys, wielki wojownik, kochanek, żeglarz, odkrywca i król? Bezimiennym człowiekiem, żyjącym w jakimś zacisznym zakątku, „na którego inni nie zwracają uwagi". Pragnął jedynie życia w spokoju i prostocie.

Platon popierał taki wybór. Podobnie Tom.

Dlatego właśnie sprowadził się do Bluff. Życie z Maxwellem Broadbentem jako ojcem było niemożliwe: niekończący się dramat perswazji, wyzwań, zadań, rywalizacji, krytycyzmu i pouczania. Tom sprowadził się do Utah, by uciec, znaleźć spokój, aby zostawić to wszystko za sobą. Po to, i oczywiście dla Sarah. Sarah... Ojciec próbował mu nawet dobierać dziewczyny - z katastrofalnymi skutkami.

Obejrzał się na Sally. Chłodny nocny powiew rozgarniał jej włosy. Twarz zwróciła ku księżycowi, rozchylając nieco usta z zadowolenia i podziwu dla niesamowitego krajobrazu. Dłoń wsparła na biodrze, lekko utrzymując szczupłe ciało na końskim grzbiecie. Boże, była piękna.

Gniewnie odepchnął od siebie tę myśl. Jego życie ułożyło się mniej więcej tak, jak tego pragnął. Nie zdołał zostać paleontologiem - ojciec położył kres owym nadziejom - ale praca weterynarza w Utah była prawie równie piękna. Po co to psuć? Przechodził już tę drogę.

- Tak - odpowiedział wreszcie. - Rezygnuję.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewien, czy zdołam to wyjaśnić.

- Spróbuj.

- Musiałabyś zrozumieć mojego ojca. Przez całe nasze życie starał się kontrolować wszystko, co robiłem ja i moi dwaj bracia. Zarządzał nami. Miał wobec nas wielkie plany, ale nieważne, co osiągnąłem ja czy tamci dwaj, nigdy nie było to wystarczająco dobre. Nigdy nie byliśmy dla niego dość dobrzy. A teraz to. Nie zamierzam grać dłużej w jego grę. Mam dosyć.

Urwał, zastanawiając się, dlaczego powiedział tej kobiecie tak dużo.

- Mów dalej - poprosiła.

- Chciał, żebym został lekarzem. Ja pragnąłem być paleontologiem, szukać skamielin dinozaurów. Ojciec uważał to za idiotyzm - „dziecinada", tak to określił. Poszliśmy na kompromis, że skończę studia weterynaryjne. Oczywiście spodziewał się, że zamieszkam w Kentucky, będę się zajmował końmi wyścigowymi za milion dolarów i może zostanę badaczem końskich schorzeń, dokonam wielkich odkryć, dzięki czemu nazwisko Broadbent trafi do podręczników. Zamiast tego wyjechałem do rezerwatu Nawahów. Właśnie to chciałem robić; właśnie to kocham robić. Te konie i ci ludzie mnie potrzebują. A krajobraz południowego Utah jest najpiękniejszy na świecie, znajdują się tu największe jurajskie i kredowe złoża skamielin. Ojciec jednak uznał, że wyjazd do rezerwatu to wielkie rozczarowanie i dowód mojej porażki. Praca tutaj nie daje pieniędzy, prestiżu, żadnej wspaniałości. Uznał, że wziąłem od niego pieniądze na szkołę weterynaryjną, a potem oszukałem go, wyjeżdżając tutaj.

Urwał. Teraz naprawdę powiedział za wiele.

- I o to tylko chodzi? Zamierzasz zrezygnować ze wszystkiego? Z Kodeksu i całej reszty?

- Zgadza się.

- Tak po prostu?

- Większość ludzi przeżywa życie bez żadnego spadku. Moja praktyka weterynaryjna idzie nie najgorzej. Kocham to życie i te okolice. Rozejrzyj się. Czego więcej można chcieć?

Zobaczył, że Sally nadal się w niego wpatruje; jej włosy lśniły delikatnie w blasku księżyca.

- Z jakiej sumy rezygnujesz, jeśli wolno zapytać?

- Mniej więcej sto milionów. - Poczuł skurcz w sercu, nie po raz pierwszy, na samą myśl o wielkości tej sumy.

Sally zagwizdała. Zapadło długie milczenie. W kanionie pod nimi rozległo się wycie kojota, któremu odpowiedział drugi, znajdujący się gdzieś dalej.

- Jezu, masz odwagę - powiedziała wreszcie Sally. Tom wzruszył ramionami. - A twoi bracia?

- Philip wynajął dawnego wspólnika ojca, żeby odnaleźć ukryty grobowiec. Słyszałem, że Vernon chce sobie poradzić sam. Dlaczego nie zwrócisz się do któregoś z nich?

Sally nadal przyglądała mu się dość uporczywie w ciemności.

- Już próbowałam - odrzekła w końcu. - Vernon opuścił kraj w ubiegłym tygodniu. Philip też zniknął. Pojechali do Hondurasu. Jesteś moją ostatnią szansą.

- Hondurasu? - Tom pokręcił głową. - Szybko się uwinęli. Kiedy wrócą z łupem, może zdołasz wydostać od nich ten kodeks. Daję ci moje błogosławieństwo.

Znów zapadło długie milczenie.

- Nie mogę tak ryzykować. Nie mają pojęcia, o co tu chodzi, ile on jest wart. Może się zdarzyć wszystko.

- Przykro mi, Sally, ale ja ci nie pomogę.

- Profesor Clyve i ja potrzebujemy twojej pomocy. Świat potrzebuje twojej pomocy.

Tom wpatrywał się w ciemne topolowe gaje na równinie wzdłuż rzeki San Juan. W odległym krzewie jałowca nawoływała sowa.

- Już podjąłem decyzję - powiedział.

Sally cały czas spoglądała na niego. Wiatr potargał jej włosy, dolną wargę miała wysuniętą do przodu. Topole rzucały na nich łaciate cienie, rozmazane srebrne plamy kołysały się w tym samym tempie co powiewy wiatru.

- Naprawdę?

- Naprawdę - westchnął.

- Przynajmniej mi trochę pomóż. Nie proszę o wiele, Tom. Pojedź ze mną do Santa Fe. Możesz przedstawić mnie prawnikom twojego ojca, jego przyjaciołom. Możesz mi opowiedzieć o jego podróżach, nawykach. Poświęć mi dwa dni. Pomóż mi. Tylko dwa dni.

- Nie.

- Padł ci kiedyś koń?

- Cały czas mi się to zdarza.

- Koń, którego kochałeś?

Tom natychmiast pomyślał o swoim Pedernalu, który padł z powodu odpornego na antybiotyki szczepu bakterii, wywołującego zołzy. Nigdy nie będzie miał równie pięknego konia.

- Czy lepsze leki by go nie uratowały? - zapytała Sally.

Popatrzył na światła dalekiego Bluff. Dwa dni to niedużo, a Sally miała rację.

- No dobrze. Wygrałaś. Dwa dni.

Lewis Skiba, naczelny dyrektor Lampe-Denison Pharmaceuticals, siedział nieruchomo za biurkiem, patrząc z góry na rząd szarych wieżowców wzdłuż Avenue of the Americas w centrum Manhattanu. Późnopopołudniowy deszcz otulał miasto mrokiem. Jedynym dźwiękiem w wykładanym panelami gabinecie był szmer ognia w autentycznym osiemnastowiecznym kominku z sieneńskiego marmuru - smutne wspomnienie lepszych czasów. Dzień nie był zimny, ale Skiba podkręcił klimatyzację, by rozpalić w kominku. To go uspokajało. Przypominało mu o dzieciństwie - o starym kamiennym piecu w drewnianej chacie nad jeziorem, skrzyżowanych nartach nad okapem i nawołujących znad wody nurach. Boże, gdyby tylko mógł tam teraz być...

Czując rozchodzący się po całym ciele spokój, pomyślał z tęsknotą o wielkim wypłynięciu, o uniesieniu się na morzu światła. Wystarczyłyby jeszcze dwa tuziny tabletek i reszta macallana, by na zawsze pogrążyć się w błękitnej głębi. Nie musiałby powoływać się przed Kongresem na piątą poprawkę, nie musiałby się upierać przed Komisją Papierów Wartościowych, że jest kolejnym biednym, oszukanym, niekompetentnym dyrektorem. Nie musiałby zniżać się do bzdetów w stylu Kennetha Laya. Byłby własnym sędzią, ławą przysięgłych i katem. Jego ojciec, sierżant w armii, nauczył go wartości honoru.

Jedynym, co uratowałoby wielką firmę, był wielki przełom, który, jak im się wydawało, osiągnęli - ale który w zamian ją pogrążył. Floksatan. Gdy już mieli go w rękach, liczykrupy doszły do wniosku, że można obcinać wydatki na długofalowe badania rozwojowe w celu poprawy doraźnych zysków. Analitycy mieli tego nigdy nie zauważyć - i z początku rzeczywiście tak było. Pomysł zadziałał jak marzenie, a zyski wspięły się na orbitę. Potem zaczęto wpisywać bieżące koszty marketingowe jako amortyzacyjne wydatki badawczo-rozwojowe, a cena akcji wciąż rosła. Potem przerzucano straty na przejrzyste jak papier, szemrane firmy podwykonawcze na Kajmanach i Antylach Holenderskich, księgowano pożyczki jako zyski, a całą resztę gotówki przeznaczano na wykupywanie akcji firmy, by jeszcze bardziej wyśrubować ich cenę -jednocześnie windując (oczywiście) wartość portfeli akcji kadry menedżerskiej. Akcje pięły się pod niebiosa; bossowie wyprzedali je i zarobili miliony. Boże, ta gra uderzała do głowy. Złamali wszystkie zasady, przepisy i regulacje z podręczników. Zatrudnili twórczego geniusza - nowego naczelnego księgowego, który wymyślał nowe prawa do złamania. A ci wszyscy, którzy chcieli podłączyć się pod hossę - okazali się mniej więcej równie spostrzegawczy jak Grześ z workiem piasku. Zarobiłżem dulara za minutę.

I w ten sposób dojechali do końca. Nie zostały już żadne zasady, które mogliby nagiąć czy złamać. Rynek się wreszcie przebudził, cena akcji poleciała na łeb na szyję, a im nie zostały żadne asy w rękawach. Żywiące się ścierwem wrony już krążyły wokół Lampe Building przy Avenue of the Americas 725, wykrzykując nazwisko Skiby.

Drążącą dłonią wsunął klucz do zamka i wyciągnął szufladę. Rozgryzł kolejną gorzką pigułkę i wypił drugi haust szkockiej.

Rozległ się brzęczyk, oznajmiający przybycie Graffa.

Graff- księgowy-geniusz, który doprowadził ich do tego punktu.

Skiba wypił łyk wody mineralnej, przepłukał nią usta, upił jeszcze łyk, i jeszcze jeden. Przegarnął dłonią włosy, odchylił się w fotelu i przybrał spokojną minę. Czuł już podstępną lekkość, przenikającą go do czubków palców i wypełniającą złotym lśnieniem.

Obrócił się z fotelem i jego wzrok padł przez chwilę na zdjęcia trójki jego bystrych dzieci, uśmiechających się spomiędzy srebrnych ramek. Potem niechętnie przeniósł spojrzenie ponad biurkiem na twarz Mike'a Graffa, który właśnie wszedł do gabinetu. Zatrzymał się przed Skibą - dziwnie delikatny, ubrany od stóp do głów w nieskazitelny samodział, jedwab i bawełnę. Graff był pnącym się na szczyt młodym protegowanym Lampego, artykuł o nim ukazał się niedawno w „Forbesie". Kadzili mu analitycy i bankierzy inwestycyjni, jego piwnica z winami trafiła do „Bon Appetit", a dom do „Architectural Digest". Teraz droga w górę Graffa się skończyła: razem ze Skibą trzymali się za ręce, szykując się do skoku z krawędzi Wielkiego Kanionu.

- Mikę, co takiego ważnego zaszło, że nie mogło to zaczekać na popołudniową naradę? - spytał uprzejmie Skiba.

- W recepcji czeka człowiek, którego musisz przyjąć. Ma dla nas ciekawą propozycję.

Skiba przymknął oczy. Nagle poczuł się wyczerpany prawie na śmierć. Całe jego dobre samopoczucie gdzieś znikło.

- Nie sądzisz, że mieliśmy dosyć twoich „propozycji", Mikę?

- Ta jest inna. Zaufaj mi.

Zaufaj mi. Skiba machnął ręką w geście wyrażającym niewiarę. Usłyszał otwierające się drzwi i podniósł wzrok. Przed nim stał obwieszony złotem tani naciągacz w garniturku z szerokimi klapami. Należał do typów rozczesujących pięć włosków po wielkiej jak kontynent łysej pale, którzy myślą, że w ten sposób rozwiązują problem.

- Jezu Chryste, Graff...

- Lewis - przerwał Graff, nie dając mu skończyć - to jest pan Marcus Hauser, prywatny detektyw, pracujący wcześniej w Agencji do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni. Ma coś, co chce nam pokazać.

Graff wyjął Hauserowi z rąk kawałek papieru i podał go Skibie. Dyrektor popatrzył na kartkę. Była pokryta dziwnymi symbolami, na mar-

ginesach umieszczono rysunki wijących się pnączy i liści. Jakiś obłęd. Graff w końcu zwariował. Księgowy mówił jednak dalej:

- To strona z manuskryptu Majów z dziewiątego wieku. Nazwano go Kodeksem. Jest to liczący dwa tysiące stron katalog leków naturalnego pochodzenia z dżungli ze wskazówkami, jak je pozyskiwać i stosować.

Skiba poczuł ciepło na skórze, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów. Po prostu nie mogła to być prawda.

- Właśnie. Tysiące ludowych recept medycznych, wymieniających czynne leczniczo substancje, zawarte w roślinach, owadach, pająkach, pleśniach, grzybach - czym tylko zechcesz. Wiedza medyczna Majów w jednym tomie.

Skiba podniósł głowę, po czym przeniósł spojrzenie na Hausera.

- Skąd pan to ma?

Detektyw stał ze złożonymi pulchnymi rękami. Skiba z przykrością stwierdził, że od mężczyzny czuć jakiś płyn po goleniu czy wodę kolońską. Taniocha.

- Należał do mojego starego przyjaciela - powiedział Hauser wysokim, irytującym głosem z akcentem przypominającym brookliński, jak u niedorosłego Ala Pacino.

- Panie Hauser, potrzeba dziesięciu lat i miliarda na badania, zanim którykolwiek z tych leków trafi na rynek - odrzekł Skiba.

- Prawda, ale proszę pomyśleć, co oznaczałoby to dla kursu waszych akcji teraz. Jeżeli dobrze rozumiem, tą rzeczką płynie w waszą stronę nowa barka gówna. - Objął gestem cały gabinet. Skiba poczuł złość. Bezczelny sukinsyn. Powinien go natychmiast wyrzucić. Hauser mówił dalej: - Cena akcji Lampe dzisiaj na otwarcie wynosiła czternaście i trzy ósme. W grudniu sprzedawano je po pięćdziesiąt. Pan osobiście ma opcję na dwa miliony akcji po cenie między trzydzieści i trzydzieści pięć, wygasającą stopniowo przez następne dwa lata. Wszystko to jest nic niewarte, jeśli nie zdołacie podnieść ceny akcji. W dodatku wasz nowy lek przeciwrakowy, floksatan, jest diabła wart i FDA go nie zaaprobuje...

- Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób w moim gabinecie?! Skiba podniósł się z fotela z zaczerwienioną twarzą. - Skąd ma pan te fałszywe informacje?

- Panie Skiba - odparł spokojnie Hauser - skończmy z duperelami. Jestem prywatnym detektywem, a ten manuskrypt będzie w moich rękach w ciągu czterech do sześciu tygodni. Chcę wam go sprzedać. I wiem, że go potrzebujecie. Równie dobrze jednak mogę go zanieść do GeneDyne lub Cambridge Pharmaceuticals.

Skiba z trudem przełknął ślinę. Zdumiewające, jak szybko może wrócić jasność myślenia.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jakiś szwindel?

- Już to sprawdziłem - włączył się Graff. - To rzecz na wagę złota, Lewis.

Skiba popatrzył na niego, a potem znowu skierował wzrok na hochsztaplera w garniturze bez gustu. Znów przełknął ślinę mimo zaschniętego gardła. Proszę, jak nisko upadli.

- Niech pan mi przedstawi swoją propozycję, panie Hauser.

- Aby zdobyć Kodeks, potrzebuję pieniędzy, broni i wyposażenia. Narażam się na wielkie osobiste ryzyko. Musiałem już zająć się pewną niecierpiącą zwłoki sprawą. Nie będzie to tanie przedsięwzięcie.

- Proszę mnie nie czarować.

- Kto tu kogo czaruje? To pan tkwi po szyję w księgowych nieprawidłowościach. Jeśli Komisja Papierów Wartościowych dowie się, że przez ostatnich kilka kwartałów księgowaliście koszty marketingu jako amortyzacyjne wydatki badawczo-rozwojowe, wyprowadzą was z tego budynku w kajdankach.

Skiba popatrzył na Hausera, a następnie na Graffa. Głównemu księgowemu zbielała twarz. W trwającej długą chwilę ciszy trzasnęła kłoda w kominku. Skiba poczuł drgający gdzieś pod lewym kolanem mięsień.

- Kiedy dostarczę wam kodeks i upewnicie się co do jego autentyczności, na czym niewątpliwie będzie wam zależało - kontynuował Skiba - przelejecie pięćdziesiąt milionów dolarów na zagraniczne konto, które sam wam podam. To właśnie moja oferta. Żadnych negocjacji - wystarczy „tak" lub „nie".

- Pięćdziesiąt milionów? Kompletne szaleństwo. Niech pan o tym zapomni.

Hauser wstał i skierował się w stronę drzwi.

- Proszę zaczekać! - zawołał Graff, podrywając się na nogi. - Panie Hauser, klamka jeszcze nie zapadła.

Pot ściekał z jego wypielęgnowanych skroni, gdy gonił hochsztaplera w tandetnym garniturze. Hauser się nie zatrzymywał.

- Zawsze jesteśmy otwarci na... Panie Hauser!

Drzwi zamknęły mu się przed nosem. Hauser wyszedł.

Księgowy odwrócił się w stronę Skiby. Drżały mu ręce.

- Musimy go zatrzymać.

Skiba przez moment milczał. Tamten powiedział prawdę: gdyby dostali manuskrypt do rąk, sama informacja o nim przerwałaby spadkowy kurs akcji. Pięćdziesiąt milionów to jednak zbyt dużo. Samo zadawanie się z takim człowiekiem było obrzydliwe, ale na pewne rzeczy nie ma rady.

- Chociaż jest jedna droga na spłacenie długu, są miliony sposobów, ˚y tego nie robić - powiedział Skiba. - Sam o tym dobrze wiesz, Mikę.

Spocony Graff nie zdołał przywołać uśmiechu na twarz.

- Ten człowiek, który właśnie wyszedł z mojego gabinetu - nie pozwólcie mu wyjść z budynku - rzucił Skiba do interkomu. - Przekażcie

mu, że zgadzam się na jego warunki i przyprowadźcie go tu z powrotem. - Odłożył słuchawkę na widełki i zwrócił się do Graffa: - Mam nadzieję w imieniu nas obydwóch, że facet mówi poważnie.

- Na pewno - odrzekł księgowy. - Wierz mi, przyjrzałem się temu bardzo dokładnie. Kodeks istnieje, a strona-próbka jest autentyczna.

Po chwili w drzwiach stanął Hauser.

- Dostanie pan pięćdziesiąt milionów - oświadczył szorstko Skiba. - Teraz proszę usiąść i przedstawić nam swój plan.

10

Charlie Hernandez czuł się jak wyżęty. Msza była długa, a pogrzeb jeszcze dłuższy. Wciąż czuł szorstki pył na prawej ręce. Zawsze tak było, gdy grzebało się jednego ze swoich, nie mówiąc już o dwóch. Do tego czekało go jeszcze zeznawanie w sądzie i pół zmiany. Obejrzał się na swojego partnera, Wilsona, nadrabiającego zaległości w dokumentach. Bystrzak; szkoda, że jego pismo wyglądało jak u przedszkolaka.

Rozległ się dzwonek i głos Doreen:

- Dwie osoby do, mm, Barnaby'ego i Fentona.

Chryste, tego mu tylko brakowało.

- W jakiej sprawie?

- Nie chcą powiedzieć. Nie chcą rozmawiać z nikim oprócz Barnaby'ego i Fentona.

Hernandez westchnął ciężko.

- Wpuść.

Wilson przestał pisać i podniósł głowę.

- Chcesz, żebym...

- Zostań.

W drzwiach pojawiło się dwoje ludzi: olśniewająca blondynka i wysoki mężczyzna w kowbojskich butach. Hernandez mruknął i przygładził dłonią włosy.

- Proszę usiąść.

- Przyjechaliśmy zobaczyć się z porucznikiem Barnabym, nie...

- Wiem, po co przyjechaliście. Proszę, usiądźcie. - Niechętnie spełnili polecenie. - Nazywam się Hernandez - powiedział, zwracając się do blondynki. - Mogę zapytać, dlaczego chcieliście się widzieć z porucznikiem Barnabym? - wygłosił pytanie profesjonalnym tonem urzędnika: powolnym, statecznym i kategorycznym.

- Wolelibyśmy rozmawiać bezpośrednio z nim - odpowiedział mężczyzna.

- Nie możecie.

- Dlaczego nie? - zirytował się nieznajomy.

- Ponieważ nie żyje.

Mężczyzna i kobieta utkwili w nim wzrok.

- Co się stało?

Boże, ale jestem zmęczony, pomyślał Hernandez. Barnaby był dobrym człowiekiem. Co za strata.

- Wypadek samochodowy - westchnął. - Może powiecie mi, kim jesteście i w czym mógłbym wam pomóc?

Tamci popatrzyli po sobie.

- Nazywam się Tom Broadbent - przedstawił się mężczyzna. - Mniej więcej dziesięć dni temu porucznik Barnaby zajmował się przypuszczalnym włamaniem do naszego domu przy Starym Szlaku Santa Fe. Odebrał zgłoszenie i ciekaw jestem, czy spisał raport.

Hernandez obejrzał się na Wilsona.

- Nie - odrzekł Wilson.

- Mówił coś?

- Wspomniał, że to było jakieś nieporozumienie, że pan Broadbent wywiózł z domu trochę dzieł sztuki, a synowie podejrzewali, że zostały skradzione. Jak tłumaczyłem w zeszłym tygodniu pańskiemu bratu, nie popełniono żadnego przestępstwa, więc nie było potrzeby wszczynać dochodzenia.

- Mojemu bratu? Któremu?

- Nie pamiętam imienia. Długie włosy, broda, w stylu hipisa...

- Vernon.

- Właśnie.

- Możemy porozmawiać z partnerem porucznika Barnaby'ego, sierżantem Fentonem?

- Również zginął w wypadku.

- Co się stało?

- Samochód wypadł z zakrętu Nun's Corner na Ski Basin Road.

- Przykro mi.

- Nam też.

- A zatem nie zostały żadne ślady na papierze, nic, co dotyczyłoby wyjazdu do domu Broadbenta?

- Nie. - Zapadła cisza, po czym Hernandez spytał: - Mogę wam jeszcze w czymś pomóc?

II

W rzędzie wielkich beczek wzdłuż brudnej plaży w Puerto Lempira paliły się śmieci; smugi kwaśnego dymu zasnuwały miasteczko. Tłusta kobieta smażyła jedzenie na *comal* - płaskim kawałku piaskowca - uło-

żonym najedej z beczek; woń wieprzowiny dolatywała do Vernona wraz z cuchnącym powiewem. Szedł z Nauczycielem niewyasfaltowaną ulicą, ciągnącą się równolegle do plaży. Włóczyła się za nimi hałastra dzieci, a za nimi z kolei chmara skamlących psów. Dzieci snuły się za nimi prawie od godziny, szturchając ich i wołając: „Daj cukierka!" i „Daj dolara!". Vernon rozdał kilka toreb cukierków i wszystkie dolarowe banknoty, starając się zaspokoić dzieciarnię, ale udało mu się osiągnąć jedynie tyle, że tłum zrobił się jeszcze większy i reagował bardziej histerycznie.

Vernon i Nauczyciel dotarli do rozchwianego drewnianego pomostu, skierowanego w stronę środka błotnistej zatoczki, przy którego końcu były przywiązane dłubanki z doczepianymi motorami. Mężczyźni wylegiwali się w hamakach, a ciemnookie kobiety przyglądały się im od drzwi. Jeden z mężczyzn przepchnął się ku Amerykanom z boa na szyi.

- Wąż - powiedział. - Pięćdziesiąt dolar.

- Nie potrzeba nam węża - odrzekł Nauczyciel. Potrzebujemy łodzi. *Barca*. Łodzi. Szukamy Juana Freitaga. *Sabę* Juan Freitag?

Mężczyzna rozplatał węża z szyi i wyciągnął przed siebie, jakby oferował pęta kiełbasy.

- Wąż. Trzydzieści dolar.

Nauczyciel go wyminął.

Wąż! - krzyknął mężczyzna, ruszając jego śladem. - Dwadzieścia dolar!

Koszula praktycznie spadała mu z ramion, tyle w niej było dziur. Chwycił długimi, brązowymi palcami mijającego go Vernona. Vernon sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu bilonu lub jednodolarówek, ale znalazł tylko piątkę. Dał ją mężczyźnie. Dzieci rzuciły się naprzód, wrzeszcząc ze zdwojoną energią. Nowe posiłki dołączyły do nich na nadbrzeżu od strony nędznych zabudowań na stoku.

- Do diabła, przestań rozdawać pieniądze - powiedział Nauczyciel. - Jeszcze nas obrabują.

- Przepraszam.

Nauczyciel ścisnął za kark jakiegoś starszego chłopaka.

- Czartery Juana Freitaga! - zawołał niecierpliwie. - Gdzie? *Donde?* - Odwrócił się w stronę Vernona. - Powtórz, jak jest po hiszpańsku „łódź".

- *Barca.*

- *Barca! Donde barca?*

Wystraszony chłopak pokazał brudnym palcem w stronę budynku z żużlowych pustaków po drugiej stronie mola. Nauczyciel puścił go i ruszył dalej pylistym nadbrzeżem. Vernon poszedł za nim, tropiony przez dzieci i psy. Drzwi do biura były otwarte. Weszli do środka. Mężczyzna za biurkiem wstał, podszedł z packą na muchy do wejścia, przegonił dzieciarnię i zatrzasnął drzwi. Zanim wrócił za biurko, już cały

rozpływał się w uśmiechach. Miał małą kształtną głowę i zręczną sylwetkę oraz aryjskie rysy twarzy. Mówił jednak z hiszpańskim akcentem.

- Proszę, rozgośćcie się. - Vernon i Nauczyciel usiedli na wiklinowych krzesłach obok stołu przy ścianie, zawalonego stosem magazynów na temat nurkowania. Czym mogę służyć, panowie?

- Chcemy wynająć parę łodzi z przewodnikami - powiedział Nauczyciel.

- Do nurkowania czy łowienia nitopłetwów? - spytał z uśmiechem mężczyzna.

- Ani to, ani to. Chcemy popłynąć w górę rzeki.

- W górę Patuki? - Uśmiech zastygł na jego twarzy.

-Tak.

- Rozumiem. Wędrujecie, szukając przygód?

Nauczyciel obejrzał się na Vernona.

-Tak.

- Jak daleko chcecie dotrzeć?

- Jeszcze nie wiemy. Daleko. Może nawet do gór.

- Musicie wziąć czółno z silnikiem, bo rzeka jest za płytka na zwykłe łodzie. Manuel!

Po chwili z głębi wyłonił się młody mężczyzna, mrugając w świetle. Miał na rękach krew i rybie łuski.

- To jest Manuel. On i jego kuzyn Ramon będą waszymi przewodnikami. Dobrze znają rzekę.

- Jak daleko da się nią dopłynąć?

- Do Pito Solo. W tydzień. Dalej jest bagno Meambar.

- A za nim?

- Nie będziecie się przeprawiać na drugą stronę bagna! - Mężczyzna machnął ręką.

- Wręcz przeciwnie - odparł Nauczyciel. - Całkiem możliwe, że będziemy.

- Jak chcecie. - Mężczyzna przechylił głowę, jakby codziennie musiał dostosowywać się do kaprysów zwariowanych Amerykanów. - Za bagnem są góry, a za nimi kolejne. Będziecie musieli zabrać zapasy i jedzenie na co najmniej miesiąc.

W bielonym pokoiku brzęczała osa. Tłukła się o pękniętą szybę, odlatywała i uderzała w nią znowu. Mężczyzna zabił ją błyskawicznym ruchem packi. Spadła na podłogę, wijąc się i przebijając żądłem sama sienie w agonii. Spod biurka wysunął się wyglansowany but i skrócił jej cierpienia z cichym chrzęstem.

- Manuel! Przyprowadź Ramona. - Mężczyzna odwrócił się do Naczyciela. - Możemy pana tu wyposażyć, *señor,* w co tylko pan zechce. amioty, śpiwory, moskitiery, benzynę, żywność, GPS, ekwipunek myiwski - wszystko. Za wszystko można zapłacić kartą kredytową. - Zło-

żył z szacunkiem dłoń na nowym jak spod igły czytniku kart, podłączonym do gniazdka w ścianie. - Nie musicie się niczym martwić, my zajmiemy się wszystkim. Jesteśmy nowoczesną firmą. - Uśmiechnął się. - Oferujemy wam przygody, ale nie za dużo.

Samochód z szumem posuwał się w stronę granicy Utah przez pustynną nieckę San Juan. Pusta autostrada biegła pomiędzy niekończącymi się preriami, porośniętymi bylicą i chamisą. W oddali wznosiła się góra Shiprock - ciemny blok skał, celujący w błękitne niebo. Prowadzący auto Tom czuł wielką ulgę, że już po wszystkim. Zrobił, co obiecał, pomógł Sally dowiedzieć się, dokąd pojechał jego ojciec. Tylko od niej zależało, co teraz zrobi. Mogła zaczekać, aż jego bracia wyłonią się z dżungli z Kodeksem - lub próbować się do nich przyłączyć. On przynajmniej miał już z tym spokój. Mógł wrócić do życia w spokoju i prostocie na pustyni.

Rzucił ukradkiem spojrzenie na pasażerkę obok siebie. Przez minioną godzinę milczała. Nie powiedziała, co postanowiła, a Tom z pewnością nie zamierzał jej o to wypytywać. Pragnął jedynie wrócić do swoich koni, do pracy w klinice, do dającego chłód domu z suszonej cegły, ocienionego topolami. Ciężko zapracował na niewymagające życie, jakie prowadził, i był jeszcze bardziej niż do tej pory zdeterminowany, by nie pozwolić ojcu i jego szaleńczym planom go zakłócić. Niech jego bracia przeżywają przygody i jeśli zechcą, zatrzymają nawet cały spadek. On nie musiał niczego udowadniać. Po Sarah nie zamierzał znowu skakać na głęboką wodę.

- A więc wyjechał do Hondurasu - powiedziała Sally. - Nadal się nie domyślasz, nie masz pojęcia, dokąd dokładnie?

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem, Sally. Czterdzieści lat temu spędził trochę czasu w Hondurasie ze swoim dawnym wspólnikiem Marcusem Hauserem, poszukując grobowców i zrywając banany, by zarobić na to pieniądze. Słyszałem, że zostali oszukani - kupili jakąś sfałszowaną mapę z zaznaczonym miejscem ukrycia skarbów, a następnie parę miesięcy błądzili po dżungli i o mało nie zginęli. Potem się o coś pokłócili i to wszystko.

- Jesteś pewien, że niczego nie znaleźli?

- Ojciec zawsze tak mówił. Góry południowego Hondurasu nie były zamieszkane. - Sally pokiwała głową. Wzrok wciąż miała utkwiony w bezludnej pustyni przed nimi. -1 co teraz zrobisz? - spytał wreszcie Tom.

- Jadę do Hondurasu.

- Całkiem sama?

- Dlaczego nie?

Tom nic nie powiedział. To była jej sprawa, co zrobi.

- Czy twój ojciec kiedykolwiek miał kłopoty z powodu rabowania grobów?

- FBI przez lata kilka razy prowadziło dochodzenia w jego sprawie. Nie zdołali sklecić żadnych oskarżeń. Ojciec był zbyt cwany. Pamiętam, że agenci federalni kiedyś urządzili rewizję w naszym domu i skonfiskowali kilka nefrytowych figurek, które ojciec właśnie przywiózł z Meksyku. Miałem wtedy dziesięć lat i piekielnie się wystraszyłem, gdy agenci zaczęli się dobijać do drzwi przed świtem. Nie mogli jednak niczego udowodnić i musieli wszystko zwrócić.

- Ludzie w rodzaju twojego ojca to postrach archeologii. - Sally pokręciła głową.

- Nie jestem pewien, czy dostrzegam różnicę między tym, co robił ojciec, a co robią archeolodzy.

- Jest wielka różnica - odparła. - Grabieżcy niszczą miejsca wykopalisk. Zabierają znaleziska z ich otoczenia. Bliski przyjaciel profesora Clyve'a został pobity w Meksyku, gdy próbował powstrzymać wieśniaków przed splądrowaniem świątyni.

- Przykro mi to słyszeć, ale nie możesz winić głodujących ludzi, że starają się nakarmić swoje dzieci - i mają pretensje do jakiegoś *Norte-americano,* który zjawia się u nich i tłumaczy im, jak mają postępować.

Sally znów wysunęła dolną wargę, a Tom zorientował się, że się zirytowała. Samochód dalej gnał po lśniącym asfalcie. Tom podkręcił klimatyzację. Pomyślał, że będzie zadowolony, gdy to wszystko się skończy. Nie potrzebował w życiu komplikacji w rodzaju Sally Colorado.

Sally odgarnęła gęstą grzywę złotych włosów z czoła, wskutek czego wokół rozeszła się ulotna woń perfum i szamponu.

- Nadal mnie coś męczy. Nie umiem sobie wybić tego z głowy.

- O co chodzi?

- Barnaby i Fen ton. Nie wydaje ci się dziwne, że stracili życie zaraz po tym, gdy zajmowali się tak zwanym włamaniem do domu twojego ojca? Nie wiem czemu, ale ten ich „wypadek" mi się nie podoba.

- Sally, to po prostu zbieg okoliczności. - Tom potrząsnął głową.

- Mam wrażenie, że jest inaczej.

- Znam Ski Basin Road, Sally. Nun's Corner to piekielny zakręt. Nie ˚ni pierwsi tam zginęli.

- Ale co tam robili? Sezon narciarski się skończył.

- Skoro tak się tym trapisz, może po prostu zadzwonimy do tego po-"Cjanta, Hernandeza, i się dowiemy? - zaproponował Tom.

- Zrobię to.

Sally wyjęta z torby telefon komórkowy i wybrała numer. Tom na-

słuchiwał, podczas gdy przekierowano ją z dziesięć razy, od jednej znudzonej recepcjonistki do następnej, aż wreszcie połączono z Hernandezem.

- Tu Sally Colorado - powiedziała. - Przypomina mnie pan sobie?

Cisza.

- Chciałabym zapytać pana o coś w związku ze śmiercią Barnaby'ego i Fentona.

Kolejna pauza.

- Po co pojechali do ośrodka narciarskiego?

Bardzo długa pauza. Tom starał się coś podsłuchać, ale mu się nie udało.

- Tak, to tragiczne - odrzekła Sally. - A kiedy mieli jechać na ryby?

Chwila ciszy.

- Dzięki.

Powoli złożyła telefon i popatrzyła na Toma. Poczuł ciężar w żołądku -jej twarz pobladła.

- Pojechali do ośrodka, by sprawdzić zawiadomienie o wandalizmie. Okazało się, że fałszywe. Hamulce nawaliły im w drodze powrotnej. Próbowali hamować przez odbijanie się od bandy, ale ta trasa była po prostu za stroma. Kiedy dotarli do Nun's Corner, jechali prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Jezu.

- Po upadku z wysokości stu pięćdziesięciu metrów i eksplozji z samochodu niewiele zostało. Niczego nie podejrzewano. Było to tym bardziej tragiczne, że następnego dnia Barnaby i Fenton mieli wyjechać na urlop, o jakim marzyli całe życie. Łowić nitkopłetwy.

Tom przełknął i zadał pytanie, na które nie miał ochoty:

- Dokąd?

- Do Hondurasu. Do miejsca o nazwie Laguna de Brus.

Tom zwolnił, spojrzał we wsteczne lusterko i z piskiem opon, manipulując jednocześnie gazem i hamulcem, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni.

- Oszalałeś? Co ty wyprawiasz?

- Jadę na najbliższe lotnisko.

- Dlaczego?

- Bo ktoś, kto zabił dwóch funkcjonariuszy policji, równie dobrze może zabić moich dwóch braci.

- Myślisz, że ktoś się dowiedział o ukrytym spadku?

- Na pewno. - Przyspieszył w stronę znikającego punktu na horyzoncie. - Wygląda na to, że jedziemy do Hondurasu. Razem.

13

Philip Broadbent poruszył się, chcąc znaleźć jak najwygodniejszą pozycję na dnie dłubanki. Czwarty czy piąty raz przesunął bardziej miękkie pakunki, by uformować z nich coś w rodzaju siedziska. Łódź sunęła w górę rzeki między dwiema milczącymi ścianami zielonej roślinności; silnik warczał, dziób gładko rozcinał spokojną czarną powierzchnię wody. Była to wędrówka przez gorącą, zieloną jaskinię, w której rozlegały się echa potępieńczych skrzeczeć, pohukiwań i gwizdów zwierząt z dżungli. Komary tworzyły upartą, brzęczącą chmurę, przemieszczającą się wraz z łodzią. Powietrze było gęste, lepkie, nieruchome. Oddychało się nim jak zupą z moskitów.

Philip wyjął fajkę z kieszeni, wytrząsnął kopeć, wystukał resztki o burtę łodzi i napełnił ją dunhillem z puszki, którą trzymał w kieszeni spodni typu safari od Barboura. Niespiesznie przypalił fajkę, potem wydmuchnął strugę dymu w brzęczący obłok, który zgęstniał natychmiast, gdy dym się rozwiał. Wybrzeże Moskitów potwierdzało reputację, jaką zapewniała mu nazwa. Nawet środek odstraszający owady, którym Philip szczodrze spryskał twarz i ubranie, okazał się niewystarczającą ochroną. W dodatku był oleisty i paskudnie śmierdział. Pewnie przesączał się do jego krwiobiegu i go zatruwał.

Wymruczał cicho przekleństwo. Ojciec i jego idiotyczne testy.

Poprawił się, nie mogąc dobrać wygodnej pozycji. Hauser z discmanem w ręku przeszedł z rufy łodzi i usadowił się obok niego. Pachniał wodą kolońską zamiast środka na owady i wyglądał na tak samo świeżego i zrelaksowanego, jak Philip czuł się lepki i zgrzany. Detektyw zdjął słuchawki.

- Gonz cały dzień znajdował ślady, że Max tędy płynął - powiedział. - Dowiemy się więcej, gdy jutro dotrzemy do Pito Solo.

- Jak można znaleźć ślady na rzece?

- To sztuka, Philipie - uśmiechnął się Hauser. - Tu przecięte pnącze, tam miejsce lądowania, gdzie indziej ślad tyczki na łasze pod powierzchnią. Rzeka płynie tak wolno, że takie ślady utrzymują się całe tygodnie.

Philip z irytacją wciągnął dym z fajki. Powtarzał sobie, że zniesie tę ostatnią wymyśloną przez ojca torturę i wreszcie będzie wolny. Wreszcie będzie mógł cieszyć się życiem niezakłócanym przez starego nudziarza, który wtrącał się do wszystkiego, stale krytykował i skąpo wydzielał grosiwo jak Scrooge. Philip kochał swojego ojca i po części dręczył go J[c]go rak i śmierć, ale nie zmieniało to jego odczuć co do planu Maxwell[a] Broadbenta. Ojciec popełnił w życiu mnóstwo głupstw, ale to górowało nad wszystkimi pozostałymi. *Beau gęste* ojca na pożegnanie było [Za]graniem Maxwella Broadbenta w najlepszym stylu.

Pykał dalej fajkę i przyglądał się, jak czterech żołnierzy na dziobie łodzi gra w karty wytłuszczoną talią. Druga łódź z ośmioma żołnierzami była pięćdziesiąt metrów przed nimi, słała się za nią ohydna smuga spalin. Gonz, naczelny „tropiciel", leżał na brzuchu na dziobie i wpatrywał się w ciemną wodę. Od czasu do czasu zanurzał w niej palec i ją smakował.

Nagle jeden z żołnierzy na dziobie krzyknął. Wstał i pokazał z podnieceniem coś płynącego obok łodzi. Hauser mrugnął do Philipa, zerwał się na równe nogi i wyciągnął zawieszoną u pasa maczetę. Ruszył na przód łodzi, która skręciła w stronę płynącego zwierzęcia. Hauser ustawił się na dziobie z rozstawionymi nogami. Gdy łódź dogoniła starające się uciec stworzenie, wychylił się i nagłym ruchem ciachnął maczetą, po czym sięgnął do wody i wyciągnął z niej zwierzę, przypominające półmetrowego szczura. Cios prawie obciął mu głowę - wisiała na cienkim kawałku skóry. Skręciło się konwulsyjnie i znieruchomiało.

Philip przyglądał się z nieokreślonym uczuciem zgrozy, jak Hauser rzuca martwe zwierzę w jego stronę. Wylądowało z łoskotem na dnie. Zakrwawiona głowa oderwała się, potoczyła i zatrzymała u stóp Philipa. Z rozchylonej paszczy sterczały pożółkłe szczurze zęby.

Hauser wypłukał maczetę w wodzie, zatknął ją za pas i wrócił do Philipa, przechodząc nad martwym zwierzęciem. Uśmiechnął się.

- Jadłeś kiedyś aguti?

- Nie, i nie jestem pewien, czy mam ochotę spróbować.

- Obdarte ze skóry, oczyszczone z wnętrzności, ponacinane i upieczone nad węglami było jedną z ulubionych potraw Maxwella. Smakuje trochę podobnie jak kura.

Philip nie odpowiedział. Detektyw mówił to samo o każdym obrzydliwym stworzeniu z dżungli, które byli zmuszeni jeść - „smakuje trochę jak kura".

- Och! - rzucił nagle, patrząc na koszulę Philipa. - Przepraszam.

Ten opuścił wzrok. Pojedyncza kropla krwi padła na koszulę i teraz wsiąkała w materiał. Philip zaczął ją wycierać, ale tylko powiększył plamę.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zachował trochę więcej ostrożności przy rzucaniu zwierząt z odciętymi łbami - oznajmił, zanurzył chusteczkę w wodzie i dalej próbował usunąć krew.

- Trudno zachować higienę w dżungli - zgodził się Marcus.

Philip potarł jeszcze trochę i przestał. Marzył, żeby Hauser dał mu spokój. Na widok tego człowieka zaczynał dostawać dreszczy.

Hauser wyjął parę dysków kompaktowych z kieszeni.

- A teraz, by dać odpór napierającej na nas dziczy, wolisz posłuchać Bacha czy Beethovena?

14

Tom Broadbent wylegiwał się na nadmiernie wypchanej kanapie w „apartamencie dyrektorskim" hotelu Sheraton Royale w San Pedro Sula, oglądając mapę kraju. Maxwell przyleciał ze swoim ładunkiem do miasta Laguna de Brus na Wybrzeżu Moskitów, u ujścia Rio Patuca. A potem zniknął. Krążyły słuchy, że popłynął w górę rzeki -jedyną drogą, którą można było dotrzeć do olbrzymiego, górzystego i dzikiego interioru południowego Hondurasu.

Tom powiódł palcem po krętej niebieskiej linii rzeki na mapie, poprzez bagna, wzgórza i wysokie płaskowyże, aż ta rozdzieliła się na sieć dopływów, spływających z pofałdowanej linii równoległych pasm górskich. Na mapie nie oznaczono żadnych dróg ani miast; był to zaiste świat zaginiony.

Tom ustalił, że jest spóźniony co najmniej tydzień w stosunku do Philipa i prawie dwa tygodnie wobec Vernona. Poważnie martwił się o braci. Trzeba było wielkiej determinacji, żeby tak szybko i sprawnie zamordować dwóch funkcjonariuszy policji. Morderca to niewątpliwie zawodowiec. Philip i Tom są bez wątpienia następni na jego liście.

Owinięta w ręcznik Sally wyszła z łazienki, mrucząc pod nosem, i przeszła przez salon ze spadającymi na plecy mokrymi, lśniącymi włosami. Tom odprowadził ją wzrokiem, aż znikła w sypialni. Była nawet wyższa od Sarah...

Skarcił się natychmiast za tę myśl.

Po dziesięciu minutach Sally pojawiła się ponownie w lekkim komplecie khaki oraz koszuli z długimi rękawami, płóciennym kapeluszu z opuszczoną na twarz siatką przeciw moskitom i w grubych rękawicach; zaopatrzyła się we wszystko na zakupach tego poranka.

- Jak wyglądam? - zapytała, obracając się.

- Jakbyś była w czarczafie.

Sally podwinęła siatkę i zdjęła kapelusz.

- Już lepiej.

- Muszę przyznać, że jestem bardzo ciekawa twojego ojca. - Rzuciła kapelusz i rękawice na łóżko. - Musiał być prawdziwym ekscentrykiem.

- Owszem.

- Jaki był? Jeśli wolno zapytać.

- Kiedy wchodził do pokoju, wszystkie głowy zwracały się w jego stronę - zaczął opowiadać Tom. - Promieniował czymś... władzą, siłą, Pewnością siebie, nie jestem pewien czym. Wzbudzał w ludziach podziw, choćby nie mieli pojęcia, kto to taki.

- Znam ten typ.

- Dokądkolwiek się wybrał, cokolwiek zrobił, uganiali się za nim dziennikarze. Czasami pod bramą naszego domu sterczeli paparazzi. Pomyśl sama: szliśmy do szkoły, a cholerni reporterzy ganiali za nami po Starym Szlaku, jakby mieli do czynienia z księżną Dianą czy kimś w tym rodzaju.

- Cóż za brzemię.

- Nie zawsze uważaliśmy to za brzemię. Czasami nas to nawet bawiło. Każde kolejne małżeństwo ojca było wielkim wydarzeniem, okazją do kiwania głowami i cmokania. Żenił się z wyjątkowo pięknymi kobietami, których nikt wcześniej nie wypatrzył - nie zwracał uwagi na znane aktorki czy modelki. Moja matka pracowała jako recepcjonistka u dentysty, zanim ją poznał. Ojciec uwielbiał być obiektem uwagi mediów. Co jakiś czas tak dla draki walił w pysk jakiegoś paparazzi i musiał mu płacić odszkodowanie. Był z siebie dumny. Zachowywał się jak Onasis, wyrastał ponad przeciętność.

- Co się stało z twoją matką?

- Umarła, kiedy miałem cztery lata, na jakąś rzadką i gwałtowną odmianę zapalenia opon mózgowych. Z nią jedną spośród czterech żon się nie rozwiódł - chyba tylko dlatego, że nie zdążył.

- Przykro mi.

- Mało ją pamiętam, no, najwyżej odczucia. Była ciepła, kochająca - mniej więcej tyle.

- Wciąż tego nie pojmuję. - Potrząsnęła głową. - Jak ojciec mógł wam to zrobić?

- Wszystko, co robił i zdobywał, musiało być nadzwyczajne. - Tom utkwił wzrok w mapie. - To samo odnosiło się do nas, ale nie wyrośliśmy na takich synów, jakich oczekiwał. Zniknięcie ze skarbem i pogrzebanie się było jego ostatnim wyczynem, ostatnim sposobem na zmuszenie nas do czegoś, dzięki czemu zapisalibyśmy się w historii. Chciał, abyśmy dokonali czegoś, z czego byłby dumny. - Zaśmiał się gorzko. - Nie masz pojęcia, co by się stało, gdyby prasa kiedykolwiek się o tym zwiedziała. Fantastyczna sprawa: skarb wart pół miliarda dolarów, ukryty w grobowcu gdzieś w Hondurasie. Cały świat by się zjechał, żeby się temu przyglądać.

- Na pewno ciężko mieć takiego ojca.

- Owszem. Nie zliczę, z ilu moich meczów tenisa wyszedł przed końcem, bo bał się, że przegram. Był bezwzględnym graczem w szachy - ale przerywał partię, kiedy się zorientował, że mógłby pokonać któregoś z nas. Nie mógł znieść, abyśmy przegrywali, nawet z nim. Po wystawieniu ocen nigdy nic nie mówił, widać było jednak w jego wzroku rozczarowanie. Wszystko poniżej samych szóstek było dla niego taką katastrofą, że nie mógł o niej mówić.

- I dostawałeś same szóstki?

- Tylko raz. Położył mi rękę na ramieniu i z czułością mnie uścisnął. Tylko tyle, ale wystarczyło za wszystkie słowa.

- To straszne. Przykro mi.

- Każdy z nas znalazł sobie jakąś ucieczkę. Dla mnie było to kolekcjonowanie skamielin - chciałem być paleontologiem - a potem zajmowanie się zwierzętami. One cię nie osądzają. Nie chcą, żebyś był kimś innym, niż jesteś. Koń akceptuje cię takim, jaki jesteś.

Tom zamilkł. Zdumiewające, że mówienie o dzieciństwie mogło tak boleć, chociaż miał już trzydzieści trzy lata.

- Przykro mi - powtórzyła Sally. - Nie chciałam być wścibska.

- Nie zamierzałem go oczerniać. - Tom machnął ręką. - Na swój sposób był dobrym ojcem. Może kochał nas za bardzo.

- Cóż - powiedziała po chwili Sally, wstając. - Na razie musimy znaleźć przewodnika, który zabierze nas w górę Patuki, a ja nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. - Zaczęła wertować książkę telefoniczną. - Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie robiłam. Ciekawe, czy jest tu dział „Podróże z przygodami" czy coś w tym stylu.

- Mam lepszy pomysł. Musimy znaleźć miejscową knajpę, odwiedzaną przez zagranicznych dziennikarzy. To najbardziej doświadczeni podróżnicy na świecie.

- No dobrze, możesz sobie przypisać kolejną zasługę. - Sally pochyliła się, wyciągnęła z torby parę spodni i rzuciła w jego stronę, a następnie dodała do nich koszulę, skarpety i lekkie buty turystyczne, które utworzyły stosik przed Tomem. - Wreszcie możesz zrzucić te swoje kowbojskie buty, chociaż wyglądasz w nich jak macho.

Tom zgarnął wszystkie rzeczy, przeszedł do swojego pokoju i przebrał się. Miał wrażenie, że wszędzie widzi same kieszenie. Kiedy wyszedł, Sally popatrzyła na niego z ukosa.

- Może po paru dniach w dżungli nie będziesz wyglądał tak idiotycznie - orzekła.

- Dzięki.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do recepcji. Dowiedział się, że dziennikarze zwykle przesiadują w barze Los Charcos.

Z zaskoczeniem przekonał się, że Los Charcos to nie tania speluna, jak sobie wyobrażał, ale elegancka, wykładana drewnem salka obok holu wytwornego starego hotelu. Dzięki klimatyzacji było w niej niemal arktyczne powietrze, przepełnione aromatem doskonałych cygar.

- Pozwól, że ja będę mówiła - zaproponowała Sally. - Mój hiszpański jest lepszy od twojego.

- I lepiej wyglądasz.

- Nie uważam, żeby seksistowskie dowcipy były śmieszne. - Sally zmarszczyła brwi.

Usiedli przy barze.

- *Hola* - odezwała się pogodnie do barmana o ciężkich, na wpół opuszczonych powiekach. - Szukam korespondenta „New York Timesa".

- Pana Sewella? Nie widziałem go od huraganu, *señorita*.

- A przedstawiciel „Wall Street Journal"?

- Nie mamy tu takiego korespondenta. Jesteśmy przecież biednym krajem.

- A jakich macie?

- Jest Roberto Rodriguez z „El Diario".

- Nie, nie, szukam Amerykanina. Kogoś, kto zna kraj.

- Wystarczy Anglik?

- Świetnie.

- Tam siedzi Derek Dunn - mruknął barman, pokazując głową. - Pisze książkę.

- O czym?

- Podróżniczo-przygodową.

- Napisał jeszcze jakieś? Zna pan jakiś tytuł?

- Ostatnia miała tytuł „Stojące wody". >

Sally położyła dwadzieścia dolarów na kontuarze i ruszyła w stronę Dunna. Tom poszedł za nią. Zapowiada się niezła zabawa, pomyślał. Dunn, mężczyzna z grzywą jasnych włosów nad mięsistą, rumianą twarzą, siedział sam w zacisznym kątku. Sally zatrzymała się i wyciągnęła rękę.

- O jejku, pan jest Derek Dunn, prawda?! - zawołała.

- Zdarza mi się reagować na to nazwisko - odpowiedział. Jego nos i policzki były permanentnie zaczerwienione.

- Och, jakie to cudowne! „Stojące wody" to jedna z moich ulubionych książek! Kocham ją!

Dunn wstał, ukazując krzepką sylwetkę, zgrabną i wysportowaną. Miał na sobie znoszone spodnie khaki i bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami o prostym kroju. Był przystojnym przedstawicielem Imperium Brytyjskiego.

- Wielkie dzięki - powiedział. - A pani się nazywa?

- Sally Colorado. - Uścisnęła mu rękę.

Już sprawiła, że facet szczerzy zęby jak dureń, pomyślał Tom. Poczuł się idiotycznie w nowym ubraniu, pachnącym jeszcze sklepem z męską odzieżą. Dunn dla odróżnienia wyglądał, jakby bywał na kraju świata.

- Przysiądziecie się do mnie na drinka?

- Będzie to dla mnie zaszczytem! - zawołała Sally.

Dunn pokazał jej miejsce na ławie obok siebie.

- Napiję się tego samego co pan - powiedziała.

- Gin z tonikiem. - Dunn przywołał machnięciem ręki barmana i popatrzył na Toma. - Pan też niech siada z nami.

Tom bez słowa usiadł. Zaczynał tracić zapał do tego pomysłu. Nie podobał mu się rumiany Derek Dunn, przyglądający się natarczywie Sally - i to nie tylko jej twarzy.

- Gin z tonikiem dla mnie i dla pani - powiedział Dunn po hiszpańsku, gdy podszedł do nich barman. - A dla pana... - obejrzał się na Toma.

- Lemoniada.

- *Yuna limonada* - dodał Dunn, swoim tonem wyrażając dokładnie, co myślał o wyborze Toma.

- Tak się cieszę, że na pana wpadłam! - odezwała się Sally. - Cóż za zbieg okoliczności!

- A zatem zna pani „Stojące wody"? - spytał Dunn z uśmiechem.

- Jedna z najlepszych książek podróżniczych, jakie w życiu czytałam.

- Niewątpliwie - dodał Tom.

- Pan też ją czytał? - spytał Dunn z wyczekującym spojrzeniem. Tom spostrzegł, że dziennikarz osuszył już pół swojego drinka.

- Oczywiście. Podobał mi się zwłaszcza ten kawałek, w którym wpada pan w łajno słonia. Ale ubaw.

- Łajno słonia? - Dunn się zawahał.

- Nie było w niej o łajnie słonia?

- W Ameryce Środkowej nie ma słoni.

- Och, musiałem pomylić to z inną książką. Proszę mi wybaczyć.

Tom poczuł na sobie spojrzenie zielonych oczu Sally. Nie mógł odgadnąć, czy jest zła, czy powstrzymuje śmiech.

Dunn obrócił się w krześle plecami do Toma, bez reszty poświęcając uwagę dziewczynie.

- Może panią zainteresuje, że pracuję nad nową książką.

- Jakie to fascynujące!

- Nazywa się „Noce w Mosąuitia". Jest o Wybrzeżu Moskitów.

- Och, właśnie tam jedziemy! - Sally zaklaskała w ręce z podniecenia jak mała dziewczynka. Tom upił łyk i pożałował wyboru napoju. Potrzebował czegoś mocniejszego, jeśli miał wytrwać do końca. Nie powinien był się zgodzić, żeby Sally mówiła.

- Na południu Hondurasu jest ponad dwanaście tysięcy kilometrów kwadratowych bagien i wyżynnej dżungli, które pozostają całkowicie niezbadane. Części z nich nawet nie ma na mapach.

- Nie miałam pojęcia!

Tom odstawił lemoniadę i rozejrzał się za kelnerem.

- Moja książka to kronika podróży wzdłuż całego Wybrzeża Moskitów, przez labirynt zatoczek na styku dżungli i morza. Byłem pierwszym białym człowiekiem, który pokonał tę trasę.

- Niewiarygodne. Jak to się panu udało, na miłość boską?

- W dłubance z motorem. To jedyny środek podróży w tych strofach oprócz wędrówki na piechotę.

- Kiedy pan odbył tę zdumiewającą podróż?

- Około ośmiu lat temu.

- Osiem lat temu?

- Miałem trochę kłopotów z wydawcami. Nie można poganiać dobrej książki, rozumie pani. - Dopił drinka i machnął ręką po następną kolejkę. - To ciężki kraj.

- Naprawdę?

Dunn potraktował to jako zachętę do wykładu. Odchylił się na oparcie i zaczął mówić:

- Przede wszystkim mamy tam zwykłe komary, pchły piaskowe, kleszcze, mustyki i gzy. Nie zabiją człowieka, ale potrafią obrzydzić życie. Giez ugryzł mnie raz w czoło. Na początku miałem wrażenie, że to komar. Potem zaczęło puchnąć i czerwienieć. Bolało jak diabli. Po miesiącu pękło i dwucentymetrowe larwy gzów zaczęły wydostawać się na zewnątrz i spadać na ziemię. Jeśli cię pogryzą, najlepiej jest dać spokój i czekać, aż wszystko przebiegnie swoim torem. Jeśli się próbuje wygnieść rankę, to tylko się zaognia.

- Mam szczerą nadzieję, że nie dostały się panu do mózgu - powiedział Tom.

- Do tego dochodzi choroba Chagasa - Dunn go zignorował.

- Chagasa?

- *Trypanosoma cruzi.* Przenoszący ją owad gryzie człowieka i jednocześnie wydala odchody. Bytują w nich pasożyty, i jeśli się podrapie ugryzienie, wprowadza się infekcję. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, że cokolwiek się dzieje - przez dziesięć czy dwadzieścia lat. Potem najpierw zaczyna puchnąć mu brzuch. Potem pojawiają się trudności z połykaniem, zadyszka. Wreszcie serce pęcznieje - i pęka. Nie ma na to lekarstwa.

- Urocze - powiedział Tom. Wreszcie zwrócił na siebie uwagę kelnera. - Whisky. Podwójna, dobrze?

Dunn wciąż wpatrywał się w Toma z błąkającym się po ustach uśmieszkiem.

- Słyszał pan o *fer-de-lancel*

- Niestety.

- Inaczej kajsaka, najbardziej jadowity wąż znany człowiekowi. - Wyglądało na to, że ponure opowieści o dżungli to podstawa repertuaru dziennikarza. - Brązowo-żółte bydlę; tubylcy nazywają go *barba amarilla.* Za młodu żyje na drzewach i w gałęziach. Spadają, kiedy zakłóci się ich spokój. Ugryzienie po pół minucie powoduje zatrzymanie akcji serca. Do tego mamy *Lachesis mutus,* największego jadowitego węża na świecie. Cztery metry długości i gruby jak udo. O wiele mniej śmiercionośny od kajsaki - po jego ukąszeniu można przeżyć, powiedzmy, dwadzieścia minut. - Zachichotał i wypił kolejny łyk.

Sally wymamrotała, że to wszystko brzmi strasznie.

- Oczywiście słyszeliście o kandiru, rybie wykałaczce? To nie historia dla dam. - Dunn obejrzał się na Toma i mrugnął.

- Niech pan opowie - powiedział Tom. - Sally nieobce są wulgaryzmy.

Dziewczyna rzuciła mu jadowite spojrzenie.

- Żyją w okolicznych rzekach. Powiedzmy, że wybieracie się na radosną poranną kąpiel. Kandiru wciska się człowiekowi w wacka, potem stawia rząd kolców i zaczepia się w cewce moczowej. - Tom zamarł, nie doniósłszy szklanki do ust. - Blokuje ją. Jeśli się nie znajdzie dostatecznie szybko chirurga, pęcherz pęka.

- Chirurga? - spytał Tom słabym głosem.

- Zgadza się. - Dunn odchylił się na oparcie.

- Jakiego zabiegu potrzeba? - Tomowi zaschło w gardle.

- Amputacji.

Tom doniósł wreszcie drinka do ust i wypił jeden po drugim dwa hausty. Dunn głośno się roześmiał.

- Na pewno słyszeliście już wszystko o piraniach, leiszmaniozie, węgorzach elektrycznych, anakondach i tak dalej. - Machnął pogardliwie ręką. - Niebezpieczeństwa z ich strony są znacznie wyolbrzymione. Piranie rzucają się na człowieka tylko wtedy, jeśli krwawi, a anakondy są rzadkością tak daleko na północ i nie pożerają ludzi. Honduraskie bagna mają jedną zaletę - nie występują w nich pijawki. Trzeba jednak uważać na czepiaki...

- Przykro mi, ale musimy zostawić czepiaki na kiedy indziej - przerwał mu Tom, spoglądając na zegarek. Zorientował się, że pan Derek Dunn trzyma rękę pod stołem - na kolanie Sally.

- Nie zamierzasz się chyba rozmyślić, brachu? To nie kraj dla wymoczków.

- Bynajmniej - odparł Tom. - Wolałbym tylko usłyszeć o pańskich przejściach z rybą wykałaczką.

- To raczej zgrany dowcip, przyjacielu. - Derek Dunn popatrzył na niego bez uśmiechu.

- No cóż! - wtrąciła się pogodnie Sally. - Sam pan podróżował? Szukamy przewodnika i pomyśleliśmy, że mógłby pan nam kogoś polecić.

- Dokąd się wybieracie?

- Do Laguna de Brus.

- Rzeczywiście, zbaczacie z utartych szlaków. - Dunn nagle zmrużył oczy. - Nie jest pani chyba pisarką, co?

- Och nie, jestem archeologiem, a mój towarzysz to weterynarz - roześmiała się Sally. - Przyjechaliśmy tu jednak jako turyści. Chcielibyśmy Przeżyć jakieś przygody.

- Archeolog? Niewiele tu ruin. Na bagnach nie da się budować,

a w górach we wnętrzu kraju nigdy nie mieszkał żaden cywilizowany lud. Nie ma gęstszej dżungli na świecie niż na wyżynie Sierra Azul. Wzgórza są tam tak strome, że z trudnością można się na nie wdrapać. Przez setki kilometrów nie ma miejsca nadającego się do rozbicia namiotów. Trzeba wyrąbywać sobie drogę i jak się włoży sporo wysiłku, w ciągu dnia można pokonać półtora kilometra. Szlak wycięty maczetami zarasta tak szybko, że po tygodniu nie ma śladu. Jeśli szukasz ruin, Sally, to dlaczego nie wybierzesz się do Copan? Może opowiedziałbym ci o nich przy kolacji?

Znów położył dłoń na jej kolanie.

- Zapewne - odparła. - Wracając do przewodnika, może nam pan kogoś polecić?

- Przewodnika? Och tak. Nikt nie poprowadzi was lepiej niż Orlando Ocotal, Indianin z plemienia Tawahka. Absolutnie można na nim polegać. Nie oszuka was jak inni. Zna kraj jak wnętrze swojej dłoni. Był ze mną na ostatniej wyprawie.

- Jak go znaleźć?

- Żyje w górze Patuki, w osadzie o nazwie Pito Solo, ostatnim cywilizowanym miejscu nad rzeką. Dalej już zaczynają się wielkie bagna interioru. Siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt kilometrów od Laguna de Brus. Trzymajcie się głównego koryta rzeki, bo inaczej nie wrócicie żywi. O tej porze roku dżungle są zalane i w każdą stronę prowadzą miliony bocznych odnóg. Te krainy są praktycznie niezbadane, począwszy od bagien za Sierra Azul po rzekę Guayambre. *Terra incognito* wielkości czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych.

- W gruncie *rzeczy* nie zdecydowaliśmy jeszcze, dokąd się wybierzemy.

- Don Orlando. To ktoś, kogo wam potrzeba. - Derek Dunn obrócił się w krześle i zwrócił wielką, spotniałą twarz w stronę Toma. - Słuchajcie, cierpię na pewien niedobór gotówki - czek z tantiemami dopiero w drodze i tak dalej. Może uraczycie mnie jeszcze jedną kolejką - co wy na to?

Na ekranie komputerowym, wpasowanym dyskretnie w pokrywające ściany gabinetu panele z wiśniowego drewna, Lewis Skiba śledził kurs Lampe-Denison Pharmaceuticals na nowojorskiej giełdzie. Inwestorzy cały dzień wyzbywali się akcji, wskutek czego kurs wahał się obecnie nieco ponad dziesięć. Na jego oczach spadł o kolejną jedną ósmą punktu i wynosił teraz dokładnie dziesięć.

Skiba nie miał ochoty patrzeć, jak kurs akcji jego firmy staje się jednocyfrową liczbą. Zgasił monitor. Jego spojrzenie zbłądziło na chwilę

ku panelowi, za którym stał macallan, ale na to było za wcześnie. O wiele za wcześnie. Musi zachować trzeźwy umysł w trakcie czekającej go rozmowy.

Rozeszły się pogłoski, że floksatan miał kłopoty w FDA. Gracze giełdowi, spekulujący na zniżce, dobierali się do akcji firmy jak robactwo do trupa. Na badania rozwojowe leku wyłożono dwieście milionów dolarów. Lampe-Denison współpracowała z najlepszymi badaczami i naukowcami z trzech uniwersytetów Ivy League. Solidnie zaprojektowano podwójne ślepe próby i dokonano takiej interpretacji danych, by przybrały jak najlepszą formę. Częstowano przyjaciół w FDA najlepszym jedzeniem i trunkami. Ostatecznie jednak nic nie mogło ocalić floksatanu. Nieważne, jak manipulowało się danymi, lek zrobił klapę. A Lewis Skiba siedział na sześciu milionach akcji firmy, których nie mógł sprzedać - wszyscy pamiętali, co spotkało Marthę Stewart - oraz opcji na dwa miliony kolejnych akcji, nadających się teraz praktycznie na papier toaletowy w jego łazience z kararyjskiego marmuru.

Skiba brzydził się grającymi na zniżkę bardziej niż czymkolwiek na świecie. Były to sępy, robactwo, ścierwojady rynku. Oddałby wszystko, byle tylko zobaczyć, jak wbrew nim kurs akcji Lampe-Denison zaczyna rosnąć. Z bezgraniczną satysfakcją przyglądałby się panice pośród graczy, zmuszonych do krycia swoich pozycji, rozkoszowałby się myślą o ofertach kupna, które wbrew sobie musieliby przyjmować. Byłoby to coś pięknego. Tak właśnie by się stało, gdyby dostał w ręce Kodeks i ogłosił jego istnienie. Gracze na zniżkę sparzyliby się tak bardzo, że wróciliby dopiero po miesiącach, może po latach.

Telefon na biurku wydał cichy, śpiewny dźwięk. Skiba popatrzył na zegarek. Połączenie przez satelitę nastąpiło dokładnie o czasie. Naprawdę brzydził się rozmowami z Hauserem; gardził tym człowiekiem i jego zasadami. Musiał się z nim jednak kontaktować. Hauser uparł się, że będzie go „informował na bieżąco". Chociaż Skiba należał do szefów lubiących wiedzieć wszystko o wszystkim, tym razem się wahał. Niektóre sprawy lepiej było zostawić pod osłoną mroku. W końcu jednak się zgodził, choćby po to, by powstrzymywać detektywa przed zrobieniem czegoś głupiego bądź niezgodnego z prawem. Chciał, żeby za Kodeksem, kiedy go wreszcie dostanie, nie ciągnął się żaden smród.

Podniósł słuchawkę.

- Mówi Skiba.

W słuchawce rozległ się głos Hausera, przypominający po przepuszczeniu przez szyfrator głos Kaczora Donalda. Jak zwykle prywatny detektyw nie tracił czasu na uprzejmości.

- Maxwell Broadbent popłynął w górę rzeki Patuca razem z grupą Indian z wyżyn. Mamy ich ślad. Nie wiemy jeszcze, dokąd się kierowali, ale domyślam się, że jest to gdzieś w górach.

- Macie jakieś problemy?

- Jeden z synów, Vernon, wyrwał się przed orkiestrę i płynie przed nami. Wygląda jednak na to, że dżungla rozwiąże problem za nas.

- Nie rozumiem.

- Wynajął dwóch pijanych przewodników z Puerto Lempira i zgubili się na bagnie Meambar. Jest mało prawdopodobne, że kiedykolwiek jeszcze, hm, ujrzą światło dnia.

Skiba przełknął. O takich rzeczach niekoniecznie musiał wiedzieć.

- Niech pan posłucha, Hauser, trzymaj się pan faktów i zostaw wydawanie opinii innym.

- Mamy trochę kłopotów z drugim synem, Tomem. Jest z nim kobieta, doktorantka etnofarmakologii z Yale.

- Etnofarmakologii? Wie o Kodeksie?

- Może pan się założyć o własną dupę, że wie.

- To dość niefortunne.

- Pewnie, ale ze wszystkim mogę sobie poradzić.

- Niech pan posłucha, Hauser - odrzekł krótko Skiba. - Zostawiam sprawy w pańskich zdolnych rękach. Mam zaraz ważne spotkanie.

- Trzeba będzie się zająć tymi ludźmi.

- Nie wiem, o czym pan mówi, i nie chcę wiedzieć. - Skibie nie podobało się, że rozmowa wraca do tego tematu. - Zadowoli mnie, że zajmie się pan szczegółami.

Po drugiej stronie linii rozległ się cichy chichot.

- Skiba, ilu ludzi umiera w tej chwili w Afryce, ponieważ liczy pan sobie dwadzieścia trzy tysiące za roczną kurację lekiem przeciwgruźliczym, którego wyprodukowanie kosztuje sto dziesięć dolarów? Nie chodzi mi o nic więcej. Gdy mówię, że „zajmę się nimi", mam na myśli tylko powiększenie tej liczby o kilka osób.

- Cholera, Hauser, to ohydne.... - Skiba urwał i przełknął ślinę. Pozwalał, żeby tamten go podpuszczał. Były to tylko słowa, nic więcej.

- Pięknie, Skiba, pięknie. Chcesz dostać Kodeks w elegancki, czysty i zgodny z prawem sposób, aby nikt się nie wyrwał, że jest jego prawowitym właścicielem, i jeszcze liczysz, że nikomu nie stanie się krzywda. Nie martw się, żadni biali nie zginą bez twojego pozwolenia.

- To pan mnie posłucha: nie zgodzę się na zabicie kogokolwiek, białego czy nie. Proszę natychmiast przestać wygadywać tak obrzydliwe rzeczy.

Skiba czuł pot ściekający po karku. Jak mógł dopuścić do tego, żeby detektyw przejął kontrolę nad sytuacją? Niezgrabnie wyciągnął klucz i otworzył szufladę.

- Rozumiem - odparł tamten. - Jak powiedziałem...

- Mam spotkanie - przerwał Skiba i rozłączył się z łomoczącym sercem.

Hauser znajdował się w głębi Hondurasu, pozbawiony kontroli i nadzoru. Mógł posunąć się do wszystkiego. Był psychopatą. Skiba rozgryzł tabletkę, spłukał gorzki smak łykiem macallana i odchylił się na oparcie, oddychając ciężko. Ogień wesoło trzaskał w kominku. Rozmowa o zabijaniu spowodowała, że Skiba był wzburzony, gniotło go w żołądku. Zapatrzył się w płomienie, czekając na ich kojący efekt. Hauser obiecał, że będzie go pytał o zezwolenie - którego nigdy nie dostanie. Ani firma, ani osobista fortuna Skiby nie były warte takiego kroku. Przeniósł wzrok na rządek fotografii w srebrnych ramkach: troje roześmianych, wpatrujących się w niego dzieci. Postarał się zapanować nad oddechem. Tamten jest mocny w gębie, ale to wszystko: to tylko gadanie. Nikt nie zginie. Hauser zdobędzie Kodeks, Lampe-Denison się podniesie, a Skiba za dwa-trzy lata będzie wychwalany na Wall Street za uratowanie stojącej nad przepaścią firmy.

Popatrzył na zegarek: giełda została zamknięta. Z uczuciem lęku i niechęci włączył monitor. Poszukiwacze okazji podbili trochę kurs na koniec dnia. Wynosił dziesięć i pół.

Skiba poczuł promyk nadziei. Dzień okazał się ostatecznie nie najgorszy.

Sally popatrzyła sceptycznie na samolot-gruchot, wytaczany z obskurnego hangaru.

- Może powinniśmy byli go obejrzeć, zanim kupiliśmy bilety - powiedział do niej Tom.

- Na pewno jest sprawny - odparła Sally, jakby chciała przekonać siebie samą.

Pilot, chudy, brodaty emigrant ze Stanów, w porwanej koszulce z krótkimi rękawami i obciętych spodniach, podszedł do nich i przedstawił się jako John. Tom obrzucił go sceptycznym wzrokiem, po czym popatrzył nieufnie na samolot.

- Wiem, wiem, wygląda jak kupa złomu - powiedział John z uśmiechem i postukał w poszycie kostkami palców, od czego cały kadłub zagrzechotał. - Ważne jest to, co pod maską. Sam konserwuję silnik.

- Nawet pan nie wie, jak mnie to uspokaja - odparł Tom.

- A zatem lecicie do Laguna de Brus?

- Zgadza się.

- Na nitkopłetwy? - John przyjrzał się kadłubowi zmrużonymi oczyma.

-Nie.

- Najlepsze łowiska na świecie. I w zasadzie niewiele więcej. - John otworzył komorę ładunkową z boku kadłuba i zaczął upychać chudymi rękami bagaże. - To co będziecie tam robić?

- Nie jesteśmy pewni - odparła szybko Sally. Im mniej będą mówić o celu podróży, tym lepiej. Nie było sensu wywołać gorączki poszukiwań skarbów w górze rzeki.

Pilot wepchnął ostatnią torbę i uderzył w nią kilka razy pięściami, by ją wpasować, a potem zatrzasnął pokrywę z ogłuszającym łoskotem taniej blachy. Udało mu się to dopiero za trzecim razem.

- Gdzie się zatrzymacie w Brus?

- Tego również nie zdecydowaliśmy.

- Nie majak planowanie z góry - powiedział John. - Tak czy inaczej jest tam tylko jeden hotel, nazywa się La Perlą.

- Ile ma gwiazdek w Michelinie?

John krótko się zaśmiał. Otworzył drzwi dla pasażerów i wyciągnął schodki. Wsiedli do środka. John wszedł za nimi i gdy mijał Toma, temu się wydało, że czuje słabą woń marihuany. No pięknie!

- Od jak dawna pan lata?

- Dwadzieścia lat.

- Miał pan kiedyś wypadek?

- Raz. Uderzyłem w świnię na Paradiso. Dowcipnisie nie skosili pasa, a ta cholera spała w trawie. Była wielka jak szafa.

- Ma pan uprawnienia do lotu na instrumentach?

- Powiedzmy, że wiem, jak się nimi posługiwać. Staranie się o uprawnienia nie ma tu wielkiego sensu, nie przy lataniu w buszu.

- Podał pan plan przelotu?

- Wystarczy, że będę leciał wzdłuż brzegu. - John potrząsnął głową i machnął ręką.

Samolot wystartował. Sally poczuła dreszcz, gdy maszyna przechyliła się i kabinę rozjaśnił odblask słońca od Morza Karaibskiego. Samolot zawrócił wzdłuż wybrzeża - niskiego, płaskiego, poprzecinanego licznymi zatoczkami i przybrzeżnymi wysepkami. Te ostatnie wyglądały jak odłamane od kontynentu, dryfujące kawałki dżungli. Sally widziała też biegnące w głąb kraju drogi, okolone nieregularnymi polami i nierównymi łatami po świeżo wyciętym lesie. Daleko w głębi lądu widać było poszarpaną linię błękitnych gór z upstrzonymi chmurami szczytami.

Sally obejrzała się na Toma. Miał wypłowiałe od słońca jasnobrązowe włosy, poznaczone złotymi pasmami. Podobały jej się jego szczupła, sprężysta sylwetka, wysoki wzrost i kowbojski chód. Zadała sobie pytanie, jak można tak po prostu zrzec się stu milionów dolarów. Robiło to na niej większe wrażenie niż cokolwiek innego. Żyła wystarczająco długo, by zorientować się, że ci, którzy mają pieniądze, przejmują się nimi o wiele bardziej niż ci, którzy ich nie mają.

Tom odwrócił się i na nią popatrzył. Szybko uśmiechnęła się i wyjrzała znowu przez okno. Im dalej na wschód lecieli, tym wybrzeże stawało się dziksze, a zatoki większe, o bardziej skomplikowanych konturach. Wreszcie w polu widzenia pojawiła się największa z nich, poznaczona setkami wysepek. Do jej przeciwnego końca wpadała wielka rzeka. Gdy samolot przechylił się, zbliżając się do niej, Sally dostrzegła przy ujściu miasteczko - zbiorowisko lśniących blaszanych dachów, otoczone przekładańcem nieregularnych pól, rozrzuconych wokoło jak poszarpane szmaciane łaty. Pilot zatoczył krąg i podszedł do lądowania na polu, które z bliższej odległości okazało się trawiastym pasem startowym. Sally miała wrażenie, że samolot zniża się o wiele za szybko. Byli coraz bliżej ziemi, ale maszyna wydawała się coraz bardziej przyspieszać. Sally zacisnęła dłonie na poręczach fotela. Pas przemknął pod nimi, ale samolot wciąż był wysoko. Patrzyła, jak błyskawicznie przybliża się ku nim ściana dżungli.

- Jezu Chryste! - zawołała. - Nie zmieści się pan na pasie!

Samolot wzniósł się bez trudu i przemknął nad dżunglą. Wierzchołki drzew były najwyżej pięć metrów pod kadłubem. Gdy się wznosili, Sally usłyszała suchy śmiech Johna w słuchawkach:

- Odpręż się, Sal, pohałasowałem, żeby oczyścić pas. Jedna nauczka mi wystarczy.

Gdy samolot zawrócił i drugi raz podszedł do lądowania, Sally odchyliła się na oparcie i otarła czoło.

- Miło, że nas uprzedziłeś.
- Mówiłem wam przecież o tej świni, ludzie.

Zostawili bagaż w La Perlą - baraku z żużlowych pustaków, mieniącym się hotelem - i wędrując błotnistymi uliczkami Laguna de Brus, zeszli w stronę nadbrzeża rzeki dowiedzieć się o wynajem łodzi. Żar sprawiał, że popołudniowe powietrze było martwe i nieruchome. Wszędzie panowała cisza, na ziemi rozlewały się parujące kałuże. Pot wyciekał Sally spod rękawów, spływał po plecach i pomiędzy piersiami. Miała wrażenie, że wszyscy rozsądni ludzie zrobili sobie właśnie sjestę.

Dotarli do rzeki po drugiej stronie miasta. Płynęła między stromymi ziemnymi stokami, miała mniej więcej dwieście metrów szerokości i była barwy mahoniu. Zataczała łuk między dwiema gęstymi ścianami dżungli i pachniała błotem. Gęsta woda sączyła się ospale; na powierzchni tworzyły się wiry. Tu i ówdzie z prądem wolno płynęły gałązki i liście. Ze stromego nadbrzeża opadała ścieżka z bali, a na jej końcu znajdowała się konstrukcja z pędów bambusa - marne molo z przywiązanymi czterema dłubankami. Każda z nich miała około dziesięciu metrów długości i stu dwudziestu centymetrów szerokości, ostry jak włócznia dziób i była wyrąbana z pojedynczego, gigantycznego pnia. Na

płasko ściętych rufach znajdowały się niewielkie silniki. Na przedzie i z tyłu przez pokład były przełożone deski do siedzenia.

Tom i Sally zeszli po nadbrzeżu, by przyjrzeć się dokładniej łodziom. Sally spostrzegła, że trzy dłubanki mają sześciokonne silniki marki Evinrude. Czwarta, dłuższa i cięższa, zaopatrzona była w osiemnastokonny silnik.

- Miejscowa wystrzałowa gablota. - Pokazała ją Tomowi. - Tę powinniśmy wziąć.

Tom rozejrzał się. Nadbrzeże wydawało się opustoszałe.

- Ktoś tam jest.

Sally wskazała bambusową wiatę pięćdziesiąt metrów dalej. Małe ognisko paliło się obok sterty pustych puszek. Między dwoma drzewami w skrawku cienia rozpięty był hamak, w którym spał jakiś mężczyzna. Sally podeszła bliżej.

- *Hola* - powiedziała.

Po chwili mężczyzna uchylił jedno oko.

-*Si?*

- Chcemy z kimś porozmawiać o wynajęciu łodzi - powiedziała Sally po hiszpańsku.

Z licznymi stęknięciami i pomrukami niezadowolenia mężczyzna wygramolił się z hamaka, poskrobał po głowie i uśmiechnął.

- Mówię dobrze po amerykańsku. Mówimy po amerykańsku. Kiedyś pojadę do Ameryki.

- Wspaniale. Wybieramy się do Pito Solo - powiedział Tom.

Mężczyzna pokiwał głową, ziewnął i podrapał się po karku.

- Dobra. Zabiorę.

- Chcemy wynająć dużą łódź. Tę z osiemnastokonnym silnikiem.

- Głupia łódź. - Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie obchodzi nas, czy jest głupia - odparł Tom. - Chcemy właśnie tę.

- Zabiorę swoją łodzią. Głupia łódź jest człowieków z armii. - Wyciągnął rękę. - Macie cukierka?

Sally wyjęła torebkę kupioną wcześniej specjalnie w tym celu. Twarz mężczyzny rozpromieniła się w uśmiechu. Wsadził wyschniętą rękę do torebki, pogrzebał w cukierkach, wyjął pięć czy sześć, rozwinął je i wszystkie od razu włożył do ust, wypychając sobie jeden policzek.

- *Bueno* - mruknął stłumionym głosem.

- Chcemy wypłynąć jutro rano - oświadczył Tom. - Jak długo trzeba płynąć do Pito Solo?

- Trzy dni.

- Trzy dni? Wydawało mi się, że to siedemdziesiąt-osiemdziesiąt kilometrów.

- Woda opada. Można utknąć. Trzeba pchać tyczkami. Dużo brodzić. Nie można silnikiem.

- Brodzić? - zapytał Tom. - A ryby wykałaczki?

Mężczyzna popatrzył na niego nierozumiejącym spojrzeniem.

- Nie martw się, Tom - powiedziała Sally. - Możesz założyć ciasną bieliznę.

- Ach, *sP. Candirul* - zaśmiał się mężczyzna. - Ulubiona historia gringo. *Candiru*. Każdy dzień pływam w rzece i wciąż mam swojego *chuc-chuc*. Działa jak trzeba! - Lubieżnie zakołysał biodrami i mrugnął do Sally.

- Oszczędź mi tego - odparła.

- A zatem opowieści o tej rybie to bujda?

- Nie, prawda! Ale najpierw trzeba nasikać w rzekę. Kandiru czuje sik, płynie i ciach! Jak nie sika, jak pływa, to nie ma problemu!

- Ktoś jeszcze był tu ostatnio? To znaczy jacyś gringos?

- *Si.* Bardzo my byli zajęci. Zeszły miesiąc biały człowiek z wieloma skrzyniami i Indianami z gór.

- Jakimi Indianami? - zapytał z podnieceniem Tom.

- Nagimi, z gór. - Mężczyzna splunął.

- Skąd wzięli łodzie?

- Przywiózł dużo nowych dłubanek z La Ceiba.

- Łodzie wróciły?

Mężczyzna uśmiechnął się, potarł palce w uniwersalnym geście i wyciągnął dłoń. Sally włożyła w nią pięć dolarów.

- Nie wróciły. Człowieki popłynęli w górę rzeki i już nie wrócili.

- Ktoś jeszcze tędy przejeżdżał?

- *Si.* Potem w zeszłym tygodniu Jezus Chrystus przejechał z pijanymi przewodnikami z Puerto Lempira.

- Jezus Chrystus?

- Tak, Jezus Chrystus z długimi włosami, brodą, szatą i sandałami.

- Na pewno Vernon - powiedział Tom z uśmiechem. - Był z nim ktoś jeszcze?

- Tak. Święty Piotr.

Tom przewrócił oczyma.

- Ktoś jeszcze?

- *Si.* Potem jechali dwa gringos i dwanaście żołnierzy w dwóch dłubankach, też z La Ceiba.

- Jak ci gringos wyglądali?

- Jeden bardzo wysoki, pali fajkę, zły. Drugi niższy, z czterema złotymi pierścieniami.

- Philip - powiedział Tom.

Szybko umówili się z mężczyzną na przewóz do Pito Solo i Tom dał mu dziesięć dolarów zaliczki.

- Wypływamy jutro o świcie.

- *Bueno]* Ja być gotowy.

Gdy wrócili z nadbrzeża do baraku z pustaków, pełniącego funkcję hotelu, z zaskoczeniem stwierdzili, że stoi przed nim dżip z oficerem i dwoma żołnierzami. Niedaleko tłumek szepczących i szturchających się dzieci czekał, aż coś się wydarzy. Właścicielka hotelu stała z boku z zaciśniętymi rękami, pobladła z trwogi.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Sally.

Oficer - wyprostowany sztywno, w nieskazitelnym mundurze i małych, wypolerowanych butach - podszedł do nich i krótko skinął głową.

- Czy mam zaszczyt witać senora Toma Broadbenta i senoritę Sally Colorado? Jestem porucznik Vespan. - Uścisnął im po kolei ręce, po czym odsunął się. Wiatr zmienił kierunek i Tom natychmiast poczuł mieszaninę zapachów old spice'a, cygar i rumu.

- W czym problem? - spytała Sally.

Tamten uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd srebrnych zębów.

- Z niezmiernym żalem informuję was, że jesteście aresztowani.

II

Tom utkwił wzrok w drobnym oficerze. Mały pies, który zapałał niechęcią do jednego z żołnierzy, przywarował przed nim, szczerząc zęby i ujadając. Oficer kopnął go eleganckim bucikiem, żołnierze się zaśmiali.

- Pod jakim zarzutem? - zapytał Tom.

- Omówimy to w San Pedro Sula. Teraz raczcie udać się ze mną.

Zapadła niezręczna cisza.

- Nie - powiedziała wreszcie Sally.

- *Senorita,* niech pani nie stwarza problemów.

- Nie stwarzam żadnych problemów. Po prostu nie pojadę. Nie możecie mnie zmusić.

- Sally - przerwał jej Tom. - Mogę ci uświadomić, że ci ludzie mają broń?

- Dobrze. Niech mnie zastrzelą, a potem wytłumaczą się rządowi Stanów Zjednoczonych. - Rozpostarła ręce, tworząc z siebie cel.

- *Senorita,* usilnie proszę.

Dwaj towarzyszący oficerowi żołnierze poruszyli się nerwowo.

- Proszę bardzo, zrób mi tę przyjemność!

Oficer skinął głową swoim ludziom. Ci odłożyli broń, szybko podeszli do Sally i chwycili ją za ręce. Zaczęła szamotać się i krzyczeć. Tom zrobił krok naprzód.

- Zostawcie ją!

Dwaj żołnierze podnieśli dziewczynę i chociaż się szarpała, zaczęli nieść ją do dżipa. Tom zamachnął się na pierwszego z nich i zwalił go

z nóg. Sally wyrwała się na wolność, gdy Tom chwycił drugiego z żołnierzy.

Następną rzeczą, jaka dotarła do Toma, było to, że leży na plecach i patrzy w rozpalone niebieskie niebo. Oficer stał nad nim z zaczerwienioną, gniewną twarzą. Tom czuł pulsowanie bólu u podstawy czaszki, gdzie oficer uderzył go kolbą broni.

Żołnierze brutalnie poderwali go z ziemi. Sally pobladła i przestała się szarpać.

- Sukinsyny, myślicie, że jesteście macho - powiedziała. - Doniesiemy o waszej napaści do ambasady amerykańskiej.

Porucznik potrząsnął głową, jakby zdumiał go bezsens jej słów.

- Może wreszcie odjedziemy stąd w spokoju?

Pozwolili zaprowadzić się do dżipa. Porucznik wepchnął Toma na tylne siedzenie, a Sally usadził obok siebie. Ich torby i plecaki już zabrano z hotelu i zwalono na kupę z tyłu. Dżip ruszył drogą na pas startowy. Czekał tam na trawie zaniedbany helikopter wojskowy. Zdjęto metalową płytę z boku, człowiek z kluczem grzebał w silniku. Dżip zahamował z poślizgiem.

- Co ty wyrabiasz? - zapytał ostro porucznik.
- Przepraszam, *teniente,* ale mamy mały problem.
- Jaki?
- Potrzebujemy części.
- Możesz lecieć bez niej?
- Nie, *teniente.*
- O kurwa! Ile razy ten cholerny helikopter będzie się psuł?!
- Mam dać znać przez radio, żeby przysłali samolot z częścią?
- Tak, matole, masz dać znać przez radio!

Pilot wsiadł do śmigłowca, porozumiał się przez radio i wysiadł.

- Będzie jutro rano, *teniente.* Najwcześniej.

Porucznik kazał zamknąć ich w drewnianej szopie przy pasie startowym i postawił dwóch żołnierzy na straży. Gdy zatrzasnęły się drzwi, Tom usiadł na pustej beczce i objął rękami bolącą głowę.

- Jak się czujesz? - zapytała Sally.
- Jakby moja głowa była mosiężnym gongiem, w który właśnie uderzono.
- Paskudnie ci przyłożył.

Tom pokiwał głową.

Rozległo się szczękanie i drzwi otworzyły się ponownie. Porucznik stanął z boku, podczas gdy jeden z żołnierzy wrzucił do środka ich śpiwory i latarkę.

- Naprawdę przykro mi z powodu tych niewygód.
- Pożałuje pan dopiero, kiedy złożę na pana doniesienie - powiedziała Sally.

Porucznik zignorował ją.

- Niech mi wolno będzie wam doradzić, byście nie robili żadnych głupstw. Rozczarowałbym się, gdyby trzeba było kogoś zastrzelić.

- Nie ośmieliłbyś się, podwórkowy nazisto - zrewanżowała się Sally.

- Wypadki się zdarzają, zwłaszcza Amerykanom, którzy przybywają na La Mosquitia nieprzygotowani do warunków dżungli.

Zęby porucznika błysnęły srebrno-żółto w słabym świetle. Wyszedł tyłem przez drzwi, podwładny zatrzasnął je za nim. Rozległ się stłumiony głos oficera, mówiącego żołnierzom, że jeśli zasną czy upiją się na służbie, osobiście utnie im jądra, ususzy je i powiesi na drzwiach zamiast kołatek.

- Cholerni naziści - powiedziała Sally. - Dzięki, że stanąłeś w mojej obronie.

- Na niewiele się to przydało.

- Mocno cię uderzył? - Obejrzała jego głowę. - Masz paskudnego guza.

- Nic mi nie jest.

Sally usiadła obok; poczuł jej obecność przy sobie. Obejrzał się, ale zobaczył tylko słaby zarys jej profilu, odcinający się od półmroku w szopie. Popatrzyła na niego. Byli tak blisko siebie, że czuł ciepło jej twarzy na swojej, widział kształt jej ust, mały dołek w policzku i piegi rozrzucone na nosie. Wciąż pachniała miętą. Nie zastanawiając się, co robi, wychylił się i musnął jej wargi swoimi. Przez chwilę obydwoje zamarli w bezruchu, po czym Sally gwałtownie się cofnęła.

- To nie był dobry pomysł.

Co mi przyszło do głowy, do cholery?, pomyślał Tom. Odsunął się, zły i upokorzony.

Niezręczną chwilę przerwało gwałtowne łomotanie do drzwi.

- Kolacja - zawołał jeden z żołnierzy.

Drzwi uchyliły się na chwilę, wpuszczając światło, następnie zatrzasnęły z powrotem. Słychać było, jak żołnierz zamyka na powrót kłódkę.

Tom zapalił latarkę i podniósł tacę. Na kolację składały się dwie butelki pepsi, kilka tortilli z fasolą i kopczyk ciepłego ryżu. Żadne z nich nie miało ochoty najedzenie. Przez chwilę siedzieli nieruchomo w ciemności. W miarę jak ból głowy słabł, Tom robił się coraz bardziej wściekły. Ani on, ani Sally nie zrobili nic złego. Czuł, że ich lipne aresztowanie to pewnie intryga bezimiennego nieprzyjaciela, który zabił Barnaby'ego i Fentona. Jego bracia znaleźli się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż myślał.

- Daj mi latarkę.

Poświecił nią dookoła. Szopa nie mogła być już bardziej kiepsko zbudowana - po prostu obite deskami rusztowanie przykryto blaszanym dachem. W umyśle Toma zaczął kształtować się pomysł - plan ucieczki.

18

O wpół do trzeciej nad ranem zajęli miejsca - Sally pod drzwiami, a Tom oparty o tylną ścianę. Odliczyli do trzech i jednocześnie kopnęli deski tak, by hałas Sally pod frontowymi drzwiami zagłuszał rumor Toma. Połączone uderzenia zabrzmiały jak jedno, roznosząc się ogłuszającym pogłosem w zamkniętej przestrzeni. Zgodnie z oczekiwaniami Toma zmurszała deska wypadła. Psy zaczęły ujadać, a jeden z żołnierzy zaklął.

- Co wy wyprawiacie?
- Muszę iść do toalety! - zawołała Sally.
- Nie, nie, załatw się tam!

Tom szeptem odliczył kolejny raz: jeden, dwa, trzy, kopnięcie. Sally znów rąbnęła w drzwi, a on kopniakiem wywalił drugą deskę.

- Przestań! - zawołał żołnierz.
- Ale ja muszę się załatwić, *cabrónl*
- *Senorita,* przykro mi, ale musisz załatwić się w środku. Mam rozkaz nie otwierać drzwi.

Raz, dwa, trzy, kopniak!

Wypadła trzecia deska. Otwór był już wystarczająco duży, by się przecisnąć. Psy wokoło ujadały histerycznie.

- Jeszcze jeden kopniak, a zawołam *tenientel*
- Ale ja muszę wyjść!
- Nic nie poradzę.
- Żadni z was żołnierze, tylko barbarzyńcy.
- Takie mamy rozkazy, *senorita*.
- ~ Tak samo mówili hitlerowscy żołdacy.
- Chodź, Sally - syknął Tom, przywołując ją gestem w ciemnościach.
- Hitler nie był taki najgorszy, *senorita*. Dzięki niemu pociągi jeździły na czas.
- To był Mussolini, idioto. Obydwaj skończycie na szubienicy i nikt was nie pożałuje.
- Sally! - zawołał Tom. Podeszła do niego.
- Słyszałeś, co powiedzieli ci naziści?

Wypchnął ją przez otwór i podał jej śpiwory. Przebiegli chyłkiem po ścieżce przez dżunglę w stronę miasteczka. Nie było w nim elektryczności, lecz tej bezchmurnej nocy blask księżyca oświetlał puste ulice. Psy juz szczekały, więc mogli iść, nie wzbudzając dodatkowego alarmu. Mimo hałasu nikt nie wychodził na ulicę.

Tutejsi ludzie nauczyli się pilnować własnego nosa, pomyślał Tom.

Po pięciu minutach dotarli do łodzi. Tom oświetlił na chwilę dłubankę, tę z osiemnastokonnym silnikiem. Była gotowa do drogi, z dwoma

wielkimi plastikowymi kanistrami benzyny. Zaczął odwiązywać cumę na dziobie. Nagle usłyszał cichy głos z ciemności:

- Wy nie chcieli ta łódź.

Był to ten sam człowiek, którego przedtem wynajęli.

- Pewnie, że chcemy - syknął Tom.

- Niech głupie człowieki z armii ją wezmą. Woda opada. Na każdym zakręcie rzeki utkną. Weźcie moją łódź, to wy nie utkną. W ten sposób wy uciekną. - Wskoczył jak kot na molo i odcumował wąską dłubankę z sześciokonnym silnikiem. - Wsiadajcie.

- Płyniesz z nami?

- Nie, powiem głupim człowiekom z armii, że wy mnie okradli.

Zaczął odwiązywać kanistry z benzyną z łodzi wojskowej i przenosić je na tył swojej. Dał im również zbiornik z benzyną z drugiej łódki. Tom i Sally wsiedli do dłubanki. Tom sięgnął do kieszeni, chcąc dać mężczyźnie pieniądze.

- Nie teraz. Jak mnie przeszukają i znajdą, to mnie zastrzelą.

- Jak możemy ci zapłacić?

- Zapłacicie mi później milion dolar. Nazywam Manuel Waono. Zawsze tu jestem.

- Jak to milion dolarów?

- Wy bogate Amerykany, łatwo zapłacicie mi milion dolar. Ja, Manuel Waono, uratował wasze życie. Płyńcie już. Szybko.

- Jak znajdziemy Pito Solo?

- Ostatnia wieś na rzece.

- Ale skąd mamy wiedzieć...

Indianin nie był jednak zainteresowany udzielaniem jakichkolwiek więcej wyjaśnień. Odepchnął łódź bosą nogą. Pogrążyli się w mroku.

Tom opuścił silnik, zassał paliwo, wcisnął dławik i pociągnął za sznur. Silnik natychmiast ożył z rykiem. W ciszy jego dźwięk wydawał się głośny i wysoki.

- Płyńcie! - zawołał Manuel z brzegu.

Tom wrzucił bieg i odkręcił maksymalnie przepustnicę. Słaby motor zarzęził i zadygotał. Długa drewniana dłubanka zaczęła przecinać wodę. Tom sterował, Sally zaś stała na dziobie i badała rzekę przed nimi w świetle latarki.

Niecałą minutę później Manuel na nadbrzeżu zaczął krzyczeć po hiszpańsku:

- Pomocy! Obrabowali mnie! Łódź, ukradli moją łódź!

- Chryste, nie czekał za długo - mruknął Tom.

Wkrótce po ciemnej rzece poniosła się kakofonia podnieconych głosów. Potem na nadbrzeżu pojawiły się skaczące światła gazowej latarni i latarek, w których blasku widać było grupkę ludzi na prowizorycznym molo. Dały się słyszeć gniewne, zdezorientowane krzyki, po czym za-

padła nagła cisza. Rozległ się głos, mówiący po angielsku - należał do porucznika Vespana:

- Zawróćcie, proszę, bo każę moim ludziom strzelać!

- Wciska kit - powiedziała Sally.

Tom nie był taki pewny.

- Nie myślcie, że żartuję! - krzyknął *teniente*.

- Za nic nie każe strzelać - oświadczyła Sally.

-Jeden… dwa...

- Bzdura - dodała.

- Trzy...

Zapadła cisza.

- *Co* wam mówiłem?

Rozległa się gwałtowna seria z broni maszynowej - ogłuszająco głośna i bliska.

- Kurwa! - krzyknął Tom i rzucił się na dno łodzi. Gdy dłubanka zaczęła zataczać łuk, wyciągnął rękę i przytrzymał ster.

Sally wciąż stała na dziobie, jakby nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Strzelają w powietrze, Tom. Nie zaryzykują, że nas trafią. Jesteśmy Amerykanami.

Rozległa się druga seria. Tym razem Tom wyraźnie usłyszał pluskanie kul o wodę wokół nich. Sally natychmiast wylądowała na dnie obok niego.

- Jezu Chryste, naprawdę do nas strzelają! - zawołała.

Tom skręcił drążek sterowy w bok, robiąc ostry unik. Rozległy się jeszcze dwie serie. Tym razem kule zabrzęczały jak pszczoły nad ich głowami i na lewo. Najwyraźniej celowano z automatów w stronę, skąd dochodziły odgłosy silnika, przeczesując wodę tam i z powrotem. Bez wątpienia strzelano tak, by zabić zbiegów.

Tom sterował zygzakiem, starając się utrudnić strzelcom celowanie. Za każdym razem, gdy zapadała chwila ciszy, Sally unosiła głowę i świeciła przed siebie latarką, by widzieli, dokąd płyną. Byliby bezpieczni - przynajmniej na chwilę - gdyby dotarli za zakręt rzeki.

Rozległa się kolejna seria i tym razem kilka pocisków trafiło w burtę, obsypując ich drzazgami.

- Kurwa!

- Wypłyniemy i was dorwiemy - rozległ się głos porucznika. - Odnajdziemy was i wtedy pożałujecie przez całą niedługą resztę waszych żałosnych żywotów.

Tom policzył do dwudziestu i zaryzykował rzut oka do przodu. Łódź wolno wpływała w zakręt, wychodząc z pola rażenia. Tom sterował nią tak blisko ściany roślinności, jak tylko pozwalała mu na to rozwaga. ^>dy pokonali zakręt, światła na małym molo zamigotały w listowiu i znikły.

Udało im się uciec.

Rozległa się jeszcze jedna, niezbyt ochocza seria. Słychać było szelesty i trzaski w dżungli po lewej stronie, gdy pociski ginęły w roślinności. Odgłos strzałów odbił się echem i nad rzeką zapadła cisza.

Tom pomógł Sally wstać. Jej pobladła twarz w mętnym blasku robiła upiorne wrażenie. Tom poświecił latarką przed siebie. Po obu stronach ciemnej rzeki wznosiła się ściana drzew. Na chwilę w skrawku odsłoniętego nieba zapłonęła pojedyncza gwiazda, potem zamrugała i znikła w kopule drzew. Mały silnik wył bez ustanku. Na razie byli sami na rzece. Otoczyła ich ciemna, wilgotna noc.

Tom ujął Sally za rękę. Poczuł, że dziewczyna drży, a po chwili zorientował się, że jego dłoń też dygocze. Żołnierze do nich strzelali, starali się ich zabić. Widział to miliony razy w filmach, ale być rzeczywiście celem strzałów to zupełnie co innego.

Księżyc zachodził za ścianą dżungli, dusząca ciemność ogarniała rzekę. Tom błyskał latarką, by zorientować się, co jest przed nimi, i omijać wiry oraz kłody drewna. Wokół nich brzęczała rosnąca chmura moskitów. Wydawało się, że z każdą chwilą dołączają do nich tysiące nowych.

- Pewnie nie masz w jednej z tych kieszeni puszki odstraszacza na owady? - zapytał Tom.

- Tak się składa, że zdołałam zabrać z dżipa swój plecaczek. Wepchnęłam go w spodnie. - Wyjęła go z wielkiej kieszeni na udzie i rozpięła suwak. Zaczęła wygarniać ze środka zawartość: buteleczkę tabletek do oczyszczania wody, kilka pudełek wodoodpornych zapałek, rulon studolarowych banknotów, mapę, tabliczkę czekolady, paszport, kilka bezużytecznych kart kredytowych.

- Sama nie jestem pewna, co tu mam.

Zaczęła przeglądać stosik najrozmaitszych rzeczy, podczas gdy Tom przyświecał jej latarką. Butelki płynu do odstraszania owadów nie było. Sally zaklęła i zaczęła chować wszystko z powrotem. Gdy to robiła, wypadła jej fotografia. Tom poświecił na nią. Przedstawiała uderzająco przystojnego młodego mężczyznę z ciemnymi brwiami i rzeźbionym podbródkiem. Poważny wyraz zmarszczonych ciemnych brwi, zdecydowane zaciśnięcie pełnych ust, tweedowa marynarka i sposób przechylenia głowy sugerował, że ów człowiek traktuje siebie bardzo poważnie.

- Kto to? - zapytał Tom.

- Och - powiedziała Sally. - Profesor Clyve.

- To jest Clyve? No, jest taki młody! Wyobrażałem sobie, że to staruszek w zapinanym sweterku, pykający fajkę.

- Nie byłby szczęśliwy, gdyby to usłyszał. Jest najmłodszym profesorem zwyczajnym w historii wydziału. Poszedł na Stanford w wieku szesnastu lat, skończył uniwersytet, gdy miał dziewiętnaście i zrobił doktorat, gdy miał dwadzieścia dwa. To prawdziwy geniusz.

Starannie wsunęła zdjęcie do kieszeni.

- Dlaczego nosisz przy sobie fotografię swojego profesora?

- Hm - odrzekła beztrosko - jesteśmy zaręczeni. Nie mówiłam ci?

-Nie.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Nie przeszkadza ci to, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Tom poczuł, że się rumieni, i miał nadzieję, że ciemność to ukrywa. Zdawał sobie sprawę, że Sally przypatruje mu się uważnie w mętnym świetle.

- Wyglądasz na zaskoczonego.

- Bo jestem. Tak czy inaczej nie nosisz pierścionka zaręczynowego.

- Profesor Clyve nie uznaje tych burżuazyjnych obyczajów.

- I nie przeszkadza mu, że wybrałaś się w tę podróż ze mną... - Tom urwał, bo dotarło do niego, że powiedział dokładnie to, czego nie należało.

- Myślisz, że muszę mieć pozwolenie od mojego mężczyzny, żeby się gdzieś wybrać? Czy też uważasz, że nie można mi zaufać pod względem seksualnym?

Przechyliła głowę i przyjrzała mu się zmrużonymi oczyma. Tom odwrócił wzrok.

- Przepraszam, że pytałem.

Zajął się prowadzeniem łodzi, by ukryć wstyd z powodu swojego potknięcia. Rzeka płynęła bezgłośnie; otaczało ich bagniste, nocne powietrze. W ciemnościach krzyknął ptak. W ciszy, która potem nastąpiła, Tom usłyszał jakiś dźwięk.

Natychmiast zgasił motor, czując łomotanie serca. Dźwięk rozległ się znowu - krztuszenie się zapuszczanego silnika łodzi. Nad rzeką znów zapadła cisza. Łódź znieruchomiała na wodzie.

- Znaleźli benzynę. Płyną za nami.

Łódź zaczęła spływać z prądem. Tom wyjął z dna dłubanki tyczkę i zaparł ją o dno. Łódź ustawiła się bardziej zgodnie z nurtem i znieruchomiała. Przytrzymując ją w miejscu, Tom nasłuchiwał razem z Sally. Rozległo się kolejne kaszlnięcie silnika, a potem jego głośny ryk, który po chwili ścichł do warkotu. Nie było wątpliwości - był to dźwięk doczepianego motoru łodzi.

Tom zabrał się do zapuszczenia na nowo ich silnika.

- Nie rób tego - powiedziała Sally. - Usłyszą nas.

- Nie możemy im uciec tylko o tyczce.

- I tak ich nie przegonimy. Mają osiemnaście koni, dościgną nas [w] pięć minut. - Oświetliła latarką ściany dżungli po obu stronach. Woda sięgała między drzewa, zatapiając przybrzeżny pas roślinności. - Zanuast tego lepiej się schować.

Tom posterował tyczką łódź w stronę skraju zalanego lasu. Wypaczył niewielki prześwit pewnie ujście strumienia w trakcie pory suchej.

Skierował w jego stronę łódź, która zaraz na coś wpadła - na zatopioną kłodę.

- Wysiadaj - powiedział Tom.

Woda miała ledwie trzydzieści centymetrów głębokości, ale pod spodem było dwa razy tyle mułu, w który osunęli się pośród bąbelków. Rozniosła się obrzydliwa woń bagiennego gazu. Tył łodzi nadal za bardzo wystawał i z rzeki można go było w jednej chwili wypatrzyć.

- Podnieś i pchaj.

Z trudem dźwignęli dziób łodzi nad kłodę i przepchnęli ją na drugą stronę. Potem sami przeleźli przez zwalone drzewo i zeskoczyli do czółna. Dźwięk silnika był coraz głośniejszy - łódź żołnierzy szybko płynęła pod prąd.

Sally wzięła drugą tyczkę i obydwoje przesunęli łódź w głąb zatopionego lasu. Tom zgasił latarkę. Po chwili za drzewami pojawił się snop światła potężnego reflektora.

- Wciąż jesteśmy za blisko - szepnął Tom. - Zobaczą nas.

Próbował odpychać się dalej tyczką, ale uwięzła w błocie. Wyszarpnął ją i złożył na dnie łodzi. Następnie chwycił za wiszące pnącza i w ten sposób wciągnął dłubankę głębiej w las, w gąszcz paproci i krzewów. Warkot silnika tamtej łodzi rozlegał się niemal koło nich. Reflektor omiótł las dokładnie w chwili, gdy Tom chwycił Sally i pociągnął na dno dłubanki. Leżeli obok siebie, Tom nakrywał Sally ramieniem. Modlił się, żeby żołnierze nie dostrzegli ich motoru.

Odgłos silnika Evinrude stał się jeszcze głośniejszy. Łódź zwolniła, a reflektor szperał po tej części lasu, w której się ukryli. Tom usłyszał potrzaskiwanie krótkofalówki i mamroczące coś głosy. Reflektor oświetlał dżunglę wokół nich jak dekorację filmową - lecz po chwili przeniósł się dalej. Wróciła błogosławiona ciemność. Warkot silnika ścichł.

Tom usiadł i zdążył jeszcze zobaczyć, jak snop światła reflektora oświetla dżunglę, nim łódź żołnierzy znikła za zakrętem.

- Odpłynęli - powiedział.

Sally podniosła się i odsunęła splątane włosy z twarzy. Moskity znów zebrały się nad nimi rojną, brzęczącą chmarą. Tom czuł je wszędzie - wciskały się w uszy i włosy, starały się dostać do nosa, siadały na karku. Przy każdym klaśnięciu zabijał z tuzin, ale natychmiast przylatywały kolejne. Kiedy próbował nabrać powietrza, wciągał też komary.

- Musimy się stąd wydostać - powiedziała Sally, klepiąc się po twarzy.

Tom zaczął wybierać suche patyki z krzaków wokół nich.

- Co robisz?
- Rozpalam ogień.
- Gdzie?
- Zobaczysz.

Gdy uskładał kupkę patyków, przechylił się na bok i wygarnął z dna trochę mułu. Uklepał go na placek na dnie łodzi, nakrył liśćmi, a na nich ustawił stożek z patyków i suchego poszycia.

- Zapałki!

Sally podała mu pudełko; Tom zapalił jedną. Gdy tylko ogień zapłonął porządnie, Tom dodał trochę zielonych liści i gałązek. Smuga dymu wzniosła się w zastałym powietrzu i zawisła nieruchomo. Tom zerwał z pobliskiego krzaka wielki liść i jak wachlarzem nawiał dym na Sally. Wściekła chmura moskitów wycofała się; dym miał przyjemny, słodko-korzenny zapach.

- Fajna sztuczka - pochwaliła go Sally.

- Ojciec pokazał mi ją na spływie kajakowym na północy Maine.

Sięgnął w górę, zerwał jeszcze trochę liści i dołożył do ognia. Sally wyjęła mapę i zaczęła przyglądać jej się w świetle latarki.

- Wygląda na to, że rzeka ma mnóstwo bocznych koryt. Myślę, że powinniśmy się ich trzymać, aż dotrzemy do Pito Solo.

- Dobry pomysł. Ja z kolei myślę, że od tej pory powinniśmy używać tylko tyczek. Nie możemy zaryzykować włączenia silnika. - Sally pokiwała głową. - Pilnuj ognia - dodał Tom. - Ja będę wiosłował, potem się zamienimy. Nie będziemy się zatrzymywać aż do Pito Solo.

- Dobrze.

Tom zepchnął łódź z powrotem na rzekę. Płynął blisko zalanego lasu, nasłuchując warkotu łodzi motorowej. Wkrótce dotarli do małego bocznego koryta, odchodzącego krętą drogą od głównego, i wpłynęli w nie.

- Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że porucznik Vespan wcale nie zamierzał nas zabrać do San Pedro Sula. Myślę, że zaplanował sobie, że wypadniemy z helikoptera. Gdyby nie ta brakująca część, już byśmy nie żyli.

19

Vernon podniósł wzrok na olbrzymi nieboskłon nad głową i dostrzegł, że nad bagnem Meambar zapada noc. Wraz z nią nasilało się brzęczenie owadów i parny miazmat rozkładu. Smród unosił się wśród gigantycznych pni drzew jak trujący gaz. Gdzieś w głębi dżungli rozległo się stłumione wycie jakiegoś zwierzęcia, a po nim ryk jaguara.

Przez drugą noc z rzędu nie mogli znaleźć twardego gruntu, by rozbić obóz. Zamiast tego przycumowali dłubankę pod kępą ogromnych oromeliad, w nadziei że liście osłonią ich przed stale padającym deszczem. Okazało się, że wręcz przeciwnie - strumyki wody ściekały po liliach i lały się z góry, tak że nie można się było przed nimi uchronić.

Nauczyciel leżał na dnie dłubanki, w deszczu, skulony na stosie zapasów, owinięty mokrym kocem. Mimo dławiącego upału dygotał. Obłok moskitów, rojących się wokół nich jak brzęcząca mgła, był najgęstszy wokół jego twarzy. Vernon widział, jak owady dosłownie pchają się starszemu mężczyźnie do ust i oczu. Wysunął rękę i wtarł w twarz jeszcze trochę środka odstraszającego owady, ale nie miało to sensu. Jeśli preparatu nie zmywał deszcz, wyręczał go w tym pot.

Vernon popatrzył wokół siebie. Dwaj przewodnicy siedzieli na dziobie łodzi, pili i grali w karty przy świetle latarki. Od początku podróży praktycznie nie trzeźwieli, a Vernon ze zgrozą stwierdził, że czterdziestolitrowe plastikowe beczki, o których myślał, że zawierają wodę, są faktycznie pełne samogonu - *aguardiente.*

Skulił się i objął ramionami kolana. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, noc jakby wahała się z nadejściem. Na bagnach nie było zachodu słońca: światło przygasało z zielonego poprzez niebieskie po purpurowe, aż w końcu robiło się ciemno. Nawet w ciągu słonecznego dnia nie widać było słońca, jedynie ciemnozielony półmrok. Vernon rozpaczliwie tęsknił za odrobiną światła, za powiewem świeżego powietrza.

Po czterech dniach wędrówki przez bagna przewodnicy przyznali wreszcie, że zabłądzili i muszą zawrócić. Tak też zrobili, wskutek czego zapewne zabrnęli jeszcze głębiej w bagno. Na pewno nie była to właściwa droga powrotna. Nie można się było z nimi porozumieć, chociaż Vernon mówił zupełnie nieźle po hiszpańsku, a przewodnicy znali trochę angielski, zazwyczaj jednak byli zbyt pijani, by posługiwać się ludzką mową. Przez kilka minionych dni im bardziej czuli się zagubieni, tym więcej pili. Potem zachorował Nauczyciel.

Vernon usłyszał przekleństwo z dziobu. Jeden z przewodników rzucił karty i wygramolił się z ławki ze strzelbą w ręce. Łódź się zakołysała.

- *Cabrónl* - Drugi przewodnik również podniósł się chwiejnie i chwycił maczetę.

Przestańcie! - zawołał Vernon, ale jak zwykle go nie posłuchali. Klnąc, zaczęli się okładać pięściami w pijackiej bójce; strzelba poleciała na bok, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Dwaj przewodnicy tłukli się i warczeli na siebie jeszcze przez jakiś czas, po czym najwyraźniej nie poniósłszy żadnej szkody w szarpaninie, usiedli na ławce, pozbierali rozrzucone karty i jakby nigdy nic wrócili do gry.

- Co to za strzał? - zapytał z opóźnieniem Nauczyciel, otworzywszy oczy.

- Nieważne - powiedział Vernon. - Znowu się schlali.

- Powinieneś odebrać im strzelbę. - Nauczyciel zadygotał i otulił się ciaśniej kocem.

Vernon nie odpowiedział. Próba odebrania przewodnikom broni okazałaby się głupotą, chociaż byli pijani. Zwłaszcza wtedy.

- Komary - szepnął drżącym głosem Nauczyciel.

Vernon nalał na ręce trochę płynu na owady i łagodnie roztarł go po twarzy i szyi Nauczyciela. Starszy mężczyzna westchnął z ulgą, zadygotał przez moment i zamknął oczy.

Vernon otulił się mokrą koszulą. Czuł grube krople deszczu na plecach i wsłuchiwał się w odgłosy lasu - obce krzyki godów i przemocy. Pomyślał o śmierci. Wyglądało na to, że niezależnie od swoich starań otrzyma odpowiedź na pytanie, jakie zadawał sobie przez całe życie - w niespodziewany i potworny sposób.

20

Przez dwa dni nad rzeką zalegała gruba, ochronna opończa mgły. Tom i Sally pchali tyczkami łódź pod prąd krętymi bocznymi odnogami, przestrzegając ścisłego reżimu ciszy. Płynęli dniem i nocą, śpiąc na zmiany. Mieli niewiele do jedzenia z wyjątkiem dwóch tabliczek czekolady Sally, które wydzielali sobie po kawałku, i owoców, które dziewczyna zbierała po drodze. Nigdzie nie dostrzegali śladów tropiących ich żołnierzy. Tom zaczął mieć nadzieję, że tamci zrezygnowali i zawrócili do Laguna de Brus lub coś ich gdzieś zatrzymało. Na rzece było mnóstwo łach, mulistych mierzei i zatopionych kłód, na które mogła wpaść łódź - Waono miał rację.

Rankiem trzeciego dnia mgła zaczęła opadać, ukazując dwie ociekające wilgocią ściany dżungli, okalające czarną powierzchnię wody. Niedługo później wypatrzyli dom na palach nad wodą, ze ścianami z obrzuconej tynkiem plecionki i strzechą. Dalej pokazał się wreszcie brzeg rzeki - stroma skarpa z granitowymi głazami - pierwszy suchy ląd, jaki widzieli przez te dni. Nędzne molo przypominało tamto w Laguna de Brus - rozchwierutana platforma z bambusowych tyczek, przywiązana do wbitych w muł cienkich pni drzew.

- Co o tym myślisz? - zapytał Tom. - Mamy się zatrzymać?

Sally wstała. Jakiś chłopiec łowił ryby na molo małym łukiem i strzałami.

- Pito Solo?

Chłopiec zobaczył ich chwilę wcześniej i nie odpowiedział - uciekł, Porzucając swój sprzęt.

- Spróbujemy - powiedział Tom. - Jeżeli nie dostaniemy czegoś do jedzenia, to po nas.

Odpychając się tyczką, przybił do pomostu.

Sally i Tom wyskoczyli z łodzi. Molo zaskrzypiało pod nimi i zatrważająco się zachwiało. Rozpadający się pomost prowadził na brzeg. Ni-

kogo nie było widać. Wspięli się po śliskim zboczu, potykając się i zjeżdżając po błocie. Wszystko lepiło się od wilgoci. Na szczycie stała niewielka, otwarta chata, przed którą na hamaku siedział stary mężczyzna. Na drewnianym rożnie piekło się jakieś zwierzę. Tom wlepił w nie wzrok, czując rozkoszny aromat mięsa i dymu. Jego apetyt zmalał jedynie odrobinę, gdy zorientował się, że to małpa.

- *Hola* - powiedziała Sally.
- *Hola* - odparł mężczyzna.
- Czy to Pito Solo? - spytała po hiszpańsku Sally.

Zapadła długa cisza, podczas której mężczyzna patrzył na nią niczego niewyrażającym wzrokiem.

- Nie mówi po angielsku - domyślił się Tom.
- Którędy do miasta? *Dondel* Gdzie?

Mężczyzna pokazał we mgłę. Rozległ się ostry krzyk jakiegoś zwierzęcia i Tom podskoczył.

- Tam jest ścieżka - powiedziała Sally.

Wkrótce dotarli do osady na wzniesieniu nad zatopioną dżunglą - pstrej zbieraniny chat z obrzuconej tynkiem plecionki z dachami z blachy lub strzechami. Kury schodziły im z drogi, wychudzone psy chowały się pod ściany domów, patrząc na nich koso. Przeszli przez, wydawałoby się opustoszałą, wieś. Skończyła się ścianą dżungli równie szybko, jak się zaczęła.

- I co teraz? - Sally popatrzyła na Toma.
- Zapukamy.

Wybrał pierwsze lepsze drzwi i zastukał.

Cisza.

Usłyszał szelest i obejrzał się. Zrazu niczego nie dojrzał, dopiero po chwili zorientował się, że zza listowia przygląda mu się setka ciemnych oczu. Były to wyłącznie dzieci.

- Szkoda, że nie mam cukierków - powiedziała Sally.
- Wyjmij dolara.

Sally go usłuchała.

- Halo? Kto chce amerykańskiego dolara?

Rozległ się krzyk i setka dzieci wypadła z zarośli, szturchając się i nawołując z wyciągniętymi rękami.

- Kto mówi po hiszpańsku? - zapytała Sally, wyciągając przed siebie dolara.

Wszyscy naraz zaczęli krzyczeć po hiszpańsku. Z hałasującej grupy wystąpiła naprzód nieco starsza dziewczynka.

- Czym mogę pomóc? - spytała z wielką elegancją i godnością.

Wyglądała na jakieś trzynaście lat i była bardzo ładna. Miała na sobie koszulkę z krótkimi rękawami i szorty; nosiła złote kolczyki. Na plecy spadały jej dwa grube warkocze.

Sally dała jej dolara. W całej grupie rozległo się wielkie westchnienie rozczarowania, ale dzieciarnia przyjęła to bez zawiści. Przynajmniej udało się przełamać lody.

- Jak się nazywasz?

- Marisol.

- Ładne imię. - Dziewczynka się uśmiechnęła. - Szukamy przewodnika, Orlanda Ocotala. Możesz nas do niego zaprowadzić?

- Wypłynął z *yanquis* ponad tydzień temu.

- Z jakimi *yanquW.*

- Wysoki, gniewny gringo z całą pogryzioną twarzą i drugi, uśmiechnięty, ze złotymi pierścieniami na palcach.

Tom zaklął i obejrzał się na Sally.

- Wygląda na to, że Philip podebrał nam przewodnika. - Odwrócił się do Marisol. - Mówili, dokąd się wybierają?

-Nie.

- Są tutaj jacyś dorośli? Płyniemy w górę rzeki i potrzebujemy przewodnika.

- Zabiorę was do mojego dziadka, Don Alfonsa Boswasa - zaproponowała dziewczynka. - To wójt wioski. Wie wszystko.

Poszli za nią. Emanowała aurą pewności siebie i kompetencji, co podkreślała jej wyprostowana sylwetka. Gdy mijali pokrzywione chaty, dochodziła do nich woń gotowanego jedzenia, od której Tom o mało nie zemdlał z głodu. Dziewczynka doprowadziła ich do, wydawałoby się, najmarniejszej chaty w wiosce - powykrzywianej na wszystkie strony sterty kołków, między którymi ostało się wyjątkowo mało zaprawy. Stała obok błotnistego poletka, które widocznie służyło jako plac miejski. Rosła na nim oskubana kępa drzew cytrynowych i bananowców.

Dziewczyna zatrzymała się obok drzwi, a oni weszli do wnętrza. Pośrodku na zbyt niskim dla niego stołku siedział stary mężczyzna. Przez dziury w spodniach widać było jego kościste kolana, siwe kosmyki sterczały mu na głowie we wszystkich kierunkach. Palił fajkę z kukurydzy, wypełniając chatę smołowatym zapachem. Był niski i nosił powiększające oczy okulary, przez co wyglądał, jakby był ciągle zdziwiony. Trudno było sobie wyobrazić go w roli wójta wioski; sprawiał wrażenie największego w niej biedaka.

- Don Alfonso Boswas? - zapytał Tom.

- Kto? - zawołał mężczyzna, chwytając w rękę maczetę i wymachując nią. - Boswas? Ten stary łotr? Przepadł. Wygnali go ze wsi dawno temu. Hultaj żył za długo, tylko siedział, palił fajkę i gapił się na przechodzące obok chaty dziewczyny.

Tom popatrzył na mężczyznę z zaskoczeniem, po czym odwrócił się w stronę dziewczynki. Stała w drzwiach, tłumiąc chichot. Starzec odłożył maczetę i roześmiał się.

- Wejdźcie, wejdźcie. Jestem Don Alfonso Boswas. Usiądźcie. Jestem tylko starym człowiekiem, który lubi sobie pożartować. Mam dwadzieścioro wnuków i sześćdziesięcioro prawnuków. Nigdy mnie nie odwiedzają, więc muszę opowiadać dowcipy obcym. - Mężczyzna posługiwał się osobliwie podniosłą staromodną odmianą hiszpańskiego, z formą *usted*.

Tom i Sally usiedli na dwóch chyboczących się krzesłach.

- Nazywam się Tom Broadbent, a to Sally Colorado - przedstawił ich Tom.

Don Alfonso wstał, ukłonił się oficjalnie i usiadł ponownie.

- Szukamy przewodnika, który zabierze nas w górę rzeki.

- Cóż to - odrzekł starzec - ni z tego, ni z owego wszyscy *yanquis* jak szaleni pchają się w górę rzeki i giną na bagnach Meambar, gdzie pewnie pożrą ich anakondy. Dlaczego?

Tom zawahał się, zdeprymowany nieoczekiwaną reakcją.

- Staramy się odnaleźć jego ojca - wyjaśniła Sally. - Maxwella Broadbenta. Przepłynął tędy miesiąc temu z grupą Indian w dłubankach. Prawdopodobnie mieli ze sobą mnóstwo skrzyń.

Starzec przyjrzał się Tomowi zmrużonymi oczyma.

- Podejdź tu, chłopcze.

Wyciągnął skórzastą dłoń i uścisnął nią rękę Toma jak kleszczami, przyciągając go do siebie. Przyjrzał mu się dokładnie powiększonymi groteskowo przez szkła oczyma. Tom poczuł się, jakby stary człowiek zaglądał wprost w jego duszę. Po chwili mężczyzna wypuścił jego rękę.

- Widzę, że ty i twoja żona jesteście głodni. Marisol!

Powiedział coś do wnuczki w indiańskim narzeczu. Gdy wyszła, zwrócił się znów do Toma:

- A zatem to twój ojciec tędy płynął, tak? Nie wyglądasz mi na szalonego. Chłopak, który ma szalonego ojca, zwykle sam też jest szalony.

- Moja matka była normalna - odparł Tom.

- Dobre! - Don Alfonso zaśmiał się hałaśliwie i poklepał się po kolanie. - Też jesteś żartownisiem. Tak, zatrzymali się tutaj, żeby kupić jedzenie. Biały człowiek był jak niedźwiedź, jego głos niósł się po dżungli. Mówiłem mu, że zwariował, iż chce płynąć na bagna Meambar, ale mnie nie słuchał. Pewnie to wielki wódz z Ameryki. Spędziliśmy razem wspaniały wieczór, bardzo się uśmialiśmy, i dał mi to.

Sięgnął do sterty jutowych worków, pogrzebał w nich i wyciągnął otwartą dłoń. Gdy padł na nią blask słońca, coś zapłonęło barwą gołębiej krwi, z idealną gwiazdą w środku. Włożył ów przedmiot Tomowi w rękę.

- Rubin gwiaździsty - westchnął Tom.

Był to jeden z kamieni z kolekcji ojca, wart niewielką, a może nawet dużą fortunę. Tom poczuł gwałtowny przypływ emocji: ekstrawagancki

dar dla kogoś, kogo polubił, był bardzo w stylu Maxwella Broadbenta. Kiedyś dał żebrakowi pięć tysięcy dolarów, bo ten rozbawił go dowcipną uwagą.

- Tak. Rubin. Za niego moje wnuki pojadą do Ameryki. - Starzec starannie schował skarb z powrotem pomiędzy worki. - Dlaczego twój ojciec to robi? Wywijał się jak koati, kiedy próbowałem się czegoś dowiedzieć.

Tom obejrzał się na Sally. Jak mógł to wyjaśnić?

- Staramy się odnaleźć mojego ojca. Jest... chory.

Na te słowa Don Alfonso otworzył szeroko oczy. Zdjął okulary, przetarł je wytłuszczoną szmatą i włożył z powrotem, jeszcze brudniejsze niż przedtem.

- Chory? Coś zaraźliwego?

- Nie. Jak sam pan powiedział, jest trochę *loco* - szalony - to wszystko. Miał ochotę zabawić się ze swoimi synami w taką grę.

Don Alfonso zastanowił się chwilę, potem potrząsnął głową.

- Widziałem, jak *yanquis* robią wiele dziwnych rzeczy, ale to jest więcej niż dziwne. Czuję, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Jeżeli mam wam pomóc, musisz powiedzieć wszystko.

Tom westchnął i obejrzał się na Sally. Kiwnęła głową.

- Mój ojciec umiera. Popłynął w górę rzeki z całym swoim majątkiem, by go tam pogrzebano, a przedtem postanowił, że jeśli chcemy dostać spadek po nim, musimy odnaleźć jego grobowiec.

Don Alfonso pokiwał głową, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

- Tak, tak. My, Indianie Tawahka, kiedyś tak robiliśmy. Grzebaliśmy się razem ze zgromadzonym majątkiem i synowie zawsze byli za to na nas źli. Potem jednak przybyli misjonarze i zapewniali nas, że Jezus da nam nowe rzeczy w niebie, więc nie musimy niczego zabierać. Dlatego przestaliśmy to robić, ale wierzę, że stary zwyczaj był lepszy. I nie jestem pewny, czy Jezus ma te nowe rzeczy dla ludzi, gdy umrą. Na tych obrazach, które widziałem, on sam jest biedakiem, bez garnków, świń, kur, butów, nie ma nawet żony. - Don Alfonso prychnął głośno. - Może i lepiej pochować się razem ze swoim majątkiem niż pozwolić synom bić się o niego. Kłócą się i tak, zanim jeszcze człowiek legnie w grobie. Dlatego właśnie oddałem synom i córkom wszystko, co miałem, a sam żyję jak nędzarz. Uważam, że to godne szacunku, bo moi synowie nie mają się już o co bić, a co ważniejsze, nie pragną mojej śmierci. - Skończywszy tę przemowę, wsadził z powrotem fajkę w usta.

- Przepływali tędy jeszcze jacyś biali ludzie? - spytała Sally.

- Dziesięć dni temu zatrzymały się tu dwie dłubanki z czterema ludź-**& dwoma Indianami z gór i dwoma białymi. Myślałem, że młodszy to [m]oze Jezus Chrystus, ale w szkole misyjnej powiedziano mi, że to tylko

człowiek z rodzaju tych, których nazywają hipisami. Zostali dzień i popłynęli dalej. Potem, tydzień temu, przybyły cztery dłubanki z żołnierzami i dwoma gringos. Wzięli Orlanda jako przewodnika i odpłynęli. Dlatego zadaję sobie pytanie: dlaczego ci wszyscy szaleni *yanquis* płyną na bagno Meambar? Wszyscy szukają grobowca twojego ojca?

- Tak. To byli dwaj moi bracia.

- Dlaczego nie działacie razem?

Tom nie odpowiedział.

- Wspomniał pan, że z pierwszymi białymi byli dwaj Indianie z gór - wyręczyła go Sally. - Wie pan, skąd pochodzą?

- To nadzy, dzicy ludzie z wyżyn, którzy malują się na czerwono i czarno. Nie chrześcijanie. My tu w Pito Solo jesteśmy trochę chrześcijanami. Niewiele, tylko tyle żeby przypaść do gustu misjonarzom, gdy przyjeżdżają z Ameryki Północnej z jedzeniem i lekarstwami. Wtedy klaszczemy i śpiewany o Jezusie. Tak właśnie dostałem nowe okulary. - Zdjął je i pokazał Tomowi, by mógł je docenić.

- Don Alfonso, potrzebujemy przewodnika, żeby zabrał nas w górę rzeki - oświadczył Tom. - Potrzebujemy też sprzętu i zapasów. Może nam pan pomóc?

Don Alfonso pyknął parę razy fajkę i wreszcie pokiwał głową.

- Zabiorę was.

- Och nie - powiedział Tom, patrząc z obawą na starego, wątłego człowieka. - Nie o to prosiłem. Nie moglibyśmy zabrać pana z wioski, która pana potrzebuje.

- Mnie? Potrzebuje? Wieś nie marzy o niczym bardziej, niż żeby pozbyć się starego Don Alfonsa!

- Ale pan jest ich wójtem.

- Wójtem? Phi!

- To będzie długa, ciężka droga - tłumaczył Tom. - Nieodpowiednia dla człowieka w pańskim wieku.

- Wciąż jestem silny jak tapir! I wystarczająco młody, żeby się jeszcze ożenić. W istocie potrzebuję szesnastolatki, która zapełni puste miejsce w moim hamaku i ukołysze mnie każdego dnia do snu westchnieniami i pocałunkami...

- Don Alfonso...

- Potrzebuję szesnastolatki, żeby mnie podniecała i wsuwała mi rankami język w ucho, by mnie zbudzić razem z ptakami. Nie martwcie się dłużej: ja, Alfonso Boswas, poprowadzę was przez bagno Meambar.

- Nie - odpowiedział tak zdecydowanie jak tylko mógł Tom. - Nie poprowadzi nas pan. Potrzebujemy młodszego przewodnika.

- Nie unikniecie tego. Śniło mi się, że przybędziecie i że wybiorę się z wami. Tak więc postanowione. Mówię po angielsku i hiszpańsku, ale wolę hiszpański. Angielski mnie przeraża - brzmi, jakby kogoś dusili.

Tom obejrzał się na Sally przestraszony. Starzec był niemożliwy.

W tym momencie wróciła Marisol ze swoją matką. Obydwie niosły drewniane półmiski wyłożone palmowymi liśćmi, na których piętrzyły się świeże gorące tortille, smażone rajskie figi, pieczone mięso i orzechy oraz świeże owoce.

Tom nigdy w życiu nie był równie głodny. Razem z Sally zabrali się do ucztowania; zasiadł z nimi także Don Alfonso, podczas gdy dziewczyna i jej matka obserwowały ich w milczeniu i z satysfakcją. Na czas posiłku ustały wszelkie rozmowy. Gdy Tom i Sally skończyli jeść, kobiety w ciszy zabrały ich talerze i napełniły je ponownie, a potem powtórzyły to jeszcze raz.

Po skończonej uczcie Don Alfonso odchylił się na oparcie i wytarł usta.

- Niech pan teraz posłucha - powiedział Tom najbardziej zdecydowanie, jak mógł. - Sen czy nie sen, nie płynie pan z nami. Potrzebujemy młodszego mężczyzny.

- Lub kobiety - dodała Sally.

- Zabiorę ze sobą dwóch młodych mężczyzn, Choriego i Pinga. Jestem jedyny oprócz Orlanda, który zna drogę przez bagno. Bez przewodnika zginiecie.

- Muszę odrzucić pańską ofertę, Don Alfonso.

- Nie macie wiele czasu. Żołnierze was ścigają.

- Byli tutaj? - zapytał zaalarmowany Tom.

- Przypłynęli dzisiaj rano. Wrócą.

Tom obejrzał się na Sally i przeniósł wzrok na Don Alfonsa.

- Nic złego nie zrobiliśmy. Wyjaśnię...

- Nie musisz nic wyjaśniać. Żołnierze to źli ludzie. Musimy natychmiast zacząć zbierać zapasy. Marisol!

- Tak, dziadku?

- Będziemy potrzebowali mat, zapałek, ropy, oleju do silników dwutaktowych, narzędzi, patelni, garnka do gotowania, sztućców i menażek na wodę. - Kontynuował wyliczanie listy zapasów i jedzenia.

- Macie lekarstwa? - spytał Tom.

- Dzięki misjonarzom mamy mnóstwo amerykańskich lekarstw. Bardzo klaskaliśmy dla Jezusa, żeby je dostać. Marisol, powiedz, żeby przyszli ludzie, którzy mają te rzeczy na sprzedaż, ale za rozsądną cenę.

Marisol wybiegła z rozwianymi warkoczami. Po niecałych dziesięciu minutach wróciła, prowadząc grupę mężczyzn, kobiet i dzieci, z których każdy coś niósł. Don Alfonso został w chacie, zachowując wyniosłą obojętność wobec przyziemnego handlu, podczas gdy Marisol radziła sobie z tłumem.

- Kupcie, co zechcecie, i powiedzcie pozostałym, żeby sobie poszli - Poradziła Marisol. - Podadzą wam cenę. Nie targujcie się; tak nie postępujemy. Po prostu mówcie: tak lub nie. Ceny są uczciwe.

Przemówiła ostro do nierównej linii ludzi, którzy zebrali się ciaśniej i trochę wyprostowali.

- Będzie szefową wioski - powiedział Tom do Sally po angielsku, patrząc na karnie ustawiony rząd ludzi.

- Już jest.

- Jesteśmy gotowi - oznajmiła Marisol.

Dała znak pierwszemu mężczyźnie w rzędzie. Podszedł i wyciągnął przed siebie pięć płóciennych worków.

- Czterysta - powiedziała dziewczynka.

- Dolarów?

- Lempir.

- Ile to będzie w dolarach? - spytał Tom.

- Dwa.

- Bierzemy.

Następna osoba podeszła z wielkim worem fasoli, workiem łuskanej suszonej kukurydzy i niewymownie obtłuczonym aluminiowym garnkiem z pokrywką. Brakowało rączki; w jej miejsce dorobiono pięknie rzeźbiony i naoliwiony drewniany uchwyt.

- Jeden dolar.

- Bierzemy.

Mężczyzna położył rzeczy i cofnął się, podczas gdy następny podszedł z dwiema koszulkami z krótkimi rękawami, parą brudnych szortów, czapką w stylu kierowcy ciężarówki i nowiuteńką parą butów Nike.

- Mam już ubranie na zmianę - powiedział Tom. Przyjrzał się adidasom. - Dokładnie w moim rozmiarze. Wyobraź sobie, w takim miejscu nowiutka para air jordanów.

- Tutaj je produkują - wyjaśniła Sally. - Pamiętasz skandale z warsztatami z siłą najemną?

- Och, prawda.

Procesja dóbr trwała: plastikowe maty, worki fasoli i ryżu, suszone i wędzone mięso, o które Tom postanowił nie wypytywać zbyt dokładnie, banany, stupięćdziesięciolitrowa beczka ropy, pudełko soli. Niejeden z mieszkańców przyniósł puszki ekstrasilnego raidu, środka do odstraszania owadów, którego kupna Tom odmówił.

Nagle w tłumie zapanowała cisza. Tom usłyszał ciche brzęczenie silnika łodzi.

- Musicie pójść za mną do lasu - rzuciła szybko Marisol. - Prędzej!

Tłum natychmiast się rozpierzchnął i wokoło zapanowała cisza. Wioska znowu wydawała się pusta. Dziewczynka spokojnie poprowadziła parę Amerykanów w las po niemal niewidocznej ścieżce. Między drzewami unosiła się mgiełka, poprzedzająca zachód słońca. Otaczały ich moczary, ale dróżka wiła się po wyższych partiach terenu. Odgłosy z wioski ucichły, otulił ich płaszcz ciszy. Po dziesięciu minutach marszu dziewczynka przystanęła.

- Zaczekamy tutaj.
- Jak długo?
- Dopóki żołnierze nie odpłyną.
_ A *co* z naszą łodzią? - spytała Sally. - Nie rozpoznają jej?
- Już ją schowaliśmy.
_ Dobry pomysł. Dzięki.
_ Nie ma za co.

Pełna spokoju dziewczynka zwróciła spojrzenie ciemnych oczu ku wylotowi ścieżki i czekała, cicha i nieruchoma jak łania.

- Gdzie się uczyłaś? - spytała po chwili Sally.
- W szkole baptystów w dole rzeki.
- Misjonarskiej?
-Tak.
- Jesteś chrześcijanką?
- Och tak - odpowiedziała Marisol, odwracając się do niej z poważną miną. - A pani nie?
- Cóż, hm, moi rodzice byli chrześcijanami. - Sally się zarumieniła.
- To dobrze - odparła z uśmiechem dziewczynka. - Nie chciałabym, żeby poszła pani do piekła.
- No dobrze. - Tom przerwał niezręczną ciszę. - Ciekaw jestem, Marisol, czy ktokolwiek w wiosce oprócz Don Alfonsa zna drogę przez bagna Meambar.
- On jeden - odrzekła, patrząc na niego poważnie.
- Trudno przedostać się na drugą stronę?
- Bardzo.
- Dlaczego tak mu zależy, żeby nas zabrać?
- Nie wiem. - Marisol pokręciła po prostu głową. - Ma sny i wizje, a to była jedna z nich.
- Naprawdę miał sen, że tu przyjedziemy?
- Och tak. Kiedy przypłynął pierwszy biały człowiek, Don Alfonso powiedział, że wkrótce pojawią się jego synowie. I jesteście.
- Szczęśliwy domysł - odezwał się Tom po angielsku.

Nad lasem rozległ się daleki odgłos strzału, potem kolejny. Przetoczył się prawie jak grom, osobliwie zniekształcony przez dżunglę, i ucichł dopiero po długiej chwili. Na Marisol zrobiło to straszne wrażenie. Pobladła, zachwiała się i zadrżała, ale nic nie powiedziała i pozostała w bezruchu. Toma ogarnęła zgroza. Czyżby kogoś zastrzelono?

- Nie strzelają do ludzi? - zapytał.
- Nie wiem.

Tom zobaczył, że oczy dziewczynki wypełniły się łzami, ale w żaden inny sposób nie zdradziła swoich emocji. Sally chwyciła go za rękę.

- Strzelają do ludzi z naszego powodu? Musimy się oddać w ich ręce.
- Nie - odparła kategorycznie dziewczynka. - Pewnie strzelają w po-

wietrze. Możemy jedynie czekać. - Po jej policzku pociekła pojedyncza łza.

- Nie powinniśmy się tu w ogóle zatrzymywać - powiedziała Sally, przechodząc na angielski. - Nie mieliśmy prawa narażać tych ludzi na niebezpieczeństwo, Tom. Musimy wrócić do wioski i przeciwstawić się żołnierzom.

- Masz rację. - Tom ruszył z miejsca.

- Jeśli wrócicie, na pewno was zastrzelą - odezwała się dziewczynka. - Wobec żołnierzy jesteśmy bezradni.

- Nie ujdzie im to płazem - oświadczyła Sally drżącym głosem. - Doniosę o wszystkim do ambasady amerykańskiej. Ci żołnierze zostaną ukarani.

Marisol nic nie powiedziała. Zamilkła i ponownie znieruchomiała jak łania, drżąc nieznacznie. Nawet łzy znikły z jej oczu.

21

Lewis Skiba został sam w gabinecie. Było jeszcze wczesne popołudnie, ale odesłał pracowników do domu, by nie dobrała się do nich prasa. Wyłączył z gniazdka telefon i zamknął drzwi od wewnątrz. Podczas gdy firma sypała się wokół niego, siedział otoczony kokonem milczenia, spowity złotym blaskiem własnej produkcji.

Komisja Papierów Wartościowych nie czekała nawet na koniec dnia na giełdzie, by ogłosić, iż wszczęto dochodzenie w sprawie nieprawidłowości księgowych w Lampe-Denison Pharmaceuticals. Oświadczenie to podziałało na giełdę jak cios młota; kurs akcji firmy wynosił teraz siedem i jedna czwarta oraz nadal spadał. Firma przypominała ginącego wieloryba, osłabłego, przewalającego się w wodzie, otoczonego chmarą bezmózgich, rozszalałych rekinów - graczy na zniżkę - którzy rozrywali ją na kawałki. Była to prymitywna, darwinowska orgia pożerania. Każdy dolar, uszczknięty z ceny akcji, oznaczał dziurę wielkości stu milionów w wartości giełdowej firmy. Skiba był bezradny.

Prawnicy firmy spełnili swój obowiązek i wydali zwyczajowe oświadczenie, że zarzuty są bezzasadne, a Lampe-Denison wyraża gotowość do współpracy, by oczyścić swoje imię. Graff, główny księgowy, odegrał swoją rolę, zapewniając, że firma skrupulatnie przestrzegała ogólnie przyjętych zasad księgowości. Audytorzy firmy demonstrowali szok i przerażenie, twierdząc, że polegali na finansowych deklaracjach i zapewnieniach zarządu, a jeśli zdarzyły się jakieś nieprawidłowości, to zostali oszukani dokładnie tak samo jak wszyscy inni. Szermowano wszelkimi frazesami, jakie Skiba słyszał od wszystkich innych kantują-

cych firm i legionów ich współpracowników. Było to równie drętwe i z góry zaprogramowane jak japoński dramat kabuki. Wszyscy oprócz niego trzymali się scenariusza. Obecnie ludzie chcieli usłyszeć, co on ma do powiedzenia - wielki i groźny Skiba. Czekali, aż będą mogli zedrzeć kurtynę, aż będą mogli zobaczyć kuglarza, pociągającego za sznurki.

Wierzył, że tak się nie stanie, dopóki starczy mu tchu w piersi. Niech ujadają i jazgoczą; on zachowa milczenie. A potem, kiedy pojawi się Kodeks, cena akcji wzrośnie dwakroć, trzykroć, czterokroć...

Popatrzył na zegarek. Jeszcze dwie minuty.

Głos Hausera w słuchawce telefonu satelitarnego był tak klarowny, jakby mężczyzna dzwonił z sąsiedniego pokoju, tylko przez deszyfrator nabierał tembru Kaczora Donalda. Urządzenie nie tuszowało jednak jego bezczelnej poufałości, chamstwa osiłka ze szkolnego boiska.

- Cześć, Lewis! - odezwał się Hauser. - Co słychać?

Skiba odczekał, aż upłynie chwila lodowatego milczenia.

- Kiedy dostanę Kodeks?

- Sytuacja jest następująca: tak jak myślałem, średni brat, Vernon, zgubił się na bagnach i pewnie już po nim. Drugi brat, Tom...

- Nie pytałem o braci. Nic mnie nie obchodzą. Pytałem o Kodeks.

- Powinni pana obchodzić. Wiesz pan, jaka jest stawka. Tak jak mówiłem, Tom zdołał wymknąć się żołnierzom, których wynająłem, żeby go zatrzymali. Tropią go w górze rzeki i może dopadną, zanim dotrze do bagna, ale okazał się o wiele sprytniejszy, niż przewidywałem. Jeśli mamy go powstrzymać, to ostatnim miejscem, gdzie to będzie możliwe, jest początek bagna. Nie mogę ryzykować, że zgubię jego ślad w górach za moczarami. Nadąża pan?

Skiba ściszył dźwięk, by arogancki, kwaczący głos mniej go drażnił. Nie sądził, że kiedykolwiek w życiu znienawidzi kogokolwiek tak, jak Hausera w tej chwili.

- Drugi problem to najstarszy syn, Philip. W którymś momencie będę musiał się nim zająć. Jeszcze trochę go potrzebuję, ale kiedy przeżyje okres swojej użyteczności... cóż, nie możemy pozwolić, żeby „wyrwał się" - to pański zwrot czy mój? - z rewelacjami, że jest właścicielem Kodeksu. Podobnie Vernon i Tom. To samo odnosi się do kobiety, z którą podróżuje Tom, Sally Colorado.

Zapadło długie milczenie.

- Rozumie pan, o czym mówię?

Skiba czekał dalej, próbując się opanować. Te rozmowy to kolosalna strata czasu. Co więcej, są niebezpieczne.

- Jest pan tam, Lewis?

- Dlaczego po prostu nie robi pan swojego? - odpowiedział z gnie-

wem Skiba. - Po co te rozmowy? Ma pan za zadanie dostarczyć mi Kodeks. Jak pan to zrobi, to pański interes, Hauser.

- Och, to piękne. - Chichot Hausera zamienił się w śmiech. - Nie wywinie się pan tak łatwo. Cały czas pan wiedział, co się będzie działo. Miał pan nadzieję, że załatwię wszystko sam. Nic podobnego. Niech pan nie liczy na możliwość wyparcia się, zasłonięcia samowolą wynajętego człowieczka czy też pójścia na ugodę. Kiedy nadejdzie pora, każe mi pan ich zabić. To jedyny sposób i pan o tym wie.

- Proszę natychmiast przestać tak mówić. Nie będzie żadnego zabijania.

- Och, Lewis, Lewis...

Skibie zrobiło się niedobrze. Czuł, jak jego żołądek atakują falami mdłości. Kątem oka zobaczył, że kurs znów spada. Komisja Papierów Wartościowych nie zatrzymała obrotu akcjami, pozwoliła akcjom Lampe-Denison spadać na łeb na szyję. Od niego, Lewisa Skiby zależał los dwudziestu tysięcy pracowników, milionów chorych ludzi, potrzebujących leków firmy, a także jego żony i dzieci. Do tego dom, opcje na dwa miliony akcji i sześć milionów już na jego koncie...

Usłyszał głośne ryknięcie w słuchawce - bez wątpienia śmiech. Nagle zrobiło mu się bardzo słabo. Jak mógł do tego dopuścić? Jak ten człowiek wymknął mu się spod kontroli?

- Niech pan nikogo nie zabija - powiedział i przełknął, nim zdołał dokończyć zdanie.

Czuł, że lada chwila zwymiotuje. Istniały legalne sposoby, by osiągnąć cel - synowie przywiozą Kodeks, wtedy siądzie z nimi do negocjacji, uzgodni cenę... Wiedział jednak, że tak nie będzie, skoro toczyło się dochodzenie, cena akcji spadała na łeb na szyję, a na temat firmy krążyły plotki.

- Niech pan słucha, wiem, że to trudna decyzja. - Głos Hausera nagle złagodniał. - Jeśli rzeczywiście tak panu na tym zależy, to zawrócę i zapomnimy o Kodeksie. Naprawdę.

Skiba przełknął. Kula w gardle urosła tak, że miał wrażenie, iż lada chwila się udusi. Trzech uśmiechniętych synów uśmiechało się do niego ze srebrnych ramek na biurku.

- Niech pan powie tylko słowo, a wracamy. Damy sobie spokój.

- Ma nie być zabijania.

- Pan słucha: nie musimy jeszcze podejmować żadnej decyzji. Może się pan z tym prześpi?

Skiba podniósł się z fotela. Na chwiejnych nogach próbował dojść do obitego skórą florentyńskiego kosza na śmieci ze złotymi okuciami, ale dotarł tylko do kominka. Gdy wymiociny trzeszczały i skwierczały w ogniu, wrócił do telefonu, podniósł go, by coś powiedzieć, potem zmienił zdanie i drżącą dłonią odłożył słuchawkę na widełki. Następnie

podniósł dłoń ku najwyższej szufladzie biurka i sięgnął po chłodną, plastikową buteleczkę.

Pół godziny później Tom dojrzał ruch w lesie. Na ścieżce pojawiła się stara kobieta w chuście. Marisol podbiegła do niej ze szlochem i przez chwilę szybko rozmawiały w swoim języku. Wreszcie dziewczynka odwróciła się w stronę Toma i Sally z wyrazem niezmiernej ulgi w oczach.

- Tak jak mówiłam - żołnierze tylko strzelali w powietrze, żeby nas przestraszyć, potem odpłynęli. Przekonaliśmy ich, że nie pojawiliście się tutaj, że tędy nie przepływaliście. Zawrócili w dół rzeki.

Gdy zbliżyli się z powrotem do wioski, zobaczyli, że Don Alfonso stoi przed chatą, paląc fajkę. Wyglądał tak obojętnie, jakby nic się nie stało. Gdy się zbliżyli, na jego twarzy zajaśniał szeroki uśmiech.

- Chori! Pingo! Wyłaźcie! Chodźcie, poznacie *yanqui,* którzy będą waszymi nowymi szefami! Chori i Pingo nie mówią po hiszpańsku, mówią tylko językiem Tawahka, ale muszę na nich krzyczeć po hiszpańsku, żeby pokazać swoją wyższość. Wy też będziecie musieli na nich krzyczeć.

W drzwiach chaty ujrzeli dwa wspaniałe okazy męskiej siły. Obaj Indianie byli nadzy od pasa w górę, ich muskularne torsy lśniły od oliwy. Ten, który nazywał się Pingo, miał tatuaże w zachodnim stylu na ramionach i indiańskie na twarzy; w dłoni trzymał prawie metrową maczetę, Chori zaś miał przerzuconą przez ramię starą strzelbę marki Springfield, a w drugiej ręce niósł strażacką siekierę firmy Pułaski.

- Załadujemy teraz łódź. Musimy jak najszybciej opuścić wioskę.

- Wygląda na to, że Don Alfonso będzie jednak naszym przewodnikiem. - Sally obejrzała się na Toma.

Krzycząc i energicznie gestykulując, Don Alfonso wydawał polecenia nowym podwładnym, w miarę jak znosili zapasy na brzeg rzeki. Łódź Toma i Sally wróciła na to samo miejsce, jakby nigdy go nie opuszczała. Po półgodzinie pakowanie dobiegło końca - wszystkie rzeczy zwalono na wielką stertę na środku dłubanki i przykryto plastikową plandeką, przywiązaną sznurami. Tymczasem na brzegu zebrał się tłum [1] rozpalono ogniska.

- Wspaniała z ciebie dziewczyna - powiedziała Sally do Marisol, obracając się w jej stronę. - Uratowałaś nam życie. Możesz robić w życiu wszystko, co tylko zechcesz, wiesz o tym?

- Chcę tylko jednego. - Dziewczynka posłała jej zdecydowane spojrzenie, prostując się z dumą.

- To znaczy?

- Wyjechać do Ameryki. - Nie powiedziała nic więcej, tylko wpatrywała się w Sally z poważną, inteligentną miną.

- Mam nadzieję, że ci się to uda - odparła Sally.

- Uda. - Marisol uśmiechnęła się z przekonaniem i jeszcze bardziej wyprostowała ramiona. - Don Alfonso obiecał. Ma rubin.

Na brzegu rzeki roiło się teraz od ludzi. Odpłynięcie Amerykanów najwidoczniej było wystarczającym powodem do świętowania. Grupka kobiet gotowała na ognisku wspólny posiłek. Dzieciarnia biegała, bawiła się, śmiała i ganiała za kurami. Wreszcie, gdy wydawało się, że przyszła tu już cała wioska, Don Alfonso przeszedł przez rozstępujący się przed nim tłum. Miał na sobie nowiuteńką parę szortów i koszulę z krótkimi rękawami z nadrukiem: „Nie ma strachu". Gdy stanął obok Sally i Toma na bambusowym molo, jego twarz promieniała uśmiechem.

- Wszyscy zebrali się na pożegnanie - powiedział do Broadbenta. - Widzisz, jak bardzo kochają mnie w Pito Solo. Jestem ich wyjątkowym Don Alfonsem Boswasem. Macie dowód, że wybraliście właściwą osobę, by przeprowadziła was na drugą stronę bagna Meambar.

W pobliżu ktoś odpalił parę petard, rozległy się piskliwe śmiechy. Kobiety zaczęły rozdawać jedzenie. Don Alfonso ujął Toma i Sally za ręce.

- Wsiądźmy teraz do łodzi.

Nadal rozebrani do pasa Chori i Pingo zajęli już miejsca, jeden na dziobie, drugi na rufie. Don Alfonso pomógł wsiąść Amerykanom, podczas gdy dwaj mali chłopcy ustawili się przy końcach łodzi, by pomóc ją odcumować. Starzec wsiadł na końcu. Odzyskał równowagę i odwrócił się w stronę tłumu. Zapadło milczenie - zapowiadało się, że Don Alfonso wygłosi mowę. Gdy cisza była już zupełna, zaczął mówić najbardziej uroczystą odmianą hiszpańskiego:

- Moi przyjaciele i rodacy, wiele lat temu przepowiedziano, że w wiosce zjawią się biali ludzie, z którymi wyruszę w długą podróż. I oto przybyli. Wyruszamy na ryzykowną wyprawę przez bagno Meambar. Będziemy mieli wiele przygód, zobaczymy wiele niezwykłych i cudownych rzeczy, których jeszcze nigdy nie ujrzało ludzkie oko. Możecie zapytać, dlaczego ruszamy w tę wielką podróż. Powiem wam. Ten Amerykanin przybył tu, by ocalić swojego ojca, który postradał rozum i porzucił swoją żonę i bliskich, zabierając ze sobą cały majątek i pozostawiając krewnych w nędzy. Biedna żona codziennie wylewa po nim łzy, bo nie może wyżywić swojej rodziny ani obronić jej przed dzikimi zwierzętami. Ich dom się wali, strzecha przegniła, a deszcz leje się do środka. Nikt nie weźmie za żony jego sióstr i wkrótce będą zmuszone oddawać się mężczyznom za pieniądze. Ten młody człowiek, ten dobry syn, przybył tu, by wyleczyć swojego ojca z obłędu i zabrać go z powrotem do

Ameryki, gdzie będzie mógł dożyć szacownego sędziwego wieku i umrzeć w swoim hamaku, nie ściągając na rodzinę hańby i głodu. Potem jego siostry znajdą mężów, a siostrzeńcy i siostrzenice zajmą się jego *milpas* - poletkami - dzięki czemu on sam będzie mógł zamiast pracy oddać się grze w domino w gorące popołudnia.

Wieś słuchała przemowy jak zaklęta. Don Alfonso niewątpliwie znal się na snuciu opowieści, pomyślał Tom.

- Dawno temu, przyjaciele, miałem sen, iż opuszczę was właśnie w ten sposób - że wyruszę w wielką podróż na kraj świata. Mam obecnie sto dwadzieścia jeden lat i oto wreszcie mój sen się spełnił. Niewielu ludzi byłoby zdolnych do czegoś podobnego w tym wieku. W mych żyłach wciąż płynie gęsta krew, i gdyby moja Rosita żyła, codziennie by się uśmiechała... Żegnajcie, przyjaciele. Wasz ukochany Don Alfonso Boswas opuszcza wieś ze łzami smutku w oczach. Zawsze o mnie pamiętajcie, opowiadajcie o mnie swoim dzieciom i niech one przekazują tę opowieść swoim dzieciom, po kres czasów.

Rozległy się ogłuszające wiwaty, w górę poleciały petardy, wszystkie psy zaczęły ujadać. Część starych mężczyzn zaczęła stukać kołkami w złożonym rytmie. Łódź zepchnięto w wodę, a Chori zapuścił silnik. Przeciążona dłubanka prawie pogrążyła się dziobem w rzece. Don Alfonso nadal stał, machając rękami i rozdając pocałunki opętańczo wiwatującemu tłumowi, aż łódź pokonała pierwszy zakręt.

- Czuję się, jakbyśmy właśnie wystartowali balonem z Czarnoksiężnikiem z Oz - powiedziała Sally.

Don Alfonso wreszcie usiadł, ocierając łzy z oczu.

- Ach, sami widzieliście, jak kochają swojego Don Alfonsa Boswasa.

Oparł się o stertę zapasów, wyciągnął fajkę z kaczana kukurydzy, napchał ją tytoniem i zaczął palić z zadumą na twarzy.

- Naprawdę ma pan sto dwadzieścia jeden lat? - spytał Tom.

- Nikt nie wie, ile naprawdę ma lat. - Wzruszył ramionami starzec.

- Ja wiem ile.

- Zliczyłeś każdy rok, który przeżyłeś?

- Nie, ale inni robili to za mnie.

- Zatem nie wiesz naprawdę.

- Wiem. Data jest zapisana na moim akcie urodzenia, podpisał się pod tym lekarz, który odbierał poród.

- Co to za lekarz i gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

- Zatem naprawdę wierzysz jakiemuś bezwartościowemu kawałkowi papieru, podpisanemu przez nieznanego ci człowieka?

Tom popatrzył na starca, pokonany jego obłędną logiką.

- Tacy, jak pan, mają świetny zawód w Ameryce - powiedział. - Nazywamy ich prawnikami.

- Dobry żart! - Don Alfonso roześmiał się głośno, klepiąc w kolano. - Przypominasz swojego ojca, Tomasito, był bardzo zabawnym człowiekiem.

Chichotał jeszcze przez chwilę, pykając fajkę. Tom wyjął mapę Hondurasu i zaczął się jej przyglądać. Don Alfonso zerknął na nią podejrzliwie i wyrwał mu ją z rąk. Popatrzył na mapę z jednej strony, potem z drugiej.

- Co to jest? Ameryka Północna?

- Nie, południowy Honduras. To rzeka Patuca, a tutaj jest Laguna de Brus. Wieś Pito Solo powinna być tutaj, ale nie została zaznaczona. Bagno Meambar najwyraźniej też.

- A zatem według tej mapy nie istniejemy i bagna Meambar też nie ma. Pilnuj, żeby ta bardzo ważna mapa nie przemokła. Któregoś dnia przyda się nam, aby rozpalić nią ogień.

Don Alfonso zaśmiał się z własnego dowcipu i machnął ręką na Choriego i Pinga, którzy po chwili zaczęli się śmiać razem z nim, chociaż najwyraźniej nie zrozumieli ani słowa z tego, co powiedział. Staruszek śmiał się hałaśliwie dalej, klepiąc się po udach, aż łzy pociekły mu z oczu.

- Dobrze zaczęliśmy naszą wyprawę - uznał, kiedy doszedł do siebie. - Będzie nam towarzyszyć dobry humor i mnóstwo żartów. Inaczej zwariujemy na bagnie i ono nas zabije.

23

Obóz rozbito na wyżej położonej wysepce pośród bagna. Philip siedział przy ognisku, paląc fajkę i wsłuchując się w wieczorne odgłosy dżungli. Zdumiewało go, jak sprawnie radził sobie Hauser w tutejszych warunkach, wytyczając obozowisko, nadzorując jego zakładanie i rozsyłając żołnierzy do rozmaitych zadań. Nie pytał o nic Philipa i zbył jego oferty pomocy. Philip zresztą bynajmniej nie miał ochoty babrać się w błocie, polując na wielkie szczury na kolację, co bodajże działo się właśnie w tej chwili. Tyle że nie znosił czuć się bezużyteczny. Nie o takie wyzwanie chodziło jego ojcu - wysiadywanie przy ognisku z fajką w ręce, podczas gdy inni odwalali całą robotę.

Kopnięciem wrzucił patyk w ogień. Do diabła z owym wyzwaniem! Była to najbardziej idiotyczna rzecz, jaką zrobił dzieciom ojciec od czasów, gdy król Lir podzielił swoje królestwo między córki.

Orlando Ocotal, przewodnik zabrany z żałosnej mieściny nad rzeką, ulokował się osobno. Gotował ryż na małym ognisku. Był to dziwny człowiek - niski, milkliwy, pełen bezgranicznej godności. Miał w sobie

coś, co podobało się Philipowi - wyglądał na jednego z tych nielicznych ludzi, którzy noszą w sobie niezmącone, wewnętrzne przekonanie o własnej wartości. Na pewno znał się na swojej robocie - dzień po dniu wiódł ich bez najmniejszego wahania przez niewiarygodny labirynt kanałów.]sfie przejmował się nawoływaniami, pytaniami i komentarzami Hausera. Był odporny na wszelkie próby nawiązania rozmowy, czy to ze strony detektywa, czy Philipa.

Philip wyrzucił kopeć i nabił fajkę z powrotem, zadowolony, że pamiętał o zaopatrzeniu się w zapas tytoniu Dunhill Early Morning. Naprawdę powinien się ograniczać, zwłaszcza zważywszy na raka ojca. Ale dopiero po powrocie. Na razie dym był jedynym sposobem odstraszenia moskitów.

Rozległy się nawoływania. Odwróciwszy się, Philip zobaczył, że Hauser wraca z polowania z czterema żołnierzami, dźwigającymi przywiązanego do tyczki martwego tapira. Wywindowali zwierzę w górę za pomocą zawieszonego na gałęzi drzewa wielokrążka. Hauser zostawił swoich ludzi i usiadł obok Philipa. Rozeszła się słaba woń płynu po goleniu, tytoniowego dymu i krwi. Detektyw wyjął cygaro, obciął je i przypalił. Wciągnął dym w usta i wypuścił go przez nos jak ziejący ogniem smok.

- Robimy wspaniałe postępy, nie sądzisz, Philipie?
- Godne podziwu.

Philip zabił klaśnięciem dłoni komara. Nie pojmował, dlaczego moskity nie gryzą Hausera, chociaż ten nigdy nie używał płynu odstraszającego owady. Może nikotyna w jego krwiobiegu miała śmiercionośne stężenie. Philip zauważył, że detektyw zaciąga się dymem z cygar tak, jak większość palaczy papierosami. Dziwne, że jeden człowiek żyje dzięki temu, od czego umiera inny.

- Znasz dylemat Czyngis-chana? - spytał Hauser.
- Niestety nie.
- Gdy Czyngis-chan szykował się na śmierć, chciał zostać pogrzebany, jak przystało wielkiemu władcy takiemu jak on - ze stosami skarbów, końmi i konkubinami, którymi mógłby się cieszyć w zaświatach. Wiedział jednak, że jego grobowiec prawie na pewno zostanie obrabowany, przez co on sam zostanie pozbawiony wszelkich uciech, należnych po śmierci. Długo się nad tym zastanawiał i nie mógł nic wymyślić. Wreszcie wezwał wielkiego wezyra, najmądrzejszego człowieka w królestwie. „Co mam zrobić, żeby nie obrabowano mojego grobowca?", zapytał go. Wezyr długo się zastanawiał i wreszcie wpadł na odpowiedź. Wyłuszczył ją Czyngis-chanowi, a władca był usatysfakcjonowany. Gdy wreszcie umarł, wezyr przystąpił do realizacji planu. Wysłał dziesięć tysięcy robotników w odległe góry Ałtaj, gdzie wyrąbali w zboczu góry grobowiec, wypełnili go złotem, klejnotami, winem, jedwabiami, drew-[n]em sandałowym i kadzidłami. Ponad sto pięknych dziewic i tysiąc ko-

ni złożono w ofierze dla przyjemności wielkiego chana w zaświatach. Odbył się olśniewający pogrzeb, urządzono ucztę dla robotników, a potem ciało Czyngis-chana zamurowano w grobowcu i starannie ukryto wejście. Zasypano je ziemią, a potem tysiąc konnych jeździło tam i z powrotem po dolinie, by ukryć wszelkie ślady pracy. Gdy robotnicy i jeźdźcy wrócili, wezyr przywitał ich z armią chana i wyciął wszystkich w pień.

- Obrzydliwe.

- Potem wezyr odebrał sobie życie.

- Idiota. Mógłby być bogaty.

- Tak - zachichotał Hauser. - Ale był lojalny. Wiedział, że nawet jemu, najbardziej zaufanemu z ludzi, nie można powierzyć takiego sekretu. Mógłby wygadać się przez sen lub można by wyciągnąć z niego tajemnicę torturami - lub też chciwość mogłaby wreszcie wziąć górę nad posłuszeństwem. Był słabym ogniwem planu, dlatego musiał umrzeć.

Philip usłyszał odgłos rąbania. Obejrzał się i zobaczył, że żołnierze maczetami usuwają trzewia z tapira. Jelita poleciały na ziemię z wilgotnym plaśnięciem. Philip skrzywił się i odwrócił głowę. Przyszło mu do głowy, że wegetariański styl życia miał swoje dobre strony.

- W tym tkwi problem, Philipie. Plan wezyra miał słabą stronę. Wymagał, by Czyngis-chan powierzył swoją tajemnicę przynajmniej jednej osobie. - Hauser wydmuchnął obłok wonnego dymu. - Moje pytanie do ciebie brzmi: kim była jedyna osoba, której ufał twój ojciec?

Była to rzecz, nad którą Philip od jakiegoś czasu się zastanawiał.

- Nie była to przyjaciółka ani ekszona. Stale narzekał na swoich lekarzy i adwokatów. Jego sekretarki zawsze same rezygnowały z pracy. Nie miał prawdziwych przyjaciół. Jedynym człowiekiem, któremu ufał, był jego pilot.

- Już ustaliłem, że nie znał zamiarów twojego ojca. - Hauser przytrzymał cygaro pod ostrym kątem przy ustach. - W tym tkwi problem, Philipie. Czy twój ojciec prowadził jakieś drugie życie? Miał jakiś sekretny romans? Może nieślubnego syna, którego przedkładał nad was trzech?

- Nie mam pojęcia. - Philip poczuł, że robi mu się zimno na myśl o ostatniej sugestii.

- Jest się nad czym zastanawiać, prawda, Philipie? - Hauser machnął cygarem i zamilkł.

Intymny nastrój chwili sprawił, że Philip zadał pytanie, które chodziło mu od jakiegoś czasu po głowie:

- Co zaszło między panem i moim ojcem?

- Wiedziałeś, że byliśmy przyjaciółmi od dzieciństwa?

-Tak.

- Wychowaliśmy się razem w Erie. Graliśmy razem w piłkę w kwartale zabudowań, w którym się wychowywaliśmy, razem poszliśmy do szkoły i razem wybraliśmy się pierwszy raz do burdelu. Myśleliśmy, że

dobrze się znamy. Kiedy jednak człowiek jest w dżungli, kiedy zostanie przyparty do muru i musi myśleć, jak ujść z życiem, wychodzą z niego różne rzeczy. Odkrywasz w samym sobie cechy, o których nie miałeś pojęcia. Dowiadujesz się, kim jesteś naprawdę. To właśnie nas spotkało. Znaleźliśmy się w środku dżungli, zagubieni, pogryzieni, wygłodzeni, wpółmartwi z gorączki, i dowiedzieliśmy się, jacy naprawdę jesteśmy. Wiesz, czego się dowiedziałem? Że gardzę twoim ojcem.

Philip obejrzał się na Hausera, który odpowiedział mu jak zawsze gładkim i nieprzeniknionym spojrzeniem. Philip poczuł przebiegający po krzyżu dreszcz, więc zapytał:

- A co pan w sobie odkrył, Hauser?

Spostrzegł, że pytanie zaskoczyło detektywa. Mężczyzna zbył je śmiechem, wrzucił niedopałek cygara w ognisko i wstał.

- Wkrótce sam się dowiesz.

24

Dłubanka wlokła się przez gęstą czarną wodę z rzężącym z wysiłku silnikiem. Rzeka rozdzielała się wielokrotnie, aż przemieniła się w labirynt odnóg i zastałych zbiorników, otoczonych hektarami czarnego, odsłoniętego, cuchnącego bagna o drżącej powierzchni. Wszędzie widać było chmary brzęczących owadów. Nagi do pasa Pingo pozostał na dziobie z wielką maczetą, którą od czasu do czasu ścinał zwisające nad wodą pnącza. Odnogi rzeki były często zbyt płytkie, by użyć silnika, wówczas Chori wyłączał go i pchał łódź tyczką. Don Alfonso pozostał na swoim zwykłym miejscu na przykrytej plandeką stercie zapasów. Siedział jak mędrzec ze skrzyżowanymi nogami i energicznie pykał fajkę, patrząc przed siebie. Kilka razy Pingo musiał wysiąść z łodzi i wycinać szczerby w na poły zatopionych konarach, by mogli przepłynąć na drugą stronę.

- Co to za piekielne owady? - zapytała Sally, klepiąc się wściekle.

- Muchy tapirze - odparł Don Alfonso. Sięgnął do kieszeni po poczerniałą kukurydzianą fajkę i wyciągnął ją w stronę młodej kobiety. - *Señorita,* powinna pani zacząć palić, to zniechęca owady.

- Nie, dziękuję. Palenie powoduje raka.

- Wręcz przeciwnie, jest bardzo zdrowe, zapewnia dobre trawienie oraz długie życie.

- Pewnie.

W miarę jak zagłębiali się w bagno, roślinność napierała na nich coraz bardziej ze wszystkich stron, tworząc tarasowate ściany lśniących li-^J paproci i pnączy. Powietrze wisiało nieruchomo i śmierdziało metanem. Łódź przepychała się przez nie, jakby to była gorąca zupa.

- Skąd pan wie, że właśnie tędy popłynął mój ojciec? - zapytał Tom.

- Przez bagno Meambar prowadzi wiele szlaków, ale tylko jeden wiedzie aż na drugą stronę - odpowiedział starzec. - Ja, Don Alfonso, znam go tak jak twój ojciec. Widzę ślady, że tu był.

- Na przykład co?

- Płynęły tędy trzy grupy. Pierwsza około miesiąca temu. Druga i trzecia przepłynęły w odstępie kilku dni, przed tygodniem.

- Jak pan może to wszystko zobaczyć? - spytała Sally.

- Czytam w wodzie. Widzę szczerbę na zatopionej kłodzie. Widzę przecięte pnącze. Widzę ślad tyczki na łasze piasku pod powierzchnią czy bruzdę po kilu w błocie na płyciźnie. Takie znaki utrzymują się całe tygodnie w zastałej wodzie.

- Popatrz, to drzewo gumbo-limbo - wskazała Sally. - *Bursera simaruba*. Majowie wykorzystywali jego sok do leczenia ukąszeń owadów. - Odwróciła się do starca. - Podpłyńmy tam, zbierzemy trochę soku.

- Mój dziadek cenił tę roślinę. - Don Alfonso wyjął fajkę z ust. - Nazywamy ją *lucawa*. - Przyjrzał się Sally z respektem. - Nie wiedziałem, że jesteś *curandera*.

- Tak naprawdę to nie - odrzekła Sally. - Spędziłam trochę czasu na północ stąd pośród Majów, jak byłam w college'u. Uczyłam się ich medycyny. Jestem etnofarmakologiem.

- Etnofarmakologiem? To wielka profesja jak na kobietę.

- W naszej kulturze kobiety mogą robić wszystko to co mężczyźni. - Sally zmarszczyła brwi. -1 odwrotnie.

- Nie wierzę. - Don Alfonso uniósł brwi.

- To prawda - odparła stanowczo Sally.

- W Ameryce kobiety polują, a mężczyźni rodzą dzieci?

- Nie o to mi chodziło.

Don Alfonso z uśmiechem triumfu włożył z powrotem ustnik fajki między wargi - uznał, że wygrał spór. Mrugnął w przesadny sposób do Toma, a Sally rzuciła mu pełne złości spojrzenie.

Nie odezwałem się nawet słowem w jej obronie, pomyślał Tom z irytacją.

Chori skierował łódź pod drzewo. Sally cięła po pniu maczetą i zdarła pionowy pas kory. Sok zaczął natychmiast sączyć się czerwonawymi kropelkami. Sally zdrapała go trochę, podwinęła nogawki i posmarowała ślady ukąszeń owadów, po czym wtarła sobie sok w kark, nadgarstki i grzbiety dłoni.

- Strasznie wyglądasz - powiedział Tom.

Sally zdrapała jeszcze trochę lepkiego soku maczetą i wyciągnęła ją w jego stronę.

- Tom?

- Nie wysmarujesz mnie tym.

- Podejdź tutaj.

Tom usłuchał i Sally natarła sokiem jego paskudnie pogryziony kark. Palące swędzenie natychmiast zmalało.

- Jak ci się to podoba?

Poruszył kilkakrotnie ramionami.

- Lepkie, ale dobre. - Podobał mu się zwłaszcza dotyk jej dłoni na szyi.

Sally podała mu maczetę ze zdrapanym sokiem.

- Możesz sobie sam natrzeć ręce i ramiona.

- Dzięki.

Rozsmarował sok, zdumiewając się, jaki jest skuteczny.

Don Alfonso również nabrał soku na rękę.

- Naprawdę zdumiewające - *yanqui,* znająca medyczne sekrety roślin, prawdziwa *curandera.* Żyję sto dwadzieścia jeden lat i wciąż są rzeczy, których jeszcze nie widziałem.

Tego popołudnia dotarli do pierwszej skały, jaką Tom widział od wielu dni. Za nią blask słońca przesączał się z góry na zarośniętą polanę na podwyższonym skrawku gruntu.

- Tutaj rozbijemy obóz - oświadczył Don Alfonso.

Dopłynęli do skały i przywiązali do niej łódź. Pingo i Chori wyskoczyli na brzeg z maczetami w rękach i zaczęli wycinać świeże pędy roślinności po drugiej stronie głazów. Don Alfonso wysiadł z dostojeństwem i przyjrzał się ziemi - grzebał w niej nogą, tu i tam podnosił pnącze czy liść.

- Zdumiewające - powiedziała Sally, rozglądając się dookoła. - Tam jest trochę *zorillo. Petiveria alliacea,* jedna z najważniejszych roślin używanych przez Majów. Robią wyciąg z liści, a korzeń służy do leczenia bólów i owrzodzeń. Nazywają go *payche.* A tu rośnie *suprecayo.* - Zaczęła zrywać liście z jednego z krzewów, zwijać je w ręce i wąchać. - A tam widać drzewo *Sweetia panamensis.* To unikatowy ekosystem. Nikomu nie przeszkodzi, że pójdę nazbierać trochę tych roślin?

- Czuj się jak u siebie - powiedział Tom. Sally zagłębiła się w las, by zebrać więcej roślin. Tom zwrócił się do Don Alfonsa: - Wygląda na to, że ktoś tu obozował przed nami.

- Tak. Ten skrawek oczyszczono po raz pierwszy około miesiąca temu. Widzę krąg po palenisku i resztki szałasu. A ostatni ludzie byli tutaj może tydzień temu.

- To wszystko wyrosło w ciągu tygodnia?

Don Alfonso pokiwał głową.

- Las nie lubi dziur.

Pogrzebał w resztkach paleniska, wziął coś do ręki i podał Tomowi. Była to opaska z cygara cuba librę, rozpadająca się i porosła pleśnią.

- Marka, jaką palił ojciec - powiedział Tom, przyglądając się banderoli.

Ogarnęło go dziwne uczucie na myśl, że jego ojciec był tutaj, obozował dokładnie w tym miejscu, wypalił cygaro i pozostawił po sobie ten drobny «ad. Tom włożył banderolę do kieszeni i zaczął zbierać drewno na ognisko.

- Zanim podniesiesz gałąź - doradził mu Don Alfonso - musisz walnąć w nią parę razy kijem, żeby wypłoszyć mrówki, węże i *veinte cuatros.*

- *Yeinte cuatros!*

- Owady podobne do termitów. Nazywamy je *veinte cuatros,* dwadzieścia cztery, bo jak cię pogryzą, nie zdołasz się ruszyć dwadzieścia cztery godziny.

- Urocze.

Godzinę później Sally wyłoniła się z dżungli z długą tyczką, do której przywiązała pęki roślin, korzenie i pasma kory. Don Alfonso podniósł wzrok znad garnka, w którym gotowała się papuga, i patrzył, jak dziewczyna się zbliża.

- *Curandera,* przypominasz mi mojego dziadka, Don Caliego, który codziennie wracał z lasu tak jak ty, chociaż jesteś od niego ładniejsza. Był stary i pomarszczony, a ty jesteś gibka i dojrzała.

Sally zajęła się roślinami, przewiązując zioła i korzenie na kołki, by wysuszyły się przy ognisku.

- Tutaj jest niewiarygodnie dużo roślin - mówiła z podnieceniem Tomowi. - Julian będzie naprawdę zadowolony.

- Cudownie.

Tom przeniósł spojrzenie na Choriego i Pinga, którzy budowali szałas, podczas gdy Don Alfonso wykrzykiwał polecenia i nie szczędził im krytycznych uwag. Zaczęli od wbicia w ziemię sześciu solidnych, ale sprężystych kołków i na tak ustawionej konstrukcji rozpięli plastikowe plandeki. Między tyczkami podwiesili hamaki, każdy zabezpieczony moskitierą. Na koniec zawiesili ostatnią plandekę tak, by Sally miała trochę prywatności.

Gdy Pingo i Chori skończyli, cofnęli się, a Don Alfonso przyjrzał się zmrużonymi oczyma chacie. Wreszcie skinął głową i odwrócił się w stronę swoich podopiecznych.

- Proszę bardzo, mam dla was dom równie dobry jak wszystkie w Ameryce.

- Następnym razem pomogę im zrobić szałas - powiedział Tom.

- Jak chcesz. *Curandera* ma własną sypialnię, którą można powiększyć dla dodatkowego gościa, jeśli zechce towarzystwa.

Starzec mrugnął znacząco do Toma, który poczuł, że się rumieni.

- Wystarczy mi, że będę spała sama - powiedziała ozięble Sally.

Don Alfonso wyglądał na rozczarowanego. Pochylił się do Toma, jakby chciał porozmawiać z nim na osobności, jednak jego głos był doskonale słyszalny dla wszystkich w obozie:

- To piękna kobieta, Tomas, chociaż jest stara.

- Przepraszam bardzo, mam dwadzieścia dziewięć lat.

- Ech, *señorita,* jesteś jeszcze starsza, niż myślałem. Tomas, musisz się spieszyć. Jest prawie za stara, żeby się z nią żenić.

- W naszej kulturze dwadzieścia dziewięć lat to miody wiek - powiedziała Sally.

Don Alfonso nadal kiwał ze smutkiem głową. Tom nie zdołał się powstrzymać dłużej od śmiechu.

- Co w tym takiego śmiesznego? - Sally odwróciła się w jego stronę ze złością.

- Małe zderzenie kultur - odparł, odzyskując oddech.

- Nie podoba mi się to seksistowskie porozumienie między tobą i tym zbereźnym starcem. - Odwróciła się w stronę Don Alfonsa. - Jak na człowieka, który ma ponoć sto dwadzieścia jeden lat, bez wątpienia często pan myśli o seksie.

- Człowiek nigdy nie przestaje myśleć o miłości, *senorita*. Nawet kiedy się starzeje i jego członek kurczy się jak owoc *yuco,* suszony na słońcu. Może liczę sobie sto dwadzieścia jeden lat, ale wciąż mam tyle krwi, co nastolatek. Tomas, chciałbym się ożenić z kobietą taką jak Sally, tylko powinna mieć szesnaście lat i jędrne, sterczące piersi...

- Don Alfonso - przerwała mu. - Nie sądzisz, że mógłbyś zrobić z dziewczyny swoich snów osiemnastolatkę?

- Wtedy mogłaby już nie być dziewicą.

- W naszym kraju większość kobiet wychodzi za mąż, dopiero gdy ma przynajmniej osiemnaście lat - powiedziała Sally. - Mówienie o ślubie z szesnastolatką jest obraźliwe.

- Przepraszam! Powinienem był wiedzieć, że kobiety rozwijają się wolniej w zimnym klimacie Ameryki Północnej. Tutaj jednak szesnastolatki...

- Proszę przestać! - zawołała Sally, zakrywając dłońmi uszy. - Dosyć! Mam dosyć pańskich komentarzy na temat seksu, Don Alfonso!

- Jestem starym człowiekiem, *curandera,* co oznacza, że mogę mówić i żartować, jak mi się podoba. - Don Alfonso wzruszył ramionami. - Nie macie takiej tradycji w Ameryce?

- W Ameryce starzy ludzie nie mówią bez przerwy o seksie.

- To o czym?

- O wnukach, pogodzie, Florydzie, takich rzeczach.

- Jak nudna musi być starość w Ameryce. - Don Alfonso pokręcił głową.

Sally odeszła, odrzuciła plandekę znad wejścia do szałasu i zanim znikła, posłała Tomowi gniewne spojrzenie. On również był zirytowany. Przecież nic nie zrobił ani nie powiedział. To niesprawiedliwe, że i jemu oberwało się za seksistowskie poglądy.

- Nie rozumiem. - Don Alfonso zapalił fajkę i głośno mówił dalej: - Ma dwadzieścia dziewięć lat i jest niezamężna. Ojciec będzie musiał dać jej bogate wiano, żeby ktoś ją poślubił. Ty też jesteś już prawie stary i także nie masz żony. Dlaczego się nie pobierzecie? Może jesteś homoseksualny?

- Nie, Don Alfonso.

- Nic nie szkodzi, jeśli jesteś, Tomas. Chori się tobą zajmie. Nie jest wybredny.

- Nie, dziękuję.

- No to czegoś tu nie rozumiem. - Don Alfonso pokręcił głową ze zdumienia. - Nie możesz zmarnować okazji, Tomas.

- Sally jest zaręczona z innym mężczyzną - powiedział Tom.

- Ach. - Don Alfonso uniósł ze zdziwieniem brwi. -1 gdzie jest teraz ten człowiek?

- W Ameryce.

- No to nie może jej kochać!

Tom skrzywił się i obejrzał w stronę szałasu. Don Alfonso miał wyjątkowo donośny głos.

- Kocha mnie, a ja jego - odezwała się z szałasu Sally. - Będę wam wdzięczna, jeśli się zamkniecie.

W lesie rozległ się huk karabinu. Don Alfonso wstał.

- Oto nasze drugie danie. - Podniósł maczetę i ruszył w kierunku strzału.

Tom również wstał i zaniósł do szałasu hamak, by go zawiesić. Zobaczył, że Sally zajęła się rozwieszaniem ziół na tyczkach.

- Ten Don Alfonso to zbereżny starzec i seksistowska świnia - powiedziała z żarem. - A ty jesteś równie wstrętny.

- Dzięki niemu dotrzemy na drugą stronę bagna Meambar.

- Nie podobają mi się jego docinki. Ani to, że mu przytakujesz.

- Nie możesz się spodziewać, że będzie na bieżąco z feministyczną polityczną poprawnością.

- Jakoś nie słyszałam z jego ust, że to ty jesteś za stary na małżeństwo - a jesteś ode mnie starszy o dobre cztery lata. To tylko kobieta jest za stara, żeby wyjść za mąż.

- Rozchmurz się, Sally.

-Nie.

- Pierwsze danie gotowe! - Głos Don Alfonsa ubiegł odpowiedź Toma. - Gotowana papuga w potrawce z manioku. Na drugie danie kotlety z tapira. Wszystko smaczne i zdrowe. Przestańcie się kłócić i chodźcie jeść.

- *Buenos tardes* - powiedział Ocotal, przysiadając się do Philipa przy ognisku.

- *Buenos tardes* - odrzekł zaskoczony Philip, wyjmując fajkę z ust: przewodnik odezwał się do niego po raz pierwszy w czasie całej wyprawy.

Dotarli do wielkiego jeziora na skraju bagna i rozbili obóz na piaszczystej wyspie z najprawdziwszą plażą. Owady znikły, powietrze było świeże i po raz pierwszy Philip mógł widzieć wszystko na odległość większą niż siedem metrów. Wrażenie psuło jedynie to, że omywająca łachę piasku woda miała barwę czarnej kawy. Jak zwykle Hauser rozesłał kilku żołnierzy na polowanie, podczas gdy pozostali grali w karty przy oddzielnym ognisku. Od upału i zielonozłotego blasku późnego popołudnia zrobiło się sennie. Prawie przyjemne miejsce, pomyślał Philip.

Ocotal pochylił się gwałtownie naprzód i powiedział:

- Wczoraj wieczorem podsłuchałem rozmowę żołnierzy.

- I? - Philip uniósł brwi.

- Niech pan nie okazuje reakcji na to, co mówię. Zamierzają pana zabić - powiedział tak cicho i szybko, że Philip miał wrażenie, iż się przesłyszał. Siedział jak ogłuszony, podczas gdy znaczenie tych słów docierało do niego powoli. Ocotal kontynuował: - Mnie również zamierzają zabić.

- Jest pan pewny?

Ocotal pokiwał głową.

Philip zastanawiał się w panice, co to oznacza. Czy Ocotalowi można wierzyć? Może to jakieś nieporozumienie? Dlaczego Hauser miałby go zabić? By ukraść spadek? Zupełnie możliwe. Hauser nie był wzorem uczciwości. Kątem oka Philip dojrzał, że żołnierze nadal grają w karty; karabiny zestawili pod drzewem. To jednak niemożliwe. Jak coś rodem z kina. Hauser i tak miał zarobić milion dolarów. Nie zabija się ludzi ot tak sobie, prawda?

- Co pan zamierza zrobić?

- Ukraść łódź i uciekać. Ukryć się na bagnach.

- To znaczy -już teraz?

- Chce pan czekać?

- Ale tam siedzą żołnierze. Nigdy nie uciekniemy. Co pan usłyszał, że doszedł pan do takiego wniosku? Może to jakieś nieporozumienie?

- Posłuchaj mnie, idioto - syknął Ocotal. - Nie ma czasu. Uciekam w tej chwili. Jeśli chcesz iść ze mną, to ruszaj się. Jeśli nie, *adiós*.

Podniósł się leniwie i bez pośpiechu, po czym ruszył w stronę dłubanek na plaży. Philip w panice przeniósł spojrzenie z niego na żołnierzy. Wciąż grali w karty, nie zwracając na nic uwagi. Z miejsca, gdzie siedzieli, pod drzewem, nie mogli dojrzeć łodzi.

Co miał robić? Czuł się sparaliżowany. Był zmuszony do podjęcia kolosalnej decyzji bez ostrzeżenia i przygotowania. Obłęd. Czy Hauser naprawdę mógł być tak bezwzględny? Może to Ocotal próbuje im wywinąć jakiś numer?

Przewodnik szedł w tym momencie plażą, beztrosko patrząc w korony drzew. Zatrzymał się przy łodzi i zaczął ją powoli, ukradkiem spychać kolanem na wodę.

Wszystko działo się za szybko. W gruncie rzeczy wszystko zależało od tego, jakim człowiekiem jest naprawdę Hauser. Czy rzeczywiście byłby zdolny do morderstwa? Wydawał się niemiły, to prawda. I było z nim coś nie tak. Philipowi przypomniało się nagle, z jaką satysfakcją Hauser odciął głowę aguti, jego uśmiech, gdy zobaczył krew na koszuli Philipa, i to jak niedawno powiedział: „Sam się dowiesz".

Ocotal zepchnął już łódź na wodę i wsiadł do niej miękkim ruchem, jednocześnie biorąc w rękę tyczkę, by odepchnąć czółno dalej.

Philip wstał i szybko zszedł na plażę. Ocotal odbił już od brzegu i wetknął tyczkę w dno, kierując łódź dalej na rzekę. Zatrzymał się wystarczająco długo, by Philip zdążył dobrnąć do niego przez wodę i wspiąć się do środka. Potem przewodnik napiął mięśnie grzbietu, odepchnął się tyczką i łódź w ciszy odpłynęła.

26

Następnego ranka skończyła się dobra pogoda. Nadciągnęły chmury, grom wstrząsnął koronami drzew i lunął deszcz. Zanim Tom i reszta zebrali się do drogi, rzeka posiwiała i spieniła się pod uderzeniem gwałtownej ulewy; stukot deszczu o roślinność wręcz ogłuszał. Labirynt rzecznych odnóg, którymi się posuwali, wydawał się jeszcze bardziej skomplikowany. Tom nigdy w życiu nie widział równie gęstego, poplątanego i nieprzeniknionego bagna. Z trudem dawał wiarę, że Don Alfonso wie, którędy płynąć.

Jeszcze przed południem deszcz ustał tak nagle, jakby zakręcono kurek. Przez kilka minut woda spływała po pniach z hałasem jak wodospad, a potem nad dżunglą, spowitą w mgiełce i ociekającą wilgocią, zapanowała cisza.

- Wróciły owady - powiedziała Sally, klepiąc się.

- *Jejenes,* mustyki - wyjaśnił starzec, zapalając fajkę i otaczając się ohydną siwą chmurą. - Odlatują z kawałkiem twojego ciała. Powstały z oddechu samego diabła po nocy chlania złej *aguardiente.*

Co jakiś czas drogę blokowały wiszące pnącza i sterczące w górę napowietrzne korzenie, tworzące gęste, opadające do samej wody zasłony z roślinności. Pingo, stojąc na dziobie łodzi, rąbał je maczetą, podczas gdy Chori pchał z rufy łódź tyczką. Każdy cios maczety powodował, że do rzeki wpadały nadrzewne żaby, owady i inne stworzenia, dzięki czemu piranie miały ucztę. Stada drapieżnych ryb otaczały frenetycznym kłębem każde nieszczęsne stworzenie. Pingo ciął w lewo, w prawo, znowu w lewo, spychając większość pnączy i wiszących kwiatów do wody. W jednym szczególnie wąskim przesmyku moment po tym, jak się zamachnął, krzyknął:

- *Heculu!*

- *Avispa!* Osy! - zawołał Don Alfonso, skulił się i naciągnął kapelusz na głowę. - Nie ruszajcie się!

Zza kurtyny roślin wyleciał czarny kłębiący się obłok. Ochraniający rękami głowę Tom natychmiast poczuł palące ukłucia w kark.

_ Nie bij ich! - zawołał Don Alfonso. - W ten sposób tylko je rozwścieczysz.

Nie mogli nic zrobić, musieli czekać, aż osy przestaną żądlić. Owady znikły równie szybko, jak się pojawiły, a Sally opatrzyła ukąszenia kolejnymi porcjami soku drzewa gumbo-limbo. Popłynęli dalej.

Około południa nad ich głowami dał się słyszeć dziwny dźwięk. Przypominał po tysiąckroć zwielokrotnione mlaskanie i gulgotanie, jakby tłum dzieci żuł cukierki, tyle że o wiele głośniejsze. Towarzyszył temu narastający w poszyciu szelest, który po jakimś czasie zaczął przypominać szum wiatru. Pomiędzy listowiem widać było migające czarne kształty.

Chori schował wiosło. W jego dłoniach natychmiast pojawiły się mały łuk i strzała. Wycelował w korony drzew, gotów w każdej chwili do strzału.

- *Mono chucuto* - szepnął Don Alfonso do Toma.

Zanim Tom zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Chori wypuścił strzałę. W górze zakotłowało się i spomiędzy gałęzi wypadła jeszcze na wpół żywa małpa, chwytająca się po drodze liści i konarów. Wreszcie wpadła do rzeki półtora metra od łodzi. Chori zerwał się i wyciągnął kłębek czarnego futra z wody, zanim zawirowanie pod powierzchnią dowiodło, że jakieś zwierzę wpadło na taki sam pomysł.

- *EM EM* - zawołał z niewymowną radością. - *Uakaris!* Mmmm.

- Są dwie - powiedział wielce podekscytowany Don Alfonso. - Matka i jej dziecko. Szczęśliwy strzał, Tomasito.

Mała małpka wciąż przywierała do matki, piszcząc ze zgrozy.

- Małpa? Zastrzeliliście małpę? - zapytała drżącym głosem Sally.

- Tak, *curandera,* czyż nie mamy szczęścia?

- Szczęścia? To okropne!

- Nie lubisz mięsa małpy? - Don Alfonsowi zrzedła mina. - Mózg małpy to prawdziwy przysmak, jak się go lekko przypiecze w czaszce.

- Nie możemy jeść małpy!

- Dlaczego nie?

- No, to... praktycznie kanibalizm. - Odwróciła się do Toma. - Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś im zastrzelić małpę.

- Nikomu na nic nie pozwalałem.

Niczego nierozumiejący i nadal uśmiechnięty Chori rzucił małpę na dno łodzi przed nimi. Zwierzę zdawało się wpatrywać w nich zasnuwajacymi się już mgiełką oczyma, z na poły wysuniętym językiem. Osesek

zeskoczył z martwego ciała matki i skulił się ze zgrozą, objął rękami główkę i wydał z siebie przenikliwy skrzek.

- *Ehil EM* - powiedział Chori i wyciągnął rękę po małpkę, drugą unosząc maczetę.

- Nie! - Tom chwycił małą czarną kulę na ręce. Usadowiła się w jego ramionach i przestała skrzeczeć. Chori przyglądał się temu ze zdumieniem, z wciąż podniesioną maczetą.

- Nie rozumiem. - Don Alfonso wychylił się do przodu. - O co chodzi z tym kanibalizmem?

- Uważamy, że małpy to prawie ludzie, Don Alfonso - odparł Tom.

Don Alfonso powiedział coś kategorycznie Choriemu, na którego twarzy uśmiech zgasł, zastąpiony wyrazem rozczarowania. Starzec odwrócił się znowu w stronę Toma i Sally.

- Nie wiedziałem, że małpy są święte w Ameryce Północnej. To prawda, że to prawie ludzie, tyle że Bóg dał im ręce zamiast stóp. Przepraszam. Gdybym wiedział, nie pozwoliłbym jej zabić.

Powiedział jeszcze coś ostro do Choriego i łódź popłynęła dalej. Don Alfonso podniósł martwą małpę i wrzucił ją do wody; na powierzchni pojawił się wir i ciało znikło.

Tom poczuł, że małpiątko wtula się mocno w jego ramię, szukając jak najwięcej ciepła. Opuścił wzrok. Odpowiedziało mu spojrzenie rozszerzonych oczu, wyciągnęła się drobna łapka. Małpka była niewielka - miała najwyżej dwadzieścia centymetrów i ważyła maksymalnie półtora do dwóch kilogramów. Miała miękką i krótką sierść, wielkie brązowe oczy i różowy nos, małe ludzkie uszy i cztery miniaturowe ręce z cienkimi jak wykałaczki palcami.

Tom zorientował się, że Sally patrzy na niego z uśmiechem.

- Co?

- Wygląda na to, że masz nowego przyjaciela.

- Och nie.

- Och tak.

Małpka otrząsnęła się z szoku. Wspięła się na ramię Toma i zaczęła stukać go w pierś. Przegarniała czarnymi łapkami fałdy jego ubrania i wsuwała je pod materiał, wydając mlaskające odgłosy.

- Iska cię - wyjaśniła Sally. - Szuka wszy.

- Mam nadzieję, że bezskutecznie.

- Słuchaj, Tomas, ono myśli, że jesteś jego matką - powiedział Don Alfonso.

- Jak możecie jeść tak piękne stworzenia? - spytała Sally.

- Wszystkie zwierzęta lasu są piękne, *curandera*. - Don Alfonso wzruszył ramionami.

Tom czuł, jak małpka gmera w jego uszytej w stylu safari koszuli. Zwierzątko przełaziło z miejsca na miejsce, przytrzymując się guzików,

aż podniosło wielką klapę kieszeni. Wsunęło w nią łapkę, zamlaskało, a potem obróciło się i całe wlazło do środka. Usadowiło się w kieszeni z założonymi rękami, rozglądając się dookoła z nieco uniesionym nosem- Sally zaklaskała ze śmiechem w dłonie.

- Och, Tom, ten malec naprawdę cię polubił.
- Co one jedzą? - spytał Tom Don Alfonsa.
- Wszystko. Owady, larwy, liście. Nie będziesz miał kłopotów z nakarmieniem swojego nowego przyjaciela.
- Kto powiedział, że to ja za niego odpowiadam?
- Przecież cię wybrał, Tomasito. Teraz należysz do niego.

Tom popatrzył z góry na zwierzaka, rozglądającego się jak lord po swoich włościach.

- Mały, włochaty wałkoń - powiedziała Sally po angielsku.
- Włochaty Wałkoń. Tak właśnie go nazwiemy.

Tego popołudnia u ujścia szczególnie zawikłanego splotu rzecznych odnóg Don Alfonso zatrzymał łódź i spędził ponad dziesięć minut na badaniu wody, smakując ją, a potem spluwając i patrząc, jak ślina opada na dno. Wreszcie się wyprostował.

- Mamy problem.
- Zgubiliśmy się? - spytał Tom.
- Nie. Oni się zgubili.
- Kto?
- Jeden z twoich braci. Ci ludzie popłynęli korytem w lewo, które prowadzi do Plaża Negra, Czarnego Miejsca - przegniłego serca bagna, gdzie żyją demony.

Koryto wiło się między olbrzymimi pniami drzew i kotarami pnączy; nad czarną wodą wisiała warstewka mgiełki. Wyglądało to na wodną drogę do piekła.

Na pewno to Vernon, pomyślał Tom. Vernon zawsze się gubił, w przenośni i dosłownie.

- Jak dawno temu?
- Co najmniej tydzień.
- Można tu gdzieś niedaleko rozbić obóz?
- Pół kilometra dalej jest mała wyspa.
- Zatrzymamy się tam i rozpakujemy - powiedział Tom. - Zostawimy Pinga i Sally w obozie. Ty, ja i Chori weźmiemy łódź i poszukamy mojego brata. Nie mamy czasu do stracenia.

Wylądowali na przesiąkniętej wodą błotnistej wysepce wśród deszczu tak gęstego, iż bardziej przypominał wodospad. Don Alfonso wymachiwał rękami i krzyczał, nadzorując rozładunek i ponowne zaopatrzenie łodzi w to, czego potrzebowali podczas poszukiwań.

- Może nie będzie nas dwa lub trzy dni - wyjaśnił. - Musimy być gotowi na parę nocy w dłubance. Może padać deszcz.

- Coś takiego - wtrąciła ironicznie Sally.

Tom podał jej małpkę.

- Zajmij się nią do mojego powrotu, dobrze?

- Oczywiście.

Łódź ruszyła w drogę. Tom przyglądał się Sally - niewyraźnej i coraz słabiej widocznej w ulewie sylwetce.

- Tom, uważaj na siebie! - zawołała w tej właśnie chwili, gdy jej postać znikła.

Chori mocno odpychał się tyczką razem z prądem, odciążona łódź poruszała się o wiele szybciej. Pięć minut później Tom usłyszał skrzeczenie w gałęziach nad głową. Mała czarna kulka przeskakiwała z konara na konar, aż wreszcie wylądowała na jego głowie, wyjąc jak dusza czyśćcowa. Był to Włochaty Wałkoń.

- Ty łobuzie, nie czekałeś długo, żeby uciec - powiedział Tom i schował małpkę do kieszeni, gdzie umościła się i natychmiast ucichła.

Dłubanka płynęła dalej przez przesiąknięte deszczem bagno.

27

Burza osiągnęła apogeum furii, gdy łódź dotarła do odnogi, prowadzącej do Czarnego Miejsca. Błyski piorunów i huki gromów odbijały się po lesie jak salwy artylerii, często w sekundowych odstępach. Wysoko w górze wierzchołki drzew kołysały się gwałtownie, jakby ktoś nimi szarpał.

Wodna odnoga wkrótce podzieliła się na siatkę płytkich strumyków pomiędzy chlupoczącymi poletkami cuchnącego mułu. Don Alfonso przystawał od czasu do czasu, by szukać śladów tyczek w mulistym dnie. Przenikający na wskroś deszcz nie ustawał ani na chwilę; noc zapadła tak niepostrzeżenie, że Tom był zaskoczony, gdy starzec nakazał postój.

- Będziemy spali w dłubance jak dzikusy -powiedział Don Alfonso. - Dobre miejsce na nocleg, bo nie ma nad nami gałęzi. Nie chcę obudzić się od zgniłego oddechu jaguara. Musimy dopilnować, żebyśmy tu nie zginęli, Tomasito, bo nasze dusze nigdy nie odnajdą drogi z powrotem.

- Zrobię, co tylko w mojej mocy.

Tom owinął się w moskitierę, wyszukał sobie miejsca na stercie zapasów i usiłował zasnąć. Deszcz wreszcie ustał, lecz on wciąż był przemoczony do suchej nitki. Dżunglę wypełniały odgłosy skapującej wody, połączone ze zwierzęcymi krzykami, jękami i hałaśliwymi stęknięciami,

a wiele z nich przypominało prawie ludzkie głosy. Może i tak było - może to lamentowały zagubione dusze, o których mówił Don Alfonso. Tom pomyślał o swoim bracie Vernonie, zagubionym na tym bagnie, chorym, może nawet umierającym. Pamiętał go jako chłopca, o twarzy pełnej nadziei, życzliwości - i zagubienia... W końcu zapadł w niosący niespokojne wizje sen.

Następnego dnia znaleźli trupa. Unosił się na wodzie - wzgórek z czerwonymi i białymi pasami. Chori posterował łódź w jego kierunku. Okazało się, że wzgórek to koszula, rozdęta od gazów rozkładu. Gdy dłubanka podpłynęła, w powietrze wzbiła się chmara rozwścieczonych much.

Chori ostrożnie podprowadził łódź jeszcze bliżej. Wokół martwego ciała pływała dziesiątka piranii z zaszklonymi, wyłupiastymi ślepiami i otwartymi paszczami. Deszcz lał bez ustanku.

Martwy mężczyzna miał krótkie, czarne włosy. Nie był to Vernon.

Don Alfonso powiedział coś i Chori szturchnął ciało bosakiem. Gaz uciekł spod koszuli z dźwiękiem przypominającym parskanie, wokół rozeszła się ohydna woń. Chori wsunął tyczkę pod trupa i przewrócił zwłoki na drugą stronę. Muchy zabrzęczały jeszcze gniewniej. Woda zamigotała srebrnymi błyskami, gdy pierzchły żerujące od spodu ryby.

Tom zapatrzył się ze zgrozą w trupa, leżącego twarzą do góry -jeśli w ogóle było to właściwe określenie. Piranie wygryzły twarz wraz z całą górną częścią ciała; widać tu było tylko kości. Z ogryzionego nosa zostały tylko żałosne chrząstki; usta i język znikły, zostawiając ziejącą dziurę. Uwięziony w oczodole piskorz szarpał się, starając się wydostać. Smród rozkładu uderzył Toma jak mokra ścierka. Woda zaczęła się kotłować, gdy ryby dobrały się do drugiej strony zwłok. Na powierzchnię wypłynęły kawałki materiału.

- To jeden z chłopaków z Puerto Lempira - powiedział Don Alfonso. - Ukąsił go jadowity wąż, kiedy wyrąbywał krzewy. Zostawili go tutaj.

- Skąd pan wie, że zabił go wąż? - spytał Tom.

- Widzisz martwe piranie? Jadły ciało z miejsc w okolicy tego, gdzie ukąsił wąż. Zatruły się, a zwierzęta, które je zjedzą, też się zatrują.

Chori odepchnął ciało tyczką i popłynęli dalej.

- To nie jest dobre miejsce na śmierć. Musimy wydostać się stąd przed zachodem słońca. Nie chcę spotkać dzisiaj w nocy we śnie ducha człowieka z Lempiry, pytającego mnie o drogę.

Tom nie odpowiedział. Widok trupa nim wstrząsnął. Usiłował stłumić w sobie złe przeczucia. Vernon, który nigdy nie potrafił się zorganizować i był panikarzem, na pewno nie nadawał się teraz do działania. Bóg jeden wie, może i on już nie żyje.

- Nie umiem powiedzieć, dlaczego stąd nie zawrócili. Może demon zakradł się do ich łodzi i szepcze im kłamstwa do uszu.

Płynęli dalej, ale w wolnym tempie. Wokoło rozciągało się bezkresne bagno, łódź szorowała o błotniste dno i często osiadała, a wtedy wysiadali i ją pchali. Musieli też zawracać i wędrować krętymi bocznymi odnogami. Między czwartą a piątą po południu Don Alfonso uniósł rękę. Chori przestał wiosłować. Wytężyli słuch.

Tom usłyszał dobiegający z dala udręczony głos - ktoś histerycznie wołał o pomoc. Zerwał się na równe nogi i przyłożył dłonie do ust.

- Vernon! - Nagle zapadła cisza. - Vernon! To ja, Tom!

Ponownie rozległy się rozpaczliwe krzyki. Odbijały się echem od drzew, tak że dochodziły zniekształcone i niemal całkowicie niezrozumiałe.

- To on - powiedział Tom. - Szybko.

Chori powiosłował dalej i wkrótce w zalegającym bagno półmroku Tom dostrzegł niewyraźny zarys czółna. Na dziobie koś krzyczał i machał rękami. Był to Vernon - w histerii, ale przynajmniej żywy.

- Szybciej! - zawołał Tom.

Chori naparł na wiosła. Dotarli do dłubanki Vernona i Tom przeciągnął go do swojej łodzi. Yernon zwalił się w ramiona brata.

- Powiedz mi, że nie umarłem - wykrztusił, płacząc.

- Nic ci nie jest. Nie umarłeś. Jesteśmy z tobą.

Vernon się rozszlochał. Obejmując brata, Tom doznał nagłego uczucia *deja vu* - przypomniał sobie, jak Vernon wrócił któregoś dnia ze szkoły, ścigany przez bandę osiłków z boiska. Tak samo rzucił się Tomowi w ramiona; dygotał cały, ściskał go i histerycznie szlochał. Tom musiał wyjść i sam bić się z tamtymi - on, młodszy brat, stanął do walki z dręczycielami starszego.

- Wszystko w porządku - powiedział teraz. - Wszystko w porządku. Jesteśmy tutaj. Nic ci nie grozi.

- Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Byłem pewien, że to już koniec... - Urwał ze zdławionym jękiem.

Tom pomógł mu usiąść. Był wstrząśnięty wyglądem brata. Vernon miał spuchniętą twarz i szyję od ukąszeń owadów, a skórę usmarowaną krwią od drapania. Nosił nieopisanie brudne ubranie, jego splątane włosy śmierdziały i był jeszcze chudszy niż zwykle.

- Nic ci nie jest? - spytał Tom.

- Poza tym, że owady zeżarły mnie żywcem, to nic - odrzekł Vernon. - Tylko jestem przerażony.

Wytarł twarz wyświechtanym rękawem, który zostawił więcej brudu, niż go starł, i stłumił kolejny szloch.

Tom przyglądał się bratu jeszcze chwilę. Stan psychiczny uratowanego martwił go jeszcze bardziej niż fizyczny. Postanowił, że gdy tylko wrócą do obozu, odeśle Vernona w cywilizowane strony razem z Pingiem.

- Don Alfonso - powiedział - zawracajmy i wydostańmy się stąd wreszcie.

- A Nauczyciel? - spytał Vernon.

Tom znieruchomiał.

- Nauczyciel?

- Jest chory. - Vernon wskazał głową swoją dłubankę.

Tom wychylił się i popatrzył. W przemoczonym śpiworze na dnie dojrzał prawie całkowicie schowaną pomiędzy zwalonymi bezładnie zapasami i ekwipunkiem opuchniętą twarz mężczyzny z potarganą grzywą siwych włosów i brodą. Mężczyzna był w pełni przytomny i odpowiedział Tomowi posępnym spojrzeniem, ale milczał, leżąc nieruchomo.

- Kto to?

- Mój Nauczyciel z aśramu.

- Co on tu robi, do diabła?

- Jesteśmy razem.

Mężczyzna nadal wpatrywał się w Toma.

- Co mu jest?

- Ma gorączkę. Przestał się odzywać dwa dni temu.

Tom wyciągnął spomiędzy zapasów apteczkę i przeszedł do drugiej dłubanki. Nauczyciel wodził wzrokiem za każdym jego ruchem. Tom nachylił się i przyłożył mu rękę do czoła. Było gorące; chory miał co najmniej czterdzieści stopni gorączki. Tom wyczuł nitkowate, przyspieszone tętno. Osłuchał go - płuca chyba były czyste, serce biło normalnie, chociaż bardzo szybko. Tom wstrzyknął mu antybiotyk o szerokim spektrum działania i środek przeciwmalaryczny. Bez dostępu do jakichkolwiek badań diagnostycznych było to najlepsze, co mógł zrobić.

- Co to za gorączka? - zapytał Vernon.

- Nie sposób odpowiedzieć bez badań krwi.

- Umrze?

- Nie wiem. - Tom przeszedł na hiszpański. - Don Alfonso, domyślasz się, na co może chorować ten człowiek?

Don Alfonso przeszedł do drugiej łodzi i pochylił się nad brodatym mężczyzną. Postukał go w pierś, zajrzał mu w oczy, sprawdził puls i podniósł głowę.

- Tak, dobrze znam tę chorobę.

- Jak się nazywa?

- Śmierć.

- Nie - odrzekł żywo Vernon. - Niech pan tak nie mówi. On nie umiera.

- Zabierzemy go w dłubance do naszego obozu. - Tom pożałował, że poprosił Don Alfonsa o opinię. - Chori może płynąć tą, a ja popłynę naszą. - Odwrócił się do Vernona. - Znaleźliśmy wcześniej martwego przewodnika. Gdzie drugi?

- Jaguar zeskoczył na niego w nocy i zaciągnął go na drzewo. - Vernon zadrżał. - Słyszeliśmy jego krzyki i chrzęst kości. To było... - Skończył zdanie zdławionym jękiem: - Zabierz mnie stąd, Tom!

- Zabiorę. Odeślemy ciebie i Nauczyciela do Laguna de Brus z Pingiem - obiecał mu Tom.

Dotarli do obozu tuż po zachodzie słońca. Vernon rozbił jeden ze swoich namiotów i przenieśli do niego Nauczyciela. Brodaty mężczyzna nie przyjmował żadnego jedzenia i nadal się nie odzywał, tylko patrzył na nich w wyjątkowo niepokojący sposób. Tom zastanawiał się, czy Nauczyciel jest jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Vernon uparł się, że przenocuje w namiocie z Nauczycielem. Następnego ranka, gdy słońce stało na wysokości koron drzew, pobudził wszystkich wołaniem o pomoc. Chory siedział w śpiworze i był wyraźnie pobudzony. Miał pobladłą twarz, ściągniętą skórę, a jego oczy, przypominające okruchy niebieskiej porcelany, pomykały na wszystkie strony, na niczym się nie skupiając. Dłońmi chwytał powietrze.

- Vernon! - zawołał nagle, szukając wokół siebie rękami. - Och, mój Boże, Vernonie, gdzie jesteś? Gdzie ja jestem?

Zszokowany Tom zorientował się, że tamten oślepł.

- Tu jestem, Nauczycielu. - Vernon wziął go za rękę i przykląkł. - Jesteśmy w namiocie. Zabieramy cię z powrotem do Ameryki. Nic ci nie będzie.

- Jakim ja byłem cholernym głupcem! - wykrzyknął chory, krzywiąc z wysiłku usta i parskając śliną.

- Proszę, Nauczycielu, nie denerwuj się. Wracamy do domu, do Big Sur, do aśramu...

- Miałem wszystko! - ryknął mężczyzna. - Miałem pieniądze. Mogłem pieprzyć nastoletnie dziewczyny. Miałem dom nad morzem. Otaczali mnie ludzie, którzy mnie czcili. Miałem wszystko.

Żyły wystąpiły mu na czole, po podbródku ściekały strużki śliny. Dygotał cały tak bardzo, że Tom miał wrażenie, iż słyszy grzechot kości. Niewidzące oczy Nauczyciela kręciły się w oczodołach jak kulki w automacie do gry.

- Zabierzemy cię do szpitala. Nie mów nic, Nauczycielu, wszystko będzie dobrze, dobrze...

- I co ja narobiłem? Ha! Mało mi było! Jak idiota chciałem jeszcze więcej! Chciałem jeszcze sto milionów dolarów! I popatrz, co się ze mnie zrobiło!

Wykrzyczał te ostatnie słowa i zaraz po nich opadł w tył jak martwa ryba, zrzucona na posadzkę. Leżał nieruchomo z szeroko otwartymi oczyma zwróconymi w górę, jednak blask w nich zgasł.

Nie żył.

Vernon wpatrywał się w zmarłego ze zgrozą, nie mogąc nic powiedzieć. Tom położył bratu rękę na ramieniu i poczuł, że ten drży. To była straszna śmierć.

Don Alfonso również był wstrząśnięty.

- Musimy już płynąć - oświadczył. - Zły duch przybył po tego człowieka i go zabrał, chociaż nie chciał odejść.

- Przygotujmy jedną z łodzi do powrotu - powiedział do niego Tom. - Pingo zabierze Vernona do Laguna de Brus, a my popłyniemy dalej - jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Tak będzie lepiej - przytaknął Don Alfonso. - Bagno to nie miejsce dla twojego brata.

Zaczął wykrzykiwać rozkazy do Pinga i Choriego, którzy zakrzątnęli się natychmiast, równie wystraszeni i najwyraźniej szczęśliwi, że będą mogli zaraz odpłynąć.

- Nie rozumiem - odezwał się Vernon. - Był takim dobrym człowiekiem. Jak mógł tak umrzeć?

Vernon zawsze dawał się naciągać kanciarzom, pomyślał Tom, oszustom finansowym, emocjonalnym i duchowym. Nie była to jednak dobra pora, by o tym wspominać.

- Czasami myślimy, że kogoś znamy, a okazuje się, że jest inaczej - odrzekł.

- Spędziłem z nim trzy lata. Znałem go. To na pewno przez gorączkę. Był w malignie, postradał zmysły. Nie wiedział, co mówi.

- Pochowajmy go i płyńmy.

Vernon zajął się kopaniem grobu; przyłączyli się do niego Tom i Sally. Oczyścili kawałek terenu za obozem, powycinali siekierą Choriego korzenie i zaczęli wydobywać ziemię. Po dwudziestu minutach mieli gotowy płytki dół w twardym, gliniastym podłożu. Przeciągnęli ciało Nauczyciela, złożyli go w grobie, przysypali warstwą gliny i ułożyli na wierzchu warstwę otoczaków z brzegu rzeki. Don Alfonso, Chori i Pingo czekali na nich już w łodziach, gotowi do drogi.

- Wszystko w porządku? - spytał Tom, kładąc rękę na ramieniu bratu.

- Podjąłem decyzję - oświadczył Vernon. - Nie wracam. Płynę dalej z tobą.

- Przecież wszystko już ustalone.

- Do czego mam wracać? Nie mam grosza przy duszy. Nie mam nawet samochodu. Na pewno nie mogę wrócić do aśramu.

- Coś wymyślisz.

- Już wymyśliłem. Płynę z tobą.

- Nie dasz rady wędrować dalej z nami. O mało tam nie umarłeś.

- To coś, co muszę zrobić - odrzekł Vernon. - Już nic mi nie jest. - Tom zawahał się, zastanawiając się, czy to prawda. - Proszę, Tom.

W głosie Vernona było tyle błagania, że zaskoczyło to Toma - i wbrew jemu samemu trochę ucieszyło. Objął brata za ramię.

- No dobrze. Zrobimy to razem, tak jak chciał ojciec.

- Dosyć gadania. - Don Alfonso zaklaskał w dłonie. - Płyniemy?

Tom pokiwał głową i starzec dał znak do odbicia.

- Skoro mamy teraz dwie łodzie, to i ja będę pomagała je pchać - powiedziała Sally.

- Phi! Pchanie łodzi to męska robota.

- Jesteś seksistowską świnią, Don Alfonso.

- Seksistowską świnia? - Starzec zmarszczył brwi. - A co to za zwierzę? Czy ona mnie obraża?

- Zdecydowanie - odparła.

Don Alfonso pchnął energicznie łódź. Uśmiechnął się, gdy wypłynęła do przodu.

- No to jestem szczęśliwy. Obraza z ust pięknej kobiety to zawsze honor.

28

Marcus Aurelius Hauser przyjrzał się badawczo przodowi swojej białej koszuli i zauważywszy pnącego się pracowicie w górę małego żuka, ujął go między łopatkowaty kciuk i palec wskazujący, po czym zgniótł z satysfakcjonującym chrzęstem i wyrzucił. Następnie przeniósł uwagę z powrotem na Philipa Broadbenta. Cała wyniosłość i elegancja młodego mężczyzny znikły - Philip siedział w kucki na ziemi ze skutymi rękami i nogami, brudny, nieogolony i pogryziony przez owady. Żałosne, jak niektórzy ludzie nie potrafili zadbać o higienę osobistą w dżungli.

Hauser obejrzał się za siebie. Trzech żołnierzy przytrzymywało Orlanda Ocotala. Przewodnik przysporzył im sporych kłopotów. Udało mu się prawie uciec, złapali go jedynie dzięki wyjątkowo upartemu pościgowi, na który zmarnowano cały dzień. Fatalny błąd Orlanda polegał na założeniu, że gringo, *yanqui,* nie zdoła wytropić go na bagnach. Najwidoczniej przewodnik nie słyszał o kraju zwanym Wietnam.

Tym lepiej. Dzięki temu wszystko stało się jasne. I tak prawie przedarli się przez bagno, więc Ocotal nie był już potrzebny. Nauczka dla niego powinna być przydatna, i dla Philipa.

Hauser wciągnął w płuca wilgotne powietrze dżungli.

- Pamiętasz, Philipie, jak pakowaliśmy rzeczy na łodzie? Chciałeś wiedzieć, po co nam te kajdany i łańcuchy.

Philip nie odpowiedział.

Hauser przypomniał sobie, że wyjaśnił, iż kajdany to ważne narzędzie psychologiczne do trzymania żołnierzy w karbach - swego rodzaju przenośny karcer. Obiecywał, że oczywiście nigdy ich nie użyje.

- Teraz już wiesz - dokończył Marcus. - Są dla ciebie.

- Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz? Będziesz miał spokój.

- Wszystko w swoim czasie. Nie zabija się bez zastanowienia ostatniego potomka rodu.

- O co ci chodzi?

- Cieszę się, że pytasz. Wkrótce zajmę się twoimi braćmi, którzy zmierzają za nami przez bagno. Kiedy zgaśnie ostatni z linii Broadbentów, odbiorę to, co mi się należy.

- Jesteś psychopatą.

- Wybacz, ale jestem racjonalną ludzką istotą, naprawiającą wielką szkodę, którą mi wyrządzono.

- Jaką?

- Twój ojciec i ja byliśmy wspólnikami. Bozbawił mnie udziału w łupach z jego pierwszej wielkiej wyprawy.

- To było czterdzieści lat temu.

- Co czyni jego zbrodnię tym cięższą. Bodczas gdy ja przez czterdzieści lat z trudem wiązałem koniec z końcem, twój ojciec opływał w luksusy.

Bhilip szarpnął się, szczękając łańcuchami.

- Wspaniale, że koło zatoczyło pełny obrót. Czterdzieści lat temu twój ojciec oszukał mnie, pozbawiając udziału w fortunie. Znalazłem się w uroczym miejscu pod nazwą Wietnam, podczas gdy on korzystał z bogactwa. Teraz odzyskam wszystko, co straciłem, i jeszcze to nadrobię. Cudowna ironia. I pomyśleć, że właśnie ty, Bhilipie, podałeś mi to na srebrnym talerzu.

Bhilip nic nie powiedział.

Hauser ponownie wciągnął powietrze w płuca. Rozkoszował się upałem i otoczeniem. Nigdy nie czuł się tak zdrowy i ożywiony jak tu, w dżungli. Brakowało mu jedynie ulotnych perfum napalmu. Odwrócił się do jednego z żołnierzy.

- Zajmiemy się teraz Ocotalem. Nie powinieneś tego przegapić, Bhilipie.

Dwie dłubanki już spakowano; żołnierze wepchnęli Ocotala i Bhilipa do jednej z nich. Włączyli silniki i łodzie ruszyły przez labirynt oczek wodnych i rzecznych odnóg po drugiej stronie jeziora. Hauser stał na dziobie i wypatrywał.

- Tędy.

Łodzie dopłynęły do zastałego zbiornika, odciętego na skutek spadku poziomu wody od głównego koryta. Hauser wiedział, że dzięki temu w stawie było większe niż gdzie indziej skupisko piranii. Już dawno pożarły całą żywność, a obecnie zjadały się nawzajem. Biada jakiemukolwiek stworzeniu, które tutaj wpadło.

- Zgaście silniki i rzućcie kotwice.

Motory umilkły; ciszę zakłóciły jedynie dwa pluśnięcia kamiennych kotwic.

Hauser obejrzał się na Ocotala. Zapowiadała się interesująca scena.

- Postawcie go.

Żołnierze dźwignęli przewodnika na nogi. Hauser zrobił krok naprzód i zajrzał Indianinowi w twarz. Orlando, ubrany w koszulę i krótkie spodnie, stał prosto i spokojnie. W jego wzroku nie widać było ani strachu, ani nienawiści. Hauser pomyślał, że ten przedstawiciel plemienia Tawahka kierował się nieaktualnymi pojęciami honoru i lojalności. Hauser brzydził się takimi ludźmi. Nie można na nich polegać; są całkiem nieelastyczni. Max również okazał się takim człowiekiem.

- Cóż, don Orlando - odezwał się do więźnia, nadając honorowemu tytułowi ironiczną emfazę. - Chcesz jeszcze coś powiedzieć? - Indianin patrzył na niego bez zmrużenia oka. Hauser wyjął składany nóż. - Przytrzymajcie go.

Żołnierze chwycili Indianina. Miał luźno spętane stopy i związane za plecami ręce.

Hauser otworzył mały nóż i szybko naostrzył go na osełce. Sprawdził ostrze palcem i uśmiechnął się z satysfakcją. Następnie jednym ruchem rozciął koszulę na piersi Ocotala; cięcie sięgnęło skóry. Było płytkie, ale zaczęła płynąć krew, czerniąc materiał khaki.

Indianin nawet nie mrugnął.

Hauser zrobił drugie płytkie cięcie na jego barkach i jeszcze dwa na ramionach i plecach. Indianin nadal milczał. Hauser był pod wrażeniem. Nie widział takiego hartu ducha od czasów, gdy przesłuchiwał schwytanego żołnierza Wietkongu.

- Poczekajcie jeszcze chwilę, niech wycieknie więcej krwi - powiedział.

Żołnierze czekali. Koszula ciemniała od krwi. Gdzieś w gąszczu drzew zawołał jakiś ptak.

- Wyrzućcie go.

Trzej żołnierze wypchnęli Indianina z łodzi. Wypadł za burtę; przez chwilę w wodzie panował spokój, następnie pojawiły się na niej wiry, z początku powolne, potem coraz bardziej gwałtowne, aż powierzchnia stawu się zakotłowała. Widać było srebrne błyski przypominające ciskane monety, a potem wszystko pokryła czerwona plama, przez którą niczego już nie można było dojrzeć. Dookoła unosiły się strzępy materiału i kawałki mięsa, podskakujące w skłębionej wodzie.

Kotłowanina trwała dobre pięć minut, nim wreszcie zaczęła się uspokajać. Hauser był usatysfakcjonowany. Odwrócił się, by sprawdzić reakcję Philipa. Był z niej zadowolony.

Bardzo zadowolony.

Przez trzy dni Tom i jego grupa wędrowali w głąb bagna krzyżującą się siecią wodnych odnóg, obozując na błotnistych, minimalnie wystających nad powierzchnię wysepkach. Gotowali fasolę i ryż na dymiących ogniskach z wilgotnego drewna, bo Chori nie mógł niczego upolować. Mimo niekończącego się deszczu poziom wód opadał, obnażając zatopione pnie, które musieli wyrąbywać, nim można było płynąć dalej. Wokół wędrowców unosiła się ciągle złowieszczo brzęcząca chmura gzów.

- Chyba sama zapalę fajkę - odezwała się Sally. - Wolę umrzeć na raka niż to znosić.

Don Alfonso z uśmiechem triumfu wyjął fajkę z kieszeni.

- Zobaczysz, palenie daje długie i szczęśliwe życie. Sam palę od ponad stu lat.

W dżungli rozległ się przeciągły, grzmiący dźwięk, przypominający ludzki kaszel, tylko głośniejszy i dłuższy.

- Co to?

- Jaguar. I to głodny.

- Zdumiewające, ile pan wie o lesie - powiedziała Sally.

- Owszem. - Don Alfonso westchnął. - W dzisiejszych czasach nikt już jednak nie chce uczyć się lasu. Moje wnuki i prawnuki interesują się tylko piłką nożną i grubymi białymi butami, od których gniją stopy - tymi z ptakami na bokach, które produkuje się w fabrykach w San Pedro Sula. - Ruchem podbródka wskazał obuwie Toma.

- Nike?

- Tak. Wokół San Pedro Sula są całe wsie pełne chłopaków, którym zgniły i odpadły od nich stopy. Teraz muszą chodzić na drewnianych kulach.

- Nieprawda.

Don Alfonso potrząsnął głową i zacmokał z dezaprobatą. Łódź płynęła dalej przez zasłony pnączy, wycinanych przez Pinga. Tom dojrzał na przodzie łatę światła - padający z góry snop blasku. Gdy dopłynęli bliżej, okazało się, że padło tu niedawno olbrzymie drzewo, tworząc dziurę w poszyciu. Pień leżał w poprzek koryta, blokując drogę. Tak wielkiego drzewa jeszcze nie widzieli.

Don Alfonso wymamrotał przekleństwo. Chori wyciągnął siekierę [1] przeskoczył z dziobu na pień. Wczepił się bosymi stopami w śliską powierzchnię i zaczął rąbać tak, że wióry leciały na boki. Po półgodzinie wyciął szczerbę wystarczającą, by przepchnąć łodzie na drugą stronę.

Wszyscy wyleźli z łodzi i zabrali się do roboty. Za pniem dno gwałtownie opadało. Tom zanurzył się w wodzie po pas, starając się nie myśleć o kandiru, piraniach i wszelkich chorobach, czających się w gęstej jak zupa brei.

Vernon był przed nim, przytrzymywał burtę i popychał dłubankę. Nagle Tom spostrzegł po prawej powolny wahadłowy ruch w ciemnej wodzie. W tej samej chwili rozległ się przenikliwy krzyk Don Alfonsa:

- Anakonda!

Tom wygramolił się z wody, ale Vernon był odrobinę zbyt powolny. Woda zakotłowała się, nagle uniósł się nad nią wielki garb i Vernon z krzykiem znikł pod brunatną powierzchnią. Lśniący grzbiet węża przemknął obok, przez chwilę widać było, że bestia ma grubość małego pnia, po czym anakonda zanurzyła się w wodzie i znikła.

- *EM.* Złapała Vernito!

Tom wyciągnął maczetę zza pasa i zanurkował. Zamachnął się nogami, by opuścić się jak najgłębiej. W brązowym półmroku widział najwyżej na trzydzieści centymetrów przed sobą. Zanurkował dalej, wolną dłonią szukając węża. Poczuł coś zimnego, okrągłego i śliskiego. Ciął ów kształt maczetą i dopiero wtedy zorientował się, że to tylko zatopiona kłoda. Chwycił ją i podciągnął się do przodu, rozpaczliwie szukając węża lub swojego brata. Czuł, że płuca mu pękają. Wyskoczył na powierzchnię i zanurkował ponownie, przeszukując wodę przed sobą. Gdzie był wąż? Ile czasu minęło? Minuta? Dwie? Jak długo Vernon mógł przeżyć? Desperacja pchała Toma naprzód. Nie ustawał w swoich obłędnych poszukiwaniach, macając dłońmi pomiędzy oślizgłymi, zatopionymi pniami.

Jeden z nich nagle poruszył się pod jego dotykiem. Była to pełna żeber rura, twarda jak stal, ale Tom wyczuł napięte mięśnie pod poruszającą się skórą.

Pchnął maczetą w miękkie podbrzusze węża tak daleko, jak tylko mógł. Przez chwilę nic się nie działo, po czym wąż zwinął się jak bicz i runął na Toma, który poleciał do tyłu. Przy okazji uderzenie wycisnęło mu całe powietrze z piersi, na powierzchnię wydobył się kłąb bąbelków. Tom z gwałtownym szarpnięciem wystawił głowę nad wodę i wciągnął powietrze w płuca. Powierzchnia kłębiła się wskutek szarpaniny węża. Tom zorientował się, że wypuścił maczetę. Zwijające się cielsko węża utworzyło nad wodą lśniący łuk i na chwilę ukazała się zaciśnięta w pięść dłoń Vernona, a potem jego głowa. Gwałtownie złapał powietrze i znów zniknął.

- Rzućcie maczetę!

Pingo posłuchał go i podał Tomowi swoją, rękojeścią naprzód. Tom chwycił ją i zaczął rąbać zwoje, wyłaniające się nad powierzchnię wody.

- Łeb! - krzyknął Don Alfonso z łodzi. - Tnij w łeb!

Gdzie go było szukać w tej plątaninie? Tomowi nagle przyszedł do głowy pewien pomysł. Szturchnął raz i kolejny węża maczetą, budząc w nim furię. Moment później nad powierzchnią pojawił się łeb monstrum - mały i wstrętny, z obłożonymi kostnymi płytkami paszczą i dwoma szparkowatymi ślepiami. Gad szukał źródła bólu. Gdy je dojrzał, rzucił się w tę stronę

z otwartą paszczą. Tom wepchnął maczetę w różową jamę - wprost w przełyk węża. Stwór szarpnął się, skręcił i próbował zewrzeć szczęki, ale Tom nie wypuszczał maczety z ręki, chociaż czuł zęby na ramieniu. Raz za razem obracał maczetę; czuł poddające się tkanki i raptowny potok zimnej gadziej krwi. Anakonda przez chwilę szarpała łbem w jedną i drugą stronę, o mało nie wyrywając Tomowi ramienia ze stawu. Resztką sił jeszcze raz skręcił i pchnął maczetę; czubek wynurzył się za łbem zwierzęcia. Obracając ostrze i w ten sposób odcinając łeb wężowi, Tom poczuł spazmatyczne drżenie szczęk. Wreszcie rozchylił drugą ręką paszczę i wyjął ramię, gorączkowo rozglądając się po wciąż wzburzonej wodzie w poszukiwaniu brata.

Vernon nagle uniósł się na powierzchnię, twarzą do dołu. Tom chwycił go i odwrócił. Brat miał zaczerwienioną twarz i zamknięte oczy. Wyglądał na martwego. Tom przeciągnął go do łodzi; Pingo i Sally wywindowali Vernona do środka. Tom przesunął się przez burtę jego śladem i stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, pochylała się nad nim Sally; jej jasne włosy opadały kaskadą. Oczyszczała zmoczonym w alkoholu wacikiem ślady zębów na jego ramieniu. Tom miał oberwany nad łokciem rękaw koszuli, rękę rozorały mu głębokie bruzdy, w których pojawiła się krew.

- Vernon...?

- Nic mu nie będzie - uspokoiła go Sally. - Zajmuje się nim Don Alfonso. Nałykał się tylko trochę wody i ma paskudne ukąszenie na udzie.

Tom spróbował usiąść. Miał wrażenie, jakby jego ramię płonęło ogniem. Gzy kłębiły się nad nim jeszcze gęściej niż zwykle, wciągał je w usta z każdym oddechem. Sally popchnęła go delikatnie z powrotem na dno, przykładając mu do piersi rękę.

- Nie ruszaj się.

Wciągnęła powietrze przez fajkę i wydmuchnęła dym, odstraszając owady.

- To szczęście, że anakondy mają maciupeńkie zęby.

Potarła ranę.

- Auu!

Leżał już dalej w bezruchu, wpatrując się w mijane powoli korony drzew. Nigdzie nie widać było ani kawałka błękitu. Wszystko skrywały liście.

30

Tom leżał tego wieczora w hamaku, miał obandażowane ramię. Vernon doszedł do siebie i z pogodą ducha pomagał Don Alfonsowi gotować jakiegoś nieznanego ptaka, którego Chori upolował na kolację.

W namiocie było potwornie duszno, chociaż plandeki na bokach podniesiono w górę.

Od dnia wyjazdu z Bluff minęło dopiero trzydzieści dni, a wydawało się, że to wieczność. Jego konie, wyryte na tle błękitnego nieba czerwone zbocza z piaskowca, przeszywający blask słońca i szybujące nad San Juan orły... - wszystko to zdawało się wspomnieniami kogoś innego. Dziwne... Przeniósł się do Bluff z Sarah, swoją narzeczoną. Kochała konie i otwarte przestrzenie tak samo jak on, ale Bluff okazało się dla niej za spokojne - pewnego dnia więc spakowała się i odjechała. Tom właśnie zaciągnął dużą pożyczkę i organizował praktykę weterynaryjną, dlatego w żaden sposób nie mógł podążyć za nią. Było to dwa lata temu; od tego czasu nie związał się z nikim. Powtarzał sobie, że nikogo nie potrzebuje, że spokojne życie w pięknej okolicy na razie mu wystarczy. Praca weterynarza była wyczerpująca, harówka okropna, a zyski praktycznie żadne. Uznał jednak, że taka robota go satysfakcjonuje, ale nigdy nie zdołał otrząsnąć się do końca ze swoich marzeń o paleontologii - dziecięcych snów o poszukiwaniu zagrzebanych w skałach kości wielkich dinozaurów. Może ojciec miał rację, że powinien był wyrosnąć z tych ambicji po ukończeniu dwunastego roku życia.

Obrócił się, czując pulsujący ból w ramieniu, i spojrzał na Sally. Przegródka była podwinięta dla lepszej wentylacji; dziewczyna leżała w hamaku z jedną z książek zabranych przez Vernona - thrillerem pod tytułem „Utopia". Utopia. Tom myślał, że ją właśnie znalazł w Bluff. Okazało się jednak, że faktycznie uciekał przed czymś - a raczej przed kimś: przed własnym ojcem.

Cóż, teraz już przed nim nie uciekał.

W tle słychać było Don Alfonsa, wykrzykującego polecenia do Choriego i Pinga. Wkrótce do szałasu dotarła woń duszonego mięsa. Tom przyglądał się czytającej Sally - jak przekłada strony, odgarnia włosy, wzdycha, przewraca kolejną kartkę. Była piękna, chociaż chwilami potrafiła zaleźć za skórę.

Sally odłożyła książkę.

- Na co się gapisz?
- Dobra książka?
- Doskonała. - Uśmiechnęła się. - Jak się czujesz?
- Świetnie.
- Spisałeś się jak prawdziwy Indiana Jones.
- Nie mogłem stać i gapić się, jak wąż pożera mojego brata. - Tom wzruszył ramionami. Właściwie nie o tym chciał porozmawiać. Poprosił: - Opowiedz mi o swoim narzeczonym, profesorze Clyvie.
- Cóż - Sally uśmiechnęła się na samą myśl o nim. - Wybrałam się na Yale, żeby u niego studiować. Jest moim promotorem, piszę u niego doktorat. My po prostu... Cóż, kto nie zakochałby się w Julianie? Jest

błyskotliwy. Nigdy nie zapomnę naszego pierwszego spotkania na cotygodniowym koktajlu dla wykładowców. Myślałam, że będzie to jeszcze jeden zwykły pracownik naukowy, ale... rany, wyglądał jak Tom Cruise.

- Rany.

- Oczywiście wygląd nic dla niego nie znaczy. Dla Juliana liczy się umysł - nie ciało.

- Rozumiem.

Tom nie mógł się oprzeć, by nie patrzeć na jej ciało. Zadawało to kłam zapewnieniom o intelektualnej czystości Juliana. Clyve był mężczyzną jak każdy inny - tyle że mniej uczciwym.

- Ostatnio wydał książkę, „Rozszyfrowanie języka Majów". To geniusz w prawdziwym sensie tego słowa.

- Wyznaczyliście termin ślubu?

- Julian nie wierzy w takie rzeczy. Ślub da nam sędzia pokoju.

- A twoi rodzice? Nie będą rozczarowani?

- Nie mam rodziców.

- Przepraszam. - Tom poczuł, że się rumieni.

- Nie ma za co - odparła Sally. - Ojciec zmarł, kiedy miałam jedenaście lat, a matka dziesięć lat temu. Przywykłam do tego - o tyle, o ile można.

- Naprawdę zamierzasz wyjść za tego faceta?

Sally popatrzyła na niego i zapanowała krótka cisza.

- Co to ma znaczyć?

- Nic. - Zmień temat, pomyślał Tom. - Opowiedz mi o swoim ojcu.

- Był kowbojem.

Tak, oczywiście, pomyślał Tom. Bogaczem, który pewnie hodował konie wyścigowe.

- Nie wiedziałem, że tacy jeszcze istnieją - powiedział uprzejmie.

- Istnieją, tylko są zupełnie inni niż w kinie. Prawdziwy kowboj to robotnik, który pracuje na końskim grzbiecie, zarabia poniżej płacy minimalnej, nie skończył gimnazjum, ma problem z alkoholem i zostaje kaleką lub umiera, zanim skończy czterdziestkę. Tata był majstrem na ranczu w południowej Arizonie, wykupionym przez korporację. Spadł z wiatraka, który próbował naprawić, i złamał kark. Nie powinni byli mu kazać, by tam właził, ale sędzia uznał, że to jego wina, bo wszedł tam nietrzeźwy.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

- Dobrze jest się z tego zwierzyć. Tak przynajmniej mówi mój terapeuta.

Tom nie był pewien, czy nie traktować tych słów jako żart, ale wolał zachować ostrożność. Większość ludzi w New Haven zapewne chodziła do psychoanalityków.

- Myślałem, że twój ojciec ma wielkie ranczo.

- Przypuszczałeś, że jestem córeczką bogacza?

- Cóż, coś podobnego chodziło mi po głowie. - Tom zaczerwienił się. - Ostatecznie skończyłaś Yale, a sądząc po tym, jak umiesz jeździć konno...

Pomyślał o Sarah. Miał dość bogatych dziewczyn na resztę życia i tym razem założył, że spotkał kolejną. Sally zaśmiała się - z goryczą.

- Musiałam walczyć o każdy drobiazg. Z Yale włącznie.

Tom poczuł, że rumieni się jeszcze bardziej. Dlaczego przyjął tak nieuzasadnione założenie? Sally była zupełnie inna niż Sarah.

- Mimo swoich wad mój ojciec był wspaniały - kontynuowała. - Nauczył mnie jeździć konno i strzelać, prowadzić bydło, utrzymywać je w ryzach i rozdzielać stado. Po jego śmierci matka przeprowadziła się do Bostonu, gdzie miała siostrę. Zatrudniła się jako kelnerka w Red Lobster, żeby nas utrzymać. Uczyłam się we Framigham State College, bo tylko ta uczelnia chciała mnie przyjąć z moją mizerną państwową edukacją. Matka umarła, kiedy byłam w college'u. Nagle, wskutek tętniaka. Dla mnie to było jak koniec świata. Potem wreszcie spotkało mnie coś dobrego. Miałam nauczycielkę antropologii, która przekonała mnie, że nauka może sprawiać radość i nie jestem tylko tępą blondynką. Wierzyła we mnie, chciała, żebym została lekarką. Poszłam do wstępnej szkoły medycznej, ale potem zainteresowałam się biologią farmaceutyczną, a z tego przerzuciłam na etnofarmakologię. Urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby dostać się na Yale. Tam spotkałam Juliana. Nigdy nie zapomnę, jak go pierwszy raz zobaczyłam. Było to na koktajlu dla wykładowców; stał na środku pokoju i o czymś opowiadał. Julian opowiada wspaniałe historie. Po prostu dołączyłam do zebranych i słuchałam. Opowiadał o swojej pierwszej wyprawie do Copan. Wyglądał tak... olśniewająco, jak któryś z dawnych podróżników.

- Tak... - powiedział Tom. - Pewnie.

- A twoje dzieciństwo? - spytała Sally. - Jakie było?

- Wolałbym o tym nie mówić.

- To nieuczciwe z twojej strony.

- Było bardzo nudne. - Tom westchnął.

- Wątpię.

- Od czego mam zacząć? Byliśmy arystokracją z urodzenia, by się tak wyrazić. Wielki dom, basen, kucharz, ogrodnik, gospodyni na stałe, stajnie, tysiąc hektarów ziemi. Ojciec nie żałował nam niczego. Miał wobec nas wielkie plany. Zgromadził całą półkę książek o wychowaniu dzieci i każdą z nich przeczytał. Wszystkie twierdziły, że trzeba zacząć od ważnych rzeczy. Kiedy byliśmy jeszcze niemowlętami, grał nam Bacha i Mozarta, a w pokojach porozwieszał reprodukcje dawnych mistrzów. Gdy uczyliśmy się czytać, poprzyczepiał do wszystkiego w domu etykiety z nazwami. Pierwsze, co widziałem rano, to tabliczki:

„szczoteczka do zębów", „kran", „lustro", rzucające się w oczy ze wszystkich stron. W wieku siedmiu lat każdy z nas musiał wybrać sobie instrument muzyczny. Chciałem grać na perkusji, ale ojciec upierał się przy czymś klasycznym, więc uczyłem się gry na fortepianie. „Country Gardens" Graignera, raz w tygodniu z piskliwą panną Greer. Vernon miał lekcje gry na oboju, a Philip musiał męczyć się ze skrzypcami. W niedzielę zamiast chodzić do kościoła - ojciec był zatwardziałym ateistą - stroiliśmy się i graliśmy dla niego koncert.

- Och, Boże.

- Właśnie: och, Boże. To samo było ze sportem. Każdy z nas musiał wybrać sobie jakąś dziedzinę. Nie dla zabawy czy ćwiczeń, rozumiesz, ale żeby w tym triumfować. Ojciec wysyłał nas do najlepszych szkół. Każda minuta dnia była objęta rozkładem: lekcje jazdy konnej, korepetytorzy, prywatni trenerzy, piłka nożna, zgrupowanie tenisowe, komputerowe, wyprawy na Gwiazdkę na narty do Taos i Cortina d'Ampezzo.

- Jakie to straszne. A wasza matka jaka była?

- Nasze trzy matki. Jesteśmy braćmi przyrodnimi. Można powiedzieć, że ojciec nie miał szczęścia w miłości.

- Przyznano mu opiekę nad wami wszystkimi?

- Czego Max chciał, to dostawał. Każdy rozwód to była paskudna jatka. Matki nie stanowiły istotnej części naszego życia; moja i tak umarła, kiedy miałem dziewięć lat. Ojciec chciał sam nas wychowywać. Nie życzył sobie, by ktokolwiek się wtrącał. Zamierzał stworzyć trzech geniuszy, którzy odmienia świat. Próbował wybierać nam kariery. Nawet dziewczyny.

- Przykro mi. Okropne dzieciństwo.

Tom poprawił się w hamaku, nieco zirytowany jej komentarzem.

- Nie nazwałbym świąt w Cortinie okropnością. Każdy z nas ostatecznie coś z tego wyniósł. Ja nauczyłem się kochać konie, Philip zapałał miłością do renesansowych obrazów. A Vernon - cóż, on zakochał się w wędrowaniu.

- A zatem ojciec dobierał ci dziewczyny?

- Próbował. - Tom naprawdę wolałby, żeby nie wspominała o tym szczególe.

- I?

Poczuł, że się rumieni, ale nie mógł się powstrzymać. Ogarnęły go niechciane wspomnienia o Sarah - idealnej, pięknej, błyskotliwej, utalentowanej, bogatej Sarah.

- Kto to był? - spytała Sally. Kobiety zawsze wiedziały.

- Dziewczyna, której przedstawił mnie ojciec. Córka jego przyjaciela. Jak na ironię, był to jedyny raz, kiedy pragnąłem tego samego, co on. Zacząłem się z nią spotykać. Zaręczyliśmy się.

- Co się stało?

Przyjrzał się uważnie Sally. Wydawało się, że powoduje nią coś więcej niż tylko ciekawość. Zastanawiał się, co to oznacza.

- Nie wyszło.

Nie dodał, że znalazł Sarah, ujeżdżającą innego mężczyznę w ich wspólnym łóżku. Ona też dostawała, czego chciała. „Życie jest za krótkie - powtarzała - i chcę doświadczyć wszystkiego. Co w tym złego?". Nie umiała sobie niczego odmówić.

Sally przyglądała się Tomowi z zaciekawieniem. Wreszcie potrząsnęła głową.

- Twój ojciec to był prawdziwy aparat. Mógłby napisać książkę, jak nie wychowywać dzieci.

Tom poczuł po raz drugi ukłucie irytacji.

- Ojciec uwielbiałby Juliana.

Wiedział, że nie powinien był tego mówić, ale nie potrafił się opanować. Zapadło nagłe milczenie. Czuł, że Sally wpatruje się w niego.

- Słucham?

Tom kontynuował, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie powinien:

- Chodzi mi tylko o to, że Julian jest dokładnie takim człowiekiem, na jakiego chciał mnie wychować ojciec. Mnie i moich braci. Skończył Stanford, mając szesnaście lat, został sławnym profesorem na Yale, „geniuszem w prawdziwym sensie tego słowa", jak to ujęłaś.

- Nie zniżę się do skomentowania twoich słów - odparła sztywno Sally, rumieniąc się z gniewu.

Sięgnęła po książkę i zaczęła czytać dalej.

31

Philip był przykuty do drzewa. Ręce miał założone za plecy. Gzy całymi tysiącami pełzały po każdym odkrytym centymetrze kwadratowym ciała, pożerając go żywcem. Nie mógł nic poradzić, że wchodziły mu do oczu, nosa, kanałów słuchowych. Potrząsał głową, starał się odgonić je mruganiem, ale wszystko na nic. Powieki miał tak opuchnięte, że niemal nic nie widział. Hauser rozmawiał z kimś cichym głosem przez telefon satelitarny. Philip nie rozumiał słów, ale doskonale słyszał jego spokojny, przypierający do muru głos. Zamknął oczy. Naprawdę go to już nic nie obchodziło. Pragnął jedynie, by Hauser prędzej skrócił jego cierpienia - celną kulą w łeb.

Lewis Skiba siedział za biurkiem w odwróconym w stronę okna fotelu, spoglądając na wierzchołki drapaczy chmur po południowej stronie Manhattanu. Hauser nie odzywał się od czterech dni. Pięć dni temu po-

wiedział, żeby przespać się z tematem. Było to pięć najgorszych dni w życiu Skiby. Kurs akcji spadł do sześciu. Komisja Papierów Wartościowych doręczyła nakazy zajęcia dokumentacji oraz skonfiskowała laptopy i twarde dyski z siedziby korporacji. Skurczybyki skonfiskowały nawet jego komputer! Orgia gry na zniżkę trwała w najlepsze. „Wall Street Journal" ogłosił oficjalnie, że FDA ma zamiar nie zaaprobować floksatanu. Biuro Standard & Poor było gotowe do zakwalifikowania obligacji Lampe-Denison jako bezwartościowych. Zaczynały się rozlegać publiczne spekulacje na temat bankructwa firmy.

Poprzedniego wieczora Lewis odważył się powiedzieć żonie, że zważywszy na okoliczności, muszą natychmiast wystawić na sprzedaż dom w Aspen. Był to ostatecznie ich czwarty dom i korzystali z niego tylko tydzień w roku. Żona jednak nie zrozumiała. Płakała, lamentowała i ostatecznie spędziła noc w pokoju gościnnym. Och, Boże, czy tak musiało być? A jeśli będą zmuszeni sprzedać dom, w którym mieszkają? Co zrobi żona, jeśli będą musieli zabrać dzieci z prywatnej szkoły?

Przez cały ten czas Hauser nie dawał znaku życia. Co robił, do diabła? Czy coś mu się stało? Zrezygnował? Skiba poczuł, że pot znowu występuje mu na czoło. Nie mógł znieść faktu, że los firmy i jego samego leżał w rękach człowieka takiego pokroju.

Zadzwonił telefon z szyfratorem i Lewis dosłownie podskoczył do góry. Była dziesiąta rano. Hauser nigdy nie dzwonił rano, ale nie wiedzieć czemu Skiba miał pewność, że to właśnie on.

- Tak? - próbował ukryć, że brak mu tchu.
- Skiba?
- Tak, tak.
- Co słychać?
- Wszystko w porządku.
- Przespałeś się z tematem?

Lewis przełknął. Znów poczuł kulę w gardle i sztabę ołowiu w trzewiach. Dławiło go w krtani, nie mógł się zmusić do odpowiedzi. Wypił już swoją dawkę, ale jeszcze łyk nie zaszkodzi. Przytrzymując słuchawkę przy uchu, otworzył szafkę i nalał whisky do szklanki. Nie zawracał sobie głowy dolaniem wody.

- Wiem, że to ciężka sprawa, Lewis, ale czas nadszedł. Chce pan dostać Kodeks czy nie? Mogę w tej chwili zrezygnować i zawrócić. Co pan myśli?

Skiba przełknął złocisty trunek i odzyskał głos, chociaż był to ledwie ochrypły szept:

- Powtarzałem panu, że nie mam z tym nic wspólnego. Jest pan ponad siedem tysięcy kilometrów ode mnie. Nie mam na pana wpływu. Niech pan robi, co chce, tylko niech pan przywiezie tę księgę.

- Nie dosłyszałem, pewnie przez ten szyfrator i tak dalej...

- Niech pan robi, co trzeba! - ryknął Skiba. - Proszę jednak mnie do tego nie mieszać!

- Och, nie, nie, nieeeee.... Nie. Już to panu tłumaczyłem, Skiba. Siedzimy w tym razem, wspólniku.

Skiba zadygotał cały. Zacisnął dłoń na słuchawce z morderczą siłą. Miał wrażenie, że jeśli ściśnie ją dostatecznie silnie, to udusi Hausera.

- Mam się ich pozbyć czy nie? - mówił dalej żartobliwy głos. - Jeżeli nie, to nawet jeśli zdobędę Kodeks, synowie wrócą i natychmiast zaczną się domagać od pana jego zwrotu. I wie pan co, Lewis? Nie wygra pan. Odbiorą go panu. Sam mi pan powiedział, że chce go mieć bez żadnych komplikacji i pozwów.

- Zapłacę im prowizję. Zarobią miliony.

- Nie zechcą robić z panem żadnych interesów. Mają inne zamiary co do Kodeksu. Nie mówiłem panu tego? Ta kobieta, Sally Colorado, ma imponujące plany, wielkie plany.

- Jakie? - Skiba znowu poczuł przeszywający go od stóp do głów dreszcz.

- Niezwiązane z Lampe-Denison, to panu wystarczy. Niech pan słucha, Skiba, to właśnie problem z wami, biznesmenami. Nie wiecie, jak podejmować twarde decyzje.

- Mówi pan o ludzkim życiu.

- Wiem. Dla mnie to też niełatwe. Niech pan rozważy dobre i złe strony. Kilku ludzi znika w niezbadanej dżungli. To jedna sprawa. Druga to leki, ratujące milionom życie, dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy utrzymają pracę, udziałowcy, którzy będą pana kochali zamiast żądać pańskiej głowy. Będzie pan pupilem Wall Street, jeśli uratuje pan firmę od upadku.

- Proszę dać mi jeszcze dzień do zastanowienia - powiedział Skiba po kolejnym łyku.

- Nie mogę. Sprawy osiągnęły stadium kulminacyjne. Pamięta pan, co mówiłem o powstrzymaniu ich, zanim dotrą do gór? Aby ulżyć pana sumieniu, powiem, że nawet nie zrobię tego sam. Jest tu kilku honduraskich żołnierzy. I tak mam kłopoty z utrzymaniem ich w karbach. To szaleńcy, zdolni do wszystkiego, Lewis. Takie rzeczy zdarzają się tutaj ciągle. Ech, gdybym nawet teraz zawrócił, to ci żołnierze i tak by ich zabili. I co mam zrobić, Lewis? Pozbyć się ich i przywieźć panu Kodeks? Czy zawrócić i o wszystkim zapomnieć? Muszę już kończyć. Jaka jest pana odpowiedź?

- Po prostu to zrób!

W słuchawce rozlegał się przez chwilę szum zakłóceń.

- Powiedz to, Lewis. Powiedz, co chcesz, żebym zrobił.

- Zrób to! Zabij ich, do cholery. Zabij Broadbentów!

Dwa i pół dnia po ataku węża, gdy łódź pokonywała kolejny niekończący się wodny tunel, Tom spostrzegł, że przed nimi robi się jaśniej. Słońce przesączało się przez listowie - i niespodziewanie, ze zdumiewającą szybkością bagno Meambar się skończyło. Jak gdyby nagle znaleźli się w nowym świecie. Byli na skraju wielkiego jeziora z czarną jak atrament wodą. Zza chmur wyłaniało się późnopopołudniowe słońce. Tom poczuł przypływ ulgi, że wreszcie są na otwartym terenie, uwolnieni z zielonego więzienia moczarów. Świeży powiew zmiótł gzy. Na przeciwległym brzegu widać było sine wzgórza, a za nimi niewyraźną linię piętrzących się ku obłokom gór.

Don Alfonso stanął na dziobie łodzi i rozpostarł ręce. Z zaciśniętą w pomarszczonej pięści fajką z kaczana kukurydzy przypominał obszarpanego stracha na wróble.

- Laguna Negra! - zawołał. - Przedostaliśmy się przez bagno Meambar! Ja, Don Alfonso Boswas, prowadziłem jak należy!

Chori i Pingo opuścili i włączyli silniki łodzi. Dłubanki popłynęły ku przeciwnemu brzegowi jeziora. Tom wsparł się na stercie zapasów i rozkoszował czystym powietrzem. Włochaty Wałkoń wylazł z kieszeni i ulokował mu się na czubku głowy, mlaskając i gaworząc radośnie z zamkniętymi oczami. Tom prawie zapomniał, co znaczy czuć lekki powiew wiatru na swojej skórze.

Obóz rozbili na łasze piasku na przeciwległym brzegu. Chori i Pingo ruszyli na łowy i po godzinie wrócili z oprawioną i poćwiartowaną łanią; kawałki mięsa pozawijali w liście palmy.

- Wspaniale! - zawołał Don Alfonso. - Tomas, dzisiaj na kolację jemy pieczeń, a resztę mięsa uwędzimy na dalszą drogę po lądzie.

Don Alfonso upiekł kawałki dziczyzny nad ogniskiem, podczas gdy Pingo i Chori zrobili obok prowizoryczną wędzarnię. Tom patrzył z zaciekawieniem, jak z wprawą tną maczetami mięso na długie pasy i rozwieszają je na rusztach, a potem dokładają wilgotnego drewna do ognia. Na wszystkie strony rozeszły się kłęby wonnego dymu.

Pieczyste wkrótce było gotowe. Don Alfonso rozdał je i gdy przystąpili do jedzenia, Tom zadał pytanie, które chodziło mu od jakiegoś czasu po głowie.

- Don Alfonso, dokąd teraz?

Starzec wyrzucił kość w mrok za plecami.

- Do Laguna Negra wpada pięć rzek. Musimy znaleźć tę, którą popłynął twój ojciec.

- Skąd biorą początek?

- Mają źródła w pasmach górskich w głębi lądu. Niektóre wypływają z Cordillera Entre Rios, niektóre z Sierra Patuca, a pozostałe z Sierra

de las Neblinas. Najdłuższa z nich to Macaturi i bierze początek w Sierra Azul, w połowie drogi do Pacyfiku.

- Można nimi płynąć łodzią?

- W niższych partiach ponoć tak.

- Ponoć? - spytał Tom. - Nie płynął pan tamtędy?

- Nikt z mojej wsi nie płynął. Tamte okolice są bardzo niebezpieczne.

- Dlaczego? - zapytała Sally.

- Zwierzęta nie boją się ludzi. Do tego dochodzą trzęsienia ziemi, wulkany i złe duchy. Jest tam miasto demonów, z którego nikt nigdy nie wrócił.

- Miasto demonów? - zapytał z nagłym zainteresowaniem Vernon.

- Tak. La Ciudad Bianca - Białe Miasto.

- Co to za miasto?

- Zbudowane dawno temu przez bogów. Jest w ruinie.

Vernon ogryzał przez chwilę kość, potem wrzucił ją do ognia.

- Mamy odpowiedź - stwierdził rzeczowo.

- Odpowiedź na co?

- Gdzie udał się ojciec.

- Czy to nie za duże ryzyko? - Tom popatrzył na niego. - Skąd możesz wiedzieć?

- Nie wiem, ale właśnie takie miejsce wybrałby ojciec. Zakochałby się w takiej opowieści. Na pewno by to sprawdził, a takie historie często mają oparcie w rzeczywistości. Założę się, że znalazł tam zaginione miasto, jakieś wielkie dawne ruiny.

- Ale w tych górach podobno nie ma żadnych ruin.

- Kto tak powiedział? - Vernon wziął kolejny kawałek mięsa z liścia palmy i zaczął go jeść.

Tom przypomniał sobie rumianego Dereka Dunna i jego kategoryczne twierdzenie, że anakondy nie jedzą ludzi.

- Czy o tym Białym Mieście wszyscy wiedzą? - zwrócił się do Don Alfonsa.

- Mówi się o nim. - Starzec pokiwał powoli głową, zmarszczywszy czoło.

- Gdzie leży?

Don Alfonso pokręcił głową.

- Nie ma stałego miejsca, ale przenosi się po najwyższych szczytach Sierra Azul. Zawsze kryje się w mgłach na wierzchołkach gór.

- A więc to mit. - Tom obejrzał się na Vernona.

- Och, nie, Tomas, istnieje naprawdę. Mówią, że można do niego dotrzeć tylko przez przepaść bez dna. Ci, którzy się w nią obsuwają, umierają ze strachu, a ich ciała lecą w dół tak długo, że zostają z nich tylko kości - a one spadają dalej, aż same wyschną. W końcu zostaje tylko pył kostny, który bez końca sypie się przez ciemność.

Don Alfonso dorzucił kawałek drewna do ognia. Tom przyglądał się, jak patyk puszcza dym i zajmuje się ze wszystkich stron płomieniami. Białe Miasto.

- W dzisiejszych czasach nie ma już zaginionych miast - powiedział.

- I tu się mylisz - odparła Sally. - Są ich dziesiątki, może nawet setki, w takich miejscach jak Kambodża, Birma, pustynia Gobi - i zwłaszcza tutaj, w Ameryce Środkowej. Na przykład Miejsce Q.

- Miejsce Q?

- Znaleziska z Miejsca Q wypływają na światło dzienne od czterdziestu lat i doprowadzają archeologów do szału. Wiadomo, że musi to być wielkie miasto Majów, zapewne gdzieś na Nizinie Gwatemalskiej, ale nikt nie może go znaleźć. Wiedzą o nim tylko grabieżcy - rozbierają je kamień po kamieniu i sprzedają na czarnym rynku.

- Ojciec wysiadywał w barach - wtrącił Vernon. - Stawiał kolejki Indianom, drwalom i poszukiwaczom złota, nasłuchiwał pogłosek o ruinach i zaginionych miastach. Nauczył się nawet trochę języka Indian. Pamiętasz, Tom, jak zaczynał nim mówić na przyjęciach?

- Zawsze myślałem, że zmyśla na poczekaniu.

- Słuchaj, zastanów się chwilę - ciągnął Vernon. - Ojciec nie budowałby grobowca od fundamentów, żeby się w nim pogrzebać. Po prostu wykorzystał jeden z grobów, które dawno temu obrabował.

Nikt przez chwilę nic nie mówił.

- Błyskotliwa myśl, Vernon - stwierdził wreszcie Tom. Ogień zatrzeszczał. Nadal panowało głuche milczenie. - Ojciec jednak nigdy nie wspominał o Białym Mieście.

- Otóż to. - Vernon się uśmiechnął. - Wiesz, dlaczego nigdy o nim nie wspomniał? Bo właśnie tam dokonał swojego wielkiego odkrycia, tego, od którego się wszystko zaczęło. Przyjechał tu bez grosza przy duszy, a wrócił z łodzią pełną skarbów i zaczął handlować dziełami sztuki.

- To ma sens.

- Cholerna racja, że ma to sens. Założę się, o co zechcesz, że ruszył właśnie tam, by się pogrzebać! Idealny plan. W tym tak zwanym Białym Mieście musi być niejeden grobowiec, którego położenie ojciec znał, bo sam go obrabował. Wystarczyło wrócić i zamknąć w jednym z nich skarby z pomocą miejscowych Indian. Białe Miasto istnieje naprawdę, Tom.

- Przekonałeś mnie - oświadczyła Sally.

- Wiem nawet, jak ojciec zwerbował Indian do pomocy - dodał Vernon z coraz szerszym uśmiechem.

-Jak?

- Przypominasz sobie te rachunki, które policja z Santa Fe znalazła w domu - na francuski i niemiecki sprzęt kuchenny, zamówiony tuż

przed zniknięciem ojca? Tak właśnie zapłacił im za pomoc: garnkami do gotowania.

Don Alfonso głośno i ostentacyjnie odchrząknął. Skupiwszy na sobie uwagę, oznajmił:

- Całe to gadanie to głupota.

- Dlaczego?

- Bo nikt nie może wejść do Białego Miasta. Wasz ojciec nigdy by go nie znalazł. A nawet gdyby, to mieszkają tam demony, które zabiłyby go i pojmały jego duszę. Odpędziłyby go wiatry, mgły zamąciłyby mu wzrok i umysł, a woda z tamtejszego źródła odebrałaby mu pamięć. - Potrząsnął kategorycznie głową. - Nie, to niemożliwe.

- Którą rzeką trzeba tam płynąć?

Don Alfonso zmarszczył brwi. Spojrzenie wielkich oczu zza brudnych okularów sugerowało, że czuje się bardzo niezadowolony.

- Po co wam ta bezużyteczna informacja? Mówię wam, że to niemożliwe.

- Nie jest niemożliwe i właśnie tam popłyniemy.

Don Alfonso całą minutę wpatrywał się w Toma. Wreszcie westchnął.

- Część drogi można przepłynąć Macaturi, ale tylko do wodospadów. Sierra Azul leży wiele dni drogi za wodospadami, za górami, dolinami i kolejnymi górami. Tej drogi nie można przebyć. Wasz ojciec nie dałby rady tego zrobić.

- Nie znał pan naszego ojca, Don Alfonso.

Starzec napełnił fajkę i skierował pełne smutku spojrzenie na ogień. Pocił się, a dłoń, w której trzymał uchwyt, drżała.

- Jutro płyniemy do Macaturi - powiedział Tom - a potem ruszamy do Sierra Azul. - Don Alfonso nie odrywał wzroku od ognia. - Płynie pan z nami, Don Alfonso?

- Moim przeznaczeniem jest ci towarzyszyć, Tomas - odrzekł cicho. - Oczywiście wszyscy zginiemy, na długo zanim dotrzemy do Sierra Azul. Jestem starym człowiekiem; jestem gotów na śmierć i spotkanie ze świętym Piotrem. Przykro mi będzie jednak patrzeć, jak umierają Chori i Pingo... patrzeć na śmierć curandery, bo jest tak piękna i miałaby wiele lat miłości przed sobą. I bardzo ciężko będzie mi patrzeć, jak ty umierasz, Tomas, bo zostałeś moim przyjacielem.

33

Tom nie mógł zasnąć, rozmyślając o Białym Mieście. Vernon miał rację - wszystko pasowało idealnie. Było to tak oczywiste, że Tom dziwił się, iż wcześniej na to nie wpadł.

Przewracał się z boku na bok, a Wałkoń piszczał z irytacją, aż wreszcie wspiął się po słupku hamaka na kołek pod dachem. Około czwartej nad ranem Tom się poddał. Wstał z hamaka, rozpalił na nowo tlące się ognisko i nastawił garnek z wodą. Wciąż zirytowany Wałkoń zlazł, schował się do kieszeni i przekrzywił łebek, żeby podrapać go pod brodą. Wkrótce pojawił się Don Alfonso, usiadł i przyjął kubek kawy. Długo siedzieli w ciemności, nie odzywając się do siebie.

- Jest coś, nad czym się zastanawiam - powiedział wreszcie Tom. - Kiedy wypływaliśmy z Pito Solo, przemawiał pan, jakby miał pan już nie wrócić. Dlaczego?

Don Alfonso upił łyk kawy. Migotliwy blask ogniska odbił się w jego okularach.

- Kiedy nadejdzie pora, Tomasito, poznasz odpowiedź na to pytanie i wiele innych.

- Dlaczego wyprawił się pan z nami?

- Taka była przepowiednia.

- To nie jest dobry powód.

- Przeznaczenie to nie powód. - Don Alfonso odwrócił twarz ku Tomowi. - To wyjaśnienie. Nie będziemy o tym więcej mówić.

Macaturi była największą z pięciu rzek, wpadających do Laguna Negra. Łatwiej było nią płynąć niż po Patuce, była czysta i głęboka, bez mielizn i podwodnych przeszkód. Niedługo po tym, gdy ruszyli, płynąc na silnikach, słońce wspięło się nad odległe wzgórza, zabarwiając je na zielonkawozioty odcień. Don Alfonso zajął swe zwykłe miejsce na wierzchu sterty zapasów. Zmienił się jego nastrój. Przestał wygłaszać filozoficzne komentarze o życiu, mówić o seksie, narzekać na niewdzięczność synów czy nazywać ptaki i zwierzęta. Po prostu siedział, palił fajkę i wpatrywał się przed siebie smutnym wzrokiem.

Przez kilka godzin dwie łodzie płynęły w ciszy w górę rzeki. Gdy pokonały kolejny zakręt, pojawiło się blokujące drogę, leżące w poprzek koryta drzewo. Padło niedawno, miało jeszcze zielone liście.

- Dziwne - mruknął Don Alfonso.

Krzyknął na Choriego i zwolnili; minęła ich płynąca do tej pory z tyłu łódź Pinga. Vernon opalał się, usadowiony na środku, oparty o burtę. Machnął ręką, gdy się mijali.

Nagle Don Alfonso zanurkował do steru i pchnął go maksymalnie w prawo. Dłubanka skręciła tak ostro, że o mało się nie wywróciła.

- Padnij! - krzyknął starzec. - Na dno!

W tym samym momencie w lesie rozległa się seria z automatu.

Tom rzucił się na Sally i przycisnął ją do dna, podczas gdy rząd kul uderzył w bok łodzi, obsypując ich drzazgami. Słychać było trafiające w wodę pociski i krzyki napastników. Tom odwrócił głowę i zobaczył, że

Don Alfonso przycupnął na rufie, wciąż z ręką na sterze, kierując dłubankę w stronę ukrycia - zarośniętego brzegu.

Z drugiej łodzi rozległ się straszny krzyk - ktoś został trafiony.

Tom nadal leżał na Sally. Widział jedynie grzywę jej jasnych włosów i pobrużdżony drewniany kadłub pod nimi. Krzyk z drugiej łodzi nie ustawał - nieludzki wrzask bólu i grozy. To Vernon, pomyślał Tom, trafili Vernona. Strzały nie ustawały, ale teraz kule przelatywały chyba nad ich głowami. Łódź zaszorowała o dno raz i drugi, śruba zazgrzytała na płytko leżących kamieniach.

Strzały i krzyk ustały jednocześnie - obie łodzie dotarły pod osłonę brzegu.

Don Alfonso podniósł się i rozejrzał. Krzyknął coś w narzeczu Tawahka, ale odpowiedzi nie było.

Tom dźwignął się ostrożnie i pociągnął za sobą Sally. Miała plamki krwi na policzku, gdzie pokaleczyły ją drzazgi.

- Nic ci nie jest?

W milczeniu pokręciła głową.

Łódź płynęła w tej chwili wzdłuż wysokiej skarpy pokrytej kamieniami i zarośniętej krzakami, prawie zupełnie ukryta pod gałęziami. Tom usiadł i odwrócił się w stronę drugiej dłubanki.

- Vernon! - zawołał brata. - Vernon! Jesteś ranny? - Zobaczył zakrwawioną rękę, ściskającą ster drugiej łodzi. - Vernon! - wrzasnął.

Rozdygotany Vernon podniósł się ze środka dłubanki. Wyglądał na oszołomionego.

- Vernon! Mój Boże, nic ci nie jest?
- Pingo jest ranny.
- Poważnie?
- Bardzo.

Na rzece rozległo się kaszlnięcie zapuszczanego silnika, potem warkot drugiego. Słychać też było odległe nawoływania.

Don Alfonso skierował łódź jak najbliżej brzegu. Vernon przejął ster i zrobił to samo.

- Nie zdołamy ich prześcignąć - powiedział Tom.

- Daj mi karabin - zwróciła się Sally do Choriego, który patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. Nie czekając, Sally wyrwała mu karabin, sprawdziła, czy jest naładowany, zasunęła rygiel i skuliła się na rufie.

- Nie zatrzymasz ich tym! - zawołał Tom. - Mają automaty.
- Przynajmniej zmuszę ich, żeby zwolnili, do cholery.

Zza zakrętu wyłoniły się dwie łodzie, żołnierze zaczęli celować.

- Padnij!

Tom usłyszał pojedynczy strzał Sally, nim seria z broni automatycznej przeszyła roślinność nad ich głowami. Posypały się liście. Strzał od-

niósł pożądany efekt - dwie łodzie skręciły w panice pod osłonę brzegu. Sally padła na dno obok Toma.

Don Alfonso posterował jeszcze bliżej skarpy; wyskakująca nad powierzchnię wody śruba wyła i grzechotała o kamienie. W górze zaświszczały kolejne pociski, rozległ się głuchy szczęk, gdy jeden z nich trafił w silnik. Motor zakrztusił się i z hukiem zajął się ogniem. Łódź obróciła się burtą w stronę ospałego nurtu. Ogień szerzył się z niewiarygodną szybkością, płomienie przeskakiwały po topiących się gumowych przewodach paliwowych. Dziób łodzi Pinga i Vernona uderzył w nich z tyłu i przyparł do brzegu, podczas gdy płonąca benzyna zaczęła się rozlewać po dnie dłubanki, chlustając na zbiorniki z paliwem.

- Uciekajmy! - krzyknął Tom. - Zaraz wybuchną. Łapcie, co się da!

Wyskoczyli przez burty na płyciznę. Vernon i Chori chwycili Pinga i wnieśli go na skarpę. Kolejna seria trafiła w zbocze nad nimi, ziemia i kamyki obsypały się w dół, ale strzał Sally zmusił żołnierzy do ostrożności, dlatego trzymali się z dala. Uciekinierzy wdrapali się po skarpie i ukryli w masie zwisającej nad wodą roślinności, przystając, by zaczerpnąć tchu.

- Musimy iść dalej - powiedział Tom.

Na szczycie skarpy obejrzał się na moment i zobaczył, że obydwie ich łodzie stanęły w płomieniach i spływają z prądem. Rozległ się stłumiony huk - wybuchł jeden ze zbiorników z paliwem, uniosła się nad nimi kula ognia. W tyle łodzie żołnierzy ostrożnie zbliżały się w stronę tego brzegu. Sally przyklękła i wystrzeliła z karabinu Choriego po raz drugi przez zasłonę roślinności.

Cofali się coraz bardziej w głąb dżungli, na przemian niosąc Pinga przez gęste zarośla. Z tyłu słychać było kolejne krzyki, odgłosy strzałów na oślep w ścianę roślinności i stłumiony huk eksplodującego drugiego zbiornika z paliwem. Żołnierze najwyraźniej wylądowali na brzegu i bez przekonania ruszyli w pościg. Im dalej jednak uciekinierzy zagłębiali się w las, tym cichsze były sporadyczne wystrzały, aż ustały całkowicie.

Zatrzymali się na zarośniętej trawą polance. Tom i Vernon położyli Pinga na ziemi. Tom pochylił się nad nim, rozpaczliwie szukając pulsu. Nie wyczuł go. Odszukał ranę - była straszliwa. Kula trafiła Indianina w plecy pomiędzy łopatkami, zostawiając z drugiej strony dziurę wielkości ponad piętnastu centymetrów. Pocisk przeszedł wprost przez serce. Zdumiewające, że Pingo po takim trafieniu przeżył choć kilka sekund.

Tom popatrzył na Choriego. Drugi Indianin miał absolutnie lodowaty wyraz twarzy.

- Przykro mi.
- Nie ma czasu, żeby żałować - powiedział Don Alfonso. - Musimy iść.
- I zostawić ciało tutaj?
- Zostanie z nim Chori.

- Ale żołnierze na pewno tu dotrą...

- Dotrą - przerwał mu Don Alfonso. - Chori zrobi to, co powinien. - Odwrócił się do Sally. - Zatrzymaj karabin i amunicję. Już nie zobaczymy Choriego. Chodźmy.

- Nie możemy go tu zostawić! - zaprotestował Tom.

Don Alfonso chwycił go za ramiona. Miał zdumiewająco silne ręce - jak stalowe kleszcze.

- Chori musi skończyć porachunki z zabójcami brata - powiedział spokojnie, ale z mocą.

- Bez broni? - spytała Sally, gdy Chori wyjął ze skórzanej torby pudełko amunicji i jej podał.

- Strzały z łuku są bezgłośne i o wiele skuteczniejsze w dżungli. Zabije dosyć żołnierzy, by odejść z godnością. To nasz sposób postępowania. Nie wtrącajcie się.

Nie oglądając się za siebie Don Alfonso uderzył maczetą na ścianę roślinności i wcisnął w powstałą wyrwę. Ruszyli za nim, starając się nadążyć za starcem, przemykającym przez zarośla cicho jak nietoperz.

Tom nie miał pojęcia, dokąd idą. Godzinami przemierzali wąwozy, brodzili przez wartko płynące strumienie. Czasami wyrąbywali drogę przez gęste kępy paproci czy bambusów. Sypały się na nich gryzące wściekle mrówki i właziły im pod koszule, Don Alfonso nadziewał na maczetę małe węże i odrzucał je na bok. Przeszedł krótki deszcz, mocząc uciekinierów do gołej skóry. Gdy słońce wróciło, otoczyły ich kłęby pary. Podążały za nimi atakujące gwałtownie chmary owadów. Nikt nic nie mówił. Nikt nie był w stanie - sił im wystarczało tylko na dotrzymanie kroku starcowi.

Kilka godzin później, gdy słońce gasło w szczytach drzew, Don Alfonso stanął. Bez słowa usiadł na zwalonym pniu, wyjął fajkę i ją zapalił. Tom popatrzył na płonącą zapałkę i zadał sobie pytanie, ile ich jeszcze zostało. Prawie wszystko stracili w płonących łodziach.

- Co teraz? - spytał Vernon.

- Rozbijamy obóz - powiedział Don Alfonso. - Rozpalcie ogień. Tam.

Vernon zabrał się do roboty, Tom mu pomagał.

- Ty idź na łowy. - Don Alfonso wskazał maczetą Sally. - Chociaż jesteś kobietą, umiesz strzelać i masz tyle odwagi co mężczyzna.

Tom popatrzył na Sally. Miała usmarowaną brudem twarz i splątane włosy. Niosła przerzucony przez ramię karabin. Widział w jej twarzy wszystko to, co sam czuł: wstrząs i zaskoczenie z powodu ataku, zgrozę po śmierci Pinga, strach wskutek utraty zapasów i determinację, by przeżyć. Kiwnęła głową i ruszyła w las. Don Alfonso popatrzył na Toma.

- Ty i ja zbudujemy szałas.

Godzinę później zapadła noc. Siedzieli wokół ogniska, dojadając resztę gulaszu z zabitego przez Sally wielkiego gryzonia. Obok stał mały szałas; Don Alfonso siedział przed stertą palmowych liści, darł je na pasy i plótł z nich hamaki. Panowało milczenie, przerywane jedynie zwięzłymi poleceniami.

- Co to byli za żołnierze? - spytał Tom.

Starzec nie przerywał plecenia hamaków.

- Ci sami, którzy popłynęli w górę rzeki z twoim bratem Philipem.

- Philip nigdy nie pozwoliłby nas zaatakować - powiedział Vernon.

- Racja - odrzekł Tom.

Poczuł, że serce mu się ściska. W grupie Philipa musiał nastąpić bunt lub wydarzyło się coś jeszcze gorszego. Tak czy inaczej Philip znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie - jeżeli w ogóle jeszcze żył. Nieznanym przeciwnikiem musiał być wobec tego Hauser. To on zabił dwóch policjantów w Santa Fe, a potem zorganizował zatrzymanie Toma i Sally w Laguna de Brus i on stał za ostatnim atakiem.

- Pytanie brzmi: idziemy dalej czy wracamy - odezwała się Sally.

Tom przytaknął.

- Dalsza wyprawa byłaby samobójstwem - zaprotestował Vernon. - Nie mamy nic -jedzenia, ubrania, namiotów ani śpiworów.

- Philip jest przed nami - powiedział Tom. -1 ma kłopoty. Niewątpliwie to Hauser stał za zamordowaniem tych dwóch policjantów z Santa Fe.

Zapadło milczenie.

- Może powinniśmy wrócić, zebrać zapasy i wyruszyć ponownie. Teraz nie zdołamy mu pomóc, Tom.

Tom obejrzał się na ciągle splatającego zręcznie roślinne pasma Don Alfonsa. Mimo obojętnej miny starca wyczuł, że ten ma już swoje zdanie. Zawsze robił taką minę, gdy się na coś nie zgadzał.

- Don Alfonso?

-Tak?

- Jakie jest pańskie zdanie?

Don Alfonso odłożył hamak i roztarł dłonie. Popatrzył Tomowi prosto w oczy.

- Nie mam zdania. Zamiast tego mogę stwierdzić fakt.

- To znaczy?

- Za nami jest śmiercionośne bagno, którego dno coraz bardziej opada. Nie mamy dłubanki. Minie co najmniej tydzień, zanim wytniemy nową. Nie możemy jednak pozostać aż tydzień w jednym miejscu, bo żołnierze nas znajdą, a poza tym przy wycinaniu łodzi trzeba palić duży ogień. To oznacza kłęby dymu - oczywisty znak dla każdego, gdzie się kryjemy. Dlatego musimy iść dalej - pieszo, przez dżunglę, do Sierra Azul. Wrócić znaczy zginąć. To właśnie moje stwierdzenie faktu.

34

Marcus Hauser siedział na kłodzie przy ognisku i z cygarem w ustach czyścił swojego steyra AUG. Broń tego nie wymagała, ale dla Hausera była to czynność stanowiąca prawie odpowiednik medytacji. Karabin został wykonany prawie wyłącznie z doskonale obrobionych plastikowych części, co Marcusowi bardzo odpowiadało. Cofnął zamek suwadła, chwycił lufę i lewym kciukiem wysunął jej blokadę. Potem obrócił ją w prawo i pociągnął do przodu. Wysunęła się z satysfakcjonującym szczęknięciem.

Od czasu do czasu spoglądał w las, gdzie siedział skuty łańcuchami Philip, lecz nie było stamtąd słychać niczego. Wcześniej tego dnia Hauser słyszał ryk jaguara, świadczący o głodzie i rozdrażnieniu zwierzęcia. Marcus nie chciał, aby bestia pożarła jego więźnia, przynajmniej dopóki się nie dowie, gdzie jest Max. Dorzucił trochę drewna do ognia, by rozproszyć ciemność i odpędzić grasującego drapieżnika. Z prawej strony rzeka Macaturi opływała obóz, szemrząc cicho i bulgocząc tam, gdzie tworzyły się zawirowania. Noc dla odmiany była piękna, granatowe niebo usiane gwiazdami, odbijającymi się jako roztańczone świetlne punkty na powierzchni rzeki. Dochodziła druga nad ranem, ale Hauser należał do tych szczęśliwców, którym wystarczały cztery godziny snu.

Dorzucił jeszcze jedną kłodę do ognia, by mieć więcej światła, i wysunął rygiel z łoża. Pogładził delikatnie gładkie części z tworzywa i metalu - jedną ciepłą, drugą zimną. Rozkoszował się wonią oleju do smarowania broni i szczękaniem doskonale obrobionych mechanicznych części przy rozbieraniu steyra. Jeszcze kilka wprawnych ruchów i karabin leżał przed nim, rozłożony na sześć podstawowych elementów. Zważył każdy z nich po kolei w dłoni. Obejrzał je, oczyścił, pogładził - i zaczął składać broń z powrotem. Pracował wolno, nawet ospale - niepotrzebny tu był pośpiech obozu dla rekrutów.

Rozległ się słaby szum - warkot silników płynących łodzi. Hauser znieruchomiał, wsłuchując się uważnie. Operacja dobiegła końca i ludzie wracali o wyznaczonym czasie. Był zadowolony. Nawet niedowarzona grupa honduraskich żołdaków nie mogła schrzanić tak prostego zadania.

A może była? Zobaczył wyłaniający się z ciemności kształt łodzi, ale było w niej tylko trzech żołnierzy, nie pięciu. Dłubanka zatrzymała się przy wielkim głazie, służącym jako pomost. Wyskoczyli z niej dwaj mężczyźni, płomienie oświetliły ich sylwetki na tle ciemności. Pomogli wysiąść trzeciemu. Szedł sztywno, Marcus usłyszał jęk bólu. Trzech ludzi - a wysłał pięciu.

Po omacku wpasował kolbę, włożył zamek i przesunął blokadę lufy w lewo, nie odrywając wzroku od zbliżających się do ogniska sylwetek.

Powracający szli niepewnie, nerwowo; jeden z żołnierzy podtrzymywał rannego kolegę, z którego uda sterczała na wylot metrowej długości strzała. Pierzasta lotka znajdowała się z tyłu, zębaty grot wystawał z przodu. Nogawka spodni była rozdarta i sztywna od zaschniętej krwi.

Mężczyźni przystanęli bez słowa. Prawie nie odrywali wzroku od ziemi i ze wstydem szurali nogami. Hauser czekał. Ogrom jego pomyłki - iż powierzył im najprostszą operację - stał się ewidentny. Zabrał się do dalszego składania broni - obrócił lufę we właściwe położenie i ze szczękiem włożył magazynek na miejsce. Potem czekał z karabinem na kolanach, czując lodowate zimno w piersi.

Milczenie było porażające. Jeden z żołnierzy musiał je w końcu przerwać.

- *Jefe*... - zaczął porucznik. Hauser czekał na usprawiedliwienia. - Zabiliśmy dwóch, *jefe,* i spaliliśmy ich łodzie z zapasami. Ich ciała są w czółnie.

- Których dwóch? - zapytał detektyw po chwili przerwy.

Znów na moment zapadło milczenie.

- Dwóch Indian Tawahka. - Marcus nie odpowiedział. To była katastrofa. - Staruch, który płynął z nimi, wypatrzył zasadzkę, zanim zdążyliśmy otworzyć ogień - kontynuował *teniente.* - Zawrócili. Ścigaliśmy ich z prądem, ale zdołali przybić do brzegu i uciec w dżunglę. Potem, gdy ich ścigaliśmy, urządził na nas zasadzkę jeden z Indian. Miał łuk i strzały, co było dla nas gorsze. Zdołaliśmy go odszukać, dopiero kiedy zabił dwóch naszych i ranił trzeciego - dopiero wtedy go zabiliśmy. Wie pan sam, jacy są ci Indianie z dżungli, *jefe,* cisi jak jaguary... - Żołnierz urwał i poruszył się nerwowo. Mężczyźnie ze strzałą w udzie wyrwał się mimowolny żałosny jęk. - Sam pan widzi, *jefe,* zabiliśmy dwóch i zagnaliśmy pozostałych w las. Nie mają zapasów, jedzenia, nic, na pewno wkrótce tam zginą...

Hauser wstał.

- Wybacz mi, *teniente,* ale ten człowiek potrzebuje, żeby się nim natychmiast zająć.

- *Si, senor.*

Hauser podszedł z karabinem w ręku do trafionego strzałą żołnierza i otoczył go ramieniem, przejmując na siebie jego ciężar od kolegi, który podtrzymywał mężczyznę do tej pory. Nachylił się nad rannym i powiedział łagodnie:

- Chodź ze mną. Zajmę się tobą.

Teniente czekał przy ognisku; mina coraz bardziej mu się wydłużała.

Podtrzymując rannego, Hauser odszedł od paleniska. Mężczyzna jęczał, kuśtykając. Miał suchą, rozpaloną skórę - trawiła go już gorączka.

- Spokojnie - powiedział Marcus. - Przejdziemy jeszcze kawałek i będzie po wszystkim.

Odprowadził mężczyznę mniej więcej pięćdziesiąt metrów od ogniska i usadził na zwalonym pniu. Mężczyzna potknął się, stęknął, ale z pomocą Marcusa zdołał usiąść na kłodzie. Detektyw wyjął mu z ręki maczetę.

- *Senor,* zanim utniesz strzałę, daj mi whisky - jęknął mężczyzna, drżąc ze strachu przed bólem.

- To potrwa tylko sekundę. - Hauser delikatnie poklepał go po ramieniu. - Zaraz się tobą zajmiemy. Obiecuję, że operacja będzie bezbolesna.

- Nie, *señor,* najpierw whisky...

Marcus pochylił się nad strzałą z maczetą. Ranny zesztywniał, zacisnął zęby i zapatrzył się na maczetę ze zgrozą, nie mówiąc nic więcej. Hauser uniósł tymczasem lufę steyra tak, że znalazła się o centymetry od głowy żołnierza. Przesunął selektor na ogień ciągły i puścił krótką serię. Kule trafiły mężczyznę pod kątem i zmiotły z kłody. Padł w bezruchu twarzą w dół. Po chwili nastała cisza.

Hauser wrócił do obozu, umył ręce i usadowił się ponownie przy ogniu. Ujął na poły wypalone cygaro i przypalił je znowu płonącą gałązką. Dwaj przybyli żołnierze nie patrzyli na niego, ale inni na odgłos strzałów powychodzili z namiotów. Trzymali broń w rękach i rozglądali się, zdezorientowani i zaskoczeni.

- Nic się nie stało - powiedział Marcus, machając ręką, by wracali odpoczywać. - Wasz kolega potrzebował zabiegu. Był krótki, skuteczny i bezbolesny.

Wyjął cygaro z ust, wypił solidny haust z piersiówki, wetknął wilgotny koniec Churchilla między wargi i wciągnął powietrze. Czuł się jedynie częściowo odświeżony. Nie pierwszy raz popełnił ten błąd, iż powierzył proste zadanie honduraskim żołnierzom po to tylko, by patrzeć, jak je knocą. Na nieszczęście był tylko jeden i nie mógł zająć się wszystkim. Zawsze ten sam problem - zawsze.

Hauser odwrócił się i uśmiechnął do *teniente*.

- Jestem bardzo dobrym chirurgiem, *teniente,* gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebował.

Następny dzień spędzili w obozie. Don Alfonso naciął gigantyczną stertę liści palmy i większość dnia siedział ze skrzyżowanymi nogami, darł je na włókniste pasy i plótł z nich plecaki oraz kolejne hamaki. Sally wyruszyła na polowanie i wróciła z małą antylopą, którą Tom oprawił i uwędził nad ogniskiem. Vernon zbierał owoce i korzenie manioku. Pod koniec dnia mieli już niewielki zapas żywności na drogę.

Przejrzeli uratowany ekwipunek. Uzbierało się kilka pudełek wodoodpornych zapałek, pudełko amunicji z trzydziestoma pociskami, a w plecaku Toma znalazła się mała turystyczna kuchenka firmy Seva z zestawem aluminiowych naczyń, dwie butelki białej benzyny oraz wyciskana buteleczka środka odstraszającego owady. Vernon uciekł znad rzeki tylko z lornetką na szyi. Don Alfonso miał garść batonów, trzy fajki, dwa opakowania tytoniu, małą osełkę i rolkę żyłki wędkarskiej z haczykami - trzymał to wszystko w skórzanej torbie, którą zdołał zabrać z płonącej łodzi. Zostały im też maczety, jako że w chwili ataku mieli je zatknięte za pasy.

Następnego ranka ruszyli w drogę. Tom oczyszczał ścieżkę świeżo naostrzoną maczetą, podczas gdy Don Alfonso posuwał się z tyłu i cichym głosem udzielał wskazówek, którędy się przedzierać. Po kilku godzinach torowania sobie drogi przez dżunglę dotarli do starej, wydeptanej zapewne przez zwierzęta ścieżki, przecinającej pogrążony w chłodzie las z drzewami o gładkich pniach. Panował tu półmrok i prawie nie widziało się poszycia. Wokoło była całkowita cisza. Przypominało to marsz między kolumnami wielkiej zielonej katedry.

Wczesnym popołudniem dotarli do podnóża górskiego pasma. Podłoże stało się nierówne, zamieniło się w pofałdowane, usiane omszałymi głazami zbocze. Ścieżka biegła teraz prawie prosto pod górę. Don Alfonso piął się nią ze zdumiewającą szybkością, a Tom i tamci dwoje dokładali sił, by nadążyć, zaskoczeni wigorem starca. W miarę wspinaczki powietrze robiło się coraz świeższe. Stateczne drzewa dżungli ustąpiły miejsca swym karłowatym, pokręconym górskim kuzynom o obwieszonych mszakami gałęziach. Późnym popołudniem dotarli na płaską półkę, kończącą się tarasem z głazów przypominających kształtem liście. Po raz pierwszy mogli obejrzeć się na dżunglę, którą pokonali.

Tom otarł czoło. Zbocze góry stanowiło jedną fantastyczną szmaragdową powierzchnię, opadającą tysiąc metrów do zielonego oceanu życia w dole. Nad nimi przepływały masywne cumulusy.

- Nie miałam pojęcia, że jesteśmy tak wysoko - powiedziała Sally.

- Dzięki Matce Boskiej, że tak daleko dotarliśmy - odezwał się stłumionym głosem Don Alfonso, zdejmując plecak z liści palmy. - Dobre miejsce na obóz. - Usiadł na kłodzie, zapalił fajkę i zaczął wydawać polecenia: - Sally, idź na polowanie z Tomem. Vernon, najpierw rozpalisz ogień, a potem postawisz szałas. Ja odpocznę.

Odchylił się do tyłu i z półprzymkniętymi oczyma palił fajkę.

Sally przewiesiła karabin przez ramię i ruszyła z Tomem ścieżką, wyglądającą na dzieło zwierząt.

- Nie miałem szansy podziękować ci za to, że strzelałaś do żołnierzy - odezwał się. - Uratowałaś nam życie. Nie brakuje ci hartu ducha.

- Jesteś jak Don Alfonso, dziwi cię, że kobieta umie posługiwać się karabinem.

- Chodziło mi o przytomność ducha, nie tylko o to, że strzelałaś, ale owszem, muszę przyznać, że jestem zaskoczony.

- Pozwól mi uświadomić sobie, że jest dwudziesty pierwszy wiek i kobiety robią zdumiewające rzeczy.

- Wszyscy w New Haven są tacy drażliwi? - Tom pokręcił głową.

- Może zajmiemy się łowami? - Sally zwróciła na niego spojrzenie zielonych oczu. - Swoim gadaniem płoszysz tylko zwierzynę.

Tom dał sobie spokój z dalszymi wyjaśnieniami i zamiast tego zapatrzył się, jak Sally zgrabnie sunie przez dżunglę. Nie, w niczym nie przypominała Sarah. Była twarda, ale wrażliwa, i wygadana. Sarah natomiast była sprytna - nigdy nie mówiła ludziom, co myśli, nigdy nie mówiła prawdy, traktowała grzecznie nawet tych, których nie znosiła. Dla niej oszukiwanie stanowiło swoistą grę.

Szyli dalej; mokre, sprężyste listowie tłumiło ich kroki. W lesie było chłodno i mroczno. Przez przerwy w zaroślach połyskiwały daleko w niższych, gorętszych warstwach dżungli meandry Macaturi.

Powyżej nich z zalesionego stoku rozległo się prychnięcie. Brzmiało jak ludzkie, tylko niższe i bardziej gardłowe.

- To jakiś wielki kot - powiedziała Sally.

- Kot, czyli jaguar?

-Tak.

Ruszyli obok siebie przez zarośla, odgarniając rękami liście i paprocie. Na górskich stokach zapadło osobliwe milczenie. Nawet ptaki przestały świergotać. Po pniu czmychnęła w górę jaszczurka.

- Tak jakoś dziwnie tutaj - zauważył Tom. - Nierealnie.

- To pasmo chmur - powiedziała Sally. - Wysoka warstwa dżungli.

Wysunęła się do przodu z karabinem gotowym do strzału. Tom sunął jej śladem.

Znów rozległo się prychnięcie - głębokie i głośne. Był to teraz jedyny dźwięk w ogarniętym nienaturalną ciszą lesie.

- Chyba jest bliżej - powiedział Tom.

- Jaguary boją się nas o wiele bardziej niż my ich - oświadczyła Sally.

Wspięli się po stoku, zawalonym wielkimi głazami. Przecisnąwszy się przez omszałe szczeliny między nimi, znaleźli się przed gęstą kępą bambusów. Sally okrążyła zarośla. Chmury zbierały się coraz bliżej wokół nich, między drzewami snuły się pasemka mgły. Powietrze pachniało mokrym mchem. Widok w dole przesłoniły białe opary.

Sally znieruchomiała, czekając z uniesioną bronią.

- O co chodzi? - szepnął Tom.

- Naprzód.

Powoli ruszyli dalej. Przed nimi była druga grupa olbrzymich głazów, tworzących labirynt ciemnych zakamarków i przesmyków.

Tom stanął za Sally i czekał. Mgła szybko robiła się coraz gęstsza, z drzew pozostały tylko niewyraźne kontury. Biały opar przykrył fantastyczną zieleń krajobrazu, zamieniając ją w mętną, niebieskawą szarość.

- W tych skałach coś się rusza - szepnęła Sally.

Czekali w bezruchu, sprężywszy mięśnie. Tom czuł, jak mgła zbiera się wokół nich i nasącza im ubrania wilgocią.

Po długich dziesięciu minutach w szczelinie między skałami pojawił się łeb z parą czarnych, lśniących oczu. Należał do zwierzęcia przypominającego olbrzymią świnkę morską.

Natychmiast rozległ się strzał, zwierzę zapiszczało głośno i padło brzuchem do góry. Sally wyprostowała się, nie mogąc opanować uśmiechu.

- Ładny strzał - powiedział Tom.

- Dzięki.

Wyjął maczetę i podszedł przyjrzeć się zwierzęciu.

- Pójdę dalej.

Pokiwał głową i odwrócił stworzenie butem. Był to jakiś wielki gryzoń, z pożółkłymi siekaczami, tłusty, zaokrąglony i gęsto porośnięty futrem. Tom wysunął maczetę, wcale nie ciesząc się perspektywą czekającej go roboty. Rozciął brzuch zwierzęcia, wygarnął jelita i inne organy wewnętrzne, odciął łapy i głowę, a na koniec obdarł zwierzę ze skóry. Otoczyła go silna woń krwi. Znosił to spokojnie - jako weterynarz często miał do czynienia z krwią - ale przygnębiało go, że zamiast leczyć musi brać udział w zabijaniu.

Usłyszał kolejny dźwięk - tym razem bardzo cichy pomruk. Znieruchomiał, nasłuchując. Po nim rozległ się ciąg jakby subtelnych parsknięć. Trudno było orzec, skąd dobiegają - gdzieś ze stoku w górze. Odszukał wzrokiem Sally i ujrzał, jak jej szczupła sylwetka przesuwa się bezszelestnie we mgle mniej więcej dwadzieścia metrów od niego, poniżej skalnego osypiska. Po chwili znikła mu z oczu.

Poćwiartował zwierzę i zawinął kawałki w palmowe liście. Okazało się, że mięsa jest przygnębiająco mało. Właściwie nie warto było się fatygować. Tom pomyślał, że może Sally upoluje coś większego, na przykład jelenia.

Gdy skończył zawijać mięso, usłyszał kolejny odgłos - cichy, pozornie łagodny pomruk, tak blisko, że aż się skulił. Cały napięty, czekał nieruchomo, co będzie dalej. Nagle las przeszył mrożący krew w żyłach ryk, który po chwili przycichł do głodnego warczenia. Tom zerwał się z maczetą w ręku, starając się ustalić, skąd dobiega ów dźwięk, ale niczego nie dostrzegł na skałach ani gałęziach. Jaguar dobrze się schował.

Tom popatrzył w dół stoku, tam gdzie znikła we mgle Sally. Nie podobało mu się, że jaguar nie uciekł po strzale z karabinu. Zacisnął silniej dłoń na maczecie i odszedł od oprawionego gryzonia w stronę, gdzie ostatnio widział dziewczynę.

- Sally?

Jaguar ryknął znowu, tym razem zdawałoby się tuż nad głową Toma. Broadbent instynktownie opadł na kolana i wystawił przed siebie maczetę, ale widział jedynie omszałe głazy i odrealnione przez mgłę pnie drzew.

- Sally! - zawołał głośniej. - Nic ci nie jest?

Cisza. Zaczął biec w dół stoku, a serce ściskało mu się ze strachu.

- Sally!

- Jestem tu, w dole - odpowiedział mu cichy głos.

Tom zbiegał dalej, ślizgając się na mokrych liściach; po stromym zboczu przed nim osypywały się kamienie. Mgła była z minuty na minutę coraz gęstsza. Usłyszał kolejny ciąg prychnięć zwierzęcia - tym razem jeszcze bardziej podobnych do ludzkich - bezpośrednio za sobą. Jaguar go ścigał.

- Sally!

Dziewczyna wyłoniła się z mgły. Trzymała karabin w rękach i miała złą minę.

- Przez twoje krzyki nie zdążyłam złożyć się do strzału.

Tom wyhamował obok niej i wsunął maczetę za pas. Poczuł się zakłopotany.

- Martwiłem się, to wszystko. Nie podobają mi się porykiwania tego jaguara. Myślę, że nas tropi.

- Jaguary nie polują na ludzi.

- Słyszałaś, jak mój brat opowiadał, co się stało z jego przewodnikiem.

- Mówiąc szczerze, nie wierzę w to. - Zmarszczyła czoło. - Równie dobrze możemy wracać. I tak w tej mgle nic więcej nie upoluję.

Wspięli się z powrotem do miejsca, gdzie zostało upolowane zwierzę. Kawałki mięsa znikły - zostało po nich jedynie kilka poszarpanych, zakrwawionych palmowych liści.

- O to tylko mu chodziło, przepłoszył cię, żeby móc w spokoju zjeść obiad - roześmiała się Sally.

Tom zarumienił się ze wstydu.

- Nie przepłoszył mnie, szukałem ciebie.

- Nie przejmuj się - powiedziała Sally. - Ja też bym pewnie uciekła.

Zauważył z irytacją, że powiedziała „pewnie", ale tego nie skomentował, chociaż cisnęła mu się na usta cierpka uwaga. Obiecał sobie, że nie da jej się więcej sprowokować. Ruszyli z powrotem do obozu ścieżką, którą tu przyszli. Gdy dotarli do pierwszej sterty skał, jaguar zaryczat raz jeszcze -jego głos zabrzmiał dziwnie czysto i donośnie w wilgotnym lesie. Sally zatrzymała się z uniesionym karabinem. Czekali. Krople wody zbierały się na liściach i spadały, wypełniając las cichym dźwiękiem kapania.

- Nie był przedtem przed nami, Sally.

- Myślisz, że nadal nas tropi?

-Tak.

- Nonsens. Nie hałasowałby, gdyby tak było. Poza tym dopiero co się najadł. - Uśmiechnęła się ironicznie.

Podeszli ostrożnie do skał. Wydawało się, że niczego w nich nie ma oprócz niezliczonych ciemnych dziur i szczelin.

- Zachowajmy ostrożność i obejdźmy je z dala - powiedział Tom.

- Dobrze.

Ruszyli pod górę, by okrążyć łukiem głazy. Mgła zakryła wszystko, Tom czuł przenikającą przez ubranie wilgoć. Zatrzymał się, gdy usłyszał cichy szelest. Sally również znieruchomiała.

- Stań za mną - polecił Tom.

- Mam karabin. Powinnam być z przodu.

- Stań za mną.

- Na miłość boską! -jęknęła, ale usłuchała.

Tom wyciągnął maczetę i ruszył naprzód. Otaczały ich pokręcone drzewa ze zwisającymi, porośniętymi mchem gałęziami. Mgła tak zgęstniała, że nie widać było ich koron. Tom zdał sobie sprawę, że są pod wiatr wobec jaguara. Zwierzę okrążyło ich, by czuć ich woń, choćby nie mogło nic zobaczyć.

- Sally, wiem, że on na nas poluje.

- Jest po prostu zaciekawiony.

Tom zamarł. Około dziesięciu metrów przed nimi jaguar ukazał się nagle w całej okazałości. Siedział na gałęzi, wiszącej nad ścieżką, i spokojnie się im przyglądał, delikatnie wymachując ogonem. Na widok tak wspaniałego zwierzęcia Tomowi zabrakło tchu.

Sally nie uniosła broni do strzału i Tom domyślił się dlaczego. Nie sposób było zabić tak piękne stworzenie.

Po chwili wahania jaguar bez wysiłku przeskoczył na drugą gałąź i przeszedł po niej, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z przybyszów. Mięśnie prężyły się pod jego złocistą skórą; poruszał się gładko jak spływający miód.

- Popatrz, jaki piękny - szepnęła Sally.

Istotnie, był piękny. Niewiarygodnie lekko przeskoczył na następną gałąź - tym razem bliżej ludzi; tu się zatrzymał i powoli przywarował. Wpatrywał się w nich bez najmniejszej obawy. Nie starał się w ogóle ukryć, trwał w bezruchu, przyglądając się intruzom; tylko koniec jego ogona lekko drgał. Zwierzę miało zakrwawiony pysk. Tom pomyślał, że drapieżnik przygląda im się z pogardą.

- Nie boi się nas - szepnęła Sally.

- Pewnie dlatego, że nigdy jeszcze nie widział człowieka.

Cofnął się ostrożnie, a Sally za nim. Jaguar obserwował ich dalej ze swojego stanowiska - aż znikli w kłębiącej się mgle.

Gdy dotarli do obozu, Don Alfonso wysłuchał ze zmarszczonym z troski czołem opowieści o jaguarze.

- Musimy być bardzo ostrożni - oświadczył. - Nie wolno nam więcej rozmawiać o tym zwierzęciu. Inaczej będzie nas tropił, żeby usłyszeć, co mówimy. Jest bardzo dumny i nie lubi, jak się o nim mówi źle.

- Myślałam, że jaguary nie atakują ludzi - powiedziała Sally.

- Dobry żart. - Don Alfonso roześmiał się i poklepał ją po kolanie. - Jak myślisz, co widzi, kiedy patrzy na nas?

- Nie wiem.

- Widzi słabą, głupią, powolną, bezbronną kupę mięsa bez rogów, kłów czy pazurów.

- Dlaczego więc nie zaatakował?

- Jak wszystkie koty lubi się bawić ze swoim jedzeniem. - Sally zadrżała. - *Curandera,* nie jest miło zostać pożartym przez jaguara. Najpierw zjada język, i to niekoniecznie martwej ofierze. Jeśli będziesz miała jeszcze jedną okazję go zabić, zrób to.

Noc w lesie była tak cicha, że Tom miał trudności z zaśnięciem. Jakiś czas po północy, w nadziei że parę haustów powietrza pomoże, wyczołgał się z hamaka i wyszedł z szałasu. Był zdumiony widokiem, który roztoczył się przed nim. Cały las dookoła lśnił fosforescencją, jakby obsypano go luminescencyjnym proszkiem. Widać było zarysy gnijących kłód i pni, martwych liści i grzybów. Świetliste kształty wyrastały ze wszystkich stron, by zniknąć w pozbawionej szczegółów mglistej poświacie -jakby niebiosa opadły na ziemię.

Po pięciu minutach Tom wszedł z powrotem do prowizorycznego szałasu i potrząsnął Sally. Przewróciła się na drugi bok, a jej ciemnozłote włosy się rozsypały. Jak wszyscy spała w ubraniu.

- O co chodzi? - zapytała sennym głosem.

- Chcę ci coś pokazać.

- Śpię.

- Musisz to zobaczyć.

- Nic nie muszę. Idź sobie.

- Sally, proszę, zaufaj mi chociaż raz.

Z niechętnym pomrukiwaniem wylazła z hamaka i wyszła na zewnątrz. Tuż za wejściem znieruchomiała i rozglądała się w milczeniu przez parę minut.

- Mój Boże - szepnęła wreszcie. - Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. Tak jakby patrzeć na Los Angeles z wysokości dziesięciu kilometrów.

Blask kładł się na twarzy Sally tak, iż przy niewielkim wysiłku można ją było dostrzec w ciemności. Długie włosy zwieszały się jak kaskada - tym razem srebrna, nie złota.

Wiedziony impulsem, Tom ujął ją za rękę. Nie wyrwała jej. Samo ściskanie jej dłoni było zdumiewająco podniecające.

-Tom?

-Tak?

- Dlaczego chciałeś, żebym to zobaczyła?

- Cóż... - odrzekł. - Boja... - zawahał się. - Chciałem się z tobą tym podzielić, to wszystko.

- To wszystko? - Przyglądała mu się długą chwilę. Jej oczy wydawały się wyjątkowo rozpromienione - a może była to sztuczka światła. Wreszcie powiedziała: - Dzięki, Tom.

W tym samym momencie noc przeszył ryk jaguara. Na ciemnym tle przesunął cię czarny kształt - jakby światło w tym miejscu przemieniło się w swoje przeciwieństwo. Gdy zwierzę odwróciło głowę w ich stronę, zobaczyli słaby blask w jego oczach - odbicie milionów świetlnych punktów w dwóch krążkach, jakby dwie miniaturowe galaktyki.

Tom ostrożnie pociągnął Sally w stronę sterty popiołów, w którą zamieniło się ognisko. Pochylił się i dorzucił trochę drewna. Gdy żółte płomienie buchnęły w górę, jaguar zniknął.

Chwilę potem przy ognisku pojawił się Don Alfonso.

- Wciąż bawi się ze swoim jedzeniem - mruknął.

6

Gdy wyruszyli następnego ranka, mgła była tak gęsta, że widzieli najwyżej trzy metry wokół siebie. Pięli się dalej niewyraźną zwierzęcą ścieżką po wzniesieniu. Gdy pokonali zbocze i zaczęli schodzić w dół, rozległ się szum wody. Po kilku minutach dotarli do stromego brzegu spływającej z góry rzeki, wypłukującej głazy spod powierzchni.

- Zetniemy drzewo - powiedział Don Alfonso. Rozejrzał się i znalazł drzewo stojące w odpowiednim miejscu, by padając, sięgnęło przeciwległego brzegu rzeki. - Rąbcie tutaj - polecił.

Wszyscy zabrali się do dzieła i po piętnastu minutach drzewo runęło, tworząc most nad kotłującą się kataraktą w miejscu, gdzie rzeka zwężała się w lej, opadający w przegrodzoną spiętrzonymi kłodami kotlinkę.

Don Alfonso rąbnął parę razy w rosnące w pobliżu młode drzewko i po chwili miał już czterometrową tyczkę. Podał ją Vernonowi.

- Ty pierwszy, Vernito.

- Dlaczego ja?

- Sprawdzisz, czy most jest dostatecznie wytrzymały - wyjaśnił Don Alfonso. Yernon popatrzy! na niego przez chwilę. Starzec roześmiał się

wreszcie i poklepał go po ramieniu. - Musisz zdjąć buty, Vernito. Nie bez powodu Bóg dał nam bose stopy.

Vernon zdjął buty, związał je za sznurowadła i przewiesił sobie przez szyję. Don Alfonso podał mu tyczkę.

- Idź powoli i stań, jeśli pień zacznie się kołysać.

Vernon wszedł powoli na pień. Balansując tyczką jak linoskoczek, ostrożnie stawiał stopy na ciemnozielonej korze.

- Śliska jak lód.

- Powoli, powoli - dodawał mu otuchy Don Alfonso.

Gdy Vernon ruszył dalej, drewno zakołysało się i trochę osiadło. Po kilku minutach Vernon był po drugiej stronie i rzucił tyczkę z powrotem.

- Twoja kolej - powiedział Don Alfonso, podając ją Tomowi.

Tom zdjął buty i zważył tyczkę w dłoniach. Czuł się idiotycznie, jakby nagle został cyrkowcem. Ostrożnie wszedł na pień, stawiając stopy jedna przed drugą na zimnej, śliskiej korze. Miał wrażenie, że przy każdym ruchu drzewo chwieje się i drży. Ruszył dalej, zaczekał, znów zrobił kroczek.

Mniej więcej w połowie drogi śpiący w jego kieszeni Wałkoń skorzystał z okazji, by wystawić głowę i popatrzeć. Widząc spieniony nurt w dole, wrzasnął, wygramolił się z kieszeni, wlazł Tomowi na głowę i wczepił się we włosy. Zaskoczony Tom mimowolnie opuścił jeden z końców tyczki. Natychmiast poderwał go w panice w górę - siła bezwładu spowodowała, że za wysoko. Zrobił dwa szybkie kroki dla odzyskania równowagi, przez co pień gwałtownie się zakołysał.

Tom spadł.

Przez ułamek sekundy był jeszcze w powietrzu, a potem poczuł się, jakby połknęło go coś czarnego i lodowaciejącego. Szarpnął go gwałtowny prąd, Tom przez moment jakby stracił ciężar, a po chwili usłyszał łomot i huk. Zamachał rękami, starając się utrzymać pionową pozycję, ale nie wiedział, gdzie jest góra. Potem nurt uderzył nim o podwodną plątaninę konarów. Tom zaczął się szarpać w górę, czując, jak nacisk wody wytłacza mu powietrze z piersi. Odepchnął się nogą i prawie zdołał się wyzwolić, ale konary były śliskie i nie zdołał znaleźć na nich punktu zaczepienia, a prąd pchał go dalej z potworną mocą. Tom miał wrażenie, jakby został pogrzebany żywcem. Przed oczyma migały mu świetlne plamki. Otworzył usta do krzyku, ale od razu poczuł wlewającą się do nich wodę. Obrócił się, rozpaczliwie próbując wystawić głowę nad powierzchnię i uwolnić od kłębowiska gałęzi. Po chwili zgiął się w drugą stronę, ale stracił zupełnie orientację. Rzucał się w wodzie i szarpał, lecz czuł, że szybko traci siły. Miał wrażenie, że staje się coraz lżejszy, nieważki, że odpływa gdzieś daleko.

Wreszcie poczuł czyjąś rękę zaciskającą się na karku, i został brutalnie przywrócony do rzeczywistości. Ktoś wlókł go przez wodę, po ka-

mieniach, aż w końcu pozwolił mu upaść. Zorientował się, że leży na ziemi i patrzy w dobrze znajomą twarz. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to Vernon.

- Tom! - krzyknął brat. - Patrzcie, otwiera oczy. Tom, powiedz coś! Chryste, nie oddycha!

Nagle obok pojawiła się Sally i Tom poczuł jej ręce na piersi. Wszystko toczyło się w dziwnie zwolnionym tempie. Poczuł, że ucisnięto mu mocno klatkę piersiową i uniesiono ramiona. Nacisk ustał nagle i Tom gwałtownie zakaszlał. Vernon przewrócił go na bok. Tom zakaszlał jeszcze raz i jeszcze, czując rozprzestrzeniający się oślepiający ból głowy. Rzeczywistość powróciła.

Spróbował się podnieść. Vernon wsunął mu ręce pod pachy i go podtrzymał.

- Co się stało?

- Twój głupi brat, Vernito, wskoczył za tobą do rzeki i wyciągnął cię spod konarów. Nigdy w życiu nie widziałem takiego wariactwa.

- Naprawdę to zrobił?

Tom odwrócił się i popatrzył na Vernona. Jego brat był przemoczony do suchej nitki i miał rozcięte czoło. Zmieszana z krwią woda ściekała mu na brodę.

Wreszcie do Toma dotarło, co się stało.

- Ty... - wykrztusił z niedowierzaniem. Vernon wzruszył ramionami. - Uratowałeś mi życie.

- A ty uratowałeś moje - powiedział Vernon prawie tak, jakby się bronił. - Uciąłeś łeb wężowi. Ja tylko skoczyłem do wody.

- Na Maryję Dziewicę, wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedział Don Alfonso.

- No tak... - Tom zakaszlał. - Dziękuję, Vernon.

- Śmierć na pewno jest dzisiaj rozczarowana! - zawołał Don Alfonso, pokazując przemoczoną i wystraszoną małpkę, kulącą się na kamieniu przy wodzie. - Proszę, nawet *mono chucuto* ją oszukała.

Nieszczęśliwy Wałkoń wlazł Tomowi do kieszeni - na swoje zwykłe miejsce, wydając odgłosy niezadowolenia.

- Nie narzekaj - fuknął na niego Tom. - To była twoja wina, do diabła.

Małpka odpowiedziała bezczelnym mlaśnięciem.

Za rzeką ścieżka biegła dalej w górę. Wędrowcy wspinali się coraz wyżej. W powietrze wkradał się mrok i chłód. Wciąż przemoczony Tom zaczął dygotać.

- Pamiętasz zwierzę, o którym wczoraj rozmawialiśmy? - spytał obojętnym tonem Don Alfonso.

Minęła chwila, nim Tom uświadomił sobie, o co chodzi.

- To dama i wciąż jest z nami.

- Skąd wiesz?

- Ma bardzo paskudny oddech. - Don Alfonso zniżył głos.

- Wyczuł pan jej zapach? - spytała Sally.

Don Alfonso pokiwał głową.

- Jak długo będzie za nami szła?

- Aż się naje. Jest ciężarna, więc głodna.

- Świetnie. A my dla niej to śledzie i lody.

- Módlmy się do Dziewicy Maryi, żeby napatoczył się jej na drodze jakiś ospały mrówkojad. - Don Alfonso skinął głową Sally. - Nieś załadowaną broń.

Ścieżka pięła się przez gąszcz pokręconych drzew, coraz gęstszy w miarę jak byli coraz wyżej. W pewnym momencie Tom zorientował się, że robi się jaśniej. Pachniało inaczej, w lesie roztaczał się subtelny aromat. Po pewnym czasie zupełnie nieoczekiwanie wyszli z mgły na światło. Zaskoczony Tom przystanął. Pod nimi rozpościerał się biały ocean. Słońce tonęło w pomarańczowym morzu ognia na horyzoncie. Wokoło nich było pełno wiszących jaskrawych kwiatów.

- Jesteśmy nad chmurami! - zawołała Sally.

- Rozbijemy obóz na szczycie - powiedział Don Alfonso i ruszył dalej ze świeżą energią.

Ścieżka osiągnęła szczyt na szerokiej łące pełnej dzikiego kwiecia, kołysanego powiewami wiatru. Nagle przed wędrowcami ukazało się morze skłębionych chmur na północnym zachodzie. W odległości około osiemdziesięciu kilometrów widać było wystający z nich rząd ostrych, siwych szczytów, przypominających archipelag wysp na niebie.

- Sierra Azul - oznajmił Don Alfonso cichym, dziwnym tonem.

37

Lewis Skiba wpatrywał się w ogień, czując, że rozpływa się w migoczących płomieniach. Nic nie robił przez cały dzień, nie odbierał telefonów, z nikim się nie spotykał, nie zapisywał żadnych notatek. Myślał jedynie: Czy Hauser już to zrobił? Czy już zrobił ze mnie mordercę? Objął się za głowę i wspominał porośnięte bluszczem budynki Wharton i uderzające do głowy poczucie bezgranicznych perspektyw z tamtych czasów. Wówczas cały świat roztaczał się przed nim, czekający, by go posiąść. A teraz... Powtarzał sobie, że dał pracę i możliwości awansu tysiącom ludzi, że rozwinął firmę i produkował środki leczące ze straszliwych chorób. Miał trzech wspaniałych synów. Mimo to przez ubiegły tydzień pierwsze, co przychodziło mu do głowy po obudzeniu, to: jestem mordercą. Pragnął cofnąć swoje słowa, tyle że nie było to możliwe. Hauser nie zadzwonił, a on nie miał możliwości, by się z nim skontaktować.

Dlaczego pozwolił tamtemu działać? Dlaczego pozwolił wmanewrować się w podjęcie decyzji? Skiba usiłował sobie wmawiać, że Hauser i tak by to zrobił, że on sam nie spowodował niczyjej śmierci, że może to tylko puste przechwałki. Niektórzy ludzie uwielbiają mówić o przemocy, szczycić się swoją brutalnością, rzeczami w tym rodzaju. Chorzy ludzie. Hauser mógł być jednym z nich - silnym w gębie, ale nic więcej.

Zabrzęczał interkom. Skiba przycisnął drżącą dłonią klawisz.

- Pan Fenner z Dixon Asset Management, umówiony na drugą.

Skiba przełknął. Tego spotkania nie mógł odwołać.

- Niech wejdzie.

Fenner wyglądał jak większość znanych Skibie analityków giełdowych: niski, zasuszony, emanujący nadmierną pewnością siebie. Był to klucz do sukcesu - Fenner miał sprawiać wrażenie człowieka, któremu warto zaufać. Skiba wyświadczył mu wiele drobnych przysług, dał cynk na kilka gorących ofert wstępnych na giełdzie, pomógł jego dzieciom dostać się do ekskluzywnej prywatnej szkoły na Manhattanie, przekazał paręset tysięcy dolarów na ulubioną działalność charytatywną jego żony. W zamian za to Fenner cały czas polecał kupowanie akcji Lampe-Denison, chociaż leciały na łeb na szyję. Wciągał swoich nieszczęsnych klientów w bagno, ba, wtłaczał ich w nie głową naprzód, samemu zarabiając po drodze miliony. Krótko mówiąc, był to typowy odnoszący sukcesy analityk giełdowy.

- Co słychać, Lewis? - spytał teraz, sadowiąc się przy ogniu. - Pewnie ci niewesoło.

- Niewesoło, Stan.

- Nie mam ochoty na wymianę uprzejmości w takiej chwili. Znamy się na to za długo. Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego miałbym dłużej namawiać klientów do kupowania akcji Lampe-Denison. Wystarczy mi choćby jeden.

- Chcesz się czegoś napić, Stan? - Lewis przełknął ślinę. - Wody mineralnej? Sherry?

Fenner pokręcił głową.

- Komitet inwestycyjny odwoła moje zalecenia. Czas na wyprzedaż. Są spłoszeni, a mówiąc szczerze, ja też. Ufałem ci, Skiba.

Gówno prawda. Od miesięcy znał prawdziwą sytuację firmy, tylko za bardzo kusiły go ochłapy, które rzucał mu Skiba, oraz to, że mógł zarabiać pieniądze na inwestowaniu aktywów Lampe-Denison. Z drugiej strony gdyby Dixon zmienił politykę z kupna na sprzedaż czy choćby wstrzymanie się, wykończyłoby to firmę farmaceutyczną Lewisa. Równałoby się bankructwu.

Skiba odchrząknął i zakaszlał. Nie był w stanie wykrztusić słowa, więc odchrząknął jeszcze raz, by to ukryć. Fenner czekał.

- Nie mogę ci niczego zaoferować, Stan - powiedział wreszcie Skiba.

Fenner odrobinę przekrzywił głowę.

- To zastrzeżone, poufne wiadomości i gdybym ci je przekazał, byłoby to ewidentne złamanie zasad dostępu do informacji przy obrocie akcjami.

- Tylko wtedy, gdybyś to ty nimi handlował. Ja tylko szukam pretekstu, by tego nie robić. Mam klientów siedzących po szyję w akcjach Lampe-Denison i chcę znaleźć powód, żeby się ich nie wyzbywali.

Skiba zaczerpnął głęboko tchu.

- Lampe-Denison w ciągu kilku najbliższych tygodni ogłosi, że jest w posiadaniu liczącego dwa tysiące stron manuskryptu - jedynego egzemplarza - pochodzącego z czasów starożytnych Majów. W księdze tej wymienione są wszystkie rośliny i zwierzęta tropikalnej dżungli, z których można pozyskiwać czynne medycznie substancje, wraz ze wskazówkami, jak przygotowywać i dawkować te preparaty oraz efektami ubocznymi. Manuskrypt ten zawiera całość wiedzy medycznej starożytnych Majów, udoskonalanej przez tysiąclecia kontaktu z najbardziej zróżnicowaną florą i fauną na tej planecie. Lampe-Denison stanie się wyłącznym właścicielem wszelkich praw do tej księgi, bez żadnych obciążeń i zobowiązań, bez kwestii umów autorskich, udziałów, procesów cywilnych czy innych zawad.

Urwał. Mina Fennera nie uległa zmianie. Cokolwiek myślał, nie dawał po sobie poznać.

- Kiedy to ogłosicie? Mogę poznać datę?

- Nie.

- Na ile to pewne?

- Bardzo.

Kłamstwo okazało się łatwe. Kodeks był jedyną nadzieją, a gdyby to przedsięwzięcie nie wypaliło, to i tak nic nie miałoby znaczenia. Długo panowała cisza. Fenner dopuścił, by na jego rasowej, arystokratycznej twarzy pojawiło się coś na podobieństwo uśmiechu. Podniósł aktówkę i wstał.

- Dziękuję, Lewis. To, co powiedziałeś, zaparło mi dech.

Skiba pokiwał głową i patrzył, jak tamten eleganckim, ostrożnym krokiem wychodzi z gabinetu.

Gdyby tylko wiedział...

38

W miarę jak schodzili ze szczytu góry, charakter dżungli ulegał zmianie. Teren był wyjątkowo nierówny, poprzecinany jarami i bystrymi rzekami poprzedzielanymi wysokimi graniami. Zmierzali dalej ścieżką

zwierząt, ale była tak zarośnięta, że musieli ją na zmianę wyrąbywać. Ślizgali się i padali na prowadzących w górę odcinkach błotnistej drożyny; to samo było na opadających stokach.

Posuwali się tak z trudem kilka kolejnych dni. Nie było tu równego miejsca na obozowisko i musieli spać na stokach, w hamakach rozpiętych między drzewami, w padającym przez całe noce deszczu. Rankami dżungla była pogrążona w mroku i oparach. Przy wyjątkowym wysiłku posuwali się osiem kilometrów dziennie, ale pod wieczór czuli się skrajnie wyczerpani. Prawie nie było zwierzyny, na którą mogliby zapolować i nigdy nie mieli dość jedzenia. Nocami Tomowi śniły się wołowe steki z frytkami, a w ciągu dnia marzył o lodach i homarach w maśle. Wieczorami przy ognisku nie rozmawiali o niczym innym, tylko o jedzeniu.

Dni zaczęły się zlewać ze sobą. Deszcz i mgły nie ustępowały ani na chwilę. Hamaki przegniły i trzeba było je pleść ponownie, ubrania zaczęły się rozsypywać, w tkaninie zalęgły się mustyki, w butach pękały szwy. Wędrowcy nie mieli ubrań na zmianę; groziło im, że wkrótce zostaną w dżungli nadzy. Ich ciała pokrywały ranki, ugryzienia, zadrapania, skaleczenia, blizny i wrzody. W drodze pod górę w jednym z wąwozów Vernon pośliznął się i przytrzymał krzaka, by nie polecieć w dół. Posypała się na niego lawina mrówek ogniowych; pogryzły go tak okrutnie, że przez dwadzieścia cztery godziny ledwie mógł się ruszyć.

Jedyną pozytywną stroną dżungli była jej flora. Sally znajdowała mnóstwo leczniczych roślin; zdołała przyrządzić maść, działającą cudownie na ukąszenia owadów, wysypki i zaczątki grzybicy. Pili roślinną herbatę, o której mówiła, że ma działanie przeciwdepresyjne, ale jej skuteczność chyba nie była zbyt duża.

Zawsze, czy to dniem, czy nocą, słyszeli też parskanie i ryki krążącego jaguara. Nikt o nim nie mówił - zabronił tego Don Alfonso - ale rzadko wypadało to Tomowi z głowy. Na pewno w lesie były zwierzęta, którymi jaguar mógł się pożywić. Czego chciał? Dlaczego ich tropił, a nie zaatakował ani razu?

Czwartej czy piątej nocy - Tom zaczynał tracić rachubę - zatrzymali się na grani wklinowanej pomiędzy masywne, gnijące pnie drzew. Deszcz zelżał, z ziemi unosiły się opary. Zjedli wczesną kolację - ugotowaną z korzeniami *mat ta* jaszczurkę. Potem Sally wstała i wzięła do ręki karabin.

- Jaguar czy nie, idę na polowanie.
- Idę z tobą - powiedział Tom.

Ruszyli w dół do wąwozu, idąc z nurtem małego strumienia. Panowała szarówka, las wydawał się przywiędły i sponiewierany, znad listowia unosiła się para. Dźwięki kapiącej wody mieszały się z odbijającymi się echem nawoływaniami ptactwa.

Przez pół godziny torowali sobie drogę po omszałych głazach i kłodach, aż dotarli do szybko płynącego potoku. Poszli wzdłuż niego jedno

za drugim poprzez kłębiące się opary. Sally sama porusza się trochę jak kot, pomyślał Tom, patrząc, jak bezszelestnie prześlizgiwała się przez poszycie.

Sally przystanęła z uniesioną ręką. Powoli uniosła karabin, wycelowała i strzeliła.

W krzakach przez chwilę rzucało się i piszczało jakieś stworzenie; odgłosy szybko ucichły.

- Nie wiem, co to takiego, tylko tyle że jest tłuste i włochate.

Wśród krzewów znaleźli leżące na boku zwierzę z wyciągniętymi poziomo czterema łapami.

- Jakaś odmiana pekari - powiedział Tom, patrząc na trofeum myśliwskie Sally ze smutkiem; nie mógł przyzwyczaić się do zabijania zwierząt.

- Twoja kolej. - Sally rzuciła mu uśmiech.

Wyciągnął maczetę i zaczął oprawiać pekari, podczas gdy Sally się temu przyglądała. Gdy wygarnął narządy wewnętrzne, uniosła się z nich para.

- Jeśli oblejemy skórę wrzątkiem w obozie, będzie można zeskrobać sierść - powiedziała Sally.

- Nie mogę się doczekać - odrzekł Tom.

Skończył oprawiać pekari, ściął młode drzewko na tyczkę i przywiązał do niej zwierzę za nogi. Dźwignęli je na ramiona. Ważyło najwyżej piętnaście kilogramów, ale miało dość mięsa, by zostało go trochę na uwędzenie. Ruszyli z powrotem tą samą drogą wąwozem.

Pokonali najwyżej dwadzieścia metrów, gdy zatrzymał ich jaguar - stał dokładnie na środku ich drogi. Wpatrywał się w nich zielonymi ślepiami, koniec ogona poruszał się lekko w obie strony.

- Cofnij się - szepnął Tom do Sally. - Spokojnie, bez pośpiechu.

Gdy zrobili krok w tył, jaguar ruszył w ich kierunku, bezszelestnie stawiając łapy. Powtórzył to, gdy znów się cofnęli.

- Pamiętasz, co powiedział Don Alfonso?

- Nie mogę tego zrobić - szepnęła Sally.

- Strzel w powietrze.

Sally uniosła broń i wystrzeliła ponad łbem drapieżnika. Odgłos strzału był osobliwie stłumiony przez mgłę i gęstą roślinność. Jaguar przez moment zadrżał, lecz poza tym nie dał poznać po sobie, że cokolwiek usłyszał. Jedynie koniuszek jego ogona drgał rytmicznie jak metronom.

- Okrążymy go - powiedziała Sally.

Zeszli ze zwierzęcej ścieżki w las. Jaguar nie ruszył z miejsca, wodził jedynie za nimi zielonymi oczami. Wkrótce stracili go z oczu. Po kilkuset metrach Tom zaczął się wspinać z powrotem na grań. Raz czy dwa usłyszeli odgłosy przypominające prychnięcia i porykiwania jaguara

z lewej strony, zeszli więc dalej od szczytu grani. Zrobili jeszcze ze czterysta metrów i stanęli - powinni byli dotrzeć do wąwozu ze strumieniem, ale go nie było.

- Powinniśmy byli skręcić bardziej w lewo - powiedział Tom.

Zrobili tak. Las stawał się gęstszy, masywniejszy, drzewa mniejsze i bardziej stłoczone.

- W ogóle nie poznaję tej okolicy.

Przystanęli, nasłuchując. Zdawało się, że w dżungli zapanowała niesamowita cisza. Nie słychać było szumu potoku, rozlegało się jedynie kapanie kropel z gałęzi.

Niski, ryczący pomruk rozległ się bezpośrednio za nimi.

Sally odwróciła się z gniewem.

- Znikaj stąd! - krzyknęła. - Uciekaj!

Ruszyli dalej w zdwojonym tempie. Tom wyrąbywał drogę przez poszycie. Od czasu do czasu słyszał pomruki przesuwającego się po ich lewej stronie drapieżnika. Nie brzmiały przyjaźnie - były niskie, przeciągłe i bardziej przypominały warczenie. Tom obawiał się, że zabłądzili, że zmierzają w niewłaściwym kierunku. Poruszali się prawie biegiem.

Wreszcie wielki kot o lśniącej złotem sierści wyłonił się z mgły przed nimi - siedział na gałęzi sprężony do skoku.

Stanęli jak wryci, a po chwili się cofnęli. Zwierzę im się przyglądało, po czym płynnym ruchem dało susa w bok i wskoczyło na gałąź za nimi, blokując im drogę odwrotu.

Sally celowała w jaguara, ale nie strzelała. Wszyscy troje mierzyli się w ciszy wzrokiem.

- Myślę, że chyba nadszedł czas, aby go zabić - szepnął Tom.

- Nie mogę.

Nie wiedzieć czemu właśnie taką odpowiedź Tom chciał usłyszeć. Nigdy w życiu nie widział równie pełnego energii, zręcznego i wspaniałego stworzenia.

Potem jaguar niespodziewanie odwrócił się i oddalił. Przeskakiwał lekko z gałęzi na gałąź, aż zniknął w lesie.

Oboje stali w milczeniu, aż Sally się uśmiechnęła.

- Mówiłam ci, że jest po prostu ciekawy.

- Niezła ciekawość podążać za nami osiemdziesiąt kilometrów!

Tom rozglądał się nadal. Wreszcie wetknął maczetę za pas i ujął koniec tyczki z upolowanym pekari. Czuł nieokreślony niepokój. Był pewien, że to nie koniec.

Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy jaguar z przeszywającym rykiem skoczył na nich z góry jak złoty pocisk. Wylądował ze stłumionym łoskotem na plecach Sally. Broń wypaliła, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Sally obróciła się przy upadku; runęli oboje, ale zwierzę potoczyło się na bok - zdążyło jednak zedrzeć z niej pół koszuli.

Tom rzucił się na jaguara i ścisnął kolanami jak konia na rodeo. Chciał wyłupić mu kciukami oczy, ale zanim zdążył to zrobić, poczuł, jak masywne ciało zwija się pod nim niczym stalowa sprężyna. Zwierzę ryknęło ponownie, zerwało się i skoczyło, skręcając się w powietrzu w chwili, gdy Tom wyszarpnął maczetę. Drapieżnik rzucił się na niego, przyciskając gorącym, cuchnącym futrem i jego, i maczetę. Tom poczuł, że ostrze przebija skórę i zagłębia się we wnętrznościach jaguara; silny strumień krwi chlusnął mu na twarz. Zwierzę ryknęło i zwinęło się; Tom z całych sił szarpnął maczetę w bok. Musiała przebić płuca, bo ryk zamienił się w zdławiony gulgot. Zwierzę opadło na niego bezwładnie. Tom zepchnął je z siebie i wyciągnął maczetę. Jaguar poruszył łapami i znieruchomiał.

Tom podbiegł do usiłującej podnieść się Sally.

- Mój Boże, Tom, nic ci nie jest? - zawołała na jego widok.

- Czy tobie nic nie jest?

- Co ci zrobił?!

Wyciągnęła rękę ku jego twarzy. Nagle zrozumiał, o co jej chodzi.

- To jego krew, nie moja - powiedział słabo, pochylając się nad Sally. - Daj, obejrzę ci plecy.

Przetoczyła się na brzuch. Koszulę miała w strzępach, na barku dostrzegł cztery szramy. Ściągnął z niej resztki koszuli.

- Ej, nic mi nie jest - rozległ się stłumiony głos Sally.

- Spokojnie. - Tom ściągnął swoją koszulę i zmoczył jej skraj w kałuży. - Będzie bolało.

Sally stęknęła cicho z bólu, gdy przemywał jej rany. Nie wyglądały na głębokie - najgroźniejsze było ryzyko zakażenia. Tom zdrapał trochę mchu, uklepał go na placek, położył na ranach i przewiązał jej koszulą. Pomógł Sally wstać i włożyć swoją koszulę. Popatrzyła na niego ponownie i skrzywiła się.

- Mój Boże, jesteś cały we krwi. - Obejrzała się na jaguara, rozciągniętego w całej swojej złotej wspaniałości na ziemi. - Zabiłeś go maczetą?

- Wyciągnąłem ją, a on sam się nadział. - Otoczył Sally ramieniem. - Możesz wstać?

- Pewnie.

Pomógł jej się podnieść. Zatoczyła się, a potem stanęła pewnie na nogach.

- Daj mi karabin.

Tom podniósł go z ziemi.

- Ja go poniosę.

- Nie, wezmę go na drugie ramię. Ty ponieś pekari.

Tom się nie sprzeczał. Przywiązał pekari z powrotem do drążka, przerzucił go sobie przez ramię i przystanął, by ostatni raz spojrzeć na jaguara, rozciągniętego na boku w kałuży krwi.

- Będziesz miał cholernie efektowną historyjkę do opowiadania na koktajlach, kiedy wreszcie stąd wrócimy - zauważyła z uśmiechem Sally.

Po powrocie do obozu Vernon i Don Alfonso wysłuchali ich opowieści w milczeniu. Gdy Tom skończył, starzec położył mu dłoń na ramieniu i spojrzał w oczy.

- Szalony z ciebie *yanqui,* Tomasito, wiesz? - powiedział.

Tom i Sally znaleźli się na chwilę sami w chacie. Sally usiadła na ziemi i zaczęła zszywać rozdartą koszulę nicią, którą Don Alfonso wyciągnął z kory, podczas gdy Tom opatrzył ponownie jej ranę ziołami odkażającymi. Zerkała cały czas na niego kątem oka, z lekkim uśmiechem na ustach.

- Czy już podziękowałam ci za uratowanie życia? - odezwała się wreszcie.

- Nie potrzebuję podziękowań.

Tom starał się ukryć rumieniec. Nie po raz pierwszy widział ją bez koszuli -już dawno przestali zwracać uwagę na takie niuanse - ale tym razem czuł coraz silniejsze erotyczne napięcie. Spostrzegł, że i jej rumieniec rozszerza się na piersi oraz że sterczą jej sutki. Czyżby czuła to samo?

- Owszem, potrzebujesz.

Odłożyła reperowaną koszulę, odwróciła się, objęła go ramionami za szyję i delikatnie pocałowała w usta.

33

Hauser kazał swoim ludziom zatrzymać się nad rzeką. Za nią widać było wznoszące się ku obłokom niebieskawe zbocza Sierra Azul - jak zaginiony świat Arthura Conan Doyle'a. Przeszedł na drugą stronę polany i przyjrzał się błotnistej ścieżce. Ciągła mżawka zmyła większość śladów, ale dzięki temu wiedział, że odciski gołych stóp muszą być bardzo świeże - mogły mieć najwyżej kilka godzin. Wyglądało na to, że przechodziła tędy grupa sześciu ludzi - zapewne myśliwych.

Byli to bez wątpienia Indianie z gór, spośród których dobrał sobie pomocników Broadbent. Nikt inny nie żył w tych zapomnianych przez Boga i ludzi górach.

Hauser podniósł się z klęczek i przez chwilę zastanowił. Przegrałby jakąkolwiek zabawę w kotka i myszkę w tych górach. Niczego też by nie osiągnął negocjacjami. Pozostawał tylko jeden sensowny sposób działania.

Dał znak żołnierzom i ruszył na ich czele. Poszli szybko tą samą ścieżką, którą obrali myśliwi. Philip człapał na końcu - skuty, pilnowany przez jednego z żołnierzy. Za bardzo już osłabł, by próbować uciecz-

ki, zwłaszcza w kajdanach. Szkoda było absorbować żołnierza, skoro zostało tak niewielu, którzy się do czegoś nadawali, ale w odpowiedniej chwili więzień mógł się stać wartościową kartą przetargową. Nigdy nie wolno lekceważyć wartości zakładnika.

Hauser rozkazał ludziom przyspieszyć kroku.

Wszystko rozegrało się tak, jak się tego spodziewał. Indianie usłyszeli ich z wyprzedzeniem i znikli w lesie - ale Hauser zdołał dojrzeć, gdzie czmychnęli. Był doświadczonym tropicielem i znał dżunglę, więc ścigał ich, nie zwalniając tempa. Strategia wojny błyskawicznej, którą preferował, przerażała nawet najbardziej doświadczonych przeciwników - nie mówiąc o grupce niczego niepodejrzewających myśliwych. Ludzie Hausera rozdzielili się; dwóch zabrał ze sobą i zatoczył łuk, by odciąć drogę uciekinierom.

Walka była szybka, wściekła i ogłuszająca. Dżungla się zatrzęsła. Obudziło to w nim żywe wspomnienia niezliczonych akcji bojowych w Wietnamie. Po niecałej minucie było po wszystkim - potrzaskane pnie sterczały wypalone i obdarte z kory i gałęzi, krzaki płonęły, grunt wokoło został stratowany, w powietrzu unosiła się kwaśna mgiełka. Na gałęziach jednego z niskich drzew wisiały orchidee - i ludzkie wnętrzności.

Naprawdę zdumiewające, co można osiągnąć dzięki paru zwykłym granatnikom.

Hauser porachował szczątki ludzkich ciał i doliczył się, że zginęło czterech Indian. Dwóch pozostałych uciekło. Przynajmniej raz żołnierze wykazali się skutecznością. Do tego właśnie się nadawali: do bezpośredniej, nieskomplikowanej jatki. Trzeba to zapamiętać.

Miał niewiele czasu. Musiał szybko dotrzeć do wioski - tak by uderzyć w momencie największej zgrozy i zamętu, zanim Indianie zdążą się zorganizować. Odwrócił się i krzyknął do swoich ludzi:

- *Arriba! Vamonos!*

Najemnicy zaczęli wiwatować, nabierając otuchy dzięki jego entuzjazmowi. Wreszcie byli w swoim żywiole.

- Do wioski!

40

Przez tydzień padało nieprzerwanie. Co dzień mała grupka wędrowców zmierzała dalej, w dół i górę wąwozów, wzdłuż groźnych urwisk, przez grzmiące strumienie - w tak gęstej dżungli, że prawie przekraczało to wyobrażenie Toma. Dzień był udany, jeśli zrobili sześć kilometrów. Po siedmiu dniach takiej mitręgi Tom obudził się i zobaczył, że deszcz ustał. Don Alfonso był już na nogach - rozpalał wielkie ognisko. Miał poważną minę. Kiedy jedli śniadanie, oznajmił:

- Tej nocy miałem sen.

Jego ton zwrócił uwagę Toma.

- Jaki?

- Śniło mi się, że umarłem. Moja dusza poszła do nieba i zaczęła szukać świętego Piotra. Znalazłem go przed bramami raju. Kiedy podszedłem, krzyknął do mnie: „Don Alfonso, to ty, stary łajdaku?". „Zgadza się", odrzekłem. „To ja, Don Alfonso Boswas. Umarłem w dżungli daleko od domu w wieku stu dwudziestu jeden lat. Chcę wejść do środka i zobaczyć się z moją Rositą". „Co robiłeś w tej dżungli, Don Alfonso?", spytał. „Prowadziłem zwariowanych *yanquis,* zmierzających do Sierra Azul", powiedziałem. „I dotarłeś tam?", zapytał. „Nie", odpowiedziałem. „No cóż, Don Alfonso, będziesz musiał zawrócić, łajdaku". - Urwał i po chwili dodał: - Zatem wróciłem.

Tom nie był pewny, jak ma zareagować. Przez chwilę pomyślał, że to kolejny żart Don Alfonsa, dopóki nie spostrzegł powagi we wzroku starca. Zamienił spojrzenie z Sally.

- I co znaczy ten sen? - spytała.

Don Alfonso włożył do ust kawałek korzenia *matta,* przez chwilę żuł z zadumą, potem przechylił się, by go wypluć.

- To znaczy, że zostało nam tylko kilka dni razem.

- Kilka dni? Niech pan nie żartuje.

Starzec dojadł do końca swoją porcję i wstał ze słowami:

- Porozmawiamy o tym więcej, gdy dotrzemy do Sierra Azul.

Dzień okazał się gorszy od poprzednich, bo po ustaniu deszczu pojawiły się owady. Wywracając się i podnosząc, dręczeni przez roje insektów wędrowcy pięli się w górę i w dół po następnych stromych, błotnistych zboczach. Po południu zeszli w kolejny jar, w którym echem odbijał się łoskot grzmiącej wody. Im niżej schodzili, tym ryk był głośniejszy; Tom zdał sobie sprawę, że na dnie musi być duża rzeka. Gdy dotarli do ostatniej zasłony listowia przed brzegiem, idący na przedzie Don Alfonso zatrzymał się i cofnął poruszony. Dał im znak, by weszli dalej między drzewa.

- Co się stało? - spytał Tom.

- Po drugiej stronie rzeki pod drzewem leży trup.

- Indianin?

- Nie, ktoś w północnoamerykańskim ubraniu.

- Może to zasadzka?

- Nie, Tomas, gdyby to była zasadzka, już byśmy nie żyli.

Tom wyszedł za nim na brzeg. Po drugiej stronie rzeki, około pięćdziesięciu metrów dalej znajdowała się mała naturalna polana, a pośrodku rosło wielkie drzewo. Bezpośrednio za nim widać było barwny kształt. Tom pożyczył lornetkę od Vernona, by przyjrzeć się temu bliżej. W polu widzenia ukazała się goła, straszliwie opuchnięta stopa i kawałek obszar-

panej nogawki. Pień skrywał pozostałą część ciała. Tom spostrzegł, jak zza drzewa wydobywa się kłąb niebieskawego dymu, a po nim kolejny.

- Ten człowiek żyje, chyba że trupy mogą palić - powiedział.

- Matko Boska, masz rację.

Zabrali się do ścinania drzewa, by przedostać się przez rzekę. Stukot siekiery niósł się echem po lesie, ale tamten ktoś nie reagował.

Wreszcie drzewo runęło przez jar, tworząc chwiejny most. Don Alfonso popatrzył podejrzliwie na drugą stronę.

- Może to demon.

Posługując się tyczką, przeszli po kołyszącym się pniu na drugi brzeg. Tam człowiek zniknął im z oczu.

- Musimy iść dalej i udać, że go nie widzieliśmy - szepnął Don Alfonso. - Jestem już pewny, że to demon.

- Absurd - odparł Tom. - Sprawdzę, kto to.

- Proszę, nie idź, Tomas. Skradnie ci duszę i zabierze ją na dno rzeki.

- Pójdę z tobą - powiedział Vernon.

- Zostajemy tutaj, *curandera*. Nie chcę, żeby demon porwał was wszystkich.

Tom i Vernon ruszyli między otoczakami leżącymi na brzegu rzeki, zostawiając ponuro mamroczącego do siebie samego Don Alfonsa. Wkrótce dotarli na polanę i okrążyli drzewo.

Widzieli przed sobą żywego trupa. Człowiek ów siedział oparty plecami o pień, palił wrzoścowąfajkę i patrzył na nich w bezruchu. Nie wyglądał na Indianina, chociaż skórę miał prawie czarną. Ubranie wisiało na nim w strzępach, poraniona do żywego mięsa twarz krwawiła od ukąszeń owadów. Gołe stopy miał pokaleczone i opuchnięte. Był tak wychudzony, że kości sterczały mu groteskowo jak u głodującego uchodźcy z Biafry. W splątanych niczym strąki włosach i krótkiej brodzie było pełno liści i patyków.

Człowiek nie zareagował na ich widok. Wpatrywał się w nich jedynie pustym spojrzeniem zapadniętych oczu. Wyglądał bardziej na martwego niż żywego. Wreszcie drgnął, jakby przeniknął go dreszcz. Fajka wypadła mu z ust i odezwał się niewiele głośniejszym od szeptu głosem:

- Co u was słychać, braciszkowie?

41

Tom podskoczył ze zdumienia, że żywy trup przemawia głosem Philipa. Pochylił się, by przyjrzeć się jego twarzy, ale nie dostrzegł żadnego podobieństwa. Oderwał wzrok ze zgrozą: we wrzodach na szyi mężczyzny wiły się larwy.

- Philip? - szepnął Vernon.

Mężczyzna mruknął twierdząco.

- Co tu robisz?

- Umieram - odpowiedział rzeczowo.

Tom ukląkł i przyjrzał się bliżej twarzy brata. Wciąż był nazbyt zszokowany, by coś powiedzieć czy zareagować. Położył bratu rękę na kościstym ramieniu.

- Co się stało?

Philip zamknął na chwilę oczy i uchylił je znowu.

- Później.

- Oczywiście... O czym ja myślę? - Tom odwrócił się do brata. - Vernon, idź po Don Alfonsa i Sally. Powiedz, że znaleźliśmy Philipa i rozbijamy tu obóz.

Tom wpatrywał się dalej w znalezionego mężczyznę, zbyt wstrząśnięty, by coś powiedzieć. Philip wydawał się pełen niezmąconego spokoju... jakby już pogodził się ze śmiercią. Było to nienaturalne. W jego wzroku malowała się absolutna apatia.

Pojawił się Don Alfonso i z ulgą, że demon okazał się jednak człowiekiem, przystąpił do przygotowywania terenu na obóz.

Gdy Philip zobaczył Sally, wyjął fajkę i mrugnął.

- Jestem Sally Colorado - powiedziała, ujmując jego dłoń. Zdołał kiwnąć głową. - Będziemy musieli pana umyć i opatrzyć.

- Dzięki.

Zanieśli Philipa nad rzekę, ułożyli na rozścielonych liściach palmy i rozebrali. Jego ciało pokrywały wrzody, w wielu miejscach wdała się infekcja, a w niektórych pełzały larwy. Tom pomyślał, że te ostatnie okazały się właściwie dobrodziejstwem, bo żywiły się zakażoną tkanką, zmniejszając ryzyko gangreny. W niektórych ranach, gdzie wiły się larwy, widać już było świeżą ziarninę. Inne wyglądały jednak gorzej.

Oglądał brata ze straszliwymi odczuciami. Nie mieli leków, antybiotyków ani bandaży, jedynie zioła Sally. Ostrożnie umyli Philipa, zanieśli go z powrotem na polanę i ułożyli całkowicie nagiego na rozścielonych przy ognisku liściach palmy. Sally zaczęła przebierać w zgromadzonych przez siebie pęczkach ziół i korzeni.

- Sally zna się na ziołolecznictwie - powiedział Vernon.

- Wolałbym zastrzyk amoksycyliny - odparł Philip.

- Nie mamy nic.

Philip opuścił głowę na liście i przymknął oczy. Tom zajął się opatrywaniem owrzodzeń, zdrapując martwiczą tkankę i wypłukując larwy. Sally posypywała rany suszonymi ziołami o antybiotycznym działaniu i bandażowała je pasami stłuczonej kamieniami kory, wysterylizowanej we wrzątku i uwędzonej w dymie ogniska. Uprali i wysuszyli ubranie Philipa, a potem włożyli mu je ponownie, bo nie mieli niczego na zmia-

nę. Skończyli, gdy słońce już zachodziło. Podłożyli mu oparcie pod plecy, a Sally przyniosła kubek ziołowej herbaty.

Philip wziął go do ręki. Wyglądał już lepiej.

- Obróć się, Sally, to zobaczę, czy nie masz skrzydeł - powiedział.

Zarumieniła się. Philip upił łyk, po nim kolejny. Don Alfonso tymczasem opiekał nad ogniskiem sześć złowionych w strumieniu ryb. Rozeszła się woń rybiego mięsa.

- Dziwne, że nie mam apetytu - odezwał się Philip.

- To nie takie niezwykłe przy głodówce - odrzekł Tom.

Don Alfonso rozdał ryby na szerokich liściach. Przez chwilę jedli w milczeniu.

- No cóż, a więc tu jesteśmy - zauważył wreszcie Philip. - Małe spotkanie rodzinne w środku dżungli w Hondurasie. - Popatrzył po nich roziskrzonym wzrokiem, po czym powiedział: - D.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Vernon rzucił:

- U.

- C - dodał Tom.

- H - powiedział Philip.

Znów zapadło długie milczenie, aż w końcu Vernon zaklął:

- Cholera. Y.

- Vernon zmywa naczynia! - zawołał triumfalnie Philip.

- Mieliśmy kiedyś taką zabawę - Tom zwrócił się do Sally z wyjaśnieniem, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Widać, że rzeczywiście jesteście braćmi.

- Mniej więcej - odparł Vernon. - Chociaż Philip to osioł.

- Biedny Vernon! - zaśmiał się serdecznie Philip. - Zawsze musiałeś zostać w kuchni, prawda?

- Cieszę się, że czujesz się już lepiej - powiedział Tom.

- Owszem. - Philip zwrócił ku niemu zapadniętą twarz.

- Masz siłę opowiedzieć nam, co się wydarzyło?

Philip natychmiast spoważniał; cała pogoda znikła z jego oblicza.

To historia o jądrze ciemności, nie brakuje w niej nawet Kurtza. Na pewno chcecie ją usłyszeć?

- Tak - odrzekł Tom. - Chcemy ją usłyszeć.

42

Philip starannie nabił fajkę tytoniem Dunhilla Early Morning i zapalił ją wolno i z rozmysłem.

- Dzięki Bogu, jedyne, czego mi nie zabrali, to tytoniu i fajki.

Pykał powoli, z półprzymkniętymi oczyma, zbierając myśli.

Tom skorzystał z okazji, by przyjrzeć się twarzy Philipa. Teraz, gdy była czysta, wreszcie mógł dojrzeć ostre, arystokratyczne rysy brata. Broda nadawała im nieco zbójecki wyraz, dzięki czemu osobliwie upodobnił się do ojca. Twarz Philipa jednak była teraz inna - musiało się stać coś tak strasznego, co odmieniło jego oblicze.

Zapaliwszy fajkę, otworzył oczy i zaczął mówić:

- Gdy zostawiłem was obydwóch, poleciałem do Nowego Jorku i spotkałem się z dawnym wspólnikiem taty, Marcusem Aureliusem Hauserem. Myślałem, że lepiej niż ktokolwiek będzie wiedział, gdzie mógł się podziać ojciec. Poza wszystkim jest prywatnym detektywem, niesłychanie operatywnym. Ten pulchny, wyperfumowany facet dzięki dwóm szybkim telefonom zdołał się dowiedzieć, że ojciec wyjechał do Hondurasu, więc pomyślałem, że Hauser zna się na swojej robocie, i go wynająłem. Przylecieliśmy do Hondurasu; zorganizował ekspedycję, wynajął dwunastu żołnierzy i cztery łodzie. Sfinansował to wszystko, zmusiwszy mnie do sprzedania pięknej akwarelki Paula Klee, którą dostałem od ojca...

- Och, Philipie, jak mogłeś? - powiedział Vernon.

Ten przymknął ze znużeniem oczy. Vernon umilkł.

- Przylecieliśmy razem do Laguna de Brus i załadowaliśmy się w dłubanki na wesołą przejażdżkę w górę rzeki - kontynuował Philip. - W jakieś zabitej dechami osadzie wynajęliśmy przewodnika i ruszyliśmy na bagno Meambar. Wtedy Hauser urządził przewrót. Ten wypachniony kutas zaplanował wszystko z góry - to jeden z tych zdeprawowanych mikrofuhrerów. Skuli mnie jak psa, Hauser nakarmił przewodnikiem piranie, a potem zorganizował zasadzkę, żeby was zabić. - Głos mu się załamał. Kilka razy wciągnął dym z fajki, przytrzymując ją drżącą, kościstą dłonią, po czym snuł dalej swoją opowieść z dobrze znaną Tomowi ironiczną manierą. - Zakuwszy mnie w łańcuchy, Hauser zostawił nad Laguna Negra pięciu honduraskich Rambo, żeby złapali was w zasadzkę. Mnie i pozostałych żołnierzy zabrał Macaturi aż do wodospadów. Nigdy nie zapomnę powrotu żołnierzy. Było ich tylko trzech, jednemu sterczała z uda metrowa strzała. Nie słyszałem wszystkiego, co mówili. Hauser był wściekły, odprowadził za obóz rannego i strzelił mu prosto w głowę. Dowiedziałem się, że zabili dwóch ludzi i byłem pewny, że to wy. Muszę wam powiedzieć, braciszkowie, że kiedy się zjawiliście, myślałem, że umarłem i poszedłem do piekła - a was wysłano jako komitet powitalny. - Zaśmiał się sucho. - Zostawiliśmy łodzie pod wodospadami i ruszyliśmy pieszo śladem ojca. Hauser zdołałby wytropić mysz w dżungli, jeśli miałby na to ochotę. Wlókł mnie ze sobą, bo myślał, że mogę być kartą przetargową. Wpadł na grupę Indian z gór, zabił kilku, a pozostali uciekli do wsi. Zaatakował wtedy wioskę i zdołał pojmać wodza. Nie widziałem tego wszystkiego, trzymano mnie w kajdanach,

ale zobaczyłem rezultaty. - Zadygotał. - Gdy tylko wódz został jego zakładnikiem, ruszyliśmy w góry w stronę Białego Miasta.

- Hauser wie o Białym Mieście?

- Dowiedział się o nim od schwytanego Indianina, ale nie wie, gdzie dokładnie znajduje się grobowiec. Najwidoczniej tylko wódz i kilku starszych z wioski orientują się, gdzie pochowano ojca.

- Jak uciekłeś? - spytał Tom.

- Porwanie wodza podburzyło Indian do walki. - Philip przymknął oczy. - Zaatakowali Hausera po drodze do Białego Miasta. Nawet mimo granatników on i jego ludzie mieli pełne ręce roboty. Zdjął mi kajdany, żeby trzymać w nich wodza. W szczytowym momencie ataku zdołałem się wymknąć. Ostatnich dziesięć dni spędziłem, maszerując - właściwie pełznąc - z powrotem; żywiłem się owadami i jaszczurkami. Trzy dni temu dotarłem do rzeki. Nie miałem siły się przez nią przedostać. Głodowałem i nie mogłem już iść dalej. Usiadłem więc pod drzewem i czekałem na koniec.

- Siedziałeś pod tym drzewem całe trzy dni?

- Trzy, cztery, Bóg jeden wie. Zlewały się ze sobą.

- Mój Boże, Philipie, to straszne.

- Wręcz przeciwnie. Było to odświeżające, bo stwierdziłem, że nic mnie już nie obchodzi. Nigdy w życiu nie czułem się tak wolny, jak siedząc pod tym drzewem. Wierzcie mi, przez chwilę czy dwie byłem autentycznie szczęśliwy.

Ognisko przygasło. Tom dorzucił do niego trochę patyków i pogrzebał, by je rozniecić.

- Widziałeś Białe Miasto?

- Uciekłem, zanim tam dotarliśmy.

- Jak daleko stąd do Sierra Azul?

- Może piętnaście kilometrów do podnóża gór i kolejnych piętnaście czy dwadzieścia do miasta.

Zapadła cisza. Ogień trzaskał i syczał. Gdzieś daleko na drzewie żałośnie krzyczał jakiś ptak. Philip przymknął oczy.

- Drogi ojcze, cóż za wspaniałe dziedzictwo zostawiłeś czczącym cię synom.

Świątynia była cała spowita w liany. Frontowa kolumnada z kwadratowych, omszałych wapiennych słupów podtrzymywała częściowo zawalony dach. Hauser stał na zewnątrz, przyglądając się osobliwym hieroglifom, wyrzeźbionym na kolumnach, dziwacznym twarzom, zwierzętom, kropkom i liniom. Przypominały mu kserokopię strony z Kodeksu.

- Zostańcie na zewnątrz - polecił swoim ludziom i wyciął otwór w zasłonie roślinności.

W środku panował półmrok. Hauser zaświecił latarką. Nie dostrzegł węży ani jaguarów, tylko gniazdo pająków w kącie i parę pierzchających myszy. W środku było sucho i zacisznie - dobre miejsce na kwaterę.

Wszedł dalej. Z tyłu znajdowała się kolejna kolumnada, a za zrujnowanym wyjściem posępny dziedziniec. Przeszedł na jego drugą stronę. Na ziemi poniewierało się kilka zmoczonych deszczem, silnie zniszczonych przez czas posągów. Wielkie korzenie wiły się po kamieniach jak tłuste anakondy. Drzewa rozpychały ściany i sklepienia dopóty, dopóki nie stały się integralną częścią budowli, bez których by się zawaliła. Po przeciwnej stronie dziedzińca drugie drzwi prowadziły do małej komnaty, na środku której znajdowała się rzeźba leżącego mężczyzny z misą w dłoniach.

Hauser wrócił do czekających żołnierzy. Dwaj z nich trzymali porwanego wodza - skurczonego starca, prawie nagiego z wyjątkiem przepaski na biodrach i wyprawionej skóry, zawiązanej na ramieniu i w pasie. Wódz miał całą skórę pokrytą zmarszczkami. Marcus chyba jeszcze nigdy nie widział nikogo wyglądającego równie staro - chociaż wiedział, że wódz liczy sobie pewnie najwyżej sześćdziesiąt lat. Dżungla szybko postarzała.

- Zostaniemy tutaj. - Dał znak *teniente*. - Każ dwóm żołnierzom wyprzątnąć tę salę i wstawić moje łóżko i stół. - Wskazał skinieniem głowy starca. - Wodza przykujcie w małej izbie po drugiej stronie dziedzińca i zostawcie przy nim strażnika.

Żołnierze wepchnęli starego Indianina do świątyni. Hauser usiadł na kamiennym bloku, wyjął świeże opakowanie z cygarem, odkręcił zatyczkę i wyjął je ze środka. Miało jeszcze papierową banderolę. Hauser powąchał ją, zgniótł w dłoni i ponownie wciągnął w nozdrza doskonały aromat, po czym przystąpił do ukochanego rytuału przypalania cygara.

Paląc, oglądał ruiny piramidy na wprost siebie. Była zupełnie inna niż w Chichen Itza czy Copan, ale jak przystało na piramidę Majów, robiła wrażenie. W piramidach często chowano ważne osoby. Hauser był przekonany, że Max kazał się pogrzebać w piramidzie, którą sam kiedyś obrabował. Jeśli tak się stało, musiał to być duży grobowiec, by pomieścić wszystkie skarby Broadbenta.

Korzenie drzew zrujnowały schody, wiodące na szczyt piramidy; liczne bloki stoczyły się aż na ziemię. Na górze znajdowała się mała płaska konstrukcja z czterema kwadratowymi narożnymi kolumnami, czterema drzwiami i płytkim kamiennym ołtarzem, na którym Majowie składali ofiary. To byłby widok - patrzeć, jak kapłan rozpruwa klatkę piersiową ofiary, rozsuwa żebra, wycina bijące serce i z krzykiem triumfu unosi je w dłoniach, podczas gdy ciało zostaje zrzucone po schodach na

dół, gdzie wyczekujący notable tną je na kawałki, które dodadzą do potrawy z kukurydzy.

Co za barbarzyńcy.

Hauser palił z przyjemnością. Białe Miasto robiło spore wrażenie, nawet w obecnym stanie. Max ledwie poskrobał powierzchnię - było tu o wiele więcej skarbów do wywiezienia. Nawet zwyczajny kamienny blok, powiedzmy, z rzeźbą łba jaguara, wart jest ze sto kawałków. Hauser musiał zachować położenie miasta w tajemnicy.

W swoich najlepszych latach Białe Miasto musiało robić oszałamiające wrażenie. Hauser mógł sobie wyobrazić to wszystko: nowe, lśniące świątynie, boiska do gry w piłkę (po zakończonym meczu przegrywających pozbawiano głów), krzyczące tłumy widzów, procesje kapłanów wystrojonych w złoto, pióra i nefryt. I co się z tym stało? Potomkowie tego ludu wegetowali w chatynkach z kory, a ich naczelny kapłan i wódz był obszarpańcem. Zdumiewające, jak przemija potęga i chwała.

Hauser znów wciągnął dym. No cóż, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Nieważne - długie doświadczenie nauczyło go, że w każdej operacji niezbędne jest improwizowanie. Ci, którzy myśleli, że potrafią zaplanować i bezbłędnie zrealizować jakikolwiek plan, zawsze ginęli, bo nie umieli wyjść poza regulamin. Improwizacja stanowiła mocną stronę Hausera. Nieprzewidywalność była według niego nieodłączną cechą istot ludzkich.

Na przykład Philip. Podczas pierwszego spotkania wydał mu się skończonym palantem i pozerem -jeśli wziąć pod uwagę jego drogi garnitur, afektowane zachowanie i imitowany arystokratyczny akcent. Hauser wciąż nie mógł uwierzyć, że taki człowiek zdołał mu uciec. Pewnie zginął w dżungli - był już na ostatnich nogach, gdy się wymknął - ale mimo to Marcus miał powód do niepokoju. I był pod wrażeniem. Może trochę cech Maxa przeszło na jego wymuskanego synalka. Max. Na koniec okazał się zwariowanym popaprańcem.

Przede wszystkim nie wolno zapominać o priorytetach. Po pierwsze, Kodeks, cała reszta spadku w drugiej kolejności. A w trzeciej - samo Białe Miasto. Hauser z zainteresowaniem śledził przez kilka lat plądrowanie Miejsca Q. Białe Miasto zostanie jego Miejscem Q.

Przyjrzał się koniuszkowi cygara, przytrzymując je tak, by smużka dymu wpadała mu w nozdrza. Cygara dobrze zniosły drogę przez dżunglę - można nawet powiedzieć, że stały się jeszcze lepsze.

Teniente podszedł do niego i zasalutował.

- Gotowe, proszę pana.

Hauser wszedł za nim do zrujnowanej świątyni. Żołnierze oczyszczali jej zewnętrzną część, wygarniali odchody zwierząt, wypalali pajęczyny, spryskiwali posadzki, by nie unosił się kurz, zaścielali je naciętymi liśćmi paproci. Hauser pochylił się i wyszedł na wewnętrzny dziedziniec,

minął zwalone posągi i zajrzał do komnaty po drugiej stronie. Pomarszczonego Indianina przykuto do jednej z kamiennych kolumn. Hauser oświetlił go latarką. Stary drań odpowiedział mu spojrzeniem, w którym nie było choćby odrobiny strachu. Marcusowi się to nie spodobało. Przypomniała mu się twarz Ocotala. Ci cholerni Indianie byli tacy sami jak partyzanci Wietkongu.

- Dzięki, *teniente* - powiedział do podoficera.
- Kto będzie tłumaczył? Staruch nie zna hiszpańskiego.
- Postaram się, żeby zrozumiał.

Teniente cofnął się szybko. Marcus popatrzył na Indianina, który znów odpowiedział mu martwym spojrzeniem. Bez wyzwania, gniewu czy strachu - po prostu uważnie.

Hauser przysiadł na rogu kamiennego ołtarza, ostrożnie strząsnął popiół z cygara i przypalił je, bo zdążyło zgasnąć.

- Nazywam się Marcus - powiedział z uśmiechem. Wiedział, że ma do czynienia z trudnym przypadkiem. - Sytuacja wygląda następująco, wodzu: chcę, żebyś powiedział mi, gdzie ty i twoi ludzie pogrzebaliście Maxwella Broadbenta. Jeśli to zrobisz, to nie będzie problemów: wejdziemy tam, zabierzemy, co chcemy, i zostawimy cię w spokoju. Jeśli nie, ciebie i twoich ludzi spotkają duże nieprzyjemności. Sam znajdę grób, a potem i tak go obrabuję - więc jak będzie?

Popatrzył na starca, energicznie pykając z cygara, aż koniec rozżarzył się do czerwoności. Indianin nie zrozumiał ani słowa. Nieważne: nie był idiotą i wiedział, czego chce Hauser.

- Maxwell Broadbent? - powtórzył powoli Marcus, wypowiadając wyraźnie każdą sylabę.

Zrobił uniwersalny gest, wyrażający pytanie - wzruszył ramionami z wystawionymi przed siebie dłońmi do góry rękami. Indianin nie odpowiedział. Hauser wstał i podszedł do niego, wciąż zaciągając się energicznie cygarem, aż na końcu utworzył się długi rozpalony słupek. Zatrzymał się przed starcem, wyjął cygaro z ust i uniósł przed twarzą wodza.

- Co powiesz na cygaro?

44

Philip skończył swoją opowieść. Słońce zaszło dawno temu, ognisko zamieniło się w cynobrowy kopczyk węgielków. Tom miał kłopoty z uwierzeniem, przez co przeszedł jego brat.

- Hauser popełnił zbrodnię - odezwała się pierwsza Sally. Zapadło przygnębiające milczenie. - Musimy coś zrobić.

- Na przykład? - spytał Vernon takim głosem, jakby był zmęczony.

- Dotrzemy do Indian z gór i zaoferujemy naszą pomoc. Wspólnie z nimi będziemy mogli pokonać zabójcę.

- Zabiją nas, zanim zdołamy się odezwać, *curandera*. - Don Alfonso rozpostarł ręce.

- Sama pójdę do wioski, bez broni. Nie zabiją nieuzbrojonej kobiety.

- Owszem, zabiją. Co zresztą możemy począć z jednym karabinem przeciwko zawodowym żołnierzom z bronią automatyczną? Jesteśmy słabi. Głodni. Brak nam nawet ubrania na zmianę dla choćby jednej osoby - i mamy z sobą chorego, który nie może iść.

- Zatem co pan proponuje?

- Już po wszystkim. Musimy wracać.

- Sam pan powiedział, że nie przedostaniemy się przez bagno.

- Wiemy teraz, że zostawili łodzie pod wodospadami Macaturi. Dotrzemy tam i je ukradniemy.

- A potem?

- Ja wrócę do Pito Solo, a wy do siebie.

- I zostawimy Hausera, by ich wszystkich pozabijał?

-Tak.

- Nie mogę się na to zgodzić. - Sally była wściekła. - Trzeba go powstrzymać. Musimy skontaktować się z rządem, niech przyślą wojsko, żeby go aresztowali.

- Rząd nic nie zrobi, *curandera*. - Don Alfonso wyglądał na bardzo znużonego.

- Skąd pan wie?

- Ten człowiek już się dogadał z rządem. Nie możemy nic zrobić, musimy zrozumieć, że jesteśmy bezradni.

- Nie pogodzę się z tym!

Don Alfonso skierował na nią smutne spojrzenie. Uważnie wyskrobał fajkę, wystukał okruchy, napełnił ją ponownie i przypalił patykiem z ogniska.

- Pamiętam, jak wiele lat temu - powiedział - kiedy byłem chłopcem, w naszej wiosce po raz pierwszy pojawił się biały człowiek. Był niski, miał wielki kapelusz i spiczastą bródkę. Myśleliśmy, że to duch. Wyjął przypominające łajno bryłki żółtego metalu i pytał nas, czy widzieliśmy kiedykolwiek podobne. Trzęsły mu się ręce i miał obłęd w oczach. Przestraszyliśmy się i powiedzieliśmy, że nie. Miesiąc później doroczna powódź zniosła do wsi jego łódź; w środku była tylko jego czaszka i włosy. Spaliliśmy ją i udawaliśmy, że nic się nie stało. Rok później z dołu rzeki przypłynął człowiek w czarnej sukni i kapeluszu. Był łaskawy, rozdawał nam jedzenie i krzyże. Kąpał nas wszystkich w rzece i mówił, że nas zbawił. Został u nas kilka miesięcy i sprawił, że jedna z kobiet stała się brzemienna, a potem próbował przeprawić się przez bagna. Nigdy więcej go

nie zobaczyliśmy. Potem pojawili się kolejni ludzie, szukający żółtego gówna, które nazywali *oro*. Byli jeszcze bardziej zwariowani od pierwszego, molestowali nasze córki, ukradli nam łodzie i jedzenie. Popłynęli w górę rzeki. Jeden wrócił, ale odcięto mu język, więc nie wiemy, co go spotkało. Potem przybyli kolejni ludzie z krzyżami; każdy mówił, że krzyże drugiego są na nic, że tylko ich krzyże są dobre, a reszta to śmiecie. Ponownie jedni po drugich kąpali nas w rzece, mówiąc, że ci pierwsi zrobili to źle, potem jeszcze inni robili to znowu, aż byliśmy do szczętu mokrzy i skołowani. Później zjawił się samotny biały człowiek, zamieszkał z nami, nauczył się naszego języka i powiedział, że ci wszyscy z krzyżami to bęcwały. Tłumaczył, że nazywa się antropolog. Spędził rok na grzebaniu w naszych prywatnych sprawach, zadawał nam mnóstwo głupich pytań o rzeczy takie jak seks i kto jest spokrewniony z kim, co się z nami dzieje po śmierci, co jemy i pijemy, jak toczymy wojny, jak gotujemy świnie. Zapisywał wszystko, co powiedzieliśmy. Złośliwi młodzi członkowie plemienia - byłem jednym z nich - opowiadali mu skończone bzdury, a on zapisywał wszystko z poważną miną i mówił, że znajdą się w książce, którą przeczytają wszyscy w Ameryce, i dzięki temu zostaniemy sławni. Uznaliśmy, że to bardzo śmieszne. Potem rzeką przypłynęli ludzie z żołnierzami, mieli karabiny i papiery. Podpisaliśmy wszystkie papiery i wtedy powiedzieli, że zgodziliśmy się mieć nowego wodza i oddać całą ziemię, wszystkie zwierzęta, drzewa, minerały i olej spod ziemi. Też uznaliśmy, że to bardzo śmieszne. Dali nam obraz naszego nowego wodza. Był bardzo paskudny, miał twarz dziobatą jak ananas. Kiedy nasz prawdziwy wódz zaprotestował, wyprowadzili go do lasu i zastrzelili. Potem przybyli żołnierze i ludzie z aktówkami. Powiedzieli, że była rewolucja i mamy nowego wodza, a starego rozstrzelano. Kazali nam stawiać znaczki na kolejnych papierach. Potem przybywali następni misjonarze z lekarstwami, budowali szkoły i starali się łapać chłopaków, aby ich posyłać na naukę, ale nic im z tego nie wychodziło. W tamtych czasach mieliśmy bardzo mądrego wodza, don Całego, mojego dziadka. Pewnego dnia zwołał wszystkich. Powiedział, że musimy zrozumieć tych nowych ludzi, którzy postępują jak wariaci, ale są chytrzy jak demony. Musieliśmy dowiedzieć się, kim naprawdę są tamci. Poprosił o ochotników spomiędzy chłopców. Zgłosiłem się. Następnym razem, gdy pojawili się misjonarze, dałem się złapać i zostałem zabrany do szkoły z internatem w La Ceiba. Obcięli mi włosy, wsadzili mnie w drapiące ubranie i buty, od których piekły mnie nogi. Bili mnie, kiedy mówiłem w języku Tawahka. Zostałem tam trzy lata i nauczyłem się mówić po hiszpańsku i angielsku. Oglądałem na własne oczy, jacy są biali ludzie. Takie właśnie miałem zadanie - obserwować. W końcu wróciłem i opowiedziałem mojemu ludowi, czego się dowiedziałem. „To straszne, co możemy zrobić?" - pytali. A ja odrzekłem: „Zostawcie to mnie, stawimy im opór, zgadzając się

z nimi". Po tym wszystkim wiedziałem, co mówić obcym, którzy przybywali do naszej wioski z aktówkami i żołnierzami. Dowiedziałem się, jak czytać papiery. Wiedziałem, kiedy je podpisywać, a kiedy gubić i udawać głupka. Wiedziałem, co mówić ludziom od Jezusa, żeby dostać lekarstwa, jedzenie i ubrania. Za każdym razem, kiedy przywozili zdjęcie nowego wodza i kazali mi wyrzucić fotografię starego, dziękowałem i wieszałem nowe zdjęcie w mojej chacie wśród kwiatów. W ten właśnie sposób zostałem wójtem Pito Solo. Sama widzisz, *curandera,* że rozumiem, jak toczą się sprawy. W żaden sposób nie możemy pomóc Indianom z gór. Jeśli spróbujemy, to tylko daremnie stracimy życie.

- Ja osobiście nie umiem tak tego zostawić - oświadczyła Sally.

- *Curandera,* jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką spotkałem. - Starzec położył rękę na jej dłoni.

- Niech pan nie zaczyna od nowa, Don Alfonso.

- Jesteś nawet odważniejsza od większości mężczyzn, jakich spotkałem. Nie lekceważ górskich Indian. Nie chciałbym być jednym z tych żołnierzy, którzy trafią w ich ręce - żeby moim ostatnim widokiem na ziemi była moja męskość, smażąca się nad ogniskiem.

Nikt nie odzywał się przez kilka minut. Tom poczuł się bardzo, bardzo wyczerpany.

- Nasza wina, Don Alfonso, że to się dzieje. A raczej naszego ojca. Jesteśmy odpowiedzialni.

- Tomas, twoja wina, jego czy też moja - to nic nie znaczy. Nic nie możemy zrobić. Jesteśmy bezradni.

- Mam dość tej wariackiej wyprawy. - Philip pokiwał głową na znak zgody. - Nie zbawimy świata.

- Zgadzam się - dodał Vernon.

Tom widział, że wszyscy patrzą na niego. Okazało się, że to jakby głosowanie i wszyscy czekają na jego opinię. Czuł, że Sally przygląda mu się z pewnym zaciekawieniem. Nie wiedział, w jaki sposób mógłby zrezygnować. Zaszedł za daleko.

- Nigdy nie pogodziłbym się sam ze sobą, gdybym wrócił. Jestem z Sally.

Stosunek głosów wynosił jednak mimo wszystko trzy do dwóch.

Jeszcze przed wschodem słońca Don Alfonso wstał i zaczął zwijać obóz. Zwykle spokojny i nieprzenikniony Indianin był bezgranicznie przerażony.

- Zeszłej nocy niecały kilometr od naszego obozu był Indianin z gór. Widziałem jego ślady. Sam nie boję się śmierci, ale jestem już winien śmierci Pinga i Choriego. Nie chcę mieć więcej krwi na sumieniu.

Tom przyglądał się ponuro, jak Don Alfonso składa na stertę ich skromny dobytek. Było po wszystkim. Ten łotr wygrał.

- Dokądkolwiek Hauser zabierze Kodeks, cokolwiek zrobi, będę go tropiła - oznajmiła Sally. - Nigdy mi się nie wymknie. Może wracamy do cywilizacji, ale jeszcze się do niego dobiorę. To bynajmniej nie koniec.

Infekcja nadal trawiła stopy Philipa, przez co nie mógł chodzić. Don Alfonso przystosował hamak, tak że można go było dźwigać na ramionach jak nosze na dwóch krótkich tyczkach. Pakowanie nie zabrało wiele czasu. Gdy nadeszła pora wymarszu, Tom i Vernon ponieśli brata. Ruszyli gęsiego przez wąski prześwit wśród roślinności. Sally na przedzie wymachiwała maczetą, Don Alfonso zamykał pochód.

- Przepraszam, że tyle ze mną kłopotów - odezwał się Philip, wyjmując fajkę.

- Cholernie dużo - zgodził się Vernon.

- Pozwól, że będę się bił w piersi ze skruchy.

Tom im się przysłuchiwał. Zawsze tak było - tamci dwaj na poły się kłócili, na poły żartowali z siebie. Czasami kończyło się to przyjaźnie, czasami nie. Tom na swój sposób był zadowolony, że Philip zaczyna drażnić Vernona.

- Jejku, mam nadzieję, że się nie potknę i nie wywalę cię w błoto - powiedział Vernon.

Don Alfonso przeszedł wzdłuż nich, sprawdzając ich plecaki.

- Musimy zachowywać się najciszej jak można - oświadczył. - Przestań palić, Philipie. Indianie to wyczują.

Philip zaklął i schował fajkę.

Zaczęło padać. Dźwiganie brata okazało się o wiele trudniejsze, niż Tom się spodziewał. Wciąganie go w górę śliskich ścieżek okazało się prawie niemożliwe; dźwiganie po rozchybotanych drzewach, przerzuconych przez grzmiące rzeki, stanowiło seanse grozy. Don Alfonso rozglądał się czujnie i przestrzegał zachowywania ścisłej ciszy; zabronił nawet posługiwania się maczetą. Skrajnie wyczerpani rozbili tego popołudnia obóz na jedynym płaskim kawałku terenu, jaki mogli znaleźć - i tak w kałużach błota. Deszcz lał jak z cebra, woda wlewała się do wątłego, postawionego przez Vernona szałasu, wszystko zalewało błoto. Tom i Sally poszli na polowanie. Przez dwie godziny taplali się w lesie i niczego nie znaleźli. Don Alfonso zakazał rozpalenia ognia, by nikt nie wyczuł jego zapachu. Na kolację zjedli tym razem surowy korzeń, smakujący jak tektura, oraz parę zgniłych, pełnych białych robaczków owoców.

Deszcz lał nadal, zamieniając strużki w rwące potoki. Przez dziesięć godzin morderczego wysiłku pokonali około pięciu kilometrów. Drugiego i trzeciego dnia było to samo. Nie mogli wyruszyć na łowy, a Don Alfonsowi nie udało się nałowić ryb. Pożywieniem wędrowców stały się korzenie i robaczywe owoce, których sporadycznie nazbierał staruszek. Przez trzy dni zdołali pokonać piętnaście kilometrów. I tak już zagło-

dzony Philip szybko opadał z sił; jego twarz na powrót zrobiła się zapadnięta. Nie mogąc palić, większość dnia wpatrywał się w sklepienie dżungli i odpowiadał monosylabami, gdy go o coś pytano. Dwaj pozostali bracia szybciej słabli wskutek dźwigania hamaka i musieli częściej robić odpoczynki. Don Alfonso wydawał się zapadać w sobie; kości mu straszliwie sterczały, skóra stała się luźna i pomarszczona. Tom zapominał, jak to jest mieć suche ubranie.

Piątego dnia około południa Don Alfonso nakazał się zatrzymać. Podniósł coś ze ścieżki - pióro, obwiązane kawałkiem plecionego sznurka.

- Indianie z gór - szepnął drżącym głosem. - Pióro jest świeże. - Odpowiedziało mu milczenie. - Musimy zejść ze ścieżki.

Posuwanie się ścieżką i tak było trudne. Zejście z niej sprawiło, że dalszy marsz stał się prawie niemożliwy. Przeciskali się przez ścianę paproci i lian tak gęstą, iż wydawała się wręcz odpychać ich z powrotem. Przepełzali górą i dołem przez zwalone pnie, brnęli przez trzęsawiska, sięgające im miejscami do pasa. W roślinności kryły się niezliczone zastępy mrówek i kąsających owadów, które sprowokowane i rozdrażnione sypały się im za kołnierze, pełzały we włosach i gryzły, gryzły, gryzły. Philip cierpiał najbardziej, gdy przeciągano go w hamaku przez gęste poszycie. Don Alfonso upierał się jednak, że nie mogą wrócić na ścieżkę.

Było to prawdziwe piekło. Deszcz nie ustawał ani na chwilę. Na zmianę wyrąbywali po kilkaset metrów drogę przez gęste poszycie, potem parami nieśli Philipa. Następnie zatrzymywali się i znowu wycinali kilkaset metrów drogi. W ten sposób przez dwa kolejne dni posuwali się z szybkością dwustu metrów na godzinę. Ulewa nie ustawała ani na moment; brnęli po kolana w błocie, czasem wdrapywali się pod górę - ślizgali się, padali i osuwali z powrotem. Tom pourywał sobie większość guzików od koszuli i podarł buty tak paskudnie, że kilka razy pokaleczył się ostrymi kołkami. Reszta wędrowców była podobnie obszarpana. W lesie nie mogli znaleźć żadnej zwierzyny. Dnie zlewały się w jedną ciągłą mordęgę, w nieustające brnięcie przez pogrążony w mroku gąszcz z owadami żądlącymi i tnącymi tak bezustannie, że ich skóry nabrały faktury konopnego worka. Pod koniec musieli Philipa nieść już we czworo; czasami nawet odpoczywali godzinę, by przenieść go kolejnych kilkanaście metrów.

Tom zaczął gubić się w czasie. Uświadamiał sobie, że niedługo nadejdzie koniec - chwila, gdy nie będą w stanie iść dalej. Czuł się dziwnie, kręciło mu się w głowie, a jednocześnie wydawała mu się niesamowicie lekka. Dni i noce stapiały się ze sobą. Gdy padał w błoto, Sally go podnosiła, a pół godziny później wyświadczał jej tę samą przysługę.

Dotarli wreszcie na otwartą przestrzeń po zwalonym wielkim drzewie, dzięki czemu powstał prześwit w powale dżungli. Przynajmniej tu-

taj grunt był względnie równy. Olbrzymie drzewo padło tak, że mogli się schować pod jego gigantycznym pniem.

Tom ledwie mógł iść. Za milczącą wspólną zgodą wszyscy się zatrzymali, by tu rozłożyć obóz. Tom czuł się tak osłabiony, iż zadawał sobie pytanie, czy jeśli się położy, zdoła się w ogóle podnieść. Resztką sił naciął grubszych palików, oparł je o pień i narzucił na nie strzechę z paproci. Było około południa. Wpełzli do prowizorycznego szałasu i ułożyli się wprost na ziemi, w pięciocentymetrowej warstwie błota. Później Sally i Tom znów spróbowali zapolować, ale wrócili z pustymi rękami długo przed zmrokiem. Skulili się pod pniem, czekając na nadejście ciemności.

W gasnącym świetle Tom przyjrzał się Philipowi. Jego brat był w rozpaczliwym stanie. Gorączka sprawiła, że tracił kontakt z rzeczywistością. Miał wielkie doły w policzkach i ciemne kręgi pod oczyma; jego ręce przypominały patyki ze zgrubieniami - łokciami. Część tak starannie podleczonych infekcji odnowiła się, w ranach wiły się świeże larwy. Tom czuł, że ściska mu się serce. Philip umierał.

Czuł też, że żadne z nich nie opuści tej żałosnej polany.

Ogarnęła ich tępa apatia wycieńczenia. Tom leżał przez większość nocy, nie mogąc zasnąć. Deszcz ustał przed świtem i rano słońce wzniosło się nad korony drzew. Po raz pierwszy od paru tygodni pojawiło się niebieskie, niczym nieskażone niebo. Pasma blasku sączyły się przez prześwity w górze. Snopy światła padały na stada owadów w powietrzu, zamieniając je w galaktyki rozmigotanych punkcików. Z olbrzymiego pnia wzbijała się para.

Jak na ironię przerwa w roślinności dawała wspaniały widok na Sierra Azul. Tydzień zmierzali w przeciwnym kierunku, ale góry wydawały się jeszcze bliższe niż wcześniej - błękitne jak cięte szafiry szczyty wznosiły się nad porozrywanymi obłokami. Tom nie czuł nawet głodu. Tak właśnie wygląda wycieńczenie, pomyślał.

Poczuł dłoń na ramieniu. Była to Sally.

- Chodź prędko - powiedziała poważnym głosem. Tom poczuł nagły lęk.

- To Philip?

- Nie. Don Alfonso.

Tom wstał i poszedł za nią pod wielkim pniem do miejsca, gdzie Don Alfonso rozłożył swój hamak bezpośrednio na wilgotnej ziemi. Starzec leżał na boku i wpatrywał się w Sierra Azul. Tom przyklęknął i ujął jego pomarszczoną dłoń. Była rozpalona.

- Przepraszam, Tomasito, ale bezużyteczny ze mnie staruch. Jestem tak niepotrzebny, że umieram.

- Nie mów tak, Don Alfonso.

Wstrząśnięty Tom przyłożył mu rękę do czoła i poczuł dreszcz - starzec miał bardzo wysoką gorączkę.

- Śmierć przybyła po mnie, a nikt nie może jej powiedzieć: „Wróć za tydzień, jestem za bardzo zajęty".

- Śnił się panu znowu zeszłej nocy święty Piotr czy coś w tym rodzaju? - spytała Sally.

- Nie trzeba, żeby śnił się święty Piotr, by wiedzieć, kiedy nadchodzi koniec.

- Masz pojęcie, co mu jest? - Sally obejrzała się na Toma.

- Bez testów diagnostycznych, analizy krwi, mikroskopu... - Zaklął i wstał, czując przypływ osłabienia.

Już po nas, pomyślał i poczuł z tego powodu nieokreślony gniew. Było to niesprawiedliwe.

Wyrzucił bezużyteczne myśli z głowy i sprawdził, co z Philipem. Podobnie jak Don Alfonso miał wysoką gorączkę i Tom nie wiedział, czy jego brat w ogóle się obudzi. Vernon rozpalił ogień mimo szeptanych przez Don Alfonsa próśb, by tego nie robić. Sally zaparzyła leczniczą herbatę. Twarz starca zapadła się i skurczyła; skóra straciła kolor i nabrała woskowatego odcienia.

- Napiję się tej herbaty - powiedział - ale nawet twoje lekarstwa mnie nie uratują.

Sally uklękła.

- Wmówił pan sobie, że umrze, Don Alfonso. Proszę teraz powiedzieć sobie, że tak nie będzie.

- Nie. - Ujął ją za rękę. - Mój czas nadszedł, *curandera*.

- Nie może pan tego wiedzieć.

- Moja śmierć została przepowiedziana.

- Nie chcę więcej słyszeć takich nonsensów. Nie można przewidzieć przyszłości.

- Kiedy byłem małym chłopcem, miałem paskudną gorączkę i matka zabrała mnie do - wiedźmy. *Bruja* przepowiedziała jej, że nie umrę wtedy, ale daleko od domu, pomiędzy obcymi ludźmi, w miejscu z widokiem na niebieskie góry. - Uniósł wzrok na Sierra Azul, błękitniejące w przerwie w zaroślach.

- Mogła mówić o jakichś innych niebieskich górach.

- Mówiła właśnie o tych, *curandera* - o górach niebieskich jak sam ocean.

- Don Alfonso, niech pan nie wygaduje bzdur.

Sally mrugnęła, by powstrzymać łzy. Don Alfonso uśmiechnął się do niej.

- To wspaniałe, gdy piękna kobieta płacze przy łożu śmierci starego człowieka.

- To nie łoże śmierci, a ja nie płaczę.

- Nie martw się, *curandera*. To dla mnie żadne zaskoczenie. Wyruszyłem w tę podróż, wiedząc, że to już ostatnia. W Pito Solo byłem bez-

użytecznym starcem. Nie chciałem umrzeć w swojej chacie jako słaby, głupi staruch. Ja, Don Alfonso Boswas, pragnąłem umrzeć jak mężczyzna. - Urwał, zaczerpnął tchu i zadrżał. - Nie myślałem tylko, że umrę pod przegniłą kłodą w śmierdzącym błocie i zostawię was samych.

- To nie umieraj. Kochamy cię, Don Alfonso. Do diabła z brują.

- *Bruja* myliła się tylko w jednym, *curandera.* - Don Alfonso ujął Sally za rękę. - Mówiła, że umrę wśród obcych. Nieprawda - umieram wśród przyjaciół.

Zamknął oczy, mruknął coś i skonał.

45

Sally się rozpłakała. Tom wstał i odwrócił głowę, czując, jak jego nieracjonalny gniew rośnie. Odszedł kawałek w las. Usiadł tam na pniu na cichej polance, zaciskając i rozwierając pięści. Starzec nie miał prawa ich porzucać. Wydał się na pastwę swoich przesądów i wmówił w siebie, że umiera - tylko dlatego, że zobaczył jakieś niebieskie góry.

Tom przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył Don Alfonsa, siedzącego na taborecie w swojej chacie, wymachującego maczetą i żartującego. Wydawało się, że było to całe życie temu.

Wykopali grób w błotnistym gruncie; była to powolna, wyczerpująca robota. Kiedy będę robił to samo dla Philipa - jutro? - zadawał sobie pytanie Tom. Skończyli kopać około południa, zawinęli ciało Don Alfonsa w jego hamak, stoczyli je w wypełniający się wodą dół i rzucili na nie trochę wilgotnych kwiatów. Zasypali grób błotnistą ziemią. Tom sporządził prymitywny krzyż z przewiązanych pnączami patyków i wetknął go w głowach grobu. Stali przez jakiś czas w niezręcznym milczeniu.

- Chciałbym powiedzieć kilka słów - odezwał się wreszcie Vernon.

Stał przez moment, chwiejąc się lekko. Ubranie zwisało na nim, miał splątane włosy i brodę. Wyglądał jak żebrak.

- Don Alfonso... - urwał i zakaszlał. - Jeśli jesteś jeszcze gdzieś w pobliżu, to zanim podążysz do bram raju, zostań jeszcze trochę i pomóż nam, dobrze, staruszku? Jesteśmy w fatalnym położeniu.

- Amen - dokończyła Sally.

Zaczęły się zbierać ciemne chmury, kończące krótką słoneczną przerwę. Rozległ się grzmot, pojedyncze krople zabębniły o listowie drzew.

- Pójdę jeszcze raz zapolować - powiedziała Sally do Toma.

Skinął głową. Wyjął żyłkę wędkarską, postanawiając spróbować szczęścia w rzece, którą pokonali półtora kilometra stąd. Vernon został doglądać Philipa.

Wrócili wczesnym popołudniem. Sally nic nie upolowała; Tom złapał jedną rybę, ważącą najwyżej dwadzieścia dekagramów. Przez ten czas u Philipa nasiliła się gorączka i zaczął majaczyć. Miał otwarte, błyszczące oczy, bez przerwy kręcił głową i mamrotał oderwane zdania. Tom był już teraz pewny, że jego brat umiera. Kiedy próbowali napoić go sporządzoną przez Sally herbatą, zaczął nieskładnie krzyczeć i wytrącił im kubek. Ugotowali rybę w garnku z dodatkiem korzeni manioku i nakarmili Philipa - w końcu się na to zgodził po kolejnych krzykach i szarpaninie. Resztę zjedli sami. Potem zaszyli się pod drzewem, dopóki lał deszcz, czekając na zapadnięcie ciemności.

Tom obudził się pierwszy przed świtem. Gorączka Philipa wzrosła jeszcze w ciągu nocy. Rzucał się i mamrotał, szarpał bez celu palcami za kołnierz; twarz miał zapadniętą i wychudzoną. Tom był w rozpaczy - nie miał dostępu do leków ani do aparatury diagnostycznej, nie miał nawet najzwyklejszej apteczki. Lekarstwa Sally były nieskuteczne wobec trawiącej jego brata gorączki.

Vernon rozpalił ognisko i siedzieli przygnębieni w milczeniu. Ciemne paprocie tłoczyły się wokół nich jak groźny tłum, kołysząc zawiązkami na deszczu i rzucając zielony mrok na ich ukrycie.

- Musimy tu zostać, dopóki Philip nie dojdzie do siebie - powiedział wreszcie Tom. Sally i Vernon skinęli potakująco głowami, chociaż wiedzieli, że Philip nie wyzdrowieje. - Musimy dołożyć wszelkich starań, żeby upolować jakąś zwierzynę i nałowić ryb oraz nazbierać jadalnych roślin. Wykorzystamy ten czas, żeby odzyskać siły i przygotować się na długą drogę z powrotem. Pozostali znów pokiwali głowami. - No dobrze - powiedział Tom i wstał. - Zabierajmy się do pracy. Sally pójdzie na polowanie. Ja zajmę się żyłką i haczykami. Vernon, zostań tutaj i pilnuj Philipa. - Popatrzył po nich. - Nie poddawać się.

Vernon i Sally podnieśli się chwiejnie na nogi; Tom z zadowoleniem dostrzegł, że zdołał wlać w nich trochę energii. Zabrał żyłkę i ruszył przez dżunglę. Skierował się dokładnie w przeciwną stronę niż Sierra Azul i znaczył sobie drogę, wydzierając haczykami kawałki liści paproci. Wypatrywał też jadalnych roślin. Deszcz ciągle padał równo. Dwie godziny później Tom dotarł wyczerpany do małej, błotnistej kaskady, złapawszy po drodze jaszczurkę na przynętę. Wsadził szarpiące się zwierzątko na haczyk i wrzucił je w skłębiony nurt.

Pięć godzin później dał sobie spokój, by zdążyć wrócić do obozu przed zapadnięciem ciemności. Stracił trzy z sześciu haczyków oraz spory kawałek żyłki, a mimo to nic nie złapał. Przed zmrokiem wrócił na polanę i zobaczył, że Vernon dorzuca drewna do ogniska. Sally jeszcze nie było.

- Jak Philip?

- Niedobrze.

Tom przyjrzał się bratu. Philip rzucał się niespokojnie, jakby mu się coś śniło; co pewien czas wypowiadał oderwane zdania, może z kimś dyskutował. Wygląd jego ust i rysów przestraszył Toma; przypominało to ostatnie chwile Don Alfonsa. Wydawało się, że Philip prowadzi jednostronną rozmowę z ojcem - bezładny ciąg zarzutów i żalów. W jego monologu pojawiło się imię jego samego, Vernona i matki Philipa, której zresztą nie widział od dwudziestu lat. Później Philipowi wydawało się, że ma urodziny i jeszcze jest dzieckiem. Myślał, że ma pięć lat i otwiera prezenty, krzycząc z radości.

Tom odszedł, przeniknięty bólem i smutkiem. Usiadł obok Vernona przy ognisku. Brat objął go ramieniem.

- Cały dzień jest w takim stanie.

Podał mu kubek herbaty. Tom wziął go i wypił. Jego własna ręka wyglądała jak dłoń starca, pokrywały ją odciski i plamy. Czuł pustkę w brzuchu, jednak nie był głodny.

- Sally jeszcze nie wróciła?

- Nie, ale słyszałem kilka strzałów.

Niczym na dany znak rozległ się szelest liści i pojawiła się Sally. Nic nie powiedziała, tylko odrzuciła karabin i usiadła przy ognisku.

- Nie miałaś szczęścia?

- Ustrzeliłam parę pni.

Tom uśmiechnął się i ujął ją za rękę.

- Żaden pień w lesie nie będzie bezpieczny, dopóki wielka łowczyni Sally tropi swoją ofiarę.

- Przepraszam. - Wytarła błoto z twarzy.

- Jeśli jutro wyjdę wcześnie, to może zdołam dotrzeć do rzeki, gdzie znaleźliśmy Philipa - powiedział Tom. - Nie będzie mnie przez noc, ale to duża rzeka i pewnie nałapię tam mnóstwo ryb.

- Wspaniały pomysł, Tom - powiedział Vernon, siląc się na optymistyczny ton.

- Nie poddamy się.

- Nie - rzekła Sally.

- Ciekawe, co powiedziałby ojciec, gdyby nas teraz widział. - Vernon pokręcił głową.

Tom nie miał już sił na rozmyślanie o Maxwellu Broadbencie. Gdyby wiedział, co narobił - że wysłał wszystkich trzech swoich synów na śmierć... Zawiedli go za życia, a teraz zawiodą, umierając. Tom popatrzył jeszcze przez chwilę w ogień, po czym zapytał:

- Złościsz się na ojca?

- Tak - odrzekł Vernon po chwili wahania.

Tom bezradnie machnął ręką.

- Myślisz, że zdołamy mu wybaczyć?

- Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Tom obudził się przed świtem, czując dziwny ucisk w głowie. Było jeszcze ciemno i wciąż padało. Szmer deszczu zdawał się wciskać mu pod czaszkę. Odwrócił się, poprawił na wilgotnej ziemi i ucisk zamienił się w ból. Tom przerzucił stopy na drugą stronę i usiadł - by po chwili przekonać się z niezmiernym zdumieniem, że trudno mu utrzymać równowagę. Osunął się z zawrotem głowy z powrotem na ziemię, wpatrując się w ciemność, która wydawała mu się pełna czerwonych i brązowych plam oraz szemrzących głosów. Usłyszał obok siebie ciche mamrotanie zmartwionego Wałkonia. Rozejrzał się i wreszcie wypatrzył w mroku małpkę, siedzącą na ziemi obok niego i nerwowo wciągającą powietrze przez zęby. Domyśliła się, że coś się stało.

Był to nie tylko rezultat głodu. Tom uświadomił sobie, że zachorował. Och, Boże, jęknął w duchu, nie teraz. Odwrócił głowę i spróbował wypatrzyć w wirującej ciemności Sally lub Vernona, ale niczego nie widział. Nozdrza przepełniała mu dusząca woń gnijącej roślinności, deszczu i szlamu. Odgłos bębniącego dookoła o liście deszczu wwiercał mu się pod czaszkę. Czuł, że znowu zapada w sen. Gdy ponownie otworzył oczy, zobaczył nad sobą pochylającą się z latarką Sally.

- Idę dzisiaj na ryby - powiedział.

- Nigdzie nie idziesz - odparła. Sięgnęła dłonią do jego czoła i nie zdołała ukryć wyrazu przerażenia, który pojawił się na jej twarzy. - Przyniosę ci trochę herbaty.

Wróciła z parującym kubkiem i pomogła Tomowi wypić trochę płynu.

- Śpij - powiedziała.

Tom zasnął.

Kiedy się obudził, było jaśniej, ale wciąż padało. Sally siedziała koło niego w kucki. Kiedy zobaczyła, że otworzył oczy, spróbowała się uśmiechnąć. Mimo żaru i zaduchu pod pniem Tom zadygotał.

- Philip? - zdołał zapytać.

- Bez zmian.

- Vernon?

- Też się rozchorował.

- Cholera. - Popatrzył na Sally i przeszył go dreszcz strachu. - A ty? Jak się czujesz? - Wyglądała na zaczerwienioną. - Chyba ty nie zachorujesz?

- Niestety, ja też. - Przyłożyła mu rękę do policzka.

- Wyzdrowieję - powiedział Tom. - I wtedy się wami zajmę. Wydobędziemy się z tego bagna.

- Nie, Tom, nie uda się nam już. - Pokręciła głową.

Proste stwierdzenie faktu oczyściło mu pulsującą bólem głowę. Przymknął oczy. A więc już po wszystkim. Umrą w deszczu pod gnijącym pniem i rozszarpią ich dzikie zwierzęta. I nikt się nie dowie, co się z nimi stało. Próbował wmówić sobie, że to podszept gorączki, że w rzeczywi-

stości nie będzie tak źle, lecz w głębi duszy wiedział, jak jest naprawdę. Zakręciło mu się w głowie. Umrą. Otworzył oczy.

Sally wciąż trzymała dłoń na jego policzku. Długo mu się przyglądała. Miała brudną, pogryzioną i podrapaną twarz, splątane, matowe włosy i podkrążone oczy. Przypominała dziewczynę, która na oklep przyjechała do niego w Utah, tylko dwoma szczegółami - przenikliwą turkusową barwą oczu i wysuniętą odrobinę dolną wargą.

- Nie mamy wiele czasu - odezwała się wreszcie, urwała i popatrzyła na niego poważnie. - Muszę ci coś powiedzieć, Tom.

-Tak?

- Wygląda na to, że się w tobie zakochałam. - Rzeczywistość nagle wróciła, Tom nie był w stanie nic odpowiedzieć. Sally mówiła dalej: - Tak czy inaczej zdecydowałam się do tego przyznać.

- A co z...

- Julianem? To idealny mężczyzna z marzeń - przystojny, błyskotliwy, który ma właściwe zdanie na każdy temat. Takiego właśnie męża życzyliby sobie wszyscy rodzice dla swoich córek. To moja Sarah. Kto by go nie chciał? Czuję do niego coś zupełnie innego niż do ciebie, z wszystkimi twoimi... - zawahała się - niedoskonałościami?

Swoimi słowami usunęła wszystkie komplikacje, wszystko stało się proste i jasne. Tom próbował coś odpowiedzieć i wreszcie zdołał wykrztusić:

- Ja też cię kocham.

Sally uśmiechnęła się, dzięki czemu wrócił ślad jej wcześniejszej promienności.

- Wiem i cieszę się z tego. Przepraszam, że narzekałam na ciebie. Zaprzeczałam temu, co się ze mną działo.

Przez chwilę milczeli.

- Myślę, że kochałem cię od chwili, kiedy przyjechałaś do mnie na moim własnym koniu, którego ukradłaś, tam, w Utah - powiedział. - Ale naprawdę zrozumiałem to, kiedy nie chciałaś zastrzelić jaguara. Zawsze będę cię za to kochał.

- Ja zrozumiałam, że się w tobie zakochuję, kiedy wyprowadziłeś mnie, żebym zobaczyła ten blask w lesie - odparła Sally.

- Nigdy nic nie powiedziałaś.

- Trochę czasu zabrało mi, żeby się z tym pogodzić. Jak pewnie zauważyłeś, jestem uparta. Nie chciałam przyznać się do pomyłki.

Tom przełknął ślinę. Zaczynało mu wirować w głowie.

- Przecież jestem zwyczajnym facetem. Nie poszedłem na Stanford, kiedy miałem szesnaście lat...

- Zwyczajny? Człowiek, który maczetą walczy z jaguarami i anakondami? Który z odwagą i humorem prowadzi ekspedycję do jądra ciemności?

- Robiłem tylko to, do czego byłem zmuszony.

- To kolejna z twoich dobrych stron -jesteś skromny. Przy tobie zaczęłam widzieć, jaki jest Julian. Nie chciał ze mną pojechać, bo doszedł do wniosku, że byłoby to dlań niewygodne. Zakłóciłoby mu pracę. I myślę, że kryje się pod tym fakt, iż Julian się boi. Zdałam sobie sprawę, że należy do ludzi, którzy nie zaczynają niczego, jeśli nie mają pewności, że im się uda. Ty za to umiesz próbować niemożliwego.

Znów zakręciło mu się w głowie. Starał się opanować - zbyt podobało mu się to, co słyszał. Sally uśmiechnęła się ze smutkiem i położyła mu rękę na piersi.

- Przykro mi, że zabrakło nam czasu.

Położył dłoń na jej ręce.

- Cholerne miejsce, żeby się zakochać.

- Nie żartuj.

- Może w innym wcieleniu... - Walczył, by nie utracić kontaktu z rzeczywistością. - Będziemy mieli kolejną szansę, gdzieś, jakoś...

Myśli zaczęły mu się plątać. Co takiego chciał powiedzieć? Zamknął oczy, starając się opanować zawroty głowy, niestety, zrobiło mu się jeszcze gorzej. Próbował rozchylić powieki, ale zobaczył jedynie wirujące zielone i brązowe kręgi. Przez chwilę zastanowił się, czy to wszystko nie jest tylko snem: rak ojca, wyprawa, dżungla, Sally, umierający brat. Tak, zdał sobie sprawę, to rzeczywiście sen, długi i dziwny, a on obudzi się w swoim łóżku znów jako mały chłopiec i ojciec będzie wołał z góry: „Dzień dobry! Pobudka, wstać!".

Myśląc tak, szczęśliwy zapadł w niepamięć.

46

Marcus Hauser siedział na obozowym stołku w drzwiach zrujnowanej świątyni i napawał się porankiem. Na pobliskim drzewie podskakiwał i skrzeczał tukan, wymachując wielgachnym dziobem. Dzień był wspaniały, niebo matowoniebieskie, dżungla zielona i pogrążona w ciszy. W górach było chłodniej i bardziej sucho; powietrze wydawało się świeższe. Hauser czuł, że wraca mu coś na kształt spokoju. Miał za sobą długą noc; czuł się wyczerpany, pusty i zawiedziony.

Usłyszał szelest roztrącanych stopami opadłych liści. Jeden z żołnierzy przyniósł mu śniadanie - jajka, boczek, kawę, świeże banany, wszystko przybrane ziołami na boku - na emaliowanym talerzu. Hauser wziął talerz na kolana. Przybranie denerwowało go, więc zrzucił je na ziemię i zaczął jeść widelcem, wciąż rozmyślając o wydarzeniach minionej nocy. Gdy nadszedł czas, aby postawić sprawę z wodzem na

ostrzu noża lub przyznać się do porażki, po niecałych dziesięciu minutach Hauser zorientował się, że starzec nie pęknie. Mimo to Hauser zrobił, co zamierzał. Miał wrażenie, jakby oglądał pornograficzny film - którego nie chce się wyłączyć, a potem klnie się na stratę czasu i energii. Starał się, zrobił, co w jego mocy. Teraz jednak musiał się zastanowić nad innym rozwiązaniem problemu.

Dwaj żołnierze pojawili się w drzwiach, dźwigając ciało.

- Co mamy z nim zrobić, *jefe*

Hauser, z ustami pełnymi jajecznicy, machnął widelcem.

- Do wąwozu.

Gdy wyszli, dokończył śniadanie. Białe Miasto było wielkie i zarośnięte. Max mógł kazać pogrzebać się gdziekolwiek. Problem polegał na tym, że w wiosce zapanowało takie wzburzenie, iż nie sposób było porwać kolejnego zakładnika, by zmusić go do wskazania grobowca. Z drugiej strony Hauser nie miał ochoty przez kolejne dwa tygodnie babrać się w zaszczurzonych ruinach.

Skończył jeść, poszukał po kieszeniach i wyjął cienką metalową rurkę. Po minucie skończył rytuał przypalania cygara. Zaciągnął się głęboko, czując uspokajający efekt przenikającej z płuc do krwiobiegu nikotyny. Wszystkie problemy można było rozłożyć na warianty i podwarianty. Istniały dwa: znajdzie grobowiec sam albo pozwoli zrobić to za siebie komuś innemu. A jeśli ma to zrobić ktoś inny, to kto powinien być tym człowiekiem?

- *Teniente?* - Czekający na zewnątrz na poranne rozkazy porucznik wszedł i zasalutował. - *Si señor?*

- Chcę, żebyś wysłał dwóch ludzi z powrotem. Mają sprawdzić, co się dzieje z braćmi Broadbentami.

- Rozkaz.

- Nie nękajcie ich ani niczym nie zdradźcie swojej obecności. Chcę wiedzieć, w jakim są stanie, czy nadal zmierzają w tę stronę czy zawrócili - wszystko, czego zdołacie się dowiedzieć.

- Rozkaz.

- Dzisiaj rano zabierzemy się do piramidy. Wysadzimy z tej strony mur dynamitem i dotrzemy najgłębiej, jak się da. Zajmij się przygotowaniem ludzi i materiałów wybuchowych; za godzinę wszystko ma być gotowe.

Odstawił talerz na ziemię, wstał i przerzucił przez ramię steyra. Wyszedł na słońce i popatrzył na piramidę, obmyślając, gdzie rozmieścić ładunki wybuchowe. Czy znajdą Maxa w piramidzie czy nie, przynajmniej żołnierze będą mieli zajęcie - i rozrywkę. Każdy lubi wielkie bum.

Słońce. Po raz pierwszy od dwóch tygodni. Będzie miło dla odmiany pracować przy pięknej pogodzie.

41

Śmierć przyszła po Toma Broadbenta, ale nie była ubrana w czerń i z kosą. Pojawiła się w postaci istoty o straszliwym, dzikim obliczu w czerwone i żółte pasy, z zielonymi piórami u ramion, z zielonymi oczami i czarnymi włosami oraz spiczastymi białymi zębami. Zjawa wpatrywała się w niego i szturchała go palcami. Jednak zgon, którego oczekiwał Tom, nie nastąpił. Zamiast tego przerażająca postać wlała mu do gardła trochę gorącej cieczy i po jakimś czasie powtórzyła tę czynność. Tom początkowo szarpał się słabo, ale w końcu pogodził się ze wszystkim i zapadł w sen.

Obudził się z wyschniętym gardłem i pulsującym bólem głowy. Okazało się, że jest w chacie ze strzechą i leży w suchym hamaku. Miał na sobie świeże szorty i koszulę z krótkimi rękawami. Na zewnątrz świeciło słońce, dżungla bulgotała odgłosami zwierzęcego życia. Przez długą chwilę Tom nie mógł sobie nawet przypomnieć, kim jest i co tu robi. Potem wszystko wróciło po kawałku: zniknięcie ojca, jego osobliwy testament, podróż w górę rzeki, żarty i powiedzenia Don Alfonsa, mała polana z widokiem na Sierra Azul, umieranie pod pniem w deszczu.

Wydawało się, że to wszystko było dawno temu. Czuł się odświeżony i odrodzony, chociaż słaby jak niemowlę.

Ostrożnie uniósł głowę o tyle, o ile pozwalał łupiący w niej ból. Hamak obok był pusty. Poczuł, że ścisnęło mu się serce. Kto w nim leżał? Sally? Vernon? Kto umarł?

- Halo? - zapytał słabym głosem, próbując usiąść. - Jest tu kto?

Usłyszał dźwięki na zewnątrz i po chwili do środka weszła Sally, unosząc kawałek materiału zawieszony w wejściu. Tom miał wrażenie, jakby cała chata zajaśniała nagle złotem.

- Tom! Tak się cieszę, że czujesz się lepiej.

- Och, Sally, zobaczyłem pusty hamak i pomyślałem...

Podeszła bliżej i wzięła go za rękę.

- Nadal jesteśmy tu wszyscy.

- Philip?

- Jeszcze choruje, ale już mu o wiele lepiej. Vernon powinien poczuć się lepiej jutro.

- Co się stało? Gdzie jesteśmy?

- Wciąż w tym samym miejscu. Możesz podziękować Borabayowi, kiedy wróci. Wyprawił się na polowanie.

- Borabay?

- Indianin z gór. Znalazł nas i uratował. Pielęgnował nas wszystkich, żebyśmy doszli do zdrowia.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Jak długo chorowałem?

- Wszyscy chorowaliśmy około tygodnia. Mieliśmy gorączkę, którą on nazywa *bisi*. To *curandero*. Nie taki jak ja, tylko prawdziwy *curandero*. Karmił nas, dawał nam lekarstwa i uratował życie. Mówi nawet śmieszną odmianą angielskiego. - Tom spróbował usiąść. - Jeszcze nie. - Powstrzymała go Sally. - Napij się trochę tego.

Podała mu kubek ze słodkim napojem. Wypił go i poczuł gwałtowny głód.

- Czuję, że gotuje się coś naprawdę wspaniałego.

- Zupa z żółwia *d la* Borabay. Przyniosę ci trochę.

Przyłożyła mu dłoń do policzka. Popatrzył na nią, przypomniawszy już sobie wszystko. Sally pochyliła się i pocałowała go.

- Wciąż czeka nas długa droga, nim będziemy to mieli za sobą.

-Tak.

- Na razie róbmy po jednym kroku.

Pokiwał głową. Sally przyniosła mu zupę żółwiową. Tom zjadł i zapadł w głęboki sen. Kiedy się obudził, ból głowy ustąpił. Tom miał dość sił, by podnieść się z hamaka i na chwiejnych nogach wyjść z chaty. Zataczał się, ale zdołał dotrzeć do wyjścia. Byli wciąż na tej samej polanie ze zwalonym drzewem, ale ta przeistoczyła się z podmokłej kałuży w zadbane obozowisko. Paprocie ścięto i wyścielono nimi błotnistą ziemię, dzięki czemu powstało miłe, sprężyste podłoże. Znalazły się tu dwie zgrabne chaty z liści palmowych, obłożone kamieniami palenisko obstawiono kłodami do siedzenia. Przez wyrwę w roślinności wciąż widać było Sierra Azul, fioletowe na tle błękitnego nieba. Sally siedziała przy ognisku i gdy Tom wyszedł, zerwała się na równe nogi, ujęła za ramię i pomogła mu usiąść.

- Która godzina?

- Dziesiąta rano - powiedziała.

- Co z Philipem?

- Odpoczywa w hamaku. Wciąż jest słaby, ale dojdzie do siebie. Vernon odsypia ostatnie stadium gorączki. Zjedz teraz trochę potrawki. Borabay tłumaczył nam, że mamy jeść, ile tylko zdołamy.

- Gdzie jest ten tajemniczy Borabay?

- Poluje.

Tom zjadł więcej niż trochę potrawki z żółwia; nad ogniskiem wisiał wielki, wrzący gar, pełen nie tylko kawałków mięsa, ale i niezwykłych korzeni i warzyw. Gdy Tom się najadł, poszedł do drugiej chaty sprawdzić, co z Philipem. Uniósł drzwi z palmowej plecionki, pochylił się i wszedł do środka.

Brat leżał w hamaku i palił. Wciąż był straszliwie wychudzony, ale owrzodzenia zamieniły się w strupy i nie miał już tak zapadniętych oczu.

- Cieszę się, że widzę cię na nogach, Tom - powiedział Philip.

- Jak się czujesz?

- Trochę słaby w kolanach, ale poza tym żwawo. Stopy prawie mi się wygoiły. Za dzień czy dwa będę mógł chodzić.

- Widziałeś już tego Indianina, Borabaya?

- Och tak. Dziwny gość, cały wymalowany, z krążkami w uszach, tatuażami, czym tylko zechcesz. Sally ma ochotę go kanonizować, ale nie wiedzieć czemu wątpię, czy to katolik.

- Wyglądasz jak nowy, Philip.

- Ty też.

Zapadło niezręczne milczenie, które przerwał krzyk z zewnątrz:

- Halo! Bracia!

- Ach, Borabay wrócił - powiedział Philip.

Tom wyszedł schylony z chaty i zobaczył, że przez polanę idzie szczególnie się prezentujący niski Indianin. Tułów i twarz miał pomalowane na czerwono, z czarnymi kręgami wokół oczu i groźnie wyglądającymi ukośnymi żółtymi pasami na piersi. Spod opasek na ramionach sterczały pióra. Indianin był prawie nagi - nosił tylko przepaskę na biodrach. W wyciągniętych małżowinach kołysały się przy każdym kroku dwie wielkie zatyczki. Brzuch pokrywały mu zawiłe wzory z blizn; miał spiłowane w szpic przednie zęby, czarne, prosto obcięte włosy i zdumiewające oczy prawie zielonej barwy. Jego twarz wydawała się niezwykle przystojna, o subtelnych, rzeźbionych rysach i gładkiej cerze.

Indianin podszedł do ognia. Był niski, ale pełen godności. W jednej ręce niósł dwumetrową dmuchawkę, a w drugiej zwierzę nieznanego gatunku.

- Niosę mięso, bracie - powiedział po angielsku i uśmiechnął się. Rzucił zwierzę na ziemię i podszedł bliżej. Objął dwakroć Toma i pocałował go w bok szyi; było to najwyraźniej indiańskie rytualne przywitanie. Następnie cofnął się i położył dłoń na swojej piersi. - Ja nazywam Borabay, bracie.

- Jestem Tom.

- Ja Jane - powiedziała Sally, parodiując „Tarzana".

- Jane? - Borabay odwrócił się w jej stronę - Ty nie Sally?

- To taki żart. - Sally się zaśmiała.

- Ty, my, on, my bracia.

Borabay zakończył przedstawienie się kolejnym ceremonialnym uściskiem, znów całując Toma w bok szyi.

- Dzięki, że uratowałeś nam życie - powiedział Tom i natychmiast pomyślał, że wypadło to słabo, ale Borabay wyglądał na zadowolonego.

Dziękuji, dziękuji. Jedli wy zupę?

- Tak, pyszna.

- Borabay dobry kucharz. Jedzcie więcej!

- Gdzie się nauczyłeś angielskiego?

- Matka mnie uczy.
- Dobrze mówisz.
- Mówię źle, ale uczę się od was i wtedy mówię dobrzej.
- Lepiej - poprawiła Sally.
- Dziękuji. Jadę któregoś dnia z tobą, bracie, do Ameryka.

Tom poczuł zdumienie, że w najbardziej oddalonym od cywilizacji zakątku ziemi ludzie wciąż chcieli jechać do Ameryki. Borabay rzucił spojrzenie na Wałkonia, wciąż siedzącego w zwykłym miejscu w kieszeni Toma.

- Ten małp płakał i płakał, kiedy ty chory. Jak się nazywa?
- Włochaty Wałkoń - powiedział Tom.
- Dlaczego ty nie zjadł tego małpa, kiedy ty był głodny?
- Cóż, bardzo go polubiłem - odrzekł Tom. - Zresztą i tak wystarczyłoby go tylko na kęs.
- I dlaczego ty nazwał go Włochaty Wałkoń? Co to znaczy Włochaty Wałkoń?
- Ee, to tylko takie przezwisko dla zwierzęcia z długą sierścią.
- Dobra. Nauczyłem się nowe słowo. Włochaty Wałkoń. Chcę nauczyć się angielskiemu.
- Chcę nauczyć się angielskiego - poprawiła go Sally.
- Dziękuji! Mów mi, kiedy robię błęda. - Indianin wyciągnął palec do małpki. Wałkoń chwycił go w drobną łapkę, popatrzył na Borabaya, po czym zanurkował z powrotem do kieszeni Toma. Borabay się roześmiał. - Włochaty Wałkoń myśli, że chcę go jeść. Wie, że my, Tara, lubimy małpów. Teraz robię jedzenie.

Wrócił do upolowanego zwierzęcia i podniósł je. Odszedł kawałek od obozowiska, zabierając ze sobą garnek. Przykucnął i zabrał się do oprawiania i ćwiartowania zdobyczy, wrzucając do garnka wszystko włącznie z jelitami i kośćmi. Tom podszedł do Sally przy ognisku.

- Jestem nieco zdezorientowany - powiedział. - Co się stało? Skąd się wziął Borabay?
- Nie wiem więcej od ciebie. Borabay znalazł nas wszystkich chorych i umierających pod tym pniem. Oczyścił polanę, postawił chaty, przeniósł nas do środka, karmił i leczył. Zebrał mnóstwo ziół i nawet trochę dziwacznych owadów - możesz je obejrzeć pod dachem chat. To wszystko posłużyło do przygotowania lekarstw. Wyzdrowiałam pierwsza - dwa dni temu. Pomogłam mu gotować i zająć się wami. Wygląda na to, że ta gorączka, *bisi,* jest intensywna, ale krótka. Dzięki Bogu, to nie malaria, a Borabay mówił mi, że nie zostawia trwałych szkód i nie nawraca. Jeśli chory nie umrze w ciągu pierwszych dwóch dni, to odzyskuje zdrowie. Zdaje się, że Don Alfonso umarł właśnie na *bisi* - Borabay twierdzi, że starzy ludzie są na nią bardziej podatni.

Na wspomnienie towarzysza ich wędrówki Tom poczuł przeszywający ból.

- Wiem - powiedziała Sally. - Mnie też go brakuje.

- Nigdy nie zapomnę tego staruszka i jego zwichrowanej mądrości. Trudno uwierzyć, że już go nie ma.

Przyglądali się, jak Borabay kończy ciąć mięso upolowanego zwierzęcia na kawałki i wrzucać je do garnka. Śpiewał przy tym medytacyjną piosnkę, niosącą się ku nim z powiewami wiatru.

- Opowiadał coś o tym całym Hauserze i o tym, co się dzieje w Sierra Azul?

- Nie. Nie chce o tym mówić. - Sally popatrzyła na Toma i po chwili wahania dodała: - Przez jakiś czas myślałam, że koniec z nami wszystkimi.

- Owszem.

- Pamiętasz, co powiedziałam?

- Pamiętam.

Zarumieniła się głęboko. Tom spytał:

- Chcesz to cofnąć?

Potrząsnęła głową, kołysząc jasnymi włosami, i popatrzyła na niego z wciąż zaczerwienionymi policzkami.

- Nigdy.

- To dobrze. - Tom uśmiechnął się i ujął ją za rękę.

Ich przejścia sprawiły, że stała się jakby jeszcze piękniejsza. Wyglądała na bardziej uduchowioną - zresztą Tom nie umiał określić tego dokładniej słowami. Znikła najwyraźniej jej kolczasta, obronna poza. Zetknięcie ze śmiercią wszystko odmieniło.

Borabay wrócił z zawiniętymi w liść paroma kawałkami mięsa.

- Włochaty Wałkoń! - zawołał i wciągnął powietrze przez zęby, wydając odgłos niesamowicie przypominający cmokanie małpki.

Zwierzątko wystawiło łebek z kieszeni Toma. Borabay wysunął rękę i Wałkoń po chwili marudzenia i popiskiwania wyciągnął łapkę, chwycił kawałek mięsa i wepchnął go sobie do pyszczka. Złapał kolejny i jeszcze jeden, opychając się pośpiesznie ze stłumionymi pomrukami zadowolenia.

- Włochaty Wałkoń i ja teraz przyjaciel - powiedział z uśmiechem Borabay.

Gorączka Vernona ustąpiła tej nocy. Następnego ranka obudził się przytomny, ale osłabiony. Borabay krzątał się wokół niego, aplikując mu szereg ziołowych medykamentów i innych środków. Rekonwalescenci spędzili dzień na odpoczynku w obozie, podczas gdy Borabay wyruszył, by znaleźć coś do jedzenia. Indianin wrócił po południu z workiem z liści palmowych, z którego wyładował korzenie, owoce, orzechy i świeże ryby. Resztę dnia spędził na pieczeniu, wędzeniu i soleniu mięsa oraz zawijaniu go w suchą trawę i liście.

- Wybieramy się dokądś? - zapytał go Tom.

-Tak.

- Dokąd?

- Pomówim później - odrzekł Borabay.

Philip, kuśtykając, wyszedł z chaty; wciąż miał zawinięte stopy, w ustach trzymał wrzoścową fajkę.

- Cudowne popołudnie - powiedział. Podszedł do ogniska i usiadł. Gdy nalał sobie przygotowanej przez Borabaya herbaty, stwierdził: - Ten Indianin powinien trafić na okładkę „National Geographic".

Vernon przyłączył się do nich i drżąc, przysiadł na kłodzie.

- Jedz, Vernon! - Borabay natychmiast nałożył potrawki do miski i podał ją Vernonowi, który wziął jedzenie drżącymi rękami i wymamrotał podziękowania.

- Witamy w krainie żywych - odezwał się Philip. Vernon otarł czoło i nie odpowiedział. Był blady i wychudzony. Włożył w usta łyżkę z kolejną porcją mięsa. - Proszę, oto tu jesteśmy - powiedział Philip. - My, trzej synowie. - W głosie Philipa dźwięczała ostra nuta, która nie spodobała się Tomowi. W ognisku trzasnęła gałąź. - Wpakowaliśmy się w niezły bałagan - dodał Philip. - Dzięki naszemu drogiemu staremu ojczulkowi. - Uniósł rękę w szyderczym salucie. - Wznoszę za ciebie toast, drogi stary ojczulku.

Wylał herbatę na ziemię.

Tom przyjrzał się Philipowi uważniej. Brat wracał do siebie w zdumiewającym tempie. Ożyły wreszcie jego oczy - i pojawił się w nich gniew.

- I co dalej, moi braciszkowie? - rozejrzał się Philip. Vernon wzruszył ramionami. Był jeszcze blady, miał wychudzoną twarz i szare kręgi pod oczyma. Uniósł do ust następną porcję jedzenia. - Powleczemy się z powrotem z podkulonymi ogonami? I pozwolimy temu Hauserowi cieszyć się Lippim, Monetem, obrazami Braque'a i całą resztą? - urwał. - Czy podążymy do Sierra Azul i może skończymy w krzakach z flakami na wierzchu? - Zapalił fajkę. - Takie mamy możliwości. - Nikt nic nie odpowiedział, Philip zaś przyglądał się im po kolei. - I co? - kontynuował. - Zadałem poważne pytanie: czy pozwolimy Grubemu Cortesowi wparować do grobu ojca i ukraść nasz spadek?

Vernon podniósł głowę. Po chorobie był wciąż wynędzniały i mówił cicho:

- Sam sobie odpowiedz na to pytanie. To ty sprowadziłeś tu Hausera.

Philip odwrócił się ku niemu z chłodnym spojrzeniem.

- Można by pomyśleć, że czas na wyrzuty minął.

- Jeśli o mnie chodzi, czas na wyrzuty dopiero się zaczął.

- To nie czas ani miejsce - wtrącił się Tom.

Yernon odwrócił się w jego stronę.

- To Philip ściągnął tu tego psychopatę i powinien za to odpowiedzieć.

- Działałem w dobrej wierze. Nie miałem pojęcia, że ten cały Hauser okaże się potworem. I już za to odpowiedziałem, Vernonie, popatrz tylko na mnie. - Vernon potrząsnął głową. Philip kontynuował: - Prawdziwym winowajcą, chociaż nikt nie chce tego przyznać, jest nasz ojciec. Czy wy obaj nie czujecie się przynajmniej ociupinkę źli z powodu tego, co z nami zrobił? O mało nas nie zabił.

- Chciał, żebyśmy podjęli to wyzwanie - powiedział Tom.

- Mam nadzieję, że go nie bronisz.

- Aż za dobrze go rozumiem. Ten numer rodem z Lary Croft to tylko ostatnie z długiej listy jego wyzwań. Przypomnij sobie trenerów, instruktorów narciarskich, lekcje historii sztuki i jazdy konnej, muzyki i szachów, nawoływania, przemowy i groźby. Pamiętasz dni rozdania świadectw? Obawy, że spieprzyliśmy jego starania, Tom. Zawsze tak myślał. I może to prawda. Popatrz na mnie: mam trzydzieści siedem lat i ciągle jestem pospolitym wykładowcą w kiepskim college'u na jakimś zadupiu. Ty leczysz indiańskie konie w zapomnianym zakątku Utah, a Vernon przetracił najlepsze lata życia na śpiewach pod komendą Swamiego Srutu-tutu. Jesteśmy nieudacznikami. - Philip zaśmiał się chrapliwie.

Borabay podniósł się - był to zwyczajny ruch, ale wykonany z tak powolnym rozmysłem, że ich to uciszyło.

- To niedobra mowa.

- To cię nie dotyczy, Borabay - powiedział Philip.

- Dosyć niedobra mowa!

Philip zignorował jego słowa i zwrócił się do Toma:

- Ojciec mógł zostawić nam pieniądze jak każdy normalny człowiek. Albo mógł oddać swój majątek komuś innemu. W porządku, zdołałbym się z tym pogodzić. To były jego pieniądze. Ale nie, on musiał wymyślić plan, jak nas udręczyć.

Borabay popatrzył na niego ponuro.

- Zamknij się, bracie.

Philip odpowiedział mu wrogim spojrzeniem.

- Nie obchodzi mnie, że uratowałeś nam życie - nie mieszaj się do naszych rodzinnych spraw.

Na czole Philipa pulsowały żyły. Tom rzadko widział go tak wściekłego.

- Ty mnie słuchaj, braciszku, bo wyżmę ci dupę.

Borabay stał twardo, z zaciśniętymi pięściami, wyprężywszy całe swoje sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Przez sekundę panował bezruch, po czym Philip zaczął się śmiać i potrząsnął głową. Odprężył się.

- Chryste, ten facet mówi poważnie?

- Wszyscy jesteśmy trochę zestresowani. - Tom starał się załagodzić sprzeczkę. - Borabay ma jednak rację. To nie miejsce na kłótnie.

- Dzisiaj - oznajmił Indianin - mówimy bardzo ważnie.

- O czym?

Borabay z nieprzeniknionym wyrazem pomalowanej twarzy odwrócił się do garnka i zaczął w nim mieszać.

- Zobaczycie.

4

Lewis Skiba odchylił się na skórzane oparcie fotela w wyłożonym boazerią zakątku salonu i potrząsnął płachtą „Wall Street Journal", żeby otworzył się na stronie artykułów redakcyjnych. Próbował czytać, ale słyszalne z oddali porykiwania i piski ćwiczącego na trąbce syna uniemożliwiały mu koncentrację. Minęły prawie dwa tygodnie od ostatniego telefonu Hausera. Facet najwyraźniej się z nim drażnił, trzymał go w niepewności. Chyba że coś się stało? Czy... czy mu się udało?

Skiba skupił wzrok na wstępniaku, by stłumić ogarniającą go falę samooskarżeń, ale słowa przelatywały przez jego umysł, nie pozostawiając żadnego wrażenia. Środkowy Honduras nie był bezpiecznym miejscem. Możliwe, że Hauser popełnił gdzieś błąd, pośliznął się na czymś, pomylił się w ocenie, złapał gorączkę... Mogło mu się przydarzyć mnóstwo rzeczy. Tak czy inaczej zniknął. Dwa tygodnie to długi czas. Może próbował zabić Broadbentów, ale okazali się za mocni dla niego i to oni go zabili.

Skiba wbrew sobie żywił nadzieję, że tak właśnie się stało. Naprawdę kazał ich zabić? Co on sobie wyobrażał? Wymknął mu się mimowolny jęk. Gdyby tylko Hauser zginął... Skiba zrozumiał - zbyt późno - że wolałby stracić swojego najemnika niż być winnym morderstwa. Stał się sam mordercą. Powiedział: zabij ich. Zastanawiał się, dlaczego Hauser tak się upierał, by to od niego usłyszeć. Chryste, jak to się stało, że on, Lewis Skiba, gwiazda futbolu w gimnazjum, absolwent Stanfordu i Wharton, stypendysta Fundacji Fulbrighta, dyrektor naczelny firmy figurującej na liście Fortune 500 - pozwolił się schwytać w pułapkę, uległ presji i dał się zdominować przestępcy w tanim poliestrowym garniturze. Zawsze myślał o sobie jako o człowieku z moralnymi i intelektualnymi zasadami, kierującym się etyką, dobrym człowieku. Był dobrym ojcem. Nie zdradzał żony. Chodził do kościoła. Zasiadał w rozmaitych radach i zawsze oddawał znaczną część zarobków na cele dobroczynne. Mimo to węszący w cudzej bieliźnie prywatny łaps jakimś cudem go wy-

manewrował, ściągnął z niego maskę, pokazał, kim jest naprawdę. Tego właśnie Skiba nie mógł zapomnieć ani wybaczyć. Ani sobie, ani Hauserowi.

Jego myśli znów pobiegły ku wakacjom w dzieciństwie nad jeziorem, domkowi z deszczułek, pokrzywionemu pomostowi nad jeziorem, woni sosen i drzewnego dymu. Gdyby tylko mógł cofnąć bieg zegara, wrócić w jedne z tych długich wakacji i zacząć życie od nowa. Czegóż by nie oddał, żeby tylko zacząć od początku.

Z jękiem bólu wyrzucił te myśli z głowy i upił łyk szkockiej ze szklanki, którą trzymał przy łokciu. Minęło, wszystko minęło. Musiał przestać o tym rozmyślać. Co się stało, to się nie odstanie. Nie mógł cofnąć zegara. Zdobędą Kodeks i może dla Lampe-Denison nastanie nowy czas i nikt się nie dowie. Albo Hauser zginął i nie dostaną księgi, ale i tak nikt się nie dowie. Nikt się nie dowie. Mógł się pogodzić z takim rezultatem. Musiałby się z tym pogodzić. Tyle tylko że on by wiedział. Będzie wiedział, że jest człowiekiem zdolnym do morderstwa.

Gniewnie potrząsnął gazetą i znów zaczął czytać wstępniak.

W tym momencie zadzwonił telefon - firmowa, bezpieczna linia. Skiba złożył gazetę, podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

Usłyszał głos, dobiegający jakby z oddali, mimo to klarowny jak kryształ. Głos należał do niego: „Zrób to. Zabij ich, do cholery! Zabij Broadbentów!".

Poczuł się, jakby dostał w brzuch. Gwałtownie wypuścił powietrze i nie mógł wciągnąć go z powrotem. Rozległ się syk, a potem znowu jego głos, jak duch z przeszłości: „Zrób to. Zabij ich, do cholery! Zabij Broadbentów!".

Uruchomił się szyfrator i tym razem zabrzmiał głos Hausera:

- Słyszał pan, Skiba?

Lewis przełknął ślinę, jęknął i spróbował zmusić płuca do posłuszeństwa.

- Halo?

- Proszę nie dzwonić do mnie nigdy do domu - wykrztusił.

- Nie mówił mi pan tego.

- Skąd ma pan numer?

- Zapomniał pan, że jestem prywatnym detektywem?

Lewis westchnął. Nie było sensu się spierać. Zrozumiał, dlaczego Hauser tak naciskał, by usłyszeć to, co chciał. Zastawił na niego pułapkę.

- Dotarliśmy na miejsce. Jesteśmy w Białym Mieście.

Skiba czekał w milczeniu.

- Wiemy, że właśnie tu wybrał się Broadbent. Zabrał ze sobą bandę Indian, żeby pogrzebali go w grobowcu, który obrabował czterdzieści lat temu. Zapewne w tym samym, w którym znalazł Kodeks. Czy to nie

ironia? Jesteśmy na miejscu, w zaginionym mieście, i musimy tylko odnaleźć jego grobowiec.

Lewis usłyszał odległe łupnięcie, zamienione przez szyfrator w przeciągły pisk. Hauser musiał w odpowiedniej chwili wyłączyć szyfrator, żeby nagrać jego, Skiby, słowa. Przepadła szansa na wywinięcie się od zapłacenia tamtemu pięćdziesięciu milionów. Wręcz przeciwnie, miał przeczucie, że zapłaci więcej, o wiele więcej - i będzie płacił do końca życia. Hauser miał go w garści. Lewis pojął, że okazał się skończonym idiotą, dającym się wykiwać na każdym kroku. Nie do wiary.

- Słyszał pan? Ten piękny odgłos to dynamit. Moi ludzie dobrali się do piramidy. Niestety Białe Miasto jest wielkie i zarośnięte, a Max może być pogrzebany gdziekolwiek. Nieważne, dzwonię, żeby powiedzieć panu, że zaszła zmiana planów. Gdy znajdziemy grobowiec i Kodeks, ruszymy na zachód, przez góry i Salwador do Pacyfiku. Pieszo, a potem w dół rzeki. Zabierze to trochę więcej czasu. Będzie miał pan swój skarb za miesiąc.

- Mówił pan...

- Tak, tak. W pierwotnej wersji planowałem polecieć helikopterem do San Pedro Sula. Niespodziewanie jednak tak się złożyło, że musiałbym się tłumaczyć z paru zabitych honduraskich żołnierzy. Nigdy nie wiadomo też, czy jakiemuś samozwańczemu generałowi nie zachce się skonfiskować twojej własności jako narodowego dziedzictwa. Jedyne helikoptery w tym kraju należą do armii; sam wylot stąd oznaczałby naruszenie wojskowej przestrzeni powietrznej. Dlatego też ruszymy w niespodziewanym kierunku - na zachód, po cichu i bez hałasu. Proszę mi wierzyć, to najlepszy sposób.

Skiba znowu przełknął ślinę. Zabici żołnierze? Od rozmów z tym facetem robiło mu się niedobrze. Chciał zapytać Hausera, czy to jego dzieło, ale nie potrafił zmusić się do wypowiedzenia tego pytania.

- Na wypadek gdyby się pan zastanawiał, nie wypełniłem pańskiego polecenia. Trzej synowie Broadbenta jeszcze żyją. Zaparte skurczybyki. Ale o nich nie zapomniałem. Przyrzekam, że zajmę się nimi.

„Pańskiego polecenia". W gardle Skiby znów stawał twardy kłąb. Chrząknął i o mało się nie zadławił. Synowie Broadbenta żyli!

- Zmieniłem zdanie - stęknął.

- Słucham?

- Niech pan tego nie robi.

- Czego?

- Niech pan ich nie zabija.

- O wiele na to za późno. - Rozległ się cichy śmiech.

- Na miłość boską, Hauser, niech pan tego nie robi. Rozkazuję panu, żeby ich nie zabijać. Możemy to załatwić inaczej...

Połączenie zostało jednak zerwane. Skiba usłyszał szelest i odwrócił się z mokrą od potu twarzą. Jego syn stał w drzwiach w workowatej pidżamie, ze sterczącymi włosami i z trąbką w opuszczonej dłoni.

- Kogo nie zabijać, tato?

49

Tego wieczora Borabay zaserwował obiad z trzech dań, począwszy od rybnej zupy z warzywami przez pieczone steki i potrawkę z gotowanych jajek - z embrionami - po papkę z gotowanych owoców na deser. Nakłonił swoich towarzyszy do dwóch dokładek; najedli się tak, że zaczęło im się robić niedobrze. Po zjedzeniu resztki ostatniej potrawy wyciągnęli fajki dla ochrony przed owadami. Wieczór był piękny; okrągły księżyc wznosił się zza ciemnego konturu Sierra Azul. Trzej bracia i Sally siedzieli dookoła ogniska; wszyscy palili w ciszy, czekając, aż Borabay przemówi. Indianin przez chwilę pykał fajkę, po czym odłożył ją i rozejrzał się wokoło. Jego błyszczące w blasku ognia oczy spoczęły po kolei na każdym z wędrowców. Żaby zaczęły rechotać i kumkać, a ich głosy mieszały się z bardziej osobliwymi dźwiękami - popiskiwaniami, wyciem, bębnieniem, skrzekami.

- Oto tu jesteśmy, bracia - powiedział Borabay, zamilkł i po chwili kontynuował: - Zacznę opowieść od samego początku, czterdzieści lat temu, w roku, zanim się urodziłem. Tego roku biały człowiek przypływa z dołu rzeki i przez góry, zupełnie sam. Zjawia w wiosce Tara prawie martwy. To pierwszy biały człowiek, którego kto widzi. Biorą go w chatę, karmią, doprowadzają do życia. Ten człowiek żyje z ludem Tara, uczy się mówić naszym językiem. Pytają, dlaczego przybył. Mówi, żeby znaleźć Białe Miasto, które nazywamy Sukia Tara. To miasto naszych przodków. Teraz chodzimy tam tylko grzebać zmarłych. Zabierają go do Sukia Tara. Nie wiedzą, że chce kraść z Sukia Tara... Ten człowiek wkrótce bierze kobietę Tara za żonę.

- Nic dziwnego - wtrącił Philip z sarkastycznym śmiechem. - Ojciec nigdy nie przepuszczał okazji do skoków na bok.

- Kto mówi opowieść, bracie, ty czyja? - Indianin popatrzył na niego niechętnie.

- Dobrze, dobrze, mów dalej. - Philip machnął ręką.

- Ten człowiek, jak mówię, bierze kobietę Tara za żonę. Ta kobieta to moja matka.

- Ożenił się z twoją matką? - powtórzył Tom.

- Oczywiście, że ożenił moją matkę - odparł Borabay. - Jak inaczej możesz być bratem, bracie?

Tom zaniemówił ze zdumienia, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów. Utkwił wzrok w Borabayu i po raz pierwszy przyjrzał mu się naprawdę. Ogarnął spojrzeniem wymalowaną twarz, tatuaże, spiczaste zęby, krążki w uszach - oraz zielone oczy, wysokie czoło, stanowczy wyraz ust i subtelny kształt kości policzkowych.

- O mój Boże - wyszeptał.

- Co? - spytał Vernon. - O co chodzi, Tom?

Tom popatrzył na Philipa i stwierdził, że jego starszy brat jest równie oszołomiony. Philip podniósł się powoli na równe nogi, nie odrywając oczu od Borabaya.

- Potem, kiedy ojciec ożenił matkę, matka rodzi mnie - kontynuował Indianin. - Nazywa mnie Borabay, po ojcu.

- Borabay - mruknął Philip i powtórzył: - Broadbent. - Zapanowało długie milczenie. - Nie widzicie? Borabay, Broadbent - to to samo nazwisko.

- To znaczy, że to nasz brat? - spytał z podnieceniem Vernon, gdy wreszcie to do niego dotarło.

Nikt nie odpowiedział. Philip zrobił krok w stronę Borabaya i pochylił się, by obejrzeć go z bliska, jakby miał do czynienia z jakimś dziwolągiem. Tamten poruszył się, wyjął fajkę z ust i zaśmiał się nerwowo.

- Co widzisz, bracie, ducha?

- W pewnym sensie. - Philip wyciągnął dłoń i dotknął jego twarzy. Borabay siedział spokojnie w bezruchu. - Mój Boże - wyszeptał Philip. - Naprawdę jesteś naszym bratem. Najstarszym. Dobry Boże, nie jestem pierworodny. Jestem drugim synem i nigdy o tym nie wiedziałem!

- To właśnie mówię! Wszyscy my brat. Co myślałeś, kiedy mówię „brat"? Myślałeś, że żartuję?

- Nie sądziliśmy, że mówisz to dosłownie - odrzekł Tom.

- Myślisz, że dlaczego ratuję wam życie?

- Nie wiedzieliśmy. Mieliśmy wrażenie, że mamy do czynienia ze świętym.

- Ja święty? - zaśmiał się Borabay. - Śmieszny jesteś, bracie. Wszyscy my brat. Wszyscy mamy tego samego ojca, Masserała Borabaya. Ty Borabay, ja Borabay, my wszyscy Borabay. - Postukał się w pierś.

- Broadbent. Nazwisko wymawia się: Broadbent - poprawił Philip.

- Borabeyn. Nie mówię dobrze. Rozumiecie mnie. Ja był Borabay tak długo, że zostanie Borabay.

Ciszę przerwał nagle donośny śmiech Sally. Zerwała się na równe nogi i okrążyła ognisko.

- Jakbyśmy nie mieli tu dość Broadbentów! Proszę, jeszcze jeden. Aż czterech! Czy świat jest na to gotowy?

Vernon, który zrozumiał tę sytuację ostatni, pierwszy odzyskał równowagę umysłu. Wstał i podszedł do Borabaya.

- Bardzo się cieszę, że mogę cię powitać jako brata - oznajmił i go objął.

Borabay wyglądał na nieco zaskoczonego, ale po chwili odpowiedział uściśnięciem Vernona na indiańską modłę.

Vernon odsunął się na bok, podczas gdy Tom podszedł do Borabaya i wyciągnął rękę. Indianin popatrzył na niego zdezorientowany.

- Coś ci jest w rękę, bracie?

Jest moim bratem i nawet nie wie, jak się podaje rękę, pomyślał Tom. Z uśmiechem objął Borabaya, który odpowiedział rytualnym uściskiem. Tom cofnął się, popatrzył mu w twarz - i wreszcie zdołał dojrzeć w niej odbicie siebie samego. Siebie, jego ojca i braci.

Philip poszedł za jego przykładem - wyciągnął dłoń.

- Nie lubię uścisków i pocałunków, Borabay. My, gringo, ściskamy sobie ręce. Nauczę cię jak. Wyciągnij dłoń.

Borabay wystawił rękę. Philip chwycił ją i solidnie potrząsnął. Borabay pozwolił, żeby ramię mu się zakołysało, i gdy Philip puścił jego dłoń, obejrzał ją dokładnie, jakby chciał sprawdzić, czy nie została uszkodzona.

- Cóż, Borabay, witaj w klubie - powiedział Philip. - Klubie wyrolowanych synów Maxwella Broadbenta - którego liczebność zwiększa się z dnia na dzień.

- Co to znaczy: wyrolowany klub?

- Nieważne. - Philip machnął ręką.

Sally również objęła Borabaya.

- Nie należę do Broadbentów - powiedziała z uśmiechem. - Dzięki Bogu.

Usiedli z powrotem dookoła ogniska i zapadła niezręczna cisza.

- Cóż za spotkanie rodzinne po latach! - Philip ze zdumieniem pokiwał głową. - Drogi ojczulek, pełen niespodzianek nawet po śmierci.

- To właśnie chcę powiedzieć - rzekł Borabay. - Ojciec nie martwy.

50

Zapadła noc, ale w głębi grobowca, do którego przez tysiąc lat nie docierało światło, nie miało to znaczenia. Marcus Hauser przeszedł przez rozwalony próg do obszernego wnętrza i wciągnął w nozdrza chłodny pył stuleci. Zdziwił się nieco, że pachniało tu świeżością i czystością, bez śladu rozkładu czy zepsucia. Zaświecił wokół siebie potężnym halogenowym reflektorem; zamigotały rozproszone skrawki złota i nefrytu, przemieszane z brązowymi kośćmi i kurzem. Na grzebalnej płycie z wyrzeźbionymi hieroglifami leżał niegdyś bogato przybrany szkielet.

Hauser podszedł bliżej i wziął do ręki złoty pierścień, wytrząsnąwszy z niego kość palca. Pierścień był wspaniały, z wyrzeźbioną z nefrytu głową jaguara. Marcus wsunął go do kieszeni i przejrzał inne przedmioty zostawione przy zwłokach: złoty naszyjnik, parę nefrytowych wisiorów, jeszcze jeden pierścień. Pochował do kieszeni mniejsze klejnoty ze złota i nefrytu, po czym obrócił się powoli, rozglądając się po komnacie grzebalnej.

Czaszka pochowanego człowieka leżała w drugim końcu płyty. W którymś momencie minionych stuleci szczęka naderwała się i odchyliła, przez co wydawało się, że czaszka wyraża zdumienie, jakby jej właściciel nie mógł się pogodzić ze swoją śmiercią. Ciało się rozpadło prawie w całości, jedynie na sklepieniu czaszki zostały gęste splecione w warkocze włosy. Hauser wziął ją do ręki. Szczęka opadła jeszcze bardziej, wisząc na wyschniętych pasemkach ścięgien. Przednie zęby były spiłowane w szpic.

„Ach, biedny Jorik!".

Hauser poświecił na ściany reflektorem. Znajdowały się na nich zmatowiałe freski, niewyraźne wskutek działania pleśni i wapnia. W rogu stały pełne kurzu garnki - zwaliły się na siebie i popękały podczas jakiegoś pradawnego trzęsienia ziemi. Przez sufit przebiły się małe korzenie i zwisały splątanymi pękami w martwym powietrzu.

Hauser odwrócił się do *teniente*.

- To jedyny grobowiec? - spytał.

- Po tej stronie piramidy tak. Musimy jeszcze przebadać drugą stronę. Jeśli jest symetryczna, może po drugiej stronie jest podobna komnata.

Hauser potrząsnął głową. Wiedział już, że nie znajdzie Maxa w tej piramidzie. Było to zbyt oczywiste schronienie. Max pochował się jak król Tutenchamon, w jakimś bardziej ustronnym miejscu. Na pewno tak właśnie zrobił.

- Zbierz ludzi, *teniente*. Chcę z nimi porozmawiać. Przeszukamy miasto od strony wschodu na zachód.

- Rozkaz.

Hauser zorientował się, że wciąż trzyma w dłoni czaszkę. Obrzucił ją ostatni raz spojrzeniem i cisnął na bok. Upadła na posadzkę z głuchym stuknięciem i rozleciała się na kawałki, jakby była z gipsu. Szczęka pokoziołkowała makabrycznie kilka razy, nim znieruchomiała w pyle.

Zapowiadało się brutalne przeszukanie miasta z użyciem dynamitu, świątynia po świątyni. Hauser pokręcił głową. Żałował, że jeszcze nie wrócił człowiek wysłany, by sprawdzić, co się dzieje z Broadbentami. Istniał lepszy sposób rozwiązania tego problemu - o wiele lepszy.

51

- Ojciec żyje? - zawołał Philip.

- Tak.

- To znaczy, że jeszcze go nie pogrzebano?

- Skończę opowieść, proszę. Potem jak ojciec został z Tara przez rok, matka mnie rodzi. Ale ojciec mówi o Białe Miasto, chodzi tam na dnie, może na tygodnie. Wódz mówi, że to zakazane, ale ojciec nie słucha. Szuka i kopie po złoto. Potem znajduje miejsce grobów, otwiera grób dawnego króla Tara i kradnie. Z pomocą złych człowieków Tara ucieka w dół rzeki i znika.

- Zostawiając twoją matkę bosą i nagą, i z dzieckiem na ręku - wtrącił ironicznie Philip. - Tak samo, jak swoje pozostałe żony.

Borabay odwrócił się i popatrzył karcąco na niego.

- Ja mówię opowieść, bracie. Przestań mleć językiem.

Toma przeniknęło wstrząsające uczucie *deja vu*. „Przestań mleć językiem" było jednym z ulubionych powiedzonek ojca - czystym maxwellizmem - i oto padło z ust dziwacznego, wytatuowanego, półnagiego Indianina z rozciągniętymi płatkami uszu. Tomowi zakręciło się w głowie. Dotarł na kraj świata i kogo znalazł? Brata.

- Nigdy nie widzę ojca znowu - do teraz. Matka umiera dwa lata temu. Potem niedawno ojciec wraca. Wielka niespodzianka. Bardzo cieszę się, że go spotykam. Mówi, że umiera. Mówi, że przeprasza. Mówi, że wrócił ze skarbami, które ukradł ludziom Tara. W zamian chce, żeby go pogrzebać w grobie króla Tara ze skarbami białego człowieka. Mówi z Cahem, wodzem ludu Tara. Cah mówi tak, dobrze, pochowamy cię w grobie. Wracasz ze skarbem i pochowamy cię w grobie jak dawnego króla. To ojciec idzie i potem wraca z wieloma skrzyniami. Cah wysyła ludzi na brzeg morza, żeby przynieśli skarb.

- Czy ojciec cię pamiętał? - spytał Tom.

- Och tak. Bardzo szczęśliwy. Poszliśmy na ryby.

- Naprawdę? - spytał Philip z rozdrażnieniem. - Na ryby? I kto złapał największą?

- Ja - oznajmił z dumą Borabay. - Włócznią.

- Gratulacje.

- Philipie... - zaczął Tom.

- Gdyby Borabay spędził z ojcem więcej czasu - powiedział Philip - znienawidziłby go tak samo jak on nas.

- Wiesz przecież, że ojciec nas nie nienawidził, Philipie - odparł Tom.

- O mało co tu nie umarłem. Byłem torturowany. Rozumiesz, co to znaczy wiedzieć, że się umiera? To właśnie dziedzictwo ojca dla mnie.

A teraz nagle spotykamy wymalowanego Indianina, który jest naszym starszym bratem i łowił z nim ryby, podczas gdy my konaliśmy w dżungli.

- Skończysz się gniewać, bracie?

- Nigdy nie skończę.

- Ojciec też gniewny.

- Jakbym się sam nie zorientował.

- Ty syn najbardziej jak ojciec.

- Proszę, oto coś nowego, Indianin z dżungli, uprawiający psychoanalizę. - Philip przewrócił oczyma.

- Dlatego że ty syn najbardziej jak ojciec, najbardziej go kochasz i najbardziej cię skrzywdził. A teraz krzywdził znowu, bo dowiadujesz się, że nie jesteś najstarszy syn. Ja najstarszy syn.

Zapadła krótka chwila milczenia, po czym Philip wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Tego już za wiele. Jak można uważać, że rywalizuję z niepiśmiennym, wytatuowanym Indianinem ze spiłowanymi zębami?

- Mówię dalej opowieść - powiedział po chwili Borabay.

- Proszę bardzo!

- Cah załatwia wszystko na śmierć i pogrzeb ojca. Kiedy dzień nadchodzi, jest największa uczta pogrzebowa dla ojca. Wszyscy ludzie Tara przychodzą. Ojciec też tam. Ojciec bardzo się cieszy na swój pogrzeb. Daje wiele prezentów. Wszyscy dostają garnki, patelnie i noże.

Tom i Sally popatrzyli po sobie.

- Na pewno czerpał z tego wielką radość - powiedział Philip. - Potrafię sobie wyobrazić, jak ojciec brylował na własnym pogrzebie.

- Masz rację, Philip, ojciec to kocha. Je, pije za dużo, śmieje się, śpiewa. Ojciec otwiera skrzynie tak, żeby każdy mógł patrzeć skarby białego człowieka. Wszyscy kochają świętą Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus. Biały człowiek ma pięknych bogów.

- Lippi! - krzyknął Philip. - Był w dobrym stanie? Wytrzymał podróż?

- To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedyś widzę, bracie. Kiedy na nią patrzę, widzę coś w białym człowieku, czego nie widzę wcześniej.

- Tak, to jeden z najpiękniejszych obrazów Lippiego. I pomyśleć, że tkwi w jakimś wilgotnym grobie!

- Ale Cah oszukuje ojca - kontynuował Borabay. - Na koniec pogrzebu ma dać ojcu specjalną truciznę do picia, żeby miał bezbolesną śmierć. Ale Cah tego nie robi. Cah daje ojcu pić, żeby spał. Nikt o tym nie wie, tylko Cah.

- To brzmi jak z Szekspira - zauważył Philip.

- I śpiącego ojca niosą do grobu ze skarbem. Zamykają drzwi, zamykają go w grobie. Wszyscy myślimy, że nie żyje. Jeden Cah wie, że on żyje, tylko śpi. I potem budzi się w ciemnym grobie.

- Zaczekaj chwilę - odezwał się Vernon. - Nie nadążam.

- Ja nadążam - odrzekł spokojnie Philip. - Pogrzebali ojca żywcem.

Zapadła cisza.

- Nie „oni" - powiedział Borabay. - Cah. Ludzie Tara nic nie wiedzą o tej sztuczce.

- Bez wody i jedzenia... - westchnął Philip. - Boże, jakie to straszne.

- Bracie - wyjaśnił Borabay - w obyczaju Tara do grobu kładą mnóstwo jedzenia i wody w zaświaty.

Tom poczuł dreszcz, gdy dotarło doń znaczenie tych słów.

- Myślisz więc, że ojciec jeszcze żyje, zamknięty w grobowcu? - spytał wreszcie.

-Tak.

Nikt nie odpowiedział. Sowa zahukała żałośnie w ciemnościach.

- Jak dawno został zamknięty w grobowcu? - chciał wiedzieć Tom.

- Trzydzieści dwa dni.

Zrobiło mu się niedobrze. Było to nie do pomyślenia.

- To straszna rzecz - powiedział Borabay.

- Dlaczego ten Cah to zrobił, do diabła? - spytał Vernon.

- Cah zły, że ojciec dawno temu kradnie ten grób. Cah był wtedy chłopiec, syn wodza. Ojciec upokorzył ojca Caha, bo kradł grób. To zemsta Caha.

- Nie mogłeś go powstrzymać?

- Nie znałem planu Caha, dopiero później. Wtedy próbuję ratować ojca. W wejściu do grobu wielkie kamienne drzwi. Nie mogę ruszyć. Cah dowiaduje się, że idę do Sukia Tara ratować ojca. On bardzo zły. Cah mnie uwięzą i chce mnie zabić. Mówi, że ja brudny człowiek, pół Tara, pół biały. Potem szalony biały człowiek i żołnierze przybywają i łapią Caha, biorą go do Białego Miasta. Ja uciekam. Słyszę, jak żołnierze o was mówią, to wracam po was.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy?

- Słyszałem, co tamci mówią.

Ogień migotał; noc otaczała coraz ciaśniej pięcioro siedzących na ziemi milczących ludzi. Słowa Borabaya zawisły w powietrzu na długo po ich wypowiedzeniu. Powiódł wzrokiem dookoła ogniska, przyglądając się każdemu z nich po kolei.

- Bracia, to straszna śmierć. Śmierć dla szczura, nie dla człowieka. To nasz ojciec.

- Co możemy zrobić? - zapytał Philip.

Borabay odezwał się po długiej pauzie niskim, wibrującym głosem:

- Ratujemy go.

Hauser ślęczał nad prymitywnym planem nekropolii, który sporządził w ciągu ostatnich dwóch dni. Jego ludzie dwa razy obmierzyli miasto, ale było tak zarośnięte, że wykreślenie jakiegokolwiek dokładniejszego planu okazało się prawie niemożliwe. Stało tu kilka piramid, dziesiątki świątyń i innych budowli - setki miejsc, w których można by ukryć grobowiec. Zapowiadały się tygodnie poszukiwań, chyba że będą mieli szczęście.

W drzwiach pojawił się żołnierz i zasalutował.

- Raportuj.

- Synowie zostali trzydzieści pięć kilometrów za nami, za brodem przez rzekę Ocata.

Hauser powoli odłożył plan.

- Żyją i mają się dobrze?

- Dochodzą do siebie po chorobie. Troszczy się o nich Indianin z plemienia Tara.

- Mają broń?

- Stary bezużyteczny karabin myśliwski, należący do kobiety. Oczywiście dmuchawkę, łuki i strzały...

- Tak, tak.

Wbrew sobie poczuł odrobinę szacunku dla trzech synów Broadbenta, zwłaszcza Philipa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinni już nie żyć. Max był taki sam - twardy, uparty i miał szczęście. Była to potężna mieszanina. Hauserowi przez chwilę stanął przed oczami Max - obnażony do pasa wyrąbywał sobie drogę przez dżunglę, z zapoconymi plecami, usianymi drzazgami, liśćmi i gałązkami. Przez miesiące brnęli naprzód, pokaleczeni, pogryzieni, zainfekowani i chorzy - i nic nie znaleźli. Potem Max porzucił wspólnika, ruszył w górę rzeki i znalazł skarb, którego szukali ponad rok. Hauser wrócił do domu bez grosza przy duszy i musiał zaciągnąć się do wojska... Potrząsnął głową, jakby chciał się uwolnić od wspomnień. To była przeszłość - a przyszłość i fortuna Broadbenta należały do niego.

- Mam wysłać żołnierzy, żeby ich zabili? - spytał *teniente*. - Tym razem ich wykończymy, przyrzekam, *jefe*.

- Nie - odparł Marcus. - Niech tu przyjdą.

- Nie rozumiem.

- Nie ruszajcie ich - zwrócił się do porucznika Hauser. - Zostawcie ich w spokoju. Niech tu dotrą.

Philip dochodził do siebie wolniej od pozostałych, ale po trzech kolejnych dniach zabiegów Borabaya mógł chodzić. Następnego słonecznego ranka zwinęli obóz i ruszyli do wsi plemienia Tara u podnóża Sierra Azul. Ziołowe wywary, maści i herbaty dały zdumiewający efekt. Borabay szedł pierwszy z maczetą, dyktując tempo. Do południa dotarli do szerokiej rzeki, tam gdzie znaleźli Philipa - w pięć godzin pokonali dystans, którego przejście podczas desperackiego odwrotu zajęło im pięć dni! Za rzeką, w miarę jak byli coraz bliżej Sierra Azul, Borabay poruszał się coraz ostrożniej. Dotarli do podnóża gór i zaczęli piąć się w górę. Las był tu bardziej nasłoneczniony, mniej ponury. Orchidee zdobiły gałęzie, przed wędrowcami jaśniały dodające ducha skrawki słonecznego blasku.

Noc spędzili w starym obozowisku plemienia - stojące półkolem chaty ze strzechami z palmowych liści porastała bujna roślinność. Borabay wszedł w chaszcze, sięgające mu do pasa, i błyskając maczetą, utorował drogę do najlepiej zachowanego szałasu. Zanurkował w środku, rozległo się plaśnięcie maczety, a potem tupot stóp oraz stłumione przekleństwa - najpierw w jednej chacie, potem w kolejnej. Borabay wyłonił się wreszcie z nadzianym na koniec maczety małym, wijącym się wężem, którego odrzucił w las.

- Chaty teraz czyste. Wejdźcie, rozwieście hamaki, odpocznijcie. Ja robię kolację.

Tom popatrzył na Sally. Czuł, że serce łomocze mu w piersiach tak mocno, że niemal słychać to naokoło. Nie zamieniwszy ani słowa, obydwoje wiedzieli, co się stanie.

Weszli do mniejszej z chat. W środku było ciepło i pachniało suchą trawą. Promienie słońca wpadały przez dziurki w palmowej strzesze, wnętrze upstrzyły cętki popołudniowego blasku. Tom rozwiesił swój hamak i patrzył, jak Sally robi to samo. Plamki światła na jej rozkołysanych włosach przypominały garść złotych monet. Gdy skończyła, Tom podszedł i ujął ją za lekko drżącą rękę. Przyciągnął dziewczynę do siebie, przegarnął dłonią jej włosy i pocałował w usta. Przysunęła się bliżej i przywarła do niego. Pocałował ją znowu. Tym razem rozchyliła usta i poczuł jej język. Zaczął całować jej wargi, podbródek, szyję. Przyciągnęła go do siebie i zacisnęła mu dłonie na plecach, gdy całował przód jej koszuli i każdy guzik, nim go rozpiął. Uwolnił jej piersi i całował je - najpierw miękkie kule, potem twarde, sterczące sutki. Wreszcie zsunął dłonie po jej płaskim brzuchu. Czuł, jak Sally gładzi rękami jego kark. Rozpiął jej spodnie i ukląkł, całując pępek. Zsunął jej spodnie i przesunął dłońmi dookoła, by objąć ją z tyłu. Wysunęła biodra do przodu i rozchyliła uda z krótkim westchnie-

niem, a on całował ją nadal, obejmując za pośladki. Sally wbiła mu palce w ramiona i westchnęła głośniej, jęknęła i zadrżała.

Potem rozebrała go i obydwoje położyli się w ciepłym półmroku. Kochali się do zachodu słońca, a małe jak monety plamki światła nabierały czerwonej barwy i gasły, gdy słońce zachodziło za drzewa. Chata pogrążyła się w ciszy i ciemności; rozlegały się jedynie ciche okrzyki, wypełniające otaczający ich dziwny świat.

54

Obudził ich pogodny głos Borabaya. Zapadła noc i powietrze było chłodniejsze, do chaty dotarła woń pieczonego mięsa.

- Kolacja!

Tom i Sally ubrali się i wyszli z szałasu, czując zażenowanie. Niebo iskrzyło się gwiazdami, wielka Mleczna Droga ciągnęła się nad ich głowami jak rzeka światła. Tom nigdy nie widział tak czarnej nocy ani tak jaskrawej Drogi Mlecznej.

Borabay siedział przy ognisku, obracając szaszłyki. W przerwach zajmował się wydrążoną tykwą, w której wywiercił otwory i na koniec wyciął z jednej strony wąski otwór. Wreszcie uniósł ją do ust i dmuchnął w szczelinę. Rozległ się miły, niski dźwięk, a po nim następne. Borabay spojrzał na nich z uśmiechem.

- Kto chce słuchać muzyki?

Zaczął grać; pozornie niezgrane nuty układały się w poruszającą melodię. W dżungli zapanowała cisza; czyste dźwięki tykwy nabrały tempa, unosiły się i opadały, z ruladami tonów klarownych i spiesznych jak górski strumień. Chwilami następowała cisza, gdy melodia zdawała się zawisać w powietrzu, po czym zaczynała się od nowa. Zakończyła się ciągiem niskich nut tak upiornych jak jęk wiatru w jaskini.

Kiedy Borabay skończył, milczenie przeciągnęło się jeszcze parę minut. Stopniowo odgłosy dżungli wróciły w przestrzeń, pozostawioną przez melodię.

- Piękne - odezwała się Sally.

- Musiałeś odziedziczyć talent po swojej matce - powiedział Vernon. - Ojciec miał słoniowe ucho.

- Tak. Moja matka bardzo śpiewać pięknie.

- Masz szczęście - odrzekł Vernon. - Prawie nie znaliśmy naszych matek.

- Macie nie ta sama?

- Nie. Każdy z nas pochodzi od innej. Ojciec wychowywał nas praktycznie sam.

- Nie rozumiem. - Borabay otworzył szerzej oczy.

- Kiedy dochodzi do rozwodu... - Tom urwał. - Cóż, czasami dziecko zostaje przy jednym z rodziców, a drugie znika.

- Bardzo to dziwne. - Borabay potrząsnął głową. - Szkoda, że nie mam ojca. - Obrócił szaszłyki. - Opowiedzcie mi, jak jest rosnąć z ojcem.

- Mój Boże, od czego zacząć? - Philip zaśmiał się ponuro. - Kiedy byłem mały, myślałem, że jest przerażający.

- Kochał piękno - wtrącił się Vernon. - Tak bardzo, że czasami płakał przed pięknymi malowidłami czy rzeźbami.

- Tak, płakał, gdy nie mógł ich mieć. - Philip prychnął. - Chciał posiadać piękno. Mieć je dla siebie. Kobiety, obrazy, wszystko. Jeśli coś było piękne, to tego pragnął.

- Dosyć uproszczone ujęcie - stwierdził Tom. - W umiłowaniu piękna nie ma nic złego. Świat potrafi być bardzo paskudny. Ojciec kochał sztukę dla niej samej, a nie dlatego, że była modna czy dzięki niej zarabiał.

- Ojciec żył, nie licząc się z zasadami innych ludzi - powiedział Vernon. - Był egocentrykiem. Nie tańczył tak, jak mu zagrali.

- Pewnie, że nie. - Philip machnął ręką. - Nie, Vernonie, kiedy przeszkadzała mu czyjaś melodia, walił tego kogoś w łeb, odbierał mu instrumenty i sam prowadził paradę. Takie właśnie miał podejście do życia.

- Co z nim robiliście?

- Uwielbiał zabierać nas na kampingi - powiedział Vernon.

Philip odchylił się w tył i gardłowo zaśmiał.

- Obrzydliwe obozy wędrowne w deszcz i z chmarami komarów, podczas których ojciec pastwił się nad nami, każąc wykonywać nam wszystkie prace.

- Na jednym z nich złowiłem swoją pierwszą rybę - wtrącił Vernon.

- Ja też - dodał Tom.

- Obóz wędrowny? Co to takiego?

Dyskusja jednak zaczęła omijać Borabaya.

- Ojciec potrzebował ucieczki od cywilizacji, żeby uprościć swoje życie. Musiał stwarzać wokół siebie prostotę, bo był bardzo skomplikowany, i osiągał ją dzięki wyprawom na ryby. Uwielbiał łowić na błyszczek.

- Wędkowanie to oprócz komunii chyba najbardziej idiotyczna rzecz, znana człowiekowi.

- To obraźliwa uwaga - powiedział Tom. - Nawet jak na ciebie.

- Daj spokój, Tom. Nie mów mi, że na stare lata dałeś sobie wcisnąć ten kit. To jak osiem ścieżek Vernona! Skąd się wzięła ta cała wasza religijność? Ojciec był przynajmniej ateistą. Proszę bardzo, Borabay - ojciec miał przynajmniej jedną dobrą cechę: urodził się jako katolik, ale stał się rozsądnym, trzeźwym, zatwardziałym ateistą.

- W życiu chodzi o wiele więcej niż tylko o twoje garnitury od Armaniego, Philipie - powiedział Vernon.

- Prawda - odparł Philip. - Jest jeszcze Ralph Lauren.

- Zaczekajcie! - zawołał Borabay. - Wszyscy mówicie na jeden raz. Nie rozumiem.

- Naprawdę nakręciłeś nas tym pytaniem - powiedział, wciąż śmiejąc się, Philip. - Masz jeszcze jakieś?

- Tak. Jacy wy synowie?

Śmiech Philipa zamarł. Dżungla szeleściła za kręgiem światła ogniska.

- Nie jestem pewny, o co ci chodzi - odrzekł Tom.

- Mówili wy, jaki ojciec dla was - wyjaśnił Borabay. - Teraz ja pytam, jakie wy synowie dla niego.

- Byliśmy dobrymi synami - odrzekł Vernon. - Staraliśmy się spełniać jego oczekiwania. Robiliśmy wszystko, czego chciał. Przestrzegaliśmy jego reguł, co niedziela graliśmy dla niego cholerny koncert, wszyscy chodziliśmy na zaplanowane dla nas lekcje i staraliśmy się wygrywać w swoich dziedzinach - może z niewielkimi sukcesami, ale się staraliśmy.

- Robili wy, co prosił, ale co robili, czego nie prosił? Pomagali mu łowić? Pomagali mu posadzić nowy dach po burzy? Pomagali robić kanoe? Pomagali mu, kiedy chory?

Tom nagle odniósł wrażenie, że Borabay przez cały czas zmierzał właśnie do tej kwestii. Zadał sobie pytanie, o czym Maxwell Broadbent rozmawiał przez ostatni miesiąc życia ze swoim najstarszym synem.

- Ojciec zatrudniał ludzi, którzy to wszystko robili - oświadczył Philip. - Miał ogrodnika, kucharza, kobietę do sprzątania domu, majstrów do naprawiania dachu. I miał pielęgniarkę: w Ameryce kupuje się to, co ci potrzebne.

- Nie o to mu chodzi - uznał Vernon. - Chce wiedzieć, co zrobiliśmy dla ojca, kiedy zachorował.

Tom poczuł, że się rumieni.

- Kiedy chory na rak, co wy robicie? Idziecie do jego domu? Zostawacie z nim?

- Borabay - powiedział podniesionym tonem Philip - narzucanie się choremu człowiekowi byłoby z naszej strony zupełnie bez sensu. Sam nie chciałby nas widzieć.

- Pozwolili wy, żeby obcy zajął się ojcem, kiedy chory?

- Nie będę wysłuchiwał wykładu twojego czy kogokolwiek innego, jakie były moje synowskie obowiązki - odparł Philip.

- Ja nie wykładuję. Ja daję proste pytanie.

- Odpowiedź brzmi: tak. Pozwoliliśmy, by obcy człowiek pielęgnował ojca. Przez niego mieliśmy parszywe dzieciństwo i nie mogliśmy się doczekać, kiedy się od niego uwolnimy. Tak właśnie się dzieje, jeśli jesteś

złym ojcem - synowie od ciebie uciekają. Porzucają cię, znikają. Nie mogą się doczekać, aż będą mieli cię z głowy!

- On twój ojciec, dobry czy zły. - Borabay podniósł się na równe nogi. - Żywi cię, chroni cię, wychowuje cię. Tworzy cię.

- Chodzi ci o wstrętne wydzielenie pewnego płynu ustrojowego? - Philip również podniósł się z furią. - Spłodzenie nas? Byliśmy przypadkami, każdy z nas. Co to za ojciec, który odbiera dzieci matkom? Co to za ojciec, który wychowuje nas, jakby był to jakiś eksperyment, mający na celu stworzenie geniuszy? Który wlecze nas przez dżunglę, żebyśmy umarli?

Borabay zamachnął się na Philipa - tak szybko, że ten jak gdyby nagle gdzieś znikł w ciemnościach. Indianin - sto sześćdziesiąt centymetrów wymalowanej furii - stał w miejscu, zaciskając i rozwierając pięści. Philip usiadł na ziemi poza kręgiem blasku ogniska i zakaszlał.

- Ugh. - Splunął. Zakrwawiona warga szybko puchła.

Borabay wpatrywał się w niego, oddychając ciężko.

Philip otarł twarz, na której stopniowo pojawił się uśmiech.

- No, no, najstarszy syn nareszcie pokazuje swoją pozycję w rodzinie.

- Ty nie mów tak na ojca.

- Będę o nim mówił, jak mi się spodoba, i żaden niepiśmienny dzikus nie zmieni tego, co myślę.

Borabay zacisnął pięści, ale nie zrobił żadnego ruchu w jego stronę.

Vernon pomógł Philipowi się podnieść. Philip otarł wargę, ale miał triumfujący wyraz twarzy. Borabay stał niepewnie, jakby do niego dotarło, że popełnił błąd, że nie wiedzieć czemu, uderzając brata, przegrał spór.

- No dobrze - wtrąciła się Sally. - Dosyć rozmów o Maxwellu Broadbencie. Nie możemy sobie pozwolić w takiej chwili na kłótnie i dobrze 0 tym wiecie. - Obejrzała się na Borabaya. - Wygląda na to, że kolacja się przypaliła.

Borabay w milczeniu zdjął poczerniałe szaszłyki znad ognia i zaczął rozkładać je na liście.

Surowe zdanie Philipa wciąż dźwięczało Tomowi w uszach: „Tak właśnie się dzieje, jeśli jesteś złym ojcem - synowie od ciebie uciekają". 1 zastanowił się, czy im się to rzeczywiście udało.

55

Max Graff usiadł w fotelu z oparciami przy kominku i założył nogę na nogę, przybierając czujny i uprzejmy wyraz twarzy. Skiba zdumiewał się, że mimo wszystko Graffowi nadal udało się zachowywać jak pewny

siebie, przykładny uczeń szkółki niedzielnej. Graff wiosłowałby przez Styks ku samym bramom piekła, a mimo to z niewinnym obliczem przekonywałby swoich pasażerów, że niebo jest tuż za rogiem.

- Czym mogę ci służyć, Mikę? - spytał uprzejmie Lewis.

- Co się stało przez ostatnie dwa dni z akcjami? Ich kurs wzrósł o dziesięć procent.

Skiba potrząsnął głową. Dom się palił, a Graff siedział w kuchni i narzekał, że kawa jest zimna.

- Ciesz się lepiej, że przetrwaliśmy ten artykuł w „Journalu" o floksatanie.

- Jeszcze jeden powód, żeby się martwić, kiedy cena akcji rośnie.

- Posłuchaj, Mikę...

- Nie powiedziałeś chyba w zeszłym tygodniu Fennerowi o Kodeksie, prawda, Lewis?

- Powiedziałem.

- Chryste. Sam wiesz, co to za menda. Mamy i tak dość kłopotów, żeby brać sobie jeszcze na głowę łamanie zasady obiegu informacji giełdowych.

Skiba popatrzył na księgowego. Naprawdę powinien pozbyć się go już wcześniej. Graff jednak wiedział o nich takie rzeczy, że zwolnienie go odpadało. Czy to zresztą ważne? Było po wszystkim - dla Graffa, dla firmy, a zwłaszcza dla niego. Chciało mu się wrzeszczeć, tak bardzo to było nieistotne. Otworzyła się pod nimi bezdenna otchłań i już w nią spadali - lecz Graff jeszcze tego nie dostrzegał.

- Dzięki temu nie zmieni strategii i nie będzie zalecał sprzedawania akcji Lampe-Denison. Musiałem to zrobić, Mikę. Fenner nie jest idiotą. Nie szepnie o tym nikomu ani słowem. Zaryzykowałby utratę wszystkiego, co osiągnął przez całe życie, za kilkaset tysięcy dolarów na boku?

- Chyba żartujesz. Trzepnąłby własną babcię, żeby tylko podnieść piątaka z chodnika.

- To nie przez Fennera gracze na zniżkę pozbyli się reszty zapasów.

- To najwyżej trzydzieści procent.

- Ekscentrycy. Ryzykanci. Wdowy i sieroty. Dosyć, Mikę. Dosyć. Nie rozumiesz, co się dzieje? Już po wszystkim. Jesteśmy skończeni. Lampe-Denison pada.

- O czym ty mówisz? - Graff popatrzył na niego ze zdumieniem. - Przetrwamy tę bryndzę. Kiedy tylko dostaniemy tę księgę, wypłyniemy na otwarte wody.

Skiba poczuł, że krew mu gęstnieje i stygnie na samą wzmiankę o Kodeksie.

- Naprawdę myślisz, że to rozwiąże nasze problemy? - spytał cicho.

- Dlaczego nie? Czy czegoś nie wiem? Coś się zmieniło?

Skiba potrząsnął głową. Jakie to miało znaczenie? Czy cokolwiek miało znaczenie?

- Lewis, ten defetyzm jest do ciebie niepodobny. Gdzie twój sławetny duch walki?

Skiba czuł się znużony, śmiertelnie znużony. Kłótnia nic nie da. Było i tak raz na zawsze po wszystkim. Dalsze gadanie nie miało sensu. Zostawało im tylko jedno: czekać na koniec. Byli bezsilni.

- Kiedy pokażemy Kodeks, kurs akcji wejdzie na orbitę - kontynuował Graff. - Sukces to samonapędzający się mechanizm. Udziałowcy nam wybaczą, a to odbierze animusz temu porządnickiemu szefowi Komisji Papierów Wartościowych. Dlatego teraz martwię się trochę złamaniem zasad obiegu informacji. Jeśli ktoś powiedział coś o Kodeksie komuś, kto powtórzył to teściowej, która zadzwoniła do siostrzeńca w Dubuque - to nie wybronimy się z tego oskarżenia. To jak oszustwa podatkowe - na tym każdy może umoczyć. Popatrz tylko, co się stało z Marthą...

- Mikę?

- Co?

- Spierdalaj.

Skiba pogasił światło, wyłączył telefony i czekał na zapadnięcie ciemności. Na jego biurku zostały tylko trzy rzeczy: plastikowa fiolka z lekarstwem, butelka sześćdziesięcioletniego macallana i czysta szklanka.

Czas na wielkie wypłynięcie.

56

Następnego dnia wędrowcy opuścili porzucone obozowisko plemienia Tara i ruszyli w stronę Sierra Azul. Droga pięła się i opadała przez lasy i łąki, niekiedy mijała zarośnięte chwastami ugory. Tu i ówdzie w dżungli pokazywały się zrujnowane opuszczone chaty ze strzechami.

Dotarli do głębokiego, pogrążonego w chłodzie lasu. Borabay nagle uparł się, że będzie szedł przodem. Zazwyczaj poruszał się w dżungli bezszelestnie, natomiast teraz hałasował, śpiewał, walił niepotrzebnie w poszycie i często przystawał na „odpoczynki", które Tomowi bardziej przypominały rekonesansy. Wyraźnie się czymś denerwował.

Gdy dotarli do małej polany, Borabay stanął.

- Obiad! - zawołał głośno i zaczął rozkładać pęki palmowych liści.

- Jedliśmy obiad dwie godziny temu - zdziwił się Vernon.

- Znów mamy obiad!

Indianin zdjął z ramienia łuk i strzały. Tom zauważył, że Borabay kładzie je w pewnej odległości od siebie.

Sally usiadła obok Toma.

- Coś się stanie.

Borabay pomógł pozostałym zdjąć plecaki i położył je obok łuku i strzał, po drugiej stronie polany. Potem wrócił do Sally, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Daj mi karabin - powiedział cichym głosem.

Sally zdjęła broń z ramienia. Borabay następnie odebrał mężczyznom maczety.

- Co się dzieje? - spytał Vernon.

- Nic, nic, odpoczywamy tutaj. - Zaczął rozdawać suszone banany. _ Wy głodni, bracia? Bardzo dobry banan!

- Nie podoba mi się to - oświadczył Philip.

Vernon, który najwidoczniej nie dostrzegał podskórnego napięcia, zabrał się do owoców.

- Wspaniałe! - wymamrotał z pełnymi ustami. - Powinniśmy codziennie jeść dwa obiady.

- Bardzo dobrze! Dwa obiady! Dobry pomysł! - powiedział Borabay i hałaśliwie się zaśmiał.

I wtedy stało się. Tom zorientował się nagle, że bez jakiegokolwiek dźwięku czy widocznego ruchu ze wszystkich stron otoczyli ich Indianie z naciągniętymi maksymalnie na cięciwach strzałami. Mierzyła w nich również setka włóczni z kamiennymi grotami - zupełnie jakby przez dżunglę przeszedł niepostrzeżenie odpływ i odkrył ludzi, tak jak cofające się morze odsłania skały na brzegu.

Vernon wydał okrzyk i padł na ziemię. Natychmiast otoczyli go prężący mięśnie, napięci wojownicy; pięćdziesiąt strzał niemalże dotykało jego szyi i piersi.

- Nie ruszajcie się! - zawołał Borabay.

Odwrócił się i zaczął mówić szybko do Indian. Pod wpływem jego słów z wolna poluzowali cięciwy i cofnęli się nieco. Borabay mówił dalej, nie tak prędko i niższym tonem, ale równie kategorycznie. Wreszcie mężczyźni cofnęli się jeszcze o krok i opuścili łuki strzałami do ziemi.

- Wy ruszcie - powiedział Borabay łamaną angielszczyzną. - Wstańcie. Nie uśmiech. Nie ściskać ręki. Patrzcie każde oko. Nie uśmiech.

Posłuchali go i podnieśli się z ziemi.

- Idźcie po plecaki, broń i noże. Nie pokazujcie, że boicie. Róbcie złe twarze, ale mówcie nic. Uśmiechnijcie, a zginiecie.

Wypełnili jego polecenia. Gdy Tom wziął do ręki maczetę, Indianie natychmiast podnieśli łuki, ale opuścili je, gdy wsunął ją za pas. Zgodnie z instrukcjami Tom obrzucił posępnym spojrzeniem wojowników wokół siebie. Odpowiedzieli wzrokiem tak dzikim, że zmiękły mu kolana.

Borabay mówił coś dalej cichszym głosem i bodajże z gniewem. Kierował swoje uwagi do wyższego od innych mężczyzny z jaskrawymi pió-

rami, zatkniętymi za bransolety na muskularnych ramionach. Na sznurku na szyi miał odpady zachodniej technologii: CD-ROM z programem darmowego półrocznego dostępu do AOL, kalkulator z przewierconym otworem i tarczę od starego telefonu.

Mężczyzna popatrzył na Toma, zrobił krok naprzód i przystanął.

- Bracie, rób krok do człowieka, mów mu gniewnym głosem, żeby przeprosił.

Mając nadzieję, że Borabay rozumie psychologiczne niuanse sytuacji, Tom zmarszczył czoło i podszedł do wojownika.

- Jak śmiesz mierzyć do nas z łuku? - zapytał kategorycznie.

Borabay przetłumaczył. Mężczyzna odpowiedział gniewnie, gestykulując włócznią blisko twarzy Toma. Borabay przełożył:

- Mówi: „Kto ty jesteś? Dlaczego przychodzisz do kraj Tara bez zaproszenia?". Mów mu gniewnym głosem, że przychodzisz ratować swojego ojca. Krzycz na niego.

Tom posłuchał - zrobił jeszcze krok w stronę wojownika i zaczął krzyczeć, mając twarz tuż przy jego twarzy. Mężczyzna odpowiedział jeszcze bardziej gniewnym tonem, potrząsając włócznią przed nosem Toma. Na ten widok wielu wojowników znów napięło cięciwy.

- Mówi, że ojciec robi wielki kłopot dla Tara i on bardzo zły. Bracie, musisz być teraz bardzo zły. Mów im, żeby odłożyli łuki. Mów, że nie mówisz, aż odłożą łuki. Zrób wielką obrazę.

Spocony Tom próbował pozbyć się lęku, udając irytację.

- Jak śmiecie nam grozić? - zawołał. - Przybywamy na wasze ziemie w pokoju, a wy oferujecie nam wojnę! Czy tak lud Tara traktuje swoich gości? Jesteście zwierzętami czy ludźmi?

Tłumacząc jego słowa, Borabay rzucał Tomowi spojrzenia aprobaty - zresztą bez wątpienia ozdabiał jego słowa własnymi dodatkami.

Łuki opadły. Tym razem wojownicy zdjęli strzały z cięciw i schowali je do kołczanów.

- Teraz uśmiechnij. Krótki uśmiech, nie wielki uśmiech.

Tom na moment rozciągnął usta w uśmiechu i ponownie przybrał marsową minę. Borabay mówił coś długo, po czym odwrócił się w jego stronę.

- Musisz objąć i pocałować tego wojownika na sposób Tara.

Tom niezręcznie objął mężczyznę i pocałował z obu stron szyi, tak jak kilkakrotnie uczynił to Borabay. Czerwona i żółta farba została mu na twarzy. Wojownik odpowiedział identycznym rytualnym uściskiem, jeszcze bardziej usmarowując Toma.

- Dobrze - powiedział niemal z ekstazą, pełen ulgi Borabay. - Wszystko teraz wspaniale! Idziemy do wsi Tara.

Okrągły plac z ubitą ziemią otaczały dwa nieregularne pierścienie krytych strzechą chat, takich, w jakich spali kilka nocy temu. Chaty nie

miały okien, jedynie otwór na szczycie dachu. Przed wieloma z nich paliły się ogniska, na których kobiety gotowały we francuskich garnkach, posługując się miedzianymi chochlami i niemieckimi sztućcami ze stali nierdzewnej - darami Maxwella Broadbenta. Gdy Tom wszedł z grupą wojowników na środek placu, obłożone liśćmi drzwi pootwierały się i stanęli w nich, gapiąc się na nowo przybyłych, młodsi mieszkańcy. Małe dzieci były zupełnie nagie; starsze nosiły brudne szorty lub przepaski. Kobiety miały przewiązane na biodrach kawałki materiału; klatkę piersiową i piersi zdobiła czerwona farba. Wiele nosiło kółka w ustach i uszach. Jedynie mężczyźni mieli na ramionach pióra.

Nie było formalnej ceremonii powitalnej. Wojownicy, eskortujący przybyszów do wioski, rozeszli się z całkowitą obojętnością do swoich zajęć. Kobiety i dzieci nadal gapiły się na obcych.

- Co teraz robimy? - spytał Tom, stojąc nadal na środku placu i rozglądając się dookoła.

- Czekamy - powiedział Borabay.

Wkrótce z jednej z chat wyłoniła się bezzębna kobieta, zgarbiona ze starości wpół i wsparta na lasce. Rozczochrane krótkie siwe włosy nadawały jej wygląd wiedźmy. Podeszła do wędrowców w udręczająco powolnym tempie, nie odrywając spojrzenia paciorkowatych oczu od ich twarzy. Ssała zapadnięte wargi i pomrukiwała coś do siebie. Wreszcie stanęła przed Tomem i obrzuciła go uważnym wzrokiem.

- Nic nie rób - polecił cicho Borabay.

Kobieta uniosła zasuszoną dłoń i uderzyła Toma w kolana, następnie rąbnęła go w uda - raz, dwa, trzy razy, zdumiewająco silnie jak na staruszkę - przez cały czas mamrocząc coś do siebie. Wreszcie uderzyła Toma laską po goleniach i pośladkach. Odrzuciła kij i obscenicznie chwyciła go między nogami. Tom przełknął ślinę i starał się nawet nie mrugnąć, podczas gdy wiedźma dokładnie sprawdzała jego męskość. Wyciągnęła następnie rękę do góry i skinęła palcami. Tom nachylił się lekko. Chwyciła go za włosy i szarpnęła tak silnie, że łzy stanęły mu w oczach.

Stara kobieta odsunęła się, najwidoczniej skończywszy badanie. Uśmiechnęła się bezzębnymi ustami i zaczęła długą przemowę.

- Mówi, że przeciwnie do pozorów jednak ty mężczyzna - tłumaczył Borabay. - Zaprasza ciebie i twoich braci, zostańcie w wiosce jako goście ludu Tara. Przyjmuje waszą pomoc w walce ze złymi ludźmi w Białym Mieście. Mówi, że ty teraz wódz.

- Kto to? - Tom obejrzał się na staruszkę, która nadal wodziła po nim oczami od stóp do głowy i z powrotem.

- To żona Caha. Uważaj, Tom, lubi cię. Może w nocy przyjdzie do twojej chaty.

Przełamało to napięcie. Wszyscy się roześmiali, najdłużej Philip.

- Czego mam być wodzem? - spytał Tom. Borabay popatrzył na niego uważnie.

- Ty teraz wódz wojny.

- Jak to możliwe? - spytał oszołomiony Tom. - Jestem tu dopiero od dziesięciu minut.

- Mówi, że wojownicy Tara nie udali atak na białych ludzi i wielu zabitych. Wy też biali ludzie, to może lepiej rozumiecie wroga. Jutro powiedziesz walkę przeciw zły człowiek.

- Jutro? - spytał Tom. - Naprawdę dziękuję, ale nie skorzystam z tego zaszczytu.

- Masz nie wybór - odparł Borabay. - Mówi, że jeśli nie, to wojownicy Tara zabijają nas wszystkich.

Tej nocy Indianie rozpalili wielkie ognisko i zaczęło się coś na kształt święta. Na początek była uczta z wielu serwowanych na liściach dań, której kulminacyjnym punktem stał się upieczony w ziemnym palenisku tapir. Mężczyźni zatańczyli i wspólnie zagrali przenikający do głębi, niezwykły utwór na fletach; występem tej orkiestry kierował Borabay. Wszyscy położyli się późno spać. Borabay obudził ich kilka godzin później. Było jeszcze ciemno.

- Idziemy teraz. Mów do ludzi.

Tom utkwił w nim zdumiony wzrok.

- Mam przemówić?

- Pomogę.

- Nie ma co, muszę to zobaczyć - oświadczył Philip.

Do ogniska narzucano świeżych kłód. Tom zorientował się, że zebrała się tu cała wioska i czeka w milczeniu i z szacunkiem na jego przemowę.

- Tom, ty mi mów, żeby wybrać dziesięć najlepszych wojowników na walkę - szepnął Borabay.

- Walkę? Jaką walkę?

- Walczymy z Hauserem.

- Nie możemy...

- Bądź cicho i rób, co mówię - syknął Borabay.

Tom wydał rozkaz i Borabay ruszył przez tłum, klaszcząc w ręce i klepiąc rozmaitych mężczyzn po ramieniu. Po pięciu minutach towarzyszyło mu dziesięciu wojowników, ozdobionych piórami, farbą i naszyjnikami, wyposażonych w łuki i kołczany.

- Teraz daj mowę.

- Co mam powiedzieć?

- Mów mocno. Jak uratujesz ojca, zabijesz złych ludziów. Nie martw się, co nie powiesz, ja naprawię.

- Nie zapomnij obiecać kury w każdym garnku - wtrącił Philip.

Tom zrobił krok naprzód i rozejrzał się po twarzach mieszkańców. Pomruk rozmów natychmiast ucichł. Patrzyli teraz na niego z nadzieją. Przeszedł go dreszcz strachu. Nie miał pojęcia, co właściwie robi.

- Ee, panie i panowie?

Borabay rzucił mu pełne rozczarowania spojrzenie. Następnie znacznie bardziej wojowniczym tonem wykrzyczał coś, co brzmiało o wiele efektowniej niż słabe słowa Toma. Wszyscy się wyprostowali, aż rozległ się szelest. Tom doznał nagłego uczucia *deja vu* - przypomniał sobie przemowę Don Alfonsa przed wypłynięciem z Pito Solo. Musiał wygłosić podobną przemowę, choćby była pełna kłamstw i czczych obietnic. Zaczerpnął głęboko tchu.

- Moi przyjaciele! Przybyliśmy do krainy Tara z odległego miejsca o nazwie Ameryka!

Na dźwięk słowa „Ameryka", zanim jeszcze Borabay zdążył je przetłumaczyć, rozległ się szmer podniecenia.

- Pokonaliśmy wiele tysięcy kilometrów samolotem, łodzią i pieszo. Wędrowaliśmy czterdzieści dni i nocy.

Borabay powtórzył jego słowa. Tom spostrzegł, że zdobył niepodzielną uwagę słuchaczy.

- Lud Tara spotkało wielkie zło. Barbarzyńca nazwiskiem Hauser przybył z drugiej strony świata z najemnikami, by zabijać członków waszego ludu i rabować wasze grobowce. Porwali waszego wodza i zabili waszych wojowników. Gdy mówię te słowa, wrogowie są w Białym Mieście i kalają je samą swoją obecnością.

Kiedy Borabay to przetłumaczył, rozległ się głośny pomruk zgody.

- Jesteśmy tutaj - my, czterej synowie Maxwella Broadbenta - by uwolnić lud Tara od tego człowieka. Przybyliśmy, by wyzwolić naszego ojca, Maxwella Broadbenta, z ciemności grobu.

Tom przerwał, by Borabay przetłumaczył. Pięćset oświetlonych blaskiem ognia twarzy wpatrywało się w niego z napięciem i uwagą.

- Mój brat, Borabay, poprowadzi nas w góry, a tam przyjrzymy się złym ludziom i opracujemy plan ataku. Jutro staniemy do walki.

Po tych słowach rozległa się erupcja dźwięków, przypominających pomruki lub chichot - zapewne tutejszy odpowiednik wiwatów i oklasków. Tom poczuł, że jego małpka, Włochaty Wałkoń, wciska się jeszcze głębiej w kieszeń, szukając bezpieczniejszego ukrycia.

- Proś, żeby modlili i złożyli ofiarę - powiedział półgłosem Borabay.

Tom odchrząknął.

- Ludu Tara, wy wszyscy macie bardzo ważną rolę do odegrania w nadchodzącej walce. Proszę, byście się za nas modlili. Proszę, byście składali ofiary. Proszę, byście robili to każdego dnia, aż powrócimy jako zwycięzcy.

Borabay donośnym głosem powtórzył te polecenia, co wywarło elektryzujący efekt. Ludzie stłoczyli się bliżej, mamrocząc coś do siebie

z podnieceniem. Tom poczuł przeszywające go poczucie beznadziejności i absurdu: ci biedacy wierzyli w niego o wiele bardziej niż on sam.

Rozległ się zgrzytliwy głos i zebrani natychmiast się rozstąpili. Jak się okazało, zrobili wolne miejsce żonie Caha - wspierającej się na lasce staruszce. Podniosła wzrok i utkwiła oczy w Tomie. Zapanowała długa cisza. Wreszcie kobieta uniosła laskę i mocno rąbnęła Toma w uda. Postarał się nie zareagować na ból nawet najmniejszym skrzywieniem ust.

Starucha zawołała coś jeszcze chropawym głosem.

- Co powiedziała?

- Nie wiem, jak tłumaczyć - odrzekł Borabay. - Mówi mocny zwrot Tara. Znaczy coś jak: „Zabij albo zginiesz".

57

Profesor Julian Clyve oparł nogi na biurku, splótł dłonie za głową i odchylił się, aż zaskrzypiało stare krzesło. Był wietrzny majowy dzień, silne podmuchy skręcały gałęzie i szarpały liście jaworu pod oknem. Sally wyjechała ponad miesiąc temu. Nie miał od niej ani słowa. Clyve nie oczekiwał jakichkolwiek wiadomości, ale mimo to był zaniepokojony. Przed jej wyjazdem obydwoje spodziewali się, że Kodeks będzie oznaczał kolejny sukces w akademickiej karierze profesora. Po tygodniu czy dwóch zastanowienia Julian zmienił jednak zdanie. Proszę bardzo - był stypendystą Fundacji Rhodesa, profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Yale, z pasmem nagród i wyróżnień oraz listą publikacji, jakiej większość profesorów nie uzbiera przez całe życie. W istocie jednak nie potrzebował kolejnego akademickiego triumfu. Potrzebował - powiedzmy otwarcie - pieniędzy. System wartości amerykańskiego społeczeństwa stał całkowicie na głowie. Prawdziwa nagroda - materialny status - nie trafiała w ręce tych, którzy na nią najbardziej zasługiwali, czyli tych, którzy wytyczali intelektualne szlaki, elity umysłowej, kontrolującej i prowadzącej naprzód wielką, durną, nieruchawą bestię - *vulgus mobile*. Kto najlepiej zarabiał? Sportowcy, gwiazdy rocka, aktorzy i menedzerzy. Clyve natomiast u szczytu swojej kariery zarabiał tyle co przeciętny hydraulik. Było to niesprawiedliwe.

Gdziekolwiek się zjawił, ludzie go zauważali, ściskali mu rękę, chwalili go, podziwiali. Wszyscy bogacze New Haven chcieli go poznać - zapraszać na kolacje, „kolekcjonować" go i pokazywać jako dowód dobrego smaku, jakby był malowidłem renesansowego mistrza czy antycznym wyrobem ze srebra. Nie tylko było to niesmaczne, ale również upokarzające i drogie. Prawie wszyscy, których znał, mieli więcej pieniędzy od niego. Bez względu na to, ile zdobył nagród i wyróżnień, ile monografii opublikował, wciąż nie było go stać na rachunek w średniej klasy restau-

racji w New Haven. Zamiast niego to oni płacili za posiłki. Oni gościli go u siebie i zapraszali na przyjęcia dobroczynne w obowiązkowych strojach wieczorowych i płacili za stoliki, zbywając machnięciem ręką jego nieszczere oferty, iż zwróci im koszty. A po wszystkim musiał wracać z podkulonym ogonem do swojego obrzydliwe burżuazyjnego dwupoziomowego domu z dwiema sypialniami w akademickim getcie, podczas gdy tamci jechali do rezydencji na Fair Haven Heights.

Wreszcie zyskał jednak możliwość, by coś z tym zrobić. Popatrzył na kalendarz. Był trzydziesty pierwszy maja. Jutro powinna wpłynąć pierwsza rata z dwóch milionów od szwajcarskiego farmaceutycznego olbrzyma, Hartza. Wkrótce powinno nadejść pocztą zakodowane potwierdzenie z Kajmanów. Oczywiście Clyve będzie musiał wydawać pieniądze poza granicami Stanów Zjednoczonych. Dobrze byłoby je ulokować w przytulnej willi na Costiera Amalfitana - milion za willę, a drugi na inne wydatki. Ponoć Ravello jest śliczne. Miał nadzieję, że spędzi tam miesiąc miodowy z Sally.

Wrócił myślami do pierwszego spotkania z dyrektorem naczelnym i radą Hartza - tak bardzo poważnymi, tak bardzo szwajcarskimi. Oczywiście byli sceptycznie nastawieni, gdy jednak zobaczyli przetłumaczoną już przez Juliana stronę, siwi starcy prawie zaczęli się ślinić. Działy badawcze większości firm farmaceutycznych zajmowały się ludowymi lekarstwami - ale oto mieli podaną jak na talerzu kompletną medyczną książkę kucharską, a Julian był jedyną z wyjątkiem Sally osobą na świecie, która umiała ją należycie przetłumaczyć. Hartz będzie musiał jakoś się dogadać z Broadbentami, ale największą firmę farmaceutyczną na świecie niewątpliwie stać na odpowiednią zapłatę. Poza tym bez Juliana jako tłumacza co Broadbentowie mieliby z Kodeksu? Wszystko oczywiście trzeba załatwić zgodnie z prawem - firma przy tym obstawała. Tacy są Szwajcarzy.

Profesor Clyve zastanawiał się, jak Sally zareaguje na wieść, że Kodeks stanie się własnością wielkiej międzynarodowej korporacji. Znając swoją narzeczoną, domyślał się, że nie najlepiej. Kiedy jednak zaczną wydawać dwa miliony, które Hartz zobowiązał się wypłacić jako honorarium za odnalezienie księgi - nie wspominając o hojnym wynagrodzeniu, jakiego Julian spodziewał się za przekład - Sally na pewno się z tym pogodzi. Wytłumaczy jej, że to najlepsze wyjście, bo Hartz ma największe szanse przebadania nowych leków i wprowadzenia ich na rynek. Było to nie tylko najlepsze, ale i słuszne podejście. Badanie nowych leków wiąże się z wydatkami. Nikt nie robi tego za darmo - świat kręci się dzięki zyskom.

Co do niego samego, ubóstwo wydawało się dobre przez kilka lat młodzieńczego idealizmu, ale po trzydziestce stawało się nieznośne. A profesor Julian Clyve szybko zbliżał się do trzydziestki.

Po kilku godzinach wspinaczki po zboczu Tom i jego bracia pokonali pustą, omiataną wiatrami grań. Przed ich oczyma roztoczył się oszałamiający widok na góry - wzburzone morze wierzchołków i dolin, rozciągających się tarasami ku spowitemu w gasnącej purpurze horyzontowi. Borabay wyciągnął rękę.

- Sukia Tara - powiedział. - Białe Miasto.

Tom zmrużył oczy, bo na tej wysokości słońce jeszcze paliło. Około ośmiu kilometrów stąd, po drugiej stronie rozpadliny wznosiły się dwa białe wierzchołki skalne. Pomiędzy nimi była płaska, odosobniona wyniosłość z urwiskami po obu bokach, otoczona zębatymi szczytami. Płaskowyż stanowił osamotnioną łatę zieleni - balansującą na krawędzi przepaści połać żyznej dżungli wyglądającą, jakby ją skądś przeniesiono pomiędzy dwa kły białych skał. Tom wyobrażał sobie, że zobaczy ruiny z białymi wieżami i murami. Zamiast tego roztaczał się przed nim wyłącznie gęsty, nierówny dywan drzew.

Vernon uniósł lornetkę, przyjrzał się Białemu Miastu i podał ją Tomowi.

Zielony płaskowyż w zbliżeniu zyskiwał na szczegółach. Tom oglądał go powoli. Płaski teren porastały gęsto drzewa i pozornie nieprzeniknione kotary pnączy i lian. Jakiekolwiek miasto kryło się na niezwykłej, wywindowanej ku niebu platformie, było całkowiecie zasłonięte przez dżunglę. Tom jednak zdołał po dłuższej chwili wypatrzyć wystające tu i ówdzie z zieleni białawe kształty, układające się w niewyraźne zarysy - rogi budowli, kawałek zrujnowanego muru, ciemny prostokąt, wyglądający na okno. Gdy przeniósł wzrok dalej, na garb, który zrazu uznał za strome wzgórze, zorientował się, że to zrujnowana, gęsto zarośnięta piramida. Z jednej strony widniała w niej wyrwa - biała rana w żywej zieloności.

Płaskowyż, na którym stało miasto, można by bez przesady nazwać wyspą na niebie. Wznosił się pomiędzy dwoma szczytami, oddzielony od reszty Sierra Azul stromymi przepaściami. Wyglądał na niedostępny, lecz po chwili Tom dojrzał przecinającą jedną z rozpadlin żółtą nitkę - prymitywny wiszący most. Po dłuższej chwili zauważył, że mostu pilnie strzegą żołnierze, ulokowani w zrujnowanej kamiennej fortecy, niewątpliwie wybudowanej dla ochrony Białego Miasta przez pierwotnych mieszkańców. Ludzie Hausera wyrąbali kawał lasu na podejściu do mostu, by mieć czyste pole ostrzału.

Po drugiej stronie Białego Miasta niedaleko od mostu z gór spływała mała rzeka i spadała w przepaść, zamieniając się w niknącą we mgle na dole białą wstęgę. Wzbijające się z otchłani kłęby oparu zasłoniły

stopniowo wiszący most i wkrótce potem skryły Białe Miasto przed wzrokiem Toma. Mgła rozwiała się, zgęstniała znowu i jeszcze raz ustąpiła - był to niekończący się pojedynek ciemności i światła.

Tom zadrżał. Ich ojciec, Maxwell Broadbent, stał pewnie w tym samym miejscu czterdzieści lat temu. Bez wątpienia zdołał wypatrzyć niewyraźne zarysy budowli pośród chaosu roślinności. Tu właśnie dokonał pierwszego odkrycia i rozpoczął dzieło swojego życia. Tu też je zakończył, pogrzebany żywcem w ciemnym grobowcu. Białe Miasto okazało się początkiem i końcem kariery Maxwella Broadbenta.

Tom podał lornetkę Sally. Długo przyglądała się Białemu Miastu. Wreszcie opuściła lornetkę i zwróciła się z zarumienioną twarzą do Toma.

- Zbudowali je Majowie - powiedziała. - Jest tu centralny dziedziniec do uprawiania gier, piramida i piętrowe budowle. Układ z okresu klasycznego. Jestem pewna, że budowniczy tego miasta przybyli z Copan - prawdopodobnie właśnie tu przenieśli się po upadku tamtego ośrodka około dziewięćsetnego roku naszej ery. Znalazło się rozwiązanie wielkiej tajemnicy.

Jej oczy błyszczały, blask odbijał się od włosów barwy złota. Tom jeszcze nigdy nie widział Sally tak ożywionej. Pomyślał, że to zdumiewające, zważywszy na to, jak mało mieli snu.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Miał wrażenie, że dziewczyna odgadła, o czym myślał. Zarumieniła się nieco i odwróciła wzrok, uśmiechając się sama do siebie.

Philip wziął lornetkę następny i przyjrzał się ruinom. Tom usłyszał, jak jego brat gwałtownie wciągnął powietrze.

- Tam w dole są ludzie - zauważył Philip. - Ścinają drzewa u podstawy piramidy.

Rozległ się słaby huk ładunku wybuchowego i nad miastem uniósł się przypominający biały kwiat pióropusz pyłu.

- Musimy znaleźć grobowiec ojca przed nimi - powiedział Tom. - Albo...

Pozostawił zdanie niedokończone.

59

Resztę popołudnia spędzili pod osłoną drzew, obserwując Hausera i jego najemników. Jedna grupa żołnierzy oczyszczała z drzew teren u podnóża piramidy, podczas gdy druga dynamitem i łopatami torowała sobie drogę do drugiej, mniejszej, stojącej w pobliżu. Zmieniający kierunek wiatr przynosił słaby warkot pił łańcuchowych i, mniej więcej co Pół godziny, eksplozji, po których wzbijały się obłoki pyłu.

- Gdzie jest grób ojca? - spytał Tom Borabaya.

- W urwiskach pod miastem po drugiej stronie. W miejscu zmarłych.

- Czy Hauser go znajdzie?

- Tak. Ścieżka na dół jest ukryta, ale w końcu znajdzie. Może jutro, może dwa tygodnie.

Po nastaniu nocy w Białym Mieście zapłonęły dwa reflektory. Kolejne oświetliły wiszący most i pusty teren wokół niego. Hauser nie zamierzał ryzykować; przybył wyposażony we wszystko, łącznie z generatorem.

Broadbentowie zjedli kolację w milczeniu. Tom prawie nie czuł smaku żab, jaszczurek czy co tam ugotował dla nich Borabay. Z tego, co wypatrzył z ich punktu obserwacyjnego, Białe Miasto było dobrze strzeżone i nie widział sposobu, by się tam dostać.

Pod koniec posiłku Philip powiedział głośno to, o czym wszyscy myśleli:

- Uważam, że lepiej stąd zmykać po pomoc. Do cholery, nie poradzimy sobie sami.

- Philipie - zapytał Tom - kiedy tamci znajdą grób i go otworzą, jak myślisz, co się stanie?

- Obrabują go.

- Nie. Pierwsze, co zrobi Hauser, to zamorduje ojca. - Brat nie odpowiedział. - Wydostanie się stąd zajmie nam co najmmej czterdzieści dni. Jeśli mamy uratować ojca, musimy działać teraz.

- Nie chcę być tym, który stanie na przeszkodzie uratowaniu ojca, ale na miłość boską, Tom, mamy stary karabin, może z dziesięć naboi i garstkę wymalowanych wojowników z łukami i strzałami. Nasi przeciwnicy są wyposażeni w broń automatyczną, granatniki i dynamit. I mają przewagę, bo bronią niesamowicie bezpiecznej pozycji.

- Nie będą jej mieli, jeśli do miasta wiedzie jakaś tajna droga - odparł Tom.

- Nie ma tajnej drogi - wtrącił Borabay. - Tylko most.

- Musi być jakieś drugie wejście - tłumaczył Tom. - Inaczej jak zbudowano most?

Borabay popatrzył na niego i Tom poczuł z satysfakcją, że zatriumfował.

- Bogowie budują most - oświadczył brat.

- Bogowie nie budują mostów.

- Bogowie budują ten most.

- Do diabła, Borabay! Tego mostu nie zbudowali żadni bogowie, tylko ludzie, i żeby to zrobić, musieli się dostać na drugą stronę.

- Masz rację - poparł go Vernon.

- Bogowie budują most - upierał się Borabay. - Ale - dodał po chwili - ludzie Tara też wiedzą, jak budować most tylko z jednej strony.

- Niemożliwe.

_ Bracie, zawsze taki pewny, że masz rację. Mówię ci, jak ludzie Tara budują most z jednej tylko strony. Najpierw Tara strzela strzałę z liną i hakiem. Wbija w drzewo na drugiej stronie. Potem wysyła małego chłopaka w koszu na kółkach.

- Jak się przedostaje na drugą stronę?

- Ciągnie się.

- Jakim cudem można strzelić tak, żeby strzała doleciała z hakiem i liną na odległość sześćdziesięciu metrów?

- Tara bierze specjalny wielki łuk i specjalną strzałę z piórem. Bardzo ważne czekać na dzień z silnym wiatrem w dobrym kierunku.

- I co dalej?

- Kiedy chłopiec po drugiej stronie, człowiek strzela drugą strzałę z liną. Chłopiec wiąże dwie liny razem, nakłada linę na małe koło...

- Bloczek.

- Tak. Potem takim bloczkiem człowiek może przeciągnąć wiele rzeczy. Najpierw ciągnie ciężką grubą linę w koszu, która się rozwija, im dalej. Potem człowiek może przejść po grubej linie. Człowiek bierze drugi bloczek, żeby ciągnąć jeszcze trzy liny, jedna po drugiej. Ma teraz cztery liny przez wąwóz. Potem więcej ludzi idzie na drugą stronę w koszu...

- Wystarczy - przerwał mu Tom. - Już zrozumiałem.

Zamilkli. Docierało do nich, w jak beznadziejnej sytuacji się znaleźli.

- Czy wojownicy Tara próbowali już wciągnąć żołnierzy w zasadzkę i odciąć most?

- Tak. Wielu ginie.

- Próbowali użyć płonących strzał? - zapytał Vernon.

- Nie dostają mostu.

- Nie zapominajmy, że jeśli most zostanie przecięty, ojciec też będzie uwięziony po drugiej stronie - zauważył Tom.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Rozważam tylko możliwości. Może zaproponujemy Hauserowi układ: niech wypuści ojca, to będzie mógł zatrzymać dla siebie bogactwa z grobowca. Spiszemy to, podpiszemy i będzie po wszystkim - zaproponował Vernon.

- Ojciec nigdy by się na to nie zgodził - powiedział Tom.

- Nawet gdyby równało się to uratowaniu mu życia?

- I tak umiera na raka.

- A życia nam?

Philip popatrzył na braci.

- Nawet nie myślcie o zaufaniu Hauserowi czy zawarciu z nim jakiejkolwiek umowy.

- No dobrze - powiedział Vernon. - Wyeliminowaliśmy dostanie się do Białego Miasta inną drogą i frontalny atak. Ktoś tu wie, jak zbudować lotnię?

- Nie.

- Pozostaje zatem tylko jedna możliwość.

- Jaka?

Vernon wygładzi! piasek przy ognisku i zaczął rysować szkic terenu, tłumacząc swój plan. Gdy skończył, Philip pokręcił głową.

- To szaleństwo - skomentował pomysł Vernona. - Mówię, żeby wracać po pomoc i wtedy przyjść tu znowu. Znalezienie grobu ojca może im zabrać całe miesiące.

- Philip, ty może nie rozumiesz - przerwał mu Borabay. - Jeśli teraz uciekamy, ludzie Tara nas zabijają.

- Bzdury.

- Obiecaliśmy. Nie możemy łamać obietnicy.

- Niczego nie obiecywałem, do cholery, to Tom. Tak czy inaczej możemy ominąć wioskę Tara i zniknąć, zanim się zorientują.

- Jak tchórz, bracie. - Borabay pokręcił głową. - Wtedy ojciec umiera w grobie. Jak Tara cię złapią, to śmierć tchórza wolna i paskudna. Odcinają...

- Już słyszeliśmy, co robią - przerwał mu Philip.

- Nie ma dość jedzenia i wody w grobie, żeby długo wystarczyło.

Zatrzeszczał ogień. Tom popatrzył przez drzewa. Poniżej, w odległości niecałych ośmiu kilometrów skupione koło siebie trzy snopy światła wyznaczały miejsce, gdzie było Białe Miasto. Rozległ się kolejny stłumiony wybuch dynamitu. Ludzie Hausera pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Broadbentowie byli naprawdę przyparci do muru. Nie mieli właściwie nic, tylko jeden mizerny plan. Na nic lepszego się jednak nie zanosiło.

- Dość gadania - powiedział Tom. - Mamy plan. Kto w niego wchodzi?

- Ja - zgłosił się Vernon.

- Ja - przyłączył się do niego Borabay i kiwnął głową.

- Ja - odezwała się Sally.

Oczy wszystkich skupiły się na Philipie. Zrobił gniewny ruch dłonią, jakby chciał ich wszystkich odgonić.

- Na miłość boską, przecież już wiecie, co odpowiem.

- To znaczy?

- Oficjalnie mówię: nie, nie, nie. To dobry plan dla Jamesa Bonda, ale nie dla nas. W prawdziwym życiu nigdy się nie uda. Nie róbcie tego. Na miłość boską, nie chcę na dodatek stracić swoich braci. Nie róbcie tego.

- Musimy, Philipie - odrzekł Tom.

- Nikt nic nie musi! Może to bluźnierstwo, ale czy nie ma odrobiny prawdy w tym, iż ojciec sam sobie to wszystko ściągnął na głowę?

- A więc po prostu pozwolimy mu umrzeć?

- Proszę was tylko, żebyście nie poświęcali życia nadaremnie.

Machnął rękami i wielkimi krokami odszedł w ciemność.

Vernon chciał wykrzyczeć odpowiedź, ale Tom położył mu dłoń na ramieniu i pokręcił głową. Może Philip miał rację, że to samobójcza misja, Tom nie miał jednak wyboru. Po prostu - gdyby teraz nic nie zrobił, nie byłby w stanie później wytrzymać sam ze sobą.

Odblask płomieni rozjaśnił ich twarze. Zapadła długa, pełna niepewności cisza.

- Nie ma na co czekać - stwierdził Tom. - Ruszymy o drugiej w nocy. Zejście na dół zabierze nam parę godzin. Każdy wie, co ma robić. Borabay, wytłumacz wojownikom, co do nich należy. - Obejrzał się na Vernona. Był to właściwie jego plan - brata, który nigdy nie przejawiał żadnej inicjatywy. Tom objął go ramieniem. - Dobra robota - pochwalił.

- Mam wrażenie, jakbyśmy trafili do „Czarnoksiężnika z krainy Oz" - uśmiechnął się Vernon.

- Co masz na myśli?

- Odnalazłem swój mózg. Ty znalazłeś serce, Tom, a Borabay rodzinę. Jedyny problem w tym, że Philip jeszcze nie znalazł odwagi.

- Nie wiedzieć czemu sądzę, że do poradzenia sobie z Hauserem nie wystarczy samo wiadro wody - powiedział Tom.

- Nie - mruknęła Sally. - Na pewno.

0

Tom podniósł się z hamaka o pierwszej. Noc była czarna - chmury przesłoniły gwiazdy, niespokojny wiatr szumiał i szeleścił w listowiu. Jedyne światło padało z rozżarzonych węgli, rzucając czerwonawy blask na twarze dziesięciu wojowników z plemienia Tara. Siedzieli w kręgu wokół ogniska, nie poruszywszy się ani nie odezwawszy słowem przez cały wieczór.

Przed obudzeniem reszty Tom zabrał lornetkę i wyszedł za drzewa, aby jeszcze raz popatrzeć na Białe Miasto. Reflektory wciąż oświetlały wiszący most, żołnierze siedzieli w zrujnowanej fortecy. Tom pomyślał, co ich czeka. Być może Philip miał rację, i to samobójstwo. Może Maxwell Broadbent leżał już martwy w grobowcu i ryzykowali życie nadaremnie. Było to zresztą bez znaczenia: po prostu musiał spróbować.

Poszedł budzić pozostałych, ale zobaczył, że w większości już nie śpią. Borabay rozgarnął węgle, dorzucił świeżych gałęzi i nastawił garnek z wodą. Sally wkrótce dołączyła do nich i zaczęła sprawdzać springfielda w świetle ogniska. Miała ściągniętą, zmęczoną twarz.

- Pamiętasz powiedzenie generała Pattona, jaka jest pierwsza ofiara bitwy? - spytała Toma.

- Nie.

- Plan bitwy.

- Myślisz, że nam się nie uda? - spytał.

- Pewnie nie. - Pokręciła głową. Potem popatrzyła na karabin i jeszcze raz -już bez potrzeby - przetarła go irchą.

- Jak myślisz, co się stanie?

Bez słowa wzruszyła ramionami; fale blasku przewędrowały po jej gęstych włosach. Tom zorientował się, że jest bardzo zaniepokojona. Położył jej rękę na ramieniu.

- Musimy to zrobić, Sally.

- Wiem. - Skinęła głową.

Vernon dołączył do nich przy ognisku. We czworo w milczeniu pili herbatę. Gdy skończyli, Tom popatrzył na zegarek. Druga. Rozejrzał się za Philipem, ale ten nawet nie wyszedł z chaty. Tom kiwnął głową Borabayowi. Wszyscy wstali. Sally przełożyła karabin przez ramię. Zarzucili na plecy niewielkie plecaki z palmowych liści, zawierające zapasy żywności i wody, zapałki, kuchenkę turystyczną oraz niewielki podstawowy ekwipunek. Ruszyli gęsiego, Borabay na czele. Wojownicy zamykali pochód. Wyszli z zagajnika na otwarty teren.

Dziesięć minut od wymarszu z tyłu rozległ się tupot stóp. Zatrzymali się, nasłuchując. Wojownicy założyli strzały na cięciwy i je naciągnęli. Po chwili pojawił się zdyszany Philip.

- Chcesz życzyć nam szczęścia? - spytał Vernon z nutą sarkazmu.

Philip poczekał chwilę, aż odzyska dech.

- Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle pomyślałem o przyłączeniu się do tego wariackiego planu, ale do cholery, nie zamierzam dopuścić, żebyście sami poszli na śmierć.

61

Marcus Aurelius Hauser pogrzebał w raportówce, szukając kolejnego Churchilla. Wybrał jedno z cygar i obrócił je między kciukiem i palcem wskazującym. Przystąpił do rytuału przycinania, zwilżania i przypalania cygara, następnie wystawił je przed siebie w ciemnościach, by podziwiać gruby tlący się wierzchołek, podczas gdy aromat doskonałego kubańskiego tytoniu otoczył go kokonem elegancji i satysfakcji. Pomyślał z zadumą, że cygara zawsze wydają się w dżungli lepsze, mają pełniejszy i bogatszy smak.

Siedział dobrze ukryty w gąszczu paproci w strategicznym punkcie nad wiszącym mostem, skąd miał dobry widok na przejście i żołnierzy

w małej kamiennej reducie po drugiej stronie. Odgarnął parę liści i przyłożył lornetkę do oczu. Miał przeczucie, że trzej Broadbentowie spróbują się dzisiaj przedrzeć przez most. Nie mogli czekać - musieli dostać się do grobowca przed nim, jeśli chcieli zyskać jakąkolwiek szansę zachowania skarbów dla siebie.

Hauser wydmuchnął dym z ukontentowaniem, wracając myślami do Maxwella Broadbenta. Dla kaprysu przytargał tu antyki i dzieła sztuki warte setki milionów dolarów. Niedorzeczne, ale dokładnie w jego stylu. Max lubował się w wielkich gestach, teatralności, odgrywaniu przedstawienia. Żył na wysokiej stopie i tak umarł.

Marcus przypomniał sobie decydującą pięćdziesięciodniową wędrówkę przez dżunglę - czas mordęgi, której nie zapomni do końca życia. Usłyszeli, że gdzieś na Nizinie Gwatemalskiej w Cerros Escondidos znajduje się świątynia Majów. Pięćdziesiąt dni i pięćdziesiąt nocy wyrąbywania drogi przez zarośnięte szlaki, zadrapania, rany i ugryzienia, głodówka i choroby. Kiedy dobrnęli do wioski plemienia Lacandon, mieszkańcy nie chcieli z nimi rozmawiać. Owszem, świątynia gdzieś tam się znajdowała, bez wątpienia, ale nie sposób było wydusić z wieśniaków ani słowa. Hauser prawie skłonił pewną dziewczynę do mówienia, kiedy Broadbent wszystko zmarnował. Skurczybyk, przystawił mu pistolet do głowy i odebrał broń. Była to kropla, która przepełniła czarę - punkt zwrotny. Max wyrzucił go jak jakiegoś psa. Marcus nie miał wyboru; musiał zrezygnować z poszukiwań zaginionych miast i wracać, podczas gdy Max ruszył dalej i znalazł Białe Miasto. Obrabował tam wspaniały grobowiec, który czterdzieści lat później stał się mogiłą jego samego.

Historia zatoczyła pełny krąg, czyż nie?

Hauser znowu zaciągnął się z lubością cygarem. Podczas lat walki dowiedział się czegoś ważnego o ludziach. Gdy robi się ciężko, nigdy nie sposób przewidzieć, kto okaże się twardy, a kto się załamie. Zwaliści, klnący jak szewcy, ostrzyżeni na zero zwiadowcy z napompowanymi jak u Arnolda Schwarzeneggera mięśniami klatki piersiowej czasami rozłazili się jak przegotowane mięso, podczas gdy największe ciamajdy z kompanii, specjaliści od informacji czy sprzętu elektronicznego, okazywali się najskuteczniejsi w sztuce przetrwania. Wniosek był taki: nigdy nie wiadomo. Podobnie rzecz się miała z chłopakami Broadbenta. Hauser musiał im przyznać, że nieźle sobie poradzili. Teraz czas, by wyświadczyli mu ostatnią przysługę, i ich droga dobiegnie kresu.

Znieruchomiał, wytężając słuch. Gdzieś rozległy się ściszone przez odległość zawodzenia i krzyki. Hauser podniósł lornetkę do oczu. Zobaczył, że daleko w lewo od kamiennego umocnienia z dżungli wylatuje salwa strzał. Jedna z nich trafiła z cichym brzękiem w reflektor.

Indianie atakowali. Hauser się uśmiechnął. Oczywiście był to zwód, obliczony na odwrócenie uwagi wartowników od mostu. Widział swoich

ludzi, czających się za kamiennymi murami z bronią w pogotowiu i ładujących granatniki. Miał cholerną nadzieję, że żołnierze wypełnią swoje zadanie. Polegało ono na tym, co wychodziło im najlepiej - żeby schrzanili robotę.

Z lasu wyleciały kolejne strzały, czemu towarzyszył nowy ciąg mrożących krew w żyłach krzyków. Żołnierze w panice odpowiedzieli dwoma seriami. W stronę lasu poleciał zmarnowany granat - błysnął i huknął, nie wyrządzając żadnej szkody.

Przynajmniej raz najemnicy dobrze wywiązywali się z zadania.

Teraz, gdy Broadbentowie wykonali swoje posunięcie, Hauser wiedział dokładnie, co będzie działo się dalej. Było to tak pewne, jak seria wymuszonych ruchów w szachach.

I proszę bardzo, pokazali się, dokładnie w oczekiwanej chwili. Hauser znów przyłożył lornetkę do oczu. Trzej bracia i ich indiański przewodnik biegli chyłkiem w stronę mostu przez otwarty teren za żołnierzami. Myśleli, że są bardzo przebiegli, ale serce i rozum prowadziły ich prosto w pułapkę.

Hauser nie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

62

Sally doczołgała się na odległość dwustu metrów od pilnujących mostu żołnierzy. Ułożyła się za zwalonym pniem i wsparła lufę springfielda na gładkiej korze. Panowała cisza. Nie pożegnała się z Tomem; po prostu pocałowali się i rozeszli. Usiłowała nie myśleć o tym, co się działo. Plan był szaleńczy i Sally wątpiła, czy Broadbentom w ogóle uda się przedostać przez most. Nawet jeśli im się powiedzie i zdołają uwolnić ojca, to i tak się nie wydostaną z miasta.

Właśnie o tym nie chciała myśleć. Skupiła uwagę na karabinie. Springfield '03 został skonstruowany jeszcze przed pierwszą wojną światową, ale pasował do ręki i miał doskonały celownik. Chori utrzymywał broń w idealnym stanie. Sally obliczyła już odległość od swojego ukrycia do zrujnowanego umocnienia, gdzie mieli posterunek żołnierze - dwieście metrów - i odpowiednio nastawiła celownik. Chori posługiwał się standardową amunicją - wojskowymi nabojami typu .30-06 o ciężarze 150 granów, więc nie trzeba było dodatkowych obliczeń - nawet gdyby miała przy sobie tabele poprawek. Sally wyregulowała karbowaną gałką korektę na wiatr, szacując jego siłę najlepiej, jak umiała. W istocie strzał na odległość dwustu metrów nie był dla niej zbytnim wyzwaniem, zwłaszcza przy nieruchomym celu wielkości człowieka.

Doczołgawszy się do pnia, cały czas myślała, co oznacza zabicie człowieka i czy będzie do tego zdolna. Teraz, na minuty przed rozpoczęciem akcji wiedziała, że tak. Uratowanie Tomowi życia było dostatecznym powodem. Włochaty Wałkoń siedział w splecionej z pnączy małej klatce. Sally była zadowolona, że małpka dotrzymuje jej towarzystwa, chociaż marudziła i pomrukiwała, niezadowolona z uwięzienia i nieobecności swojego pana. Sally wyjęła garść orzechów, dała kilka Wałkoniowi, a resztę zjadła sama.

Lada chwila powinno się zacząć.

Akurat wtedy, gdy się tego spodziewała, usłyszała daleki krzyk z lasu po drugiej stronie stanowiska żołnierzy, a potem kolejne wrzaski, wycia i zawodzenia, brzmiące bardziej jak głosy setki niż dziesiątki wojowników. Chmara strzał poleciała nad ciemny las; mierzono wysoko, żeby spadły na żołnierzy pod ostrym kątem.

Sally szybko przyłożyła oko do lunety, by lepiej widzieć. Żołnierze w panice chwytali broń, ładowali granatniki i zajmowali pozycje za kamiennym murkiem. Zaczęli strzelać bezładnymi seriami, wymierzonymi na oślep w ścianę dżungli dwieście metrów od nich. W stronę lasu poszybował granat, upadł jednak o wiele za blisko i eksplodował na darmo. Za nim poleciały kolejne, wybuchając w koronach drzew i strącając gałęzie. Był to pokaz wyjątkowo niekompetentnego wojennego rzemiosła.

Sally zobaczyła ruch po lewej stronie. Czterej Broadbentowie biegli schyleni przez otwarty teren w stronę mostu. Mieli do pokonania dwieście metrów krzewów i powalonych pni, ale posuwali się w niezłym tempie. Żołnierze byli najwidoczniej bez reszty pochłonięci markowanym atakiem z flanki. Sally patrzyła dalej przez celownik, gotowa do udzielenia wsparcia ogniowego.

Jeden z żołnierzy podniósł się, by donieść więcej granatów. Sally wymierzyła w jego pierś z palcem na spuście. Żołnierz pobiegł zakosami w tył, uchylając się przed gradem strzał. Wyciągnął z puszki dwa kolejne granaty i wrócił - a przez cały czas nie uniósł nawet głowy.

Sally rozluźniła palec. Broadbentowie dotarli prawie do mostu mającego ze dwieście metrów długości. Skonstruowano go solidnie, ciężar dźwigały cztery grube liny z plecionego włókna, dwie na górze i dwie na dole. Pionowo rozpięte między górnymi i dolnymi linami sznury tworzyły oparcie dla nawierzchni z kawałków bambusa, przywiązanych w połowie wysokości pomiędzy parami lin. Bracia jeden po drugim chowali się pod mostem, wchodzili na jedną z dolnych lin i posuwali się naprzód, przytrzymując się pionowych sznurów. Wybrali odpowiedni moment - nagle zaczęła się podnosić gęsta mgła i po pokonaniu niespełna pięćdziesięciu metrów wszyscy czterej w niej znikli. Atak trwał jeszcze dziesięć minut, z kolejnymi salwami strzał i krzyka-

mi, po czym ucichł. Broadbentom się udało. Jakimś cudem ich szaleńczy plan się powiódł.

Teraz zostało im tylko powrócić.

Rozchwierutany bambusowy most ciągnął się przed Tomem. Kołysał się i skrzypiał w powiewach wiatru, kawałki pnączy i drewna osypywały się w przepaść. Mgła szybko gęstniała, widoczność wynosiła mniej niż dziesięć metrów. Huk wodospadu odbijał się daleko w dole echem jak głuchy ryk rozwścieczonej bestii. Most drżał przy każdym kroku.

Borabay ruszył pierwszy, potem Vernon, następnie Philip, wreszcie na końcu Tom. Posuwali się po dolnej linie, ukryci pod bambusowymi poprzeczkami. Tom szedł za braćmi najszybciej, jak było to bezpieczne. Główna lina zrobiła się wilgotna i śliska wskutek wznoszącej się mgły, skręcone włókna spęczniały i podgniły. Wiele pionowych sznurów porwało się i świeciły między nimi dziury. Przy każdym powiewie z dołu most chwiał się i skrzypiał; Tom musiał przystawać i czekać, aż liny znieruchomieją. Starał się skupić wzrok parę metrów przed sobą i nie patrzeć na nic innego. Krok za krokiem, powtarzał sobie. Krok za krokiem.

Bardziej przegniły od innych sznur pękł mu w ręce i na chwilę ogarnęła go trwoga przed upadkiem w przepaść, nim zdołał chwycić następny. Zrobił krok, czując, jak uspokaja się jego *łomoczące* serce. Ostrożnie ruszył dalej, próbując szarpnięciem każdy sznur, nim się go przytrzymał. Niewyraźne sylwetki braci w przodzie na poły nikły we mgle, spowite nierównym, stłumionym światłem, przenikającym przez opar od strony potężnego reflektora.

Im dalej bracia się posuwali, tym bardziej most kołysał się i trząsł. Kawałki bambusa skrzypiały, a liny trzeszczały i szurały, prawie jak żywe. Co jakiś czas nagłe powiewy wprawiały most w przerażające podrygiwania i podskoki. Tom mimo woli przypomniał sobie opowieść Don Alfonsa o bezdennej otchłani i spadających w nią, obracających się w nieskończoność, rozpadających się w pył ciałach. Zadrżał. Chociaż starał się nie patrzeć w dół, musiał opuścić wzrok, by wiedzieć, gdzie postawić nogę - i objął wzrokiem przyprawiającą o zawrót głowy przepaść, wypełnioną słupami mgły i niknącą w bezdennej przestrzeni. Dotarli już prawie do środka mostu - Tom widział najniższy punkt jego krzywizny i kawałek drugiej połowy wznoszącej się ku przeciwległemu brzegowi rozpadliny.

Wyjątkowo silny powiew wiatru nagle zakołysał mostem. Tom zacisnął ręce - o mało nie osunął się w dół. Usłyszał stłumiony okrzyk i zo-

baczył przed sobą spadające w przepaść dwa kawałki sznura, wirujące obłędnie w buchającym z dołu chłodnym powietrzu. Moment później Philip zawisł nad otchłanią, zaczepiwszy się łokciem o linę i wymachując nogami nad pustką.

Och, Boże, pomyślał Tom. Ruszył szybciej naprzód i o mało sam się nie zsunął. Philip mógł się utrzymać nad przepaścią najwyżej parę minut. Tom dotarł do brata. Philip kołysał się w milczeniu, starając się przerzucić stopę przez linę. Miał wykrzywioną ze strachu twarz i nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Dwaj pozostali znikli już we mgle.

Tom schylił się, objął jedną ręką linę, a drugą próbował wsunąć Philipowi pod ramię. Nagle nogi mu się ześlizgnęły i przez chwilę sam wisiał nad przepaścią, nim zdołał stanąć z powrotem. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi; paraliżujący strach sprawił, że wszystko zamazywało mu się przed oczami, z trudnością wciągał w płuca powietrze.

- Tom! - stęknął zdławionym, piskliwym jak u dziecka głosem jego brat.

Tom rozpłaszczył się na linie nad Philipem.

- Rozkołysz się - rozkazał, starając się mówić spokojnie. - Pomóż mi, zrób wymach w górę. Złapię cię.

Wyciągnął dłoń, gotów chwycić Philipa za pasek.

Brat próbował zamachnąć się w górę i objąć nogą linę, ale mu się to nie udawało. Przy wysiłku ramię zsunęło mu się z liny. Wydał krótki okrzyk. Po chwili Tom zobaczył, że jego brat obejmuje sznur splecionymi palcami o zbielałych kłykciach. Philipowi wymknął się ostry krzyk przerażenia.

- Spróbuj jeszcze raz! - krzyknął Tom. - Zamachnij się w górę! W górę!

Philip wykrzywił się i usłuchał. Tom spróbował chwycić go za pasek, ale znowu obsunęła mu się noga. Przez jedną przerażającą chwilę wisiała w powietrzu, gdy on sam przytrzymywał się wyłącznie jednego przegniłego sznura. Obluzowany podczas ich szarpaniny kawałek bambusa wysunął się i spadł, powoli się obracając, aż zniknął w mroku.

Wytrzyma najwyżej pięć sekund, pomyślał Tom. Philipowi została tylko jedna szansa.

- Zamachnij się nogami do góry! Włóż w to wszystkie siły, nawet gdybyś musiał się puścić. Przygotuj się. Raz, dwa, trzy!

Philip zrobił, co mu kazano. Tym razem Tom wyciągnął rękę, przytrzymując się drugą nadgniłego sznura. Zdołał wychylić się wystarczająco, by zacisnąć dłoń na pasku Philipa. Przez minutę wisieli obydwaj nad przepaścią, potem Tom z nadludzkim wysiłkiem wciągnął Philipa na linę i sam padł obok, ściskając ją, jakby była kołem ratunkowym.

Przez jakiś czas przywierali do liny w bezruchu, zbyt przerażeni, by się odezwać. Tom słyszał, jak jego brat chrapliwie wciąga powietrze.

- Philip? - zdołał wreszcie wykrztusić. - Nic ci nie jest?

Chrapliwe stęknięcia przycichły.

- Nic.

- Wszystko w porządku. Już dobrze. Nic ci nie grozi. - Tom postarał się, by zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

Dopadł ich kolejny powiew wiatru i most się zachybotał. Philip wydał z siebie przypominający gulgot dźwięk i całym ciałem przycisnął się do liny.

Minęła minuta. Bardzo długa minuta.

- Musimy ruszać - powiedział Tom do Philipa. - Musisz wstać.

Most zatańczył obłędnie przy następnym uderzeniu wiatru.

- Nie mogę.

Tom dobrze go rozumiał. Sam odczuwał przemożną chęć, by wczepić się w linę i na zawsze pozostać w bezruchu.

Mgła się przerzedzała. Z dołu dolatywały kolejne powiewy, tym razem bardzo silne. Most cały czas się kołysał - nieregularnie, ale jak trzaskający bicz, za każdym razem grożąc dwóm śmiałkom strząśnięciem w ciemną otchłań.

Wreszcie kołysanie ustało.

- Podnieś się, Philipie.

- Nie.

- Musisz. Już. - Jeśli czegoś nie mieli, to czasu. Mgła opadała, reflektor świecił coraz jaśniej. Wystarczyło, żeby któryś z żołnierzy popatrzył w tę stronę. Tom wyciągnął dłoń. - Chwyć mnie za rękę, to cię podniosę.

Philip wyciągnął drżącą dłoń. Tom chwycił ją i powoli postawił brata. Most zachwiał się, Philip wczepił się w pionowe sznury. Nastąpiła kolejna seria podmuchów, most znów zaczął się trząść i kołysać zatrważająco silnie. Philip jęknął ze strachu. Szarpany z boku na bok Tom wczepiał się kurczowo, w co tylko mógł. Minęło pięć minut, podczas gdy most chwiał się nadal - najdłuższych pięć minut w życiu Toma. Czuł, jak ramiona bolą go coraz bardziej z wysiłku. Wreszcie kołysanie ustało.

- Chodźmy.

Philip podniósł stopę, przestawił ją ostrożnie o krok na linie, to samo zrobił z drugą, wreszcie przełożył ręce i bokiem posunął się do przodu.

Po pięciu minutach dotarli do drugiego końca mostu. Borabay i Vernon czekali na nich w ciemności. Razem pobiegli co sił w głąb dżungli.

4

Borabay prowadził; trzej bracia podążali za nim gęsiego. Drogę oświetlała im niezwykła fosforescencja, którą Tom widział wcześniej;

wszystkie gnijące pnie i kłody były obramowane słabym zielonym blaskiem jak leśne zjawy. Tym razem nie wyglądało to pięknie, tylko strasznie.

Po dwudziestu minutach przed braćmi wyrósł zrujnowany kamienny mur. Borabay przystanął, pochylił się i nagle w jego rękach zabłysło światło. Wstał, wyciągając przed siebie wiecheć płonących chwastów. jy[ur ukazał się wyraźniej: wykonano go z wielkich bloków wapienia. Prawie w całości pokrywała je gęsta roślinność. Tom dojrzał płaskorzeźbę - ustawione profilem twarze, rząd czaszek z pustymi oczodołami, fantastyczne jaguary, ptaki z wielkimi pazurami i szeroko otwartymi oczyma.

- Mury miasta.

Szli przez chwilę wzdłuż muru, aż dotarli do wąskiego przejścia, zawieszonego przypominającymi kotarę z paciorków pnączami. Rozsunęli je i przeszli na drugą stronę.

W słabym świetle Borabay chwycił Philipa za ramię i przyciągnął go do siebie.

- Braciszku Philipie, ty dzielny.

- Nie, Borabay, jestem strasznym tchórzem i zawadą.

- Nieprawda. - Borabay z czułością poklepał go po ramieniu. - Ja tam sram na strachu.

- Ze strachu.

- Dziękuji. - Borabay otulił dłońmi pęk traw i dmuchnął na nie, dzięki czemu zapłonęły jaśniej. Twarz lśniła mu w świetle, zielone oczy wydawały się złote. Wyraźniejsze stały się typowe dla Broadbentów zgrabnie uformowane wargi i podbródek. - Idziemy teraz do grobów. Idziemy znaleźć ojca.

Przed sobą mieli zrujnowany dziedziniec z pnącymi się w górę stopniami z boku. Borabay przeciął go i wbiegł na schody, bracia ruszyli za nim. Skręcił w lewo i przeszedł po wierzchołku muru, osłaniając dłońmi ogień. Zszedł po schodach na drugą stronę. W koronach drzew rozległ się nagły rej wach, gałęzie trzęsły się i potrzaskiwały. Tom podskoczył.

- Małpy - szepnął Borabay, ale przystanął z zaniepokojoną miną.

Po chwili potrząsnął głową. Ruszyli dalej pomiędzy zwalonymi kolumnami na wewnętrzny podwórzec. Pełno tu było kamiennych bloków, niektóre miały po trzy metry długości. Dawno temu tworzyły gigantyczną głowę - spośród wybujałej roślinności i wijących się korzeni wystawały nos, ucho i wytrzeszczone oko. Bracia minęli fragmenty rzeźby i weszli przez obramowane kamiennymi jaguarami drzwi do podziemnego korytarza. Powietrze pachniało tu chłodem i pleśnią. Żagiew Borabaya zamigotała; w płomieniach widać było, że znaleźli się w kamiennym tunelu z pokrytymi wapiennym nalotem ścianami. Spod sufitu zwieszały się stalaktyty. Po wilgotnych ścianach szeleściły i przemykały

szukające schronienia przed światłem owady. Gruba żmija zwinęła się w sinusoidę, unosząc łeb do ataku. Syknęła i lekko się zakołysała, zwężone oczy zabłysły w pomarańczowym świetle. Okrążyli ją szerokim łukiem i poszli dalej. Przez zawalone kawałki kamiennego sufitu widać było targane wiatrem drzewa i migoczące gwiazdy. W drugim końcu tunelu minęli stary kamienny ołtarz, usiany kośćmi. Dalej był podest, pełen pogruchotanych rzeźb. Głowy, ramiona i nogi wystawały z plątaniny pnączy jak tłum tonących w powodzi roślinności potworów.

Nagle dotarli nad olbrzymią przepaść - na przeciwległy skraj płaskowyżu. Za nią rozciągał się bezkres słabo oświetlonych przez gwiazdy, czarnych wierzchołków gór. Borabay przystanął, by zapalić świeżą żagiew. Cisnął zużytą pochodnię nad urwisko; zamigotała i zgasła w ciemnościach w dole. Poprowadził braci ścieżką wzdłuż urwiska, a potem chytrze ukrytą szczeliną w skale, zdającą się opadać wprost w przepaść. Gdy ją jednak minęli, przed nimi znalazła się wycięta w zboczu ścieżka, przechodząca w strome schody. Biegły w dół, zakręcały i kończyły się tarasem - swego rodzaju kamiennym balkonem - wyłożonym gładko dopasowanymi wapiennymi płytami. Nawisające nad nim skały sprawiły, że nie widać go było z góry. Po jednej stronie wznosiło się poszarpane urwisko, nad którym górował płaskowyż Białego Miasta; po drugiej ziała licząca kilkaset metrów przepaść. Zbocze usiane było setkami czarnych otworów, połączonych stromymi ścieżkami i schodami.

- Miejsce grobów - powiedział Borabay.

Wiatr przelatywał porywami nad przepaścią, niosąc ze sobą zepsutą słodką woń jakiegoś nocnego kwiecia. Nie słychać tu było odgłosów dżungli w górze, jedynie narastający i cichnący szum wiatru. Było to niezwykłe, upiorne miejsce.

Mój Boże, westchnął w duchu Tom, pomyśleć tylko, że ojciec jest gdzieś tutaj.

Borabay poprowadził ich ku ciemnemu otworowi w zboczu; znaleźli się na prowadzących w górę spiralnych schodach. Zbocze było usiane grobowcami; mijali otwarte wnęki, w których widać było kości, czaszki z kępkami włosów, ręce szkieletów z błyskającymi na palcach pierścieniami. Owady, myszy i małe węże przemykały pośród zmumifikowanych ciał, zaskoczone nagłym pojawieniem się światła, i szukały ukrycia w ciemności. W kilku mijanych niszach znajdowały się stosunkowo świeże zwłoki, od których czuło się jeszcze woń rozkładu; szelesty zwierząt i owadów były tu jeszcze głośniejsze. Minęli trupa, którym pożywiało się kilka przycupniętych wielkich szczurów.

- Ile tych grobów ojciec obrabował? - spytał Philip.
- Tylko jeden - odparł Borabay. - Ale najbogatszy.

Kamienne drzwi, broniące wejścia do niektórych grobowców, były potrzaskane - przez rabusiów lub w wyniku dawnych trzęsień ziemi.

W pewnym miejscu Borabay przystanął i podniósł coś. W milczeniu podał znaleziony przedmiot Tomowi. Była to lśniąca nakrętka motylkowa.

Schody jeszcze raz zakręciły i urwały się na mniej więcej trzymetrowej szerokości półce w połowie wysokości urwiska. Znajdowały się tu masywne, największe z dotychczas widzianych przez braci kamienne drzwi, zwrócone frontem ku ciemnemu masywowi gór i rozgwieżdżonemu niebu. Borabay wyciągnął żagiew i przyjrzeli się im dokładniej. Wszystkie inne nie miały żadnych ozdób; na tych zaś był wyrzeźbiony pojedynczy hieroglif Majów. Borabay postał chwilę, cofnął się o krok i powiedział w swoim języku coś, co przypominało modlitwę. Potem odwrócił się do braci.

- Grób ojca - powiedział.

Siwi starcy siedzieli jak grupa mumii wokół stołu konferencyjnego wysoko ponad Genewą. Julian Clyve patrzył na nich poprzez olbrzymi wypolerowany blat, za którym przez przeszkloną ścianę widać było toń Jeziora Genewskiego z olbrzymią fontanną, przypominającą z tej wysokości mały biały kwiatek.

- Ufamy, że otrzymał pan zaliczkę - powiedział najważniejszy ze wspólników.

Clyve pokiwał głową. Milion dolarów. Niewielka kwota w dzisiejszych czasach, ale więcej niż zarabiał na Uniwersytecie Yale. Ci ludzie kupowali Kodeks po okazyjnej cenie i wiedzieli o tym. Nieważne. Dwa miliony to zapłata za manuskrypt. Musieli mu jeszcze zapłacić za tłumaczenie. Pewnie, byli już inni, którzy potrafili przetłumaczyć język starożytnych Majów, ale tylko on umiał poradzić sobie z archaicznym dialektem, w jakim spisano medyczny Kodeks. To znaczy - on i Sally. Nie przedyskutowali jeszcze szczegółów honorarium za tłumaczenie. Wszystko po kolei.

- Wezwaliśmy pana tutaj, bo rozeszły się pewne pogłoski - kontynuował mężczyzna.

Rozmawiali po angielsku, ale Clyve postanowił odpowiedzieć po niemiecku, którym biegle władał, by zbić ich z tropu.

- Proszę mi wyjaśnić, w czym mogę panom pomóc.

Ściana siwych starców zakołysała się niespokojnie; ich prezes trzymał się nadal angielskiego:

- W Stanach Zjednoczonych jest firma farmaceutyczna pod nazwą Lampe-Denison. Słyszał pan o niej?

- Sądzę, że tak. Bodajże jedna z większych - odpowiedział znów po niemiecku Clyve.

- Plotka głosi, że ci ludzie mają wejść w posiadanie medycznego Kodeksu Majów z dziewiątego stulecia, który zawiera dwa tysiące stron przepisów na leki otrzymywane z roślin.

- To niemożliwe. Nie może być dwóch takich ksiąg.

- Zgadza się. Nie może być dwóch. Mimo to plotka krąży. W rezultacie w ciągu minionego tygodnia kurs akcji Lampe-Denison wzrósł o dwadzieścia procent.

Siedmiu starców wpatrywało się w Clyve'a, wyczekując jego odpowiedzi. Poprawił się na fotelu, założył nogę na nogę, potem zrobił to odwrotnie. Przez moment poczuł dreszcz obawy. A jeśli Broadbentowie zawarli jakąś inną umowę co do Kodeksu? Niemożliwe. Przed wyjazdem Sally wprowadziła go szczegółowo w sprawy. Odkąd zaś Broadbentowie znikli w dżungli, nie mogli kontaktować się z nikim, więc nie mogli zawrzeć żadnej umowy. Kodeks nadal jest do wzięcia. Clyve miał pewność, że Sally spełni jego polecenia. Była inteligentna, zdolna i bez reszty mu oddana.

- Plotka jest fałszywa. - Wzruszył ramionami. - Mam wszystko pod kontrolą. Kodeks trafi z Hondurasu prosto w moje ręce.

Znów zapanowało milczenie.

- Rozmyślnie powstrzymaliśmy się od wnikania w pana sprawy, profesorze - kontynuował mężczyzna. - Ma pan jednak teraz milion naszych dolarów, co wzbudza lekki niepokój. Może tamta pogłoska jest nieprawdziwa. I bardzo dobrze. Życzyłbym sobie jednak wytłumaczenia, skąd w ogóle wzięła się taka informacja.

- Jeśli sugeruje pan, że nie zachowałem dyskrecji, to zaręczam, że z nikim nie rozmawiałem.

- Nikim?

- Oczywiście z wyjątkiem mojej koleżanki, Sally Colorado.

- A ona?

- Jest w głębi dżungli w Hondurasie. Nie może się skontaktować nawet ze mną. Jak mogłaby komunikować się z kimkolwiek innym? Poza tym jest wcieleniem dyskrecji.

Milczenie wokół stołu przeciągnęło się całą minutę. Czy tylko po to wezwali go do Genewy? Clyve'owi się to nie podobało. Wcale nie podobało. Nie chciał zostać ich chłopcem do bicia. Wstał.

- Jestem urażony tymi aluzjami - powiedział. - Zamierzam dotrzymać warunków umowy i to panom powinno wystarczyć. Dostaniecie Kodeks i wypłacicie mi drugi milion - a wtedy porozmawiamy o honorarium za moje tłumaczenie.

Spotkało się to z dalszym milczeniem.

- Honorarium za tłumaczenie? - powtórzył mężczyzna.

- Chyba że chcecie sami przełożyć manuskrypt.

Tamci wyglądali, jakby rozgryźli cytrynę. Banda kretynów. Clyve pogardzał tego rodzaju biznesmenami - niewykształconymi ignorantami,

ukrywającymi pazerność pod elegancką fasadą drogich, szytych na miarę ubrań.

- Dla pańskiego własnego dobra mamy nadzieję, że wywiąże się pan *i* zobowiązań, profesorze.

- Proszę mi nie grozić.

- To obietnica, nie groźba.

- Życzę udanego dnia, panowie - skłonił się Clyve.

Upłynęło siedem tygodni, odkąd Tom i jego dwaj bracia spotkali się pod bramą rezydencji ojca - ale wydawało się, że minęło całe życie. Wreszcie osiągnęli cel - dotarli do grobowca.

- Wiesz, jak go otworzyć? - spytał Philip.

- Nie.

- Ojciec musiał to rozgryźć, inaczej nie obrabowałby w przeszłości grobowca - powiedział Vernon.

Borabay pozatykał kilka pochodni w nisze na skalnych ścianach. Wspólnie przyjrzeli się dokładnie drzwiom. Były z litego kamienia, wpuszczone w prostokąt, wycięty w białym wapieniu ściany urwiska. Nie dostrzegli żadnej dziurki od klucza, guzika, płytki czy ukrytej dźwigni. Otaczającą grobowiec skałę pozostawiono w naturalnym stanie z wyjątkiem kilku dziur, wywierconych po obu stronach wejścia. Tom podniósł rękę do jednej z nich i poczuł ciąg powietrza - najwyraźniej były to otwory wentylacyjne.

Niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć blaskiem przedświtu. Bracia nadal rozglądali się wokoło. Stukali i walili w drzwi, wołali, naciskali kamień w różnych miejscach i próbowali wszystkiego, co się dało, by je otworzyć. Nic nie skutkowało. Minęła godzina, a drzwi pozostały zamknięte.

- To na nic - powiedział wreszcie Tom. - Musimy wymyślić coś innego.

Cofnęli się na pobliską półkę. Gwiazdy znikły, niebo za górami błękitniało. Coraz wyraźniejszy stawał się oszałamiający widok na fantastyczną poszarpaną linię stromych białych szczytów, przypominających sterczące z miękkiego podniebienia dżungli zęby.

- Jeśli przyjrzymy się którymś ze zrujnowanych drzwi, to może się domyślimy, jak się zamykają - powiedział Tom.

Ruszyli z powrotem i cztery lub pięć grobowców dalej znaleźli rozwalone drzwi. Pękły w połowie, jedna z części wypadła na zewnątrz. Borabay zapalił kolejną pochodnię i zawahał się przed wejściem. Odwrócił się do Philipa.

- Ja tchórz - powiedział i przekazał mu pochodnię. - Ty dzielniejszy niż ja, braciszku. Ty idź.

Philip uścisnął Borabayowi ramię i z pochodnią wcisnął się do środka. Tom i Vernon poszli za nim.

Wnętrze było niewielkie, miało mniej więcej dwa i pół na trzy metry. Na środku stał kamienny podest. Na nim spoczywała skulona mumia - ciągle jeszcze w pozycji siedzącej, z podciągniętymi pod brodę nogami i złożonymi na kolanach rękami. Splecione długie włosy opadały na plecy; wyschnięte wargi odkrywały zęby. Z uchylonych ust coś wypadło. Pochyliwszy się, Tom zobaczył, że to wyrzeźbiona z kawałka nefrytu poczwarka. W ręce mumia trzymała cylinder z wypolerowanego drewna, długości niespełna pół metra. Dookoła znajdował się niewielki zbiór przedmiotów grzebalnych: figurki z terakoty, popękane garnki i trochę rzeźbionych kamiennych tabliczek.

Tom przykląkł i przyjrzał się, jak są zamykane drzwi. W posadzce był rowek, a w nim wypolerowane kamienne rolki, po których przesuwały się kamienne płyty. Rolki leżały luzem; Tom podniósł jedną i podał Philipowi. Brat obrócił ją w dłoni.

- Prosty mechanizm - powiedział. - Gdy drzwi zaczną się toczyć, dalej otwierają się same. Dowcip polega na tym, jak spowodować, by zaczęły się przesuwać?

Przyglądali się wszystkiemu, ale nie nasuwała im się żadna odpowiedź. Gdy wyszli na zewnątrz, wyczekujący na nich z napięciem na twarzy Borabay zapytał:

- Co znajdujecie?

- Nic - odrzekł Philip.

Vernon wyszedł z grobowca z drewnianym cylindrem, wyjętym z ręki mumii.

- Borabay, co to takiego?

- Klucz do podziemi.

- Ciekawe - uśmiechnął się Vernon. Przeszedł z cylindrem do grobowca ojca. - Zastanawiające - pasuje dokładnie do otworów wentylacyjnych - powiedział i zaczął go wsuwać w kolejne szyby. Cylinder o mało nie wpadł do któregoś z otworów. - Czujecie, że wydobywa się z nich powietrze? Widzicie? - Przesuwał rękę od jednego do drugiego, sprawdzając wszystkie po kolei. Nagle znieruchomiał. - Z tego nie leci powietrze.

Wsunął weń cylinder, tak że na zewnątrz wystawało tylko około dziesięciu centymetrów drewna. Wziął z ziemi ciężki, gładki kamień i podał go Philipowi.

- Czyń honory. Walnij w cylinder.

Philip wziął od niego kamień.

- Dlaczego uważasz, że to poskutkuje?

- Domysł, to wszystko.

Philip zważył kamień w ręce, zamachnął się i uderzył mocno w wystający koniec cylindra. Rozległo się szczęknięcie, gdy cylinder zniknął do reszty w ścianie. Przez chwilę panowała cisza.

Nic się nie działo. Philip zajrzał w otwór. Drewniany ćwiek wsunął się cały i uwiązł.

- Do diabła! - zawołał Philip, tracąc swoje zwykłe opanowanie. Podskoczył do drzwi grobu i kopnął w nie z wściekłością. - Otwieraj się, do cholery!

Rozległ się nagły zgrzyt, ziemia zadrżała i kamienne drzwi zaczęły się przesuwać. Pojawiła się ciemna szczelina, coraz szersza, w miarę jak drzwi przetaczały się na kamiennych rolkach. Po chwili skalny blok zatrzymał się ze szczęknięciem.

Grobowiec stał otworem.

Wszyscy czekali, wpatrując się w czarny prostokąt. Słońce właśnie wschodziło nad odległymi górami. Złote światło sączyło się po skałach, ale pod zbyt ostrym kątem, by rozjaśnić wnętrze grobowca, nadal pogrążonego w ciemności. Bracia stali w bezruchu jak sparaliżowani. Za bardzo się bali, by coś powiedzieć czy zawołać. Z krypty wydobywała się ohydna woń rozkładu - odór śmierci.

1

Marcus Aurelius Hauser wyczekiwał w miłym świetle wschodu słońca, gładząc palcem tępy spust steyra AUG. Broń była może najbardziej znajomym mu obiektem oprócz własnego ciała; nigdy nie czuł się bez niej zupełnie normalnie. Metalowa lufa, natychmiast rozgrzewająca się przy dotknięciu, wydawała się prawie żywa. Plastikowa kolba, wygładzona przez lata użytkowania, była gładka jak kobiece uda.

Hauser ulokował się w wygodnej niszy przy ścieżce biegnącej w dół urwiska. Chociaż ze swojego punktu obserwacyjnego nie widział Broadbentów, wiedział, że są poniżej niego i będą musieli wrócić tą samą drogą. Zrobili dokładnie to, na co miał nadzieję. Zaprowadzili go do grobowca Maxa. I nie tylko do tego jednego, ale do całej nekropolii. Niewiarygodne. Hauser znalazłby w końcu tę ścieżkę, lecz mogło to zabrać mnóstwo czasu.

Broadbentowie spełnili już swoje zadanie. Nie było pośpiechu; słońce nie wzniosło się jeszcze zbyt wysoko, a Marcus wolał dać im dość czasu, by odprężyli się, uspokoili, uznali, że są bezpieczni. Ze swej strony chciał dokładnie przemyśleć plan działania. Jedną z najważniejszych nauk, które wyniósł z Wietnamu, była cierpliwość. Dzięki temu właśnie Wietkong wygrał wojnę -jego bojownicy byli cierpliwsi.

Hauser rozejrzał się z satysfakcją. Nekropolia była oszałamiająca: tysiące grobowców wypełnionych dobrami grzebalnymi - drzewo pełne gotowych do zerwania owoców. Nie wspominając o innych cennych przedmiotach: kamieniach nagrobnych, posągach, płaskorzeźbach i reszcie skarbów samego Białego Miasta. Do tego dochodziły warte pół miliarda dolarów dzieła sztuki i antyki z grobowca Broadbenta. Marcus zamierzał zabrać Kodeks i trochę lżejszych łupów, by sfinansować za nie kolejną ekspedycję. Tak, na pewno tu wróci. Na Białym Mieście można zarobić miliardy. Miliardy.

Sięgnął do raportówki, namacał cygaro, lecz z przykrością pozostawił je na miejscu. Byłoby źle, gdyby Broadbentowie wyczuli dym cygara.

Czasami trzeba się poświęcić.

8

Czterej bracia stali jak przymurowani i wpatrywali się w ciemny prostokąt. Nie mogli się ruszyć z miejsca, nie byli w stanie niczego powiedzieć. Sekundy zamieniały się w minuty, podczas gdy obrzydliwa woń słabła. Nikt nie ruszał się, by *wejść* do grobowca. Nikt nie chciał zobaczyć, jakie okropności tam się rozegrały.

Wreszcie rozległ się dźwięk: kaszlnięcie. I kolejny: szmer stóp.

Sparaliżowani, nie mogąc wykrztusić słowa, czekali, co będzie dalej.

Znowu zabrzmiał szelest stóp. Do Toma dotarło: ich ojciec żyje. Wychodził z grobowca. Mimo to Tom i jego bracia nadal trwali w bezruchu. Gdy napięcie stało się nie do zniesienia, w środku czarnego prostokąta zmaterializowała się upiorna twarz. Kolejny chwiejny krok i z mroku wyłoniła się sylwetka-widmo. Jeszcze jeden krok i widmo okazało się żywym człowiekiem.

Maxwell Broadbent wyglądał bardziej przerażająco niż mumie. Zatrzymał się przed synami, chwiejąc się i mrugając. Był całkowicie nagi, skurczony, zgarbiony, brudny, wynędzniały; cuchnął samą śmiercią. Śluz ciekł mu z nozdrzy; usta miał rozchylone jak szaleniec. Otworzył oczy, westchnął, i z powrotem zmrużył powieki przed światłem świtu. W jego pustych, wypłowiałych tęczówkach nie było żadnego wyrazu.

Maxwell Broadbent.

Mijały sekundy; jego synowie wciąż stali w miejscu.

Broadbent wpatrywał się w nich. Drgała mu powieka. Mrugnął raz jeszcze i wyprostował ramiona. Powiódł spojrzeniem zapadniętych, makabrycznie podkrążonych oczu po wszystkich twarzach po kolei. Zaczerpnął głośno i długo tchu.

Bez względu na to, jak bardzo miał ochotę, Tom nie był zdolny, żeby się ruszyć czy coś powiedzieć. Patrzył, jak ich ojciec prostuje się jeszcze bardziej. Przesunął znowu wzrokiem po ich twarzach, tym razem nieco przytomniej. Zakrztusił się, poruszył wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Uniósł drżącą rękę i wreszcie z jego ust wydostał się chrapliwy głos. Pochylili się ku niemu, chcąc zrozumieć jego słowa.

Maxwell odchrząknął, kaszlnął i podszedł krok bliżej. Jeszcze raz wciągnął głośno powietrze i wreszcie wykrzyknął:

- Gdzie byliście tak długo, do cholery?

Jego głos odbił się echem od zboczy i wnętrza grobowca. Zaklęcie prysło. Był to ich ojciec we własnej osobie. Tom i pozostali rzucili się, by go uścisnąć. Obejmował ich gwałtownie, zaskakująco silnymi ramionami, wszystkich po kolei.

Po długiej chwili Maxwell Broadbent cofnął się. Powoli dochodził do siebie.

- Jezu Chryste - powiedział, ocierając twarz. - Jezu, Jezu Chryste.

Synowie patrzyli na niego, niepewni, jak mają zareagować. Maxwell potrząsnął wielką, siwą głową.

- Chryste wszechmogący, cieszę się, że tu jesteście. Boże, ale muszę śmierdzieć. Popatrzcie na mnie. Na pewno strasznie wyglądam. Nagi, brudny, odrażający!

- Bynajmniej - odrzekł Philip. - Masz, weź ją. - Ściągnął koszulę.

- Dziękuję, Philipie. - Maxwell włożył koszulę i niezgrabnie pozapinał guziki. - Kto ci pierze? Taka koszula to wstyd. - Spróbował się zaśmiać, ale tylko zakaszlał. Gdy Philip zaczął ściągać spodnie, Brodbent podniósł wielką rękę. - Nie będę zabierał ubrania swoim własnym synom.

- Ojcze...

- Pochowali mnie nagiego. Przyzwyczaiłem się.

Borabay sięgnął do plecaka z palmowych liści i wyciągnął długi zwój malowanej tkaniny.

- Załóż to.

- Zmieniam się w tubylca, co? - Ojciec niezgrabnie owinął materiał na biodrach. - Jak się to wiąże?

Borabay pomógł mu związać tkaninę w pasie splecionym z konopi sznurkiem. Maxwell zacisnął węzeł i stał w milczeniu. Nikt nie wiedział, co dalej powiedzieć.

- Dzięki Bogu, że żyjesz - powiedział Vernon.

- Z początku nie byłem tego taki pewny - odparł Broadbent. - Przez jakiś czas myślałem, że umarłem i trafiłem do piekła.

- Co ty? Stary ateista wreszcie uwierzył w piekło? - spytał Philip.

Ojciec przeniósł na niego wzrok, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Wiele się zmieniło.

- Nie mów mi, że odnalazłeś Boga.

Broadbent pokręcił głową, klepnął Philipa po ramieniu i z czułością nim potrząsnął.

- Dobrze cię widzieć, synu. - Odwrócił się do Vernona. - Ciebie też. - Rozejrzał się, obejmując wszystkich spojrzeniem niebieskich oczu. - Tom, Vernon, Philip, Borabay, jestem pod wrażeniem. - Położył wszystkim po kolei dłoń na głowie. - Udało się wam. Znaleźliście mnie. Skończyły mi się prawie woda i jedzenie. Przeżyłbym jeszcze dzień czy dwa. Daliście mi jeszcze jedną szansę. Nie zasługuję na nią, ale z niej skorzystam. Wiele rozmyślałem w tym grobie...

Podniósł głowę i przesunął wzrokiem po purpurowych szczytach i złocistym niebie. Wyprostował się i odetchnął z ulgą.

- Jak się czujesz? - spytał Vernon.

- Jeśli chodzi ci o raka, to na pewno ciągle we mnie tkwi, tylko na razie nie daje znać o sobie. Zostało mi jeszcze parę miesięcy. Sukinsyn dobrał mi się do mózgu - nie mówiłem wam o tym. Jak na razie jednak nie jest najgorzej. Czuję się świetnie. - Rozejrzał się. - Chodźmy stąd, do cholery.

- Niestety nie będzie to takie proste - powiedział Tom.

- Dlaczego?

Tom obejrzał się na braci.

- Mamy problem. Nazywa się Hauser.

- Hauser! - zawołał zdumiony Broadbent.

Tom pokiwał głową i opowiedział ojcu ze szczegółami, jak tutaj dotarli.

- Hauser - powtórzył Maxwell, patrząc na Philipa. - Skumałeś się z tym bydlakiem?

- Przepraszam - odrzekł Philip. - Myślałem...

- Myślałeś, że on wie, gdzie się podziałem. Moja wina, powinienem wziąć pod uwagę taką możliwość. Hauser to bezwzględny sadysta; o mało nie zabił kiedyś dziewczyny. Wzięcie go na wspólnika było największym błędem w moim życiu. - Usiadł na skalnej półce i potrząsnął rozczochraną głową. - Nie wierzę, że tak ryzykowaliście, by tu dotrzeć. Boże, ale się pomyliłem. Fakt - to ostatnia pomyłka z wielu.

- Ty nasz ojciec - odezwał się Borabay.

- Dobry mi ojciec - prychnął Broadbent. - Wystawiłem was na tak idiotyczną próbę. Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem. Nie rozumiem, co we mnie wstąpiło. Ale ze mnie głupi, cholerny stary dureń.

- Na dobrą sprawę my trzej nie byliśmy idealnymi synami - oświadczył Philip.

- Czterej - poprawił Borabay.

- A może... jest nas więcej? - spytał Vernon, unosząc brew.

- Nie, przynajmniej ja o tym nie wiem. - Broadbent potrząsnął głową. - Czterech wspaniałych synów, gdybym tylko miał dość oleju w gło-

wie, żeby to pojąć. - Utkwił spojrzenie niebieskich oczu w Vernonie. - Tylko ta twoja broda, chłopcze. Dobry Boże, kiedy wreszcie zgolisz to włosie? Wyglądasz jak mułła.

- Sam nie prezentujesz się najlepiej - odciął się tamten.

Ojciec machnął ręką i roześmiał się tylko.

- Zapomnij, że o tym mówiłem. Ciężko się pozbyć starych nawyków. Nie gól tej przeklętej brody.

Zapadło niezręczne milczenie. Słońce wznosiło się coraz wyżej nad górami, jego blask zmieniał się ze złotego w biały. Niedaleko przeleciało stado skrzeczących ptaków, na przemian nurkujących i wzbijających się w górę.

- Musimy obmyślić plan ucieczki - zwrócił się Tom do Borabaya.

- Tak, bracie. Już o tym myślę. Czekamy tu, aż ciemno. Potem wracamy. - Podniósł wzrok na czyste niebo. - Wieczór pada, da nam osłonę.

- A co z Hauserem? - spytał Broadbent.

- Szuka grobu w Białym Mieście. Jeszcze nie myśli szukać na urwisku. Myślę, że go miniemy. Nic nie wie, że my tutaj.

Broadbent rozejrzał się.

- Nie przynieśliście ze sobą przypadkiem jakiegoś jedzenia? To, co zostawili mi w grobie, nie nadawałoby się nawet na posiłek w samolocie.

Borabay wypakował żywność z plecaka z palmowych liści i zaczął ją rozkładać. Ojciec podszedł nieco chwiejnym krokiem.

- Mój Boże, świeże owoce. - Wziął mango i wgryzł się w nie; sok wyciekał mu z ust i skapywał na koszulę. - Jestem w niebie.

Wepchnął resztkę mango do ust, zjadł drugie, a następnie spałaszował parę owoców *curwa* i kilka wędzonych płatów mięsa jaszczurki.

- Mógłbyś otworzyć restaurację, Borabay.

Tom patrzył, jak jego ojciec je. Z trudem dawał wiarę, że ten stary człowiek jeszcze żyje. Było w tym coś nierealnego. Zmieniło się wszystko - i nic.

Maxwell skończył posiłek i oparł się o skalną ścianę, spoglądając na góry.

- Jeśli łaska, może powiesz, ojcze, co ci się zdarzyło w grobie - odezwał się Philip.

- Powiem ci, jak to było, synu. Mieliśmy wielką ucztę pogrzebową, Borabay na pewno wam o tym opowiedział. Napiłem się piekielnego napoju Caha. Następne, co pamiętam, to przebudzenie. W ciemnościach gęstych jak smoła. Jako dobry ateista zawsze wierzyłem, że śmierć to kres świadomości, i tyle. A jednak ciągle miałem świadomość, chociaż byłem pewny, że nie żyję. Nigdy w życiu nie czułem się równie przerażony. Wreszcie gdy grzebałem w kompletnej panice w ciemnościach, oświeciła mnie myśl: nie tylko umarłem, ale i trafiłem do piekła!

- Na pewno w to nie wierzyłeś - powiedział Philip.

- Wierzyłem. - Broadbent potrząsnął głową. - Nie macie pojęcia, jaki byłem przerażony. Wyłem i jęczałem jak dusza potępiona. Błagałem Boga, modliłem się na kolanach, ukorzyłem się. Przysiągłem, że będę dobry, jeśli tylko da mi jeszcze jedną szansę. Czułem się jak jeden z tych nieszczęśników z „Sądu Ostatecznego" Michała Anioła, wołający o przebaczenie, gdy demony wciągają go do jeziora ognia. Potem, gdy zmęczyły mnie zawodzenia i użalanie się nad sobą, zacząłem odzyskiwać po trochu zdrowy rozsądek. Wtedy spróbowałem się czołgać i zorientowałem się, że jestem w grobowcu. A wówczas zaświtało mi, że mimo wszystko żyję, że Cah pogrzebał mnie żywcem. Nigdy mi nie wybaczył tego, co zrobiłem z jego ojcem. Powinienem był się domyślić, Cah zawsze wydawał mi się starym szczwanym lisem. Kiedy znalazłem jedzenie i wodę, dotarło do mnie, że czeka mnie długa męka. Zaplanowałem, że to wszystko będzie optymistyczne wyzwanie dla was, a okazało się, że nagle właśnie od was zależy moje życie.

- Optymistyczne wyzwanie? - powtórzył sceptycznie Philip.

- Chciałem wami potrząsnąć, żebyście zaczęli robić coś ważniejszego w życiu. Nie docierało do mnie, że to, co robicie, jest ważne - to znaczy, że wy żyjecie tak, jak sami postanowiliście. Kim jestem, by to oceniać? - Urwał, odchrząknął i potrząsnął głową. - Znalazłem się tutaj z tym, co uważałem za mój skarb, dzieło mojego życia - i okazało się, że to nic niewarte. Niepotrzebne. W tych okolicznościach nic to nie znaczy. W ciemności nie mogłem nawet zobaczyć tych rzeczy. Pogrzebanie żywcem wstrząsnęło mną do głębi. Okazało się, że spoglądam na całe swoje życie z odrazą. Byłem dla was złym ojcem, byłem złym mężem, byłem chciwy i egoistyczny - i wtedy zacząłem się modlić.

- Nie - powiedział Philip.

Broadbent pokiwał głową.

- A co miałem jeszcze robić? Wreszcie usłyszałem głosy, huk, szczękanie - i oto mnie znaleźliście! Moje modlitwy zostały wysłuchane.

- Chcesz powiedzieć, że odnalazłeś wiarę? - spytał Philip. - Stałeś się wierzący?

- Masz cholerną rację, że odnalazłem wiarę! - Maxwell zamilkł i zapatrzył się na rozpościerający się przed nim niezmierzony krajobraz gór i dżungli. Poruszył się i zakaszlał. - Zabawne: mam uczucie, jakbym umarł i zmartwychwstał.

69

Ze swojego ukrycia Marcus słyszał dolatujące z wiatrem głosy. Nie dochodziły do niego poszczególne słowa, ale nie miał wątpliwości, co się

dzieje: Broadbentowie gorliwie plądrowali grób swojego ojca. Bez wątpienia chcieli zabrać najlżejsze rzeczy - z Kodeksem włącznie. Ta kobieta, Sally Colorado, wiedziała, ile jest wart. Zabiorą go w pierwszej kolejności.

Hauser w myślach przejrzał listę innych skarbów ukrytych w grobowcu. Znaczna część kolekcji Maxwella Broadbenta, łącznie z niektórymi jej najcenniejszymi okazami, dawała się bez trudu przenosić. Były w niej rzadkie rzeźbione klejnoty z subkontynentu indyjskiego, wielka kolekcja wyrobów ze złota Inków i Azteków - w większości niewielkich. A także starożytne greckie monety oraz dwie wyjątkowo cenne etruskie figurki z brązu około dwudziestu pięciu centymetrów wysokości, ważące po niespełna dziesięć kilogramów. Wszystko to mógł udźwignąć jeden człowiek. Wartość: od dziesięciu do dwudziestu milionów.

Broadbentowie mogli wynieść Lippiego i Moneta. Obydwa obrazy były względnie niewielkie: Lippi miał siedemdziesiąt na czterdzieści pięć centymetrów, a Monet dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt pięć. Obydwa zabrano bez ram. Obraz Lippiego, namalowany na gipsowanym drewnie, ważył pięć kilogramów, a Monet - trzy. Skrzynie, w które zapakowano malowidła, ważyły najwyżej po dwanaście kilogramów. Obydwie można było związać razem, przymocować do stelaża plecaka i nieść. Wartość: ponad sto milionów.

Wielu skarbów Broadbentowie oczywiście nie mogli zabrać. Pontormo, wart zapewne trzydzieści do czterdziestu milionów, był za duży. Podobnie obraz Bronzina. Stele Majów i brązy Soderiniego były za ciężkie. Mogli jednak wynieść dwa obrazy Braque'a. Mniejszy z nich był jednym z najwcześniejszych kubistycznych arcydzieł tego malarza i można by za niego dostać od pięciu do dziesięciu milionów. Znajdował się tu spiżowy posążek chłopca z okresu późnego cesarstwa rzymskiego, połowy naturalnej wielkości i ważący czterdzieści pięć kilogramów - pewnie za duży, by go dźwigać. Były kamienne figurki świątynne z Kambodży, para chińskich urn z brązu z okresu pierwszych dynastii, trochę wykładanych turkusami tabliczek Majów... Max miał dobre oko, nastawiał się na jakość, nie ilość. Przez lata przez jego ręce przeszło mnóstwo dzieł sztuki i zatrzymał dla siebie najlepsze.

Tak, pomyślał Hauser, gdyby nie on, czterej mężczyźni w dole mogli wynieść na plecach dzieła sztuki, warte pewnie ze dwieście milionów dolarów. Prawie połowę ceny całej kolekcji.

Poprawił się i wyciągnął zdrętwiałe nogi. Słońce świeciło już jasno i paliło. Popatrzył na zegarek. Za pięć dziesiąta. Postanowił, że ruszy o dziesiątej. Czas miał tu niewielkie znaczenie, ale nawyk dyscypliny sprawiał mu przyjemność. Pomyślał, że to bardziej filozofia życia niż cokolwiek innego. Wstał, przeciągnął się i kilka razy zaczerpnął tchu. Szybko sprawdził karabin. Steyr AUG był jak zwykle w idealnym porządku. Marcus

wygładził jeszcze raz włosy, po czym popatrzył na paznokcie i skórki. Pod jednym miał brud; wydrapał go pilniczkiem i strząsnął. Potem przyjrzał się grzbietom dłoni - gładkim, bezwłosym i białym, na których bardzo słabo odznaczały się żyły. Były to dłonie trzydziestolatka, a nie mężczyzny dwakroć starszego. Zawsze bardzo dbał o ręce. Słońce zabłysło na złotych pierścionkach z diamentami. Pięć razy zacisnął dłonie i je rozprostował, wygładził fałdy spodni khaki, zakręcił pięć razy stopami w kostkach i karkiem, otworzył szeroko ramiona i jeszcze raz wciągnął powietrze. Wypuścił je. Wciągnął ponownie. Przyjrzał się gładkiej białej koszuli. Uzna operację za udaną, jeśli po jej zakończeniu nie będzie miał plam na koszuli. W dżungli piekielnie ciężko było utrzymać ubranie w czystości.

Hauser przerzucił karabin przez ramię i zaczął schodzić ścieżką.

111

Czterej bracia i ich ojciec odpocz wali w cieniu na skalnej półce nieopodal wejścia do grobowca. Zjedli' iększość zapasów; Tom przekazał dalej manierkę z wodą. Tak wiele r: 'czy chciał powiedzieć ojcu, i nie miał wątpliwości, że jego bracia czujj o samo - a mimo to po początkowej ożywionej rozmowie zapanowałc nilczenie. Wystarczało, że byli razem. Manierka okrążyła wszystkich; iracia pili z bulgotaniem, aż wróciła do Toma. Zakręcił korek i wepcl ął ją do swojego małego plecaka.

Wreszcie przemówił Maxwell Bro Jbent:

- A zatem Marcus Hauser jest tut i zamierza obrabować mój grób! - Potrząsnął głową. - Co za świat.

- Przepraszam - powtórzył Philir

- To moja wina - odrzekł ojciec. Dość już przepraszania. Wszystko to moja wina.

To coś nowego, pomyślał Tom: M twell Broadbent przyznający się, że nie miał racji. Wyglądał na tego s; nego szorstkiego starszego mężczyznę, ale się zmienił. Całkowicie się mienił.

- Jest tylko jedna rzecz, na której ni teraz zależy: żeby moi czterej synowie wydostali się stąd z życiem - kontynuował Broadbent. - Będę dla was zawadą. Zostawcie mnie tutaj - sam się sobą zajmę. Dobiorę się do Hausera tak, że mnie popamięta.

- Co?! - zawołał Philip. - Po tym, co przeszliśmy, żeby cię uratować? - Był autentycznie zły.

- Daj spokój. Za miesiąc czy dwa i tak umrę. Zostawcie mnie, zajmę się Hauserem, podczas gdy wy uciekniecie.

- Ojcze, nie pokonaliśmy całej tej irogi tylko po to, by zostawić cię w rękach mordercy. - Philip podniósł ię zirytowany.

- Marny ze mnie powód, żeby ryzykować życie.

- Bez ciebie nie idziemy - odezwał się Borabay. - Wiatr idzie z zachodu, wieczorem burza. Czekamy aż ciemno, wtedy idziemy. Idziemy do mostu w burzy.

Broadbent zrobił wydech i otarł twarz. Philip odkaszlnął.

- Ojcze?

- Tak, synu?

- Nie chcę poruszać niemiłego tematu, ale co zrobimy z rzeczami z twojego grobowca?

Tom natychmiast pomyślał o Kodeksie. Musiał go stąd zabrać - nie tylko dla siebie, ale dla Sally i całego świata.

Maxwell wpatrywał się chwilę w ziemię, nim odpowiedział:

- Nie zastanawiałem się nad tym. Nie wydaje mi się to już ważne, ale cieszę się, że o tym mówisz, Philipie. Pewnie możemy zabrać Lippiego i wszystko, co da się nieść bez większego trudu. Przynajmniej uchronimy parę rzeczy przed tym pazernym łotrem. Szlag mnie trafia, że większość skarbów wpadnie mu w ręce, ale pewnie nie ma na to rady.

- Kiedy się wydostaniemy, zawiadomimy FBI, Interpol...

- Hauserowi ujdzie to płazem i dobrze o tym wiesz, Philipie. Coś mi się przypomniało: w skrzyniach w grobowcu było coś dziwnego, coś, nad czym się zastanawiałem. Bez względu na to, jak bardzo nie mam ochoty wejść tam raz jeszcze, muszę coś sprawdzić.

- Pomogę ci. - Philip zerwał się na nogi.

- Nie. Muszę wejść tam sam. Borabay, daj mi pochodnię.

Borabay zapalił pęk suchych pędów i podał go ojcu.

Starszy mężczyzna zniknął w drzwiach. Tom widział krąg żółtego światła, przemieszczający się pomiędzy skrzyniami i pudłami.

- Bóg jeden wie, dlaczego ten cholerny szajs wydawał mi się kiedyś taki ważny - rozległ się ze środka głos Maxwella Broadbenta.

Światło zagłębiło się jeszcze dalej i znikło.

Philip wstał i zaczął chodzić w ciasnym kręgu, rozprostowując nogi. Zapalił fajkę.

- Nie mogę znieść myśli, że Hauser dostanie w swoje łapy Lippiego.

Z góry rozległ się spokojny, rozbawiony głos:

- Czy ktoś tu o mnie wspominał?

II

Hauser mówił pozornie kojącym, leniwym tonem, broń trzymał opuszczoną, ale gotową do strzału przy najmniejszym poruszeniu. Trzej bracia i Indianin, siedzący po przeciwnej stronie otwartych drzwi

grobowca, zwrócili głowy w jego stronę z oczyma pełnymi bezmyślnej grozy.

- Nie fatygujcie się wstawaniem. Nie ruszajcie się w ogóle; możecie najwyżej mrugać. - Urwał. - Miło widzieć, że powróciłeś do zdrowia, Philipie. Przeszedłeś daleką drogę od wymuskanego palanta, który dwa miesiące temu wszedł do mojego biura z tą idiotyczną wrzościową fajeczką. - Marcus zrobił lekko krok naprzód, gotów skosić ich serią z automatu przy najmniejszym poruszeniu. - Jak uprzejmie z waszej strony, że doprowadziliście mnie do grobowca. Nawet otworzyliście już drzwi! Bardzo miło. Teraz słuchajcie uważnie: jeśli wykonacie moje polecenia, nikomu nie stanie się krzywda.

Umilkł, przyglądając się twarzom czterech mężczyzn przed sobą. Żaden nie wpadł w panikę ani nie próbował odgrywać bohatera. Byli rozsądni.

- Niech ktoś powie Indianinowi, że powinien odłożyć łuk i strzały - polecił niezmącenie opanowanym i uprzejmym tonem. - Powoli i spokojnie - proszę, bez żadnych gwałtownych ruchów.

Borabay zdjął łuk i kołczan z ramienia. Pozwolił im upaść obok siebie.

- A zatem Indianin rozumie po angielsku. Dobrze. Teraz proszę, aby każdy z was po kolei wyjął maczetę i rzucił. Pojedynczo. Ty pierwszy, Philipie. Nie wstawaj.

Philip wyjął nóż i rzucił *go* na ziemię.

- Vernon?

Vernon spełnił polecenie, następnie zrobił to Tom.

- Philipie, teraz podejdź do waszych plecaków, zbierz je i przynieś mi. Spokojnie.

Zrobił ruch lufą karabinu. Philip zebrał plecaki i położył je u stóp Hausera.

- Doskonale! Teraz opróżnijcie kieszenie. Wywróćcie je na drugą stronę, tak mają zostać. Wyrzućcie wszystko na ziemię przed sobą.

Posłuchali. Marcus ze zdumieniem stwierdził, że nie zabrali jeszcze żadnych skarbów z grobowca.

- Teraz wstańcie. Wszyscy jednocześnie, powoli. Dobrze! Teraz macie się cofnąć, uginając tylko kolana. Małymi krokami, w ogóle nie poruszając rękami, zrozumieliście? Macie się trzymać razem. Krok po kroku.

Gdy przesunęli się w ten idiotyczny sposób, podszedł bliżej. Zbili się instynktownie ciaśniej, jak robią ludzie w obliczu niebezpieczeństwa - zwłaszcza członkowie rodziny pod groźbą broni. Hauser widział to już wcześniej, dzięki czemu było mu łatwiej.

- Wszystko świetnie - powiedział spokojnie. - Nie chcę nikogo skrzywdzić - chcę tylko rzeczy, które Max zabrał ze sobą do grobu. Jestem zawodowcem i jak większość zawodowców nie lubię zabijać.

Pewnie. Muskał pieszczotliwie palcem gładki łuk plastikowego spustu. Namacał selektor i zaczął przesuwać go na ogień ciągły. Miał ich na muszce. Nie mogli niczego zrobić. Byli już właściwie martwi.

- Nikomu nie stanie się krzywda. - Nie powstrzymał się przed dodaniem: - Nikt nic nie poczuje.

Zacisnął palec na spuście, tym razem wreszcie na poważnie. Poczuł tak dobrze sobie znany subtelny spadek oporu cyngla, milisekundę tuż po jego zwolnieniu. Jednocześnie kątem oka ujrzał obok siebie ruch, eksplozję iskier i płomieni. Upadł, strzelając na oślep. Kule rykoszetowały od skalnych ścian. Zanim padł na kamienne podłoże, zobaczył, co go trafiło.

Półnaga istota, która wyłoniła się z grobu, z bladą jak u wampira twarzą, zapadniętymi oczyma, cuchnąca rozkładem, z kościstymi, wychudłymi i szarymi jak śmierć kończynami, trzymała nadal w ręce żagiew, którą go uderzyła, a teraz wrzeszcząc, rzuciła się na niego z otwartymi ustami, pełnymi brązowych zębów.

Do diabła, był to duch samego Maxwella Broadbenta!

Hauser przetoczył się po upadku, nie wypuszczając broni z rąk. Skręcił się, chcąc przybrać pozycję do strzału, ale było za późno. Obszarpane widmo Maxwella Broadbenta padło na niego, rycząc i dźgając go w twarz płonącą żagwią. Sypały się skry, poczuł swąd palących się włosów, gdy próbował zasłonić się dłonią od ognia, nie wypuszczając automatu z drugiej ręki. Nie miał szans złożyć się do strzału, bo napastnik próbował wypalić mu oczy rozżarzoną głownią. Hauser próbował się wyszarpnąć, wreszcie zaczął strzelać na oślep, opętańczo wodząc lufą w obie strony. Miał nadzieję, że trafi w coś - cokolwiek. Widmo jednak znikło mu z oczu.

Przestał strzelać i sprawnie usiadł. Miał wrażenie, że twarz i prawe oko stoją mu w ogniu. Wyszarpnął manierkę z plecaka i oblał się wodą.

Chryste, jak bolało!

Otarł wodę z twarzy. Gorące węgielki i iskry z żagwi trafiły mu do nosa i pod powiekę, oparzyły policzek i spaliły włosy. Koszmar, który wyszedł z grobu - czy to naprawdę duch? Z bólem uchylił prawe oko. Delikatnie obmacawszy je palcem, stwierdził, że ucierpiały tylko powieka i brew. Rogówka była nietknięta; nie postradał wzroku. Nalał trochę wody na chusteczkę i otarł nią twarz.

Co się stało, do cholery? Hauser, zawsze spodziewający się niespodziewanego, jeszcze nigdy w życiu nie był tak wstrząśnięty. Poznał tę

twarz, nawet mimo upływu czterdziestu lat; znał jej każdy rys, każdy tik, każdą minę. Nie było wątpliwości: to sam Broadbent wypadł z grobowca, wrzeszcząc niczym dusza potępiona - Broadbent, który ponoć był już pogrzebany. Biały jak płótno, ze splątanymi włosami i brodą, chudy jak szkielet, dziki.

Marcus zaklął. O czym on myśli? Broadbent żyje i w tej właśnie chwili ucieka. Hauser potrząsnął głową z nagłą furią, starając się odzyskać klarowność myśli. Do diabła, co się z nim dzieje? Dał się podejść z niespodziewanej strony i siedział co najmniej trzy minuty jak debil, pozwalając przeciwnikom na rozproszenie się.

Wstał, zarzucił steyra na ramię, zrobił krok naprzód i znieruchomiał.

Na ziemi była krew - atrakcyjna plama wielkości półdolarówki. Dalej druga, jeszcze większa. Poczuł, że wraca mu opanowanie. Tak zwany duch Broadbenta krwawił -jeśliby Hauser potrzebował jeszcze jakiegoś potwierdzenia, że jednak nie jest to widmo. Zdołał trafić jego i być może któregoś z synów; nawet powierzchowna rana pocisku ze steyra to nie przelewki. Przez chwilę przyglądał się rozkładowi plam krwi i jej ilości.

Rana musi być niebłaha. Tak czy inaczej nadal miał znaczną przewagę.

Rzucił okiem na kamienne schody i zaczął po nich wbiegać po dwa naraz. Zamierzał złapać ślad Broadbentów, wytropić ich i zabić.

13

Wbiegli na górę po wyrąbanych w skale schodach, podczas gdy echo strzałów odbijało się jeszcze od gór. Dotarli do ścieżki na wierzchołku urwiska i rzucili się pędem w stronę zielonych ścian lian i pnączy, zasłaniających zrujnowane mury Białego Miasta. Gdy dotarli pod osłonę cienia, Tom zobaczył, że ojciec się potyka. Po nodze ściekały mu strużki krwi.

- Zaczekajcie! Ojciec jest ranny!

- Nic mi nie jest!

Starszy mężczyzna potknął się znowu i jęknął. Zatrzymali się pod murem.

- Zostawcie mnie! - krzyknął Broadbent.

Nie zwracając uwagi na jego protesty, Tom przyjrzał się ranie. Wytarł krew i zlokalizował otwór wlotowy i wylotowy. Pocisk przeszedł ukośnie przez prawy dolny kwadrant jamy brzusznej - przez mięsień prosty brzucha - i wyleciał z tyłu, prawdopodobnie nie trafiając w nerkę. Nie sposób było stwierdzić, czy kula przebiła otrzewną. Tom odsunął od siebie tę myśl i obmacał okolice rany; ojciec jęknął. Rana była

poważna i Maxwell tracił krew, ale przynajmniej główne żyły i tętnice były nienaruszone.

- Szybciej! - zawołał Borabay.

Tom zdjął koszulę i gwałtownie oddarł z niej dwa pasy. Zawiązał je najlepiej jak mógł ojcu na brzuchu, starając się zatrzymać upływ krwi.

- Obejmij mnie za szyję - powiedział.

- Podtrzymam cię z drugiej strony - dodał Vernon.

Tom poczuł, że ojciec zarzuca mu na bark rękę - chudą i twardą jak stalowy kabel. Pochylił się, przejmując na siebie część ciężaru rannego. Poczuł, jak ciepła krew spływa na jego nogę.

- Chodźmy.

- Uff! - stęknął Broadbent i zatoczył się, gdy ruszyli z miejsca.

Pobiegli wzdłuż podstawy muru, szukając przejścia. Borabay zanurkował przez zawieszone lianami drzwi; pokonali dziedziniec, kolejne drzwi i galerię zwalonych rzeźb. Podtrzymywany przez Toma i Vernona Maxwell Broadbent był w stanie poruszać się dość szybko, chociaż sykał i stękał z bólu.

Borabay skierował się ku najgłębszej, najbardziej zarośniętej części miasta. Przebiegali przez pogrążone w mroku galerie i na poły zawalone podziemne komnaty, przez których kasetonowe sklepienia przebijały się masywne korzenie. Po drodze Tom rozmyślał o Kodeksie i wszystkim tym, co zostawili za sobą.

Na zmianę podtrzymywali Broadbenta. Minęli ciąg ciemnych tuneli; Borabay prowadził ich ostrymi zakrętami - kluczył, by prześladowca zgubił trop. Dotarli do kępy gigantycznych drzew, otoczonej z obu stron masywnymi kamiennymi murami. Z góry przesączała się tylko mętna zielona poświata. Kamienne stele, ozdobione hieroglifami Majów, stały na straży pomiędzy drzewami jak wartownicy.

Tom usłyszał stłumione przekleństwo i charczący oddech ojca.

- Przepraszam, że zabolało.

- Mną się nie przejmuj.

Po kolejnych dwudziestu minutach dotarli do miejsca, gdzie dżungla była opętańczo gęsta i bujna. Pnącza dławiły drzewa, upodabniając je do wielkich, opatulonych zielonych duchów. Z korony każdego wystawały nowe odrosty, przypominające sterczące włosy. Wszędzie pełno było wielkich kwiatów i bez przerwy kapała woda.

Borabay przystanął i popatrzył na wszystkie strony.

- Tędy - powiedział, wskazując największy gąszcz.

- Jak? - spytał Philip, patrząc na nieprzeniknione zarośla.

Borabay przypadł na kolana i ruszył dalej - w miniaturową wolną przestrzeń. Poszli jego śladem, Max stękając z bólu. Tom zorientował się, że pod splątanymi pnączami jest sieć zwierzęcych dróżek - tuneli, biegnących we wszystkie strony pod osłoną roślinności. Wpełzli w naj-

większą gęstwinę, przeciskając się przez te tunele. Wydawało się, że trwa to wieczność, ale pewnie nie minęło więcej niż dwadzieścia minut. Pokonywali fantastyczny labirynt splatających się i rozchodzących odnóg, aż znaleźli się na otwartej przestrzeni pod zarośniętym całkowicie pnączami drzewem. Dolne gałęzie tworzyły coś na kształt namiotu, do którego nie sposób było zajrzeć z zewnątrz.

- Tu zostajemy - oznajmił Borabay. - Czekamy do nocy.

Broadbent osunął się z jękiem po pniu drzewa. Tom ukląkł nad ojcem, ściągnął przesiąknięte krwią bandaże i przyjrzał się ranie. Była paskudna. Borabay klęknął obok niego i również się jej przyjrzał. Wyjął liście, których najwidoczniej nazrywał podczas ucieczki, zgniótł je, roztarł w dłoniach i uformował z nich dwa okłady.

- Co to? - szepnął Tom.

- Zatrzymuje krew, pomaga na ból.

Obłożyli ranę wlotową i wylotową. Vernon zaoferował swoją koszulę; Tom podarł ją na pasy i obwiązał brzuch ojca, żeby okłady się trzymały.

- Uff- stęknął Maxwell.

- Przepraszam, ojcze.

- Przestańcie wszyscy przepraszać. Chcę jęczeć i nie słyszeć przy tym żadnych przeprosin.

- Ojcze, uratowałeś nam życie - odezwał się Philip.

- Ale najpierw sam je naraziłem na niebezpieczeństwo.

- Już byśmy nie żyli, gdybyś nie skoczył na Hausera.

- Grzechy młodości wracają, by mnie dręczyć. - Ranny się skrzywił.

Borabay przykucnął i popatrzył na swoich towarzyszy.

- Teraz idę. Wracam za pół godziny. Jeśli nie wracam, kiedy noc, czekajcie, aż deszcz zacznie i idźcie przez most beze mnie. Dobrze?

- Dokąd idziesz? - zapytał Vernon.

- Zabić Hausera.

Zerwał się na równe nogi i zniknął.

Tom się zawahał. Jeśli miał wrócić po Kodeks, to teraz albo nigdy.

- Ja też muszę coś zrobić.

- Co? - Philip i Vernon popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

Tom potrząsnął głową. Nie umiał znaleźć słów ani nie miał czasu, by bronić swojej decyzji. Może zresztą nie dawała się obronić.

- Nie czekajcie na mnie. Spotkamy się wieczorem przy moście, kiedy zacznie się burza.

- Oszalałeś, Tom? - burknął ojciec.

Tom nie odpowiedział. Odwrócił się i wśliznął w dżunglę.

Po dwudziestu minutach wypełzł z labiryntu pnączy. Wstał, by się zorientować, gdzie teraz iść. Nekropolia była na wschód - tyle wiedział. Tak blisko równika słońce późnym rankiem nadal znajdowało się na

wschodzie, co dawało mu ogólny kierunek. Nie chciał zastanawiać się nad właśnie podjętą decyzją: czy postąpił właściwie, zostawiając braci i ojca, czy też było to zbyt ryzykowne, szalone posunięcie. Nie o to chodziło: po prostu musiał zdobyć Kodeks.

Ruszył na wschód.

Hauser wodził wzrokiem po ziemi, czytając w niej jak w księdze: wciśnięty w ziemię strąk, zgięte źdźbło, strącone z liścia krople rosy. Nauczył się tropienia zbiegów w Wietnamie i teraz każdy szczegół mówił mu, którędy uciekali Broadbentowie, równie dokładnie, jakby sypali za sobą okruchy. Posuwał się ich śladem szybko, metodycznie, trzymając steyra w gotowości. Czuł się już lepiej - spokojniejszy, jeśli nie zrelaksowany. Łowy zawsze pochłaniały go bez reszty, a nic nie mogło się równać z polowaniem na ludzką zwierzynę. Była to w istocie najbardziej niebezpieczna gra.

Jego nic niewarci żołnierze nadal kopali doły i wysadzali ściany na przeciwnym końcu miasta. Bardzo dobrze - przynajmniej będą mieli zajęcie. Wytropienie i zabicie Broadbenta oraz jego synów to zadanie dla samotnego myśliwego, przemykającego się niepostrzeżenie przez dżunglę, a nie dla hałaśliwej bandy niewyszkolonych żołdaków. Hauser miał przewagę. Wiedział, że Broadbentowie są nieuzbrojeni oraz że muszą pokonać most. Była to tylko kwestia czasu, zanim ich dopadnie.

Pozbywszy się ich, będzie mógł bez pośpiechu splądrować grobowiec, zabrać Kodeks i nadające się do transportu na plecach dzieła sztuki, by wrócić później po resztę. Zorientował się, że ze Skiby może wycisnąć więcej niż pięćdziesiąt milionów - nawet o wiele więcej. Szwajcaria powinna być dobrą bazą do działania. Właśnie tak postępował Broadbent - legalizował antyki wątpliwego pochodzenia w Szwajcarii, deklarując, że pochodzą ze „starej szwajcarskiej kolekcji". Arcydzieł nie da się sprzedać na wolnym rynku - były zbyt znane, zbyt wielu ludzi wiedziało, że należą do Broadbenta - ale można je cichcem upchnąć tu i tam. Zawsze znajdzie się jakiś saudyjski szejk, japoński przemysłowiec czy amerykański miliarder, który pragnie zdobyć piękny obraz i nie przykłada szczególnej wagi do kwestii jego pochodzenia.

Hauser porzucił przyjemne fantazje i z powrotem skierował uwagę na badanie gruntu. Kolejne liście ze strząśniętą rosą; plamka krwi na ziemi. Dotarł po śladach do zrujnowanej galerii i włączył latarkę. Zdrapany z kamienia mech, odcisk buta w miękkiej ziemi - nawet idiota mógł posuwać się takimi tropami.

Poruszał się po śladach najszybciej jak mógł, nie dając zwierzynie odetchnąć, by się tak wyrazić. Gdy dotarł na obszerną polanę, zobaczył rozrzucony przy panicznej ucieczce kopczyk liści - wyjątkowo wyraźny ślad.

Zbyt wyraźny. Hauser zamarł, przykucnął i przyjrzał się dokładniej ziemi przed sobą. Amatorszczyzna. Żołnierz Wietkongu uśmiałby się z takiej pułapki: zgięte młode drzewko, ukryta pod liśćmi pętla i prawie niewidoczna linka-potykacz. Marcus cofnął się ostrożnie o krok, podniósł leżący pod ręką patyk i rzucił go na potykacz.

Rozległo się trzaśniecie, pętla poleciała w górę, drzewko się wyprostowało. W tym samym momencie usłyszał dmuchnięcie i poczuł, że coś szarpnęło go za nogawkę. Opuścił wzrok. W luźnej fałdzie tkwiła strzałka z zahartowanym w ogniu grotem, z którego ściekała ciemna ciecz.

Zatruta strzałka minęła nogę ledwie o centymetr.

Przez kilka minut pozostał w bezruchu. Przyglądał się każdemu centymetrowi kwadratowemu gruntu przed sobą, każdemu drzewu, każdej gałęzi. Upewniwszy się, że nie ma innych pułapek, pochylił się i już miał wyrwać strzałkę ze spodni, jednak się powstrzymał - w ostatniej chwili. Z boku strzałki znajdowały się dwa prawie niewidoczne kolce, również wilgotne od trucizny, obliczone na przebicie palca osoby, która spróbuje ją wyciągnąć.

Hauser gałązką strząsnął strzałkę ze spodni.

Bardzo sprytne. Trzy zasadzki połączone w jedną. Proste i skuteczne. Była to bez wątpienia robota Indianina.

Hauser ruszył dalej - nieco wolniej, zaczynając czuć szacunek dla przeciwnika.

75

Tom biegł przez las, zataczając duży łuk wokół wcześniejszej trasy, żeby nie wpaść na Hausera. Szybkość była dla niego ważniejsza niż zachowanie ciszy. Mijał po drodze labirynt zarośniętych pnączami, zrujnowanych świątyń. Nie miał latarki; czasami musiał po omacku przeciskać się przez ciemne przejścia lub pełzać pod zwalonymi skalnymi blokami.

Wkrótce dotarł na wschodni skraj płaskowyżu. Przystanął dla zaczerpnięcia tchu, a potem przysunął się do skraju urwiska i wyjrzał, by sprawdzić, gdzie jest. Miał wrażenie, że nekropolia powinna się znajdować na południe od niego, więc ruszył w prawo biegnącą wzdłuż urwiska ścieżką. Po kolejnych dziesięciu minutach rozpoznał taras i mury cmentarzyska; odszukał ukryte zejście. Zaczął skradać się w dół, nasłu-

chują[c na] każdym zakręcie - na wypadek gdyby Hauser jeszcze tu był, ich przeciwnik jednak dawno zniknął. Po paru chwilach Tom dotarł do ciemnego otworu wejścia do grobowca jego ojca.

Ich plecaki wciąż leżały na stercie tam, gdzie je zwalili. Tom wsunął za pas maczetę, ukląkł i pogrzebał w plecakach. Znalazł kilka pęków traw i paczkę zapałek. Zapalił jedną z żagwi i wszedł do grobowca.

W krypcie cuchnęło, jakby panowała tu zaraza. Oddychając przez usta, Tom zagłębił się dalej. Dreszcz zgrozy przebiegł mu po plecach na myśl, że właśnie tutaj spędził ostatni miesiąc ojciec, zamknięty w całkowitych ciemnościach. Pełgające światło padło na uniesioną płytę grzebalną z ciemnego kamienia, ozdobioną płaskorzeźbami czaszek, potworów i innymi osobliwymi motywami. Otaczały ją zestawione skrzynie i pudła, zaryglowane i pospinane taśmami z nierdzewnej stali. Nie był to grobowiec Tutenchamona - wyglądało to bardziej na zatłoczony, brudny magazyn.

Tom podszedł bliżej, pokonując przepełniającą go odrazę. Za pudłami ojciec zorganizował sobie prymitywne pomieszczenie mieszkalne - nagarnął pyłu i śmieci, żeby mieć coś na kształt nędznego posłania. Pod tylną ścianą stał rząd glinianych garnków, najwyraźniej zawierających wodę i jedzenie; bił od nich smród zgnilizny. Szczury wyskakiwały z garnków i chowały się przed światłem. Walcząc z mdłościami, Tom zajrzał do jednego z naczyń i zobaczył na dnie reszki uschniętych bananów; na owocach roiło się od lśniących czarnych karaluchów, z szelestem wpadających w panice na siebie na widok światła. W garnkach z wodą pływały martwe myszy i szczury. Pod jedną ze ścian leżała sterta gnijących szczurów, niewątpliwie zabitych przez ojca podczas codziennej konkurencji o jedzenie. W głębi grobowca widać było błyszczące ślepka tych stworzeń - czekały na odejście intruza.

Co też musiał przejść ojciec, czekając w czarnej jak smoła ciemności na synów, mogących się nigdy nie pojawić... Było to bardziej przerażające, niż Tom mógł sobie wyobrazić. To, że Maxwell Broadbent wytrzymał, przeżył - i nawet miał nadzieję - mówiło Tomowi o ojcu coś, czego wcześniej nie wiedział.

Wytarł twarz. Musiał zabrać Kodeks i uciekać stąd.

Skrzynie miały przyklejone na ściankach opisy zawartości; Tom już po kilku minutach ustalił, w której jest manuskrypt.

Wyciągnął ciężką skrzynię na światło dzienne i odpoczął, wdychając świeże górskie powietrze. Ważyła ze czterdzieści kilogramów; pewnie zawierała oprócz Kodeksu inne księgi. Tom przyjrzał się spinającym stalowe taśmy śrubom z nakrętkami. Ściany skrzyni były obite arkuszami sprasowanej waty szklanej. Nakrętki zaciśnięto tak silnie, że potrzebny byłby klucz, żeby je odkręcić.

Tom znalazł kamień i silnie uderzył w skrzydełko nakrętki. Puściła trochę; powtórzył tę czynność i po kilku minutach zdjął wszystkie śruby.

Pościągał stalowe taśmy. Kilkoma kolejnymi silnymi uderzeniami kamienia porozbijał arkusze waty szklanej i zdołał ściągnąć wieko. Ze środka wysypało się ze sześć cennych, poowijanych w bezkwasowy papier ksiąg - Biblia Gutenberga, iluminowane manuskrypty, modlitewniki. Odepchnął je na bok i sięgnął do środka po oprawiony w cielęcą skórę Kodeks. Wreszcie miał go w rękach.

Przez chwilę wpatrywał się w księgę. Pamiętał dokładnie, że ojciec trzymał ją w małej szklanej gablocie w salonie. Otwierał ją mniej więcej raz w miesiącu i przerzucał stronice. Były na nich otoczone hieroglifami subtelne rysunki roślin, kwiatów i owadów. Tom pamiętał, jak wpatrywał się w osobliwe pismo Majów - plamki, grube kreski i uśmiechnięte twarze, owijające się wokół siebie i zlewające ze sobą. Wtedy nawet nie miał pojęcia, że to pismo.

Opróżnił jeden z porzuconych plecaków i wepchnął do niego swój skarb. Zarzucił plecak na ramię i ruszył z powrotem ścieżką. Postanowił skierować się na południowy zachód, pilnując, by nie wpaść na Hausera.

Wszedł do zrujnowanego miasta.

76

Uniknąwszy zasadzki, Hauser posuwał się ścieżką ostrożniej, wytężając wszystkie zmysły. Czuł dreszcze podniecenia i obawy. Indianin zdołał skonstruować pułapkę w niespełna piętnaście minut. Zdumiewające. Bez wątpienia był gdzieś przed nim i szykował kolejną niespodziankę. Hauser dziwił się dość osobliwej lojalności, okazywanej przez indiańskiego przewodnika Broadbentom. Nigdy nie lekceważył zręczności tubylców w zastawianiu pułapek i zabijaniu oraz cenił ich znajomość dżungli. Tropiąc Broadbentów, Marcus asekurował się jak mógł przed zasadzkami - schodził ze ścieżki, przystawał co kilka minut, by przyjrzeć się ziemi i poszyciu, nawet wąchał powietrze, czy nie wyczuje w nim woni człowieka. Przysiągł sobie, że żaden schowany na drzewie Indianin nie zaskoczy go już trującą strzałką.

Zorientował się, że Broadbentowie zmierzają ku centrum płaskowyżu, gdzie dżungla była najgęstsza. Niewątpliwie liczyli, że się tam zaszyją i doczekają nocy. Nie mieli szans powodzenia: Hauser jeszcze prawie nigdy nie natknął się na trop, którym nie byłby w stanie się posuwać - zwłaszcza ślad grupki ogarniętych paniką ludzi, z których jeden silnie krwawił. Poza tym Marcus i jego ludzie dokładnie poznali płaskowyż.

Dżungla przed nim była teraz gęsto zarośnięta wybujałymi pnączami i lianami. Na pierwszy rzut oka wyglądała na nieprzebytą. Hauser podszedł ostrożnie do ściany roślinności. Dostrzegł drobne zwierzęce dróż-

ki, biegnące na wszystkie strony - przeważnie wydeptane przez *coatimundi,* czyli ostronosy. Grube krople rosy zwisały z każdego liścia, kwiatu i pnącza, gotowe spaść przy najlżejszym poruszeniu. Nikt nie byłby w stanie przejść przez takie pole minowe, nie pozostawiwszy po sobie tropu w postaci strząśniętej z liści wody. Hauser zobaczył dokładnie, którędy przedostali się uciekinierzy. Ruszył ich tropem przez gęste zarośla.

Ślad nagle się urwał. Hauser przyjrzał się ziemi. W wilgotnych śmieciach, zaścielających podłoże, były dwa prawie niewidoczne zagłębienia - odciski ludzkich kolan. Uciekinierzy wpełzli zwierzęcymi dróżkami w gąszcz pnączy. Hauser kucnął i popatrzył w mrok. Wciągnął powietrze w nozdrza i jeszcze raz przyjrzał się podłożu. Którą dróżkę wybrali? Około metra dalej dostrzegł wreszcie zgnieciony, nie większy od ćwierćdolarówki grzyb i zdrapany liść. Broadbentowie skryli się w gęstwinie, czekając na zapadnięcie ciemności. Hauser pomyślał, że Indianin bez wątpienia zastawił tu pułapkę. Było to idealne miejsce. Wstał i przyjrzał się piętrowej ścianie lasu. Tak, Indianin na pewno czai się gdzieś w gałęziach nad labiryntem dróżek z gotową trującą strzałką, czekając, aż prześladowca pojawi się w dole.

Pozostawało więc złapać w pułapkę tego, kto ją zastawił.

Hauser zastanowił się chwilę. Indianin był przebiegły i na pewno to przewidział. Wiedział, że wróg będzie się spodziewał pułapki na swojej drodze. Dlatego też Indianin nie czekał w zasadzce na tej dróżce. Nie. Na pewno uznał, że Hauser zatoczy krąg i wejdzie w gąszcz z przeciwnej strony. A zatem Indianin jest po drugiej stronie olbrzymiej gęstwiny - tam zastawił pułapkę na tropiącego go przeciwnika.

Hauser powoli zaczął okrążać plątaninę pnączy - gładko i bezszelestnie jak sam Indianin. Jeśli jego założenia były słuszne, przeciwnik znajdował się po drugiej stronie, prawdopodobnie w górze, czekając, aż wróg przejdzie dołem. Marcus zamierzał najpierw wykończyć Indianina - stanowiącego zdecydowanie największe zagrożenie - a potem wypłoszyć pozostałych i zmusić ich do posuwania się w stronę mostu, gdzie bez trudu będzie można ich schwytać i zabić.

Zataczając obszerny łuk, przystawał co kilka chwil i wpatrywał się w średnie piętro lasu. Jeśli Indianin postąpił zgodnie z jego oczekiwaniami, powinien być gdzieś po prawej stronie. Hauser szedł dalej z największą ostrożnością. Było to czasochłonne, ale czas pracował na jego korzyść. Do zapadnięcia zmierzchu zostało co najmniej siedem godzin.

Zrobił kilkanaście kroków i znowu się rozejrzał. Zobaczył coś na drzewie. Znieruchomiał, potem odrobinę się przesunął i jeszcze raz spojrzał. Na gałęzi około pięćdziesięciu metrów od siebie widział rąbek czerwonej koszuli Indianina, a obok - z tej odległości niemal już niewidoczny - koniec dmuchawki z trzciny, mierzący w dół, by trafić Hausera, gdy będzie tamtędy przechodził.

Marcus przesunął się w bok, tak że miał w polu widzenia wystarczająco duży kawałek koszuli Indianina, by weń wycelować. Uniósł karabin, starannie wymierzył i wystrzelił jedną kulę.

I nic. Przecież wiedział, że trafił. Ogarnęła go nagła panika - była to kolejna pułapka. Rzucił się w bok w tej samej chwili, gdy Indianin jak kot spadł na niego z góry z zaostrzonym kołkiem w dłoni. Hauser chwycił go za rękę i wykonał rzut dżudżitsu, padając na ukos przed siebie i wykorzystując impet Indianina, który poszybował przed niego. Poderwał się i puścił łukiem serię w miejsce, gdzie powinien się znajdować.

Indianin zdążył jednak zniknąć.

Hauser sprawdził teren. Indianin wciąż wyprzedzał go o krok. Podniósłszy głowę, Marcus stwierdził, że kawałek koszuli i koniec dmuchawki nadal są tam, gdzie były. Przełknął ślinę. Nie było czasu na strach czy gniew. Miał zadanie do wykonania. Nie zamierzał pozwalać Indianinowi bawić się z nim dalej w kotka i myszkę; doszedł do wniosku, że pewnie by przegrał. Nadszedł czas wykurzyć tamtych brutalną siłą.

Zawrócił wzdłuż skraju kolonii pnączy, zaparł stopy o ziemię i wycelował steyra. Puścił serię, potem kolejną. Ruszył dalej, strzelając w gęstą roślinność. Efekt był dokładnie taki, jakiego się spodziewał: wypłoszył Broadbentów. Słyszał, jak rzucają się w panice do ucieczki, z hałasem jak kuropatwy. Wiedział wreszcie, gdzie są. Pobiegł wzdłuż ściany roślinności, by odciąć im drogę i zepchnąć w stronę mostu.

Usłyszał za sobą nagły szelest. Odwrócił się, by stawić czoła większemu niebezpieczeństwu, zacisnął palec na kciuku i wypuścił serię w gęste zarośla, skąd dobiegał odgłos. Liście, kawałki pnączy i gałązki posypały się na wszystkie strony; słychać było stukanie i klaskanie uderzających w drewno kul. Zobaczył jakiś ruch i kolejny raz przeszył gęstwinę serią. Rozległ się pisk, w zaroślach zaszarpało się zwierzę.

Ostronos! Do cholery, strzelał do ostronosa!

Odwrócił się i skupił wzrok przed sobą. Opuścił broń i wypalił w kierunku uciekających Broadbentów. Słyszał piski bólu zwierzęcia za plecami, trzaskanie gałązek - i w ostatniej chwili uświadomił sobie, że to nie ranne zwierzę, ale znowu Indianin.

Padł, przetoczył się i wystrzelił - nie żeby zabić, Indianin bowiem zniknął w gąszczu, ale by zepchnąć wroga w prawo, na otwarty teren przed mostem. Zamierzał pognać go w tym samym kierunku co Broadbentów. Wreszcie zmusił Indianina do ucieczki, i to łącznie z pozostałymi. Sztuka polegała na tym, by ciągłymi strzałami nie dać im się zatrzymać, uniemożliwić zbiegom rozdzielenie się i zajście go od tyłu. Biegnąc, przypadał na kolano i puszczał krótkie serie w prawo i lewo, odcinając tamtym drogę ucieczki z powrotem do zrujnowanego miasta. Zachodząc z lewej strony, spychał ich jeszcze bliżej urwiska, zamierzając wypłoszyć wrogów na otwarty teren. Wystrzelał cały magazynek; przysta-

nął, by założyć kolejny. Biegnąc, słyszał, że Broadbentowie z hałasem przedzierają się przez zarośla właśnie w stronę, o którą mu chodziło.

Miał ich wreszcie.

Tom był już w połowie drogi przez płaskowyż, kiedy usłyszał staccato ognia ze steyra. Instynktownie pobiegł w stronę źródła dźwięku, obawiając się, co może oznaczać ogień. Roztrącał paprocie i pnącza, przeskakiwał przez zwalone kłody, przełaził przez zrujnowane mury. Usłyszał drugą i trzecią serię bliżej i bardziej na prawo. Skręcił w tę stronę, mając nadzieję, że w jakiś sposób obroni ojca i braci. Miał maczetę, zabił nią jaguara i anakondę - dlaczego nie Hausera?

Niespodziewanie wypadł z zarośli na słońce. Był jakieś pięćdziesiąt metrów od urwiska - dwukilometrowej przepaści, ginącej we mgle i półmroku. Po chwili dotarł do krawędzi. Popatrzył w prawo i zobaczył zgrabny łuk przewieszonego przez kanion mostu, kołyszącego się lekko w powiewach wiatru.

Usłyszał kolejne wystrzały i zobaczył ruch. Vernon i Philip wyłonili się zza drzew po drugiej stronie mostu. Podtrzymywali ojca, biegnąc najszybciej jak mogli. Po chwili za nimi pojawił się doganiający ich Borabay. Rozległa się kolejna seria, posypały się ścięte liście paproci. Zbyt późno Tom zrozumiał, że i on znalazł się w pułapce. Pobiegł w stronę braci, spomiędzy drzew rozległy się następne serie. Zorientował się, że Hauser jest kilkaset metrów z tyłu, strzela w lewo i spycha ich w stronę skraju przepaści i mostu. Tom dobiegł do przyczółka mostu jednocześnie z pozostałymi. Skulili się, szukając osłony. Tom zobaczył, że zaalarmowani ogniem żołnierze po drugiej stronie mostu zajęli już pozycje, blokując im drogę.

- Hauser chce zagonić nas na most! - zawołał Philip.

Kolejna seria zerwała trochę listowia z gałęzi nad nimi.

- Nie mamy wyboru! - krzyknął Tom.

Po chwili biegli już po kołyszącym się moście, na poły niosąc, na poły ciągnąc ojca. Żołnierze po drugiej stronie opadli na kolana z wystawioną bronią, blokując im drogę ucieczki.

- Biegnijcie dalej! - zawołał Tom.

Byli w jednej trzeciej drogi, gdy żołnierze przed nimi puścili ostrzegawczą salwę nad ich głowami. Jednocześnie rozległ się strzał z tyłu. Hauser z kilkoma najemnikami blokowali drogę z powrotem.

Pięciu Broadbentów znalazło się w pułapce.

Żołnierze wystrzelili kolejną salwę, tym razem niżej. Słychać było przelatujące nad głowami uciekinierów jak osy kule. Dotarli do środka

mostu, podskakującego i kołyszącego się pod ich stopami. Tom obejrzał się za siebie i popatrzył do przodu. Nic więcej nie mogli zrobić. Zatrzymali się - było po wszystkim.

- Nie ruszajcie się - zawołał do nich Hauser, wchodząc z uśmiechem i wycelowaną bronią na most. Widzieli, jak zbliżał się do nich. Tom spojrzał na ojca. Maxwell patrzył na wroga z trwogą i nienawiścią. Wyraz jego twarzy wystraszył Toma jeszcze bardziej niż ich położenie.

Hauser zatrzymał się trzydzieści metrów od nich, starając się zachować równowagę na kołyszących się linach.

- No, no - powiedział. - Przecież to stary Max i jego trzej synowie. Cóż za urocze spotkanie rodzinne.

Przez dwanaście godzin, które Sally przeleżała za pniem drzewa, jej myśli zwróciły się z niezupełnie zrozumiałego powodu ku ojcu. Ostatniego lata, zanim umarł, nauczył ją strzelać. Po jego śmierci nadal chodziła pomiędzy strome wzgórza, by ćwiczyć strzelanie do jabłek i pomarańczy, a potem do jedno- i pięciocentówek. Nauczyła się doskonale trafiać w cel, ale była to bezużyteczna umiejętność - nie interesowało ją to ani jako dyscyplina sportu, ani nie pociągało jej polowanie. Po prostu to lubiła. Niektórzy lubili kręgle, inni ping-ponga - a ona strzelanie. Oczywiście w New Haven była to wyjątkowo niepoprawna politycznie umiejętność. Julian okazał niesmak, kiedy się o tym dowiedział. Zmusił Sally do obietnicy, że przestanie ćwiczyć i będzie trzymać w sekrecie swoją pasję - nie dlatego, żeby był przeciwnikiem broni palnej, lecz dlatego że uważał jej hobby za dowód braku klasy. Julian. Odepchnęła od siebie myśl o nim.

Przesunęła nogi, czując skurcz w udach i poruszyła pacami stóp, starając się rozluźnić zdrętwiałe mięśnie. Dała Włochatemu Wałkoniowi, ciągle siedzącemu ponuro w klatce z pnączy, jeszcze garść orzechów. Była zadowolona, że dotrzymywał jej przez te godziny towarzystwa, chociaż był w paskudnym nastroju. Biedaczysko, kochał swobodę.

Wałkoń pisnął, czymś zaalarmowany, i Sally natychmiast się skupiła. Po chwili usłyszała odległe strzały w Białym Mieście - serię z broni automatycznej, potem następną. Sprawdziła za pomocą lornetki las po drugiej stronie rozpadliny. Rozległa się kolejna seria, i jeszcze jedna - coraz bliżej. Minęło kilka minut i Sally wreszcie spostrzegła jakiś ruch.

Był to Tom. Pojawił się na skraju przepaści. Biegł. Philip i Vernon wynurzyli się z dżungli przed nim, podtrzymując między sobą rannego mężczyznę - starego człowieka w obszarpanych szmatach. Maxwella Broadbenta. Ostatni pojawił się Borabay, był najbliżej mostu.

Rozległy się kolejne strzały i wreszcie Sally dostrzegła wyłaniającego się zza drzew Hausera. Naganiał Broadbentów jak zwierzynę w stronę mostu.

Opuściła lornetkę i podniosła springfielda, obserwując dalszy ciąg wydarzeń przez celownik. Sytuacja nie mogła być gorsza. Broadbentów i Borabaya czekało uwięzienie na moście. Nie mieli jednak wyboru - za ich plecami był Hauser, a po bokach przepaść. Zawahali się przy wejściu na most, ale na niego wbiegli. Hauser wypadł zza drzew i krzyknął do żołnierzy po drugiej stronie, którzy przyklękli i zaczęli strzelać dla ostrzeżenia.

Po chwili wszystkich pięciu Broadbentów łącznie z Borabayem znalazło się w pułapce na środku mostu. Hauser i czterech żołnierzy zostało na jednym jego końcu, kolejnych czterech czekało - po drugiej stronie. Uciekinierzy byli nieodwołalnie w pułapce. Strzelanina zamarła, zapanowała cisza.

Hauser ze złym grymasem na twarzy zaczął iść z uniesioną bronią po rozkołysanym moście w stronę schwytanych mężczyzn.

Sally czuła, jak serce łomocze jej w piersi. Nadeszła jej chwila. Spocone ręce drżały. Przypomniała sobie wskazówki ojca. „Oddychaj spokojnie. Przestać oddychać. Zorientuj się, jak bije ci serce. Strzelaj pomiędzy jego uderzeniami".

Wycelowała w idącego po bambusowych palikach Hausera. Most kołysał się, ale czuła, że ma ponad pięćdziesiąt procent szans na trafienie. Powinny wzrosnąć, kiedy tamten stanie.

Zrobił to trzydzieści metrów od Broadbentów. Sally mogła - i powinna - go zabić. W krzyżu celownika miała jego klatkę piersiową, ale nie pociągała za spust. Zamiast tego zadała sobie pytanie: Co się stanie po tym, gdy go zabiję?

Odpowiedź nietrudno było wymyślić. To nie scena z „Czarnoksiężnika z krainy Oz", hondurascy żołnierze po obu stronach mostu nie odłożą broni z okrzykami: „Witaj, Dorotko". Byli to brutalni najemnicy. Gdyby zabiła Hausera, tamci prawie na pewno otworzyliby ogień i zmasakrowali Broadbentów na moście. Żołnierzy było dziesięciu - dwóch dołączyło do czwórki po drugiej stronie, do tego dochodziło czterech po jej stronie. Nie miała szans zastrzelić ich wszystkich, zwłaszcza sześciu po stronie miasta, praktycznie poza zasięgiem karabinu. W komorze nabojowej springfielda mieściło się tylko pięć pocisków, więc musiałaby odciągnąć rygiel i po kolei załadować następne naboje, co zajęłoby trochę czasu. Zresztą miała ich tylko dziesięć.

Cokolwiek zrobi, musi się zmieścić w pięciu strzałach.

Poczuła, że ogarniają panika. Trzeba wymyślić plan, jakiś sposób na rozegranie sytuacji tak, żeby wszyscy Broadbentowie i ona sama przeżyli. Hauser podchodził do nich z karabinem; niewątpliwie zamierzał ich zabić. Tak, musiała go zastrzelić, ale wtedy będzie po wszystkim dla Broadbentów.

Kręciło jej się w głowie. Nie mogła popełnić najmniejszej omyłki, bo nie będzie miała drugiej szansy. Musiała wybrać właściwy sposób. Rozważała różne warianty, jakie przychodziły jej do głowy, ale wszystkie kończyły się tak samo - śmiercią Broadbentów. Dygotały jej ręce; sylwetka mordercy podskakiwała w celowniku. Jeśli zabije Hausera, tamci zginą. Jeśli go nie zabije, też zginą.

Patrzyła bezradnie, jak tamten celuje ze steyra. Uśmiechał się. Wyglądał na bardzo zadowolonego z tego, co zamierza zrobić.

79

Tom patrzył, jak Hauser z aroganckim uśmiechem triumfu na twarzy idzie przez most. Przystanął około trzydziestu metrów od nich. Obrócił lufę broni w jego stronę.

- Zdejmij plecak i połóż go.

Tom ostrożnie zdjął plecak, ale zamiast go odłożyć, wyciągnął nad przepaść.

- Mam tu Kodeks.

Hauser wystrzelił pojedynczą kulę, która ścięła kawałek bambusa z poręczy ze trzydzieści centymetrów od Toma.

- Połóż go!

Tom się nie poruszył. Wciąż trzymał plecak nad przepaścią.

- Zastrzel mnie, to spadnie.

Zapadła cisza. Hauser skierował lufę broni w stronę Maxwella.

- Dobra. Połóż go albo tatko zginie. Ostatnie ostrzeżenie.

- Niech mnie zabije -jęknął Broadbent.

- A po tacie zostaje jeszcze twoich dwóch braci. Nie bądź głupi, połóż plecak.

Po chwili Tom spełnił jego polecenie. Nie miał wyboru.

- Teraz maczetę.

Tom wyjął ją zza pasa i upuścił.

- No, no - powiedział Marcus, teraz już zrelaksowany. Przeniósł spojrzenie na starego Broadbenta. - Znów się spotykamy, Max.

Podtrzymywany przez synów mężczyzna uniósł głowę.

- To do mnie masz żal - powiedział. - Puść chłopaków.

Uśmiech na twarzy Hausera zlodowaciał.

- Wręcz przeciwnie, będziesz miał przyjemność patrzeć, jak umierają pierwsi.

Broadbent szarpnął głową. Tom zacisnął dłoń na poręczy. Most zakołysał się lekko, z dołu uniosła się zimna mgła. Borabay zrobił krok naprzód, lecz powstrzymał go Philip.

- No dobrze, kto pierwszy? Indianin? Nie, jego załatwimy później. Philip? Odsuń się, żebym nie musiał zabijać was wszystkich naraz.

Po krótkim wahaniu Philip odsunął się na bok. Vernon chwycił go za ramię i próbował pociągnąć z powrotem. Philip potrząsnął głową i zrobił jeszcze krok.

- Będziesz się smażył w piekle, Hauser! - ryknął Maxwell.

Marcus uśmiechnął się pogodnie i uniósł lufę broni. Tom odwrócił wzrok.

80

Strzał jednak nie nastąpił. Tom podniósł głowę. Uwagę zabójcy odwróciło coś za ich plecami. Tom obrócił się i zobaczył jakiś ruch. Po jednej z lin mostu biegła w ich stronę małpka z podniesionym ogonem - Włochaty Wałkoń.

Zwierzak z piskiem radości wskoczył Tomowi na ręce. Małpka miała przywiązany w pasie pojemnik prawie tak duży jak ona sama - aluminiową butelkę z białą benzyną do kuchenki turystycznej. Widniał na niej napis:

MOGĘ W TO TRAFIĆ. S.

Tom zastanawiał się, co to do diabła znaczy, co Sally ma na myśli.

Hauser uniósł broń.

- No dobrze, niech wszyscy się uspokoją. Niech nikt się nie rusza. Teraz pokaż mi, co przyniosła ta małpa. Powoli.

Tom nagle zrozumiał plan Sally. Odwiązał butelkę.

- Wyciągnij rękę. Pokaż, co tam jest.

Tom wystawił przed siebie pojemnik.

- Litr białej benzyny.

- Rzuć go na bok.

- Po naszej stronie jest snajper, który właśnie w tej chwili ma na celowniku tę butelkę - wyjaśnił spokojnie Tom. - Jak sam wiesz, biała benzyna jest bardzo łatwopalna i może wybuchnąć.

Na twarzy Hausera nie było widać żadnej emocji czy reakcji. Uniósł jedynie jeszcze wyżej broń.

- Jeśli trafi, to ten most spłonie, Hauser. Zostaniesz odcięty po tej stronie. Na zawsze zostaniesz w Białym Mieście.

Minęło dziesięć naelektryzowanych sekund, po czym Hauser odpowiedział:

- Jeśli most spłonie, wy też zginiecie.

- I tak zamierzasz nas zabić.

- To blef- oświadczył morderca.

Tom milczał. Mijały sekundy. Twarz tamtego nie zdradzała żadnych emocji.

- Kula może trafić i ciebie - powiedział Tom.

Hauser uniósł lufę i w tej samej chwili kula uderzyła pół metra przed jego butami; bambusowe drzazgi poleciały mu prosto w twarz. Po chwili usłyszeli odbijający się echem w przepaści huk strzału.

Hauser spiesznie opuścił lufę.

- Skoro już ustaliliśmy, że to nie blef, każ żołnierzom pozwolić nam przejść.

- I? - spytał Marcus.

- Zatrzymaj sobie most, grobowiec i Kodeks. Chcemy tylko wyjść z życiem.

Hauser zarzucił sobie karabin na ramię.

- Słowa uznania - powiedział.

Tom wolnym ruchem przesunął butelkę i kawałkiem sznurka przywiązał ją do jednej z głównych lin.

- Powiedz swoim ludziom, żeby pozwolili nam przejść. Zostań tutaj. Jeśli cokolwiek nam się stanie, snajper strzeli w butelkę i most spali się razem z tobą - zrozumiałeś?

Zabójca kiwnął głową.

- Nie słyszałem rozkazu, Hauser.

Ten przyłożył dłonie do ust.

- Ludzie! - zawołał po hiszpańsku. - Pozwólcie im przejść! Nie przeszkadzajcie im! Wypuszczam ich!

Przez chwilę panowała cisza.

- Chcę usłyszeć jakąś reakcję! - krzyknął.

- *Si, señor* - padła odpowiedź.

Broadbentowie ruszyli przez most.

81

Marcus stał na środku mostu, przyj ąwszy do wiadomości fakt, iż snajper - niewątpliwie blondynka, która przybyła z Tomem Broadbentem - ma go na celowniku. Bezużyteczna stara strzelba myśliwska - zaraportował mu żołnierz. Pewnie. Kobieta trafiła pod jego nogi z odległości trzystu pięćdziesięciu metrów. Uczucie, że trzymała go teraz na muszce, było nieprzyjemne, a jednocześnie dziwnie ekscytujące.

Popatrzył na przywiązaną do liny butelkę. Wisiała niespełna trzydzieści metrów od niego. Snajper ukrywał się w odległości ponad trzystu metrów.

Most kołysał się w powiewach wiatru. Trafienie poruszającego się w trzech wymiarach celu byłoby trudne. W istocie prawie niemożliwe. Hauser zdołałby w dziesięć sekund dopaść butelki, zerwać ją z liny i wyrzucić w przepaść. Gdyby następnie zawrócił i pobiegł na drugi koniec mostu, byłby ruchomym celem, szybko opuszczającym zasięg skutecznego rażenia. Jakie są szanse, że ta kobieta mogłaby go trafić? Biegłby szybko po rozkołysanym moście - znowu poruszając się w trzech wymiarach wobec nieruchomego strzelca. Nie zdołałaby go trafić. Na dodatek to tylko kobieta. Najwyraźniej umie strzelać, ale żadna kobieta nie potrafi strzelać tak dobrze.

Tak, wszystko to można szybko załatwić, zanim Broadbentowie uciekną. Nigdy nie trafiłaby jego ani butelki. Nigdy.

Sprężył się i rzucił do biegu w stronę butelki z benzyną.

Prawie w tej samej chwili usłyszał śmignięcie kuli przed sobą, a następnie odgłos strzału. Biegł dalej i dopadł do pojemnika w chwili, gdy rozległ się drugi wystrzał. Kolejne pudło. Poszło aż nazbyt łatwo. Dotknął butelki w momencie, gdy rozległo się ciche puknięcie. Przed jego oczyma buchnęła kula białego światła, huknęło i poczuł palący żar. Zatoczył się w tył, machając ręką i z zaskoczeniem widząc, że błękitne płomienie pełzną mu po dłoni, po jego ramionach, klatce piersiowej, nogach, całym ciele. Upadł i zaczął przetaczać się po moście, starając się zdusić drugą ręką płomienie. Wierzgał, wrzeszczał, obracał się - aż nagle jakby zamienił się w anioła, szybującego na skrzydłach w powietrzu. Wtedy poddał się i zamknął oczy w oczekiwaniu na długi, chłodzący, rozkoszny upadek. Jednak wszystko, czego tylko Hauser dotknął, stawało się ogniem.

2

Tom odwrócił się na czas, by zobaczyć, jak ognisty meteor, w który zamienił się Hauser, spada w bezdenną przepaść. Błyskając płomieniami, przeciął warstwy mgły i zniknął, pozostawiając po sobie jedynie słabą smużkę dymu.

Cały środek mostu, gdzie przedtem stał, był w ogniu.

- Uciekajmy! - krzyknął Tom. - Biegnijcie!

Popędzili przed siebie, podtrzymując ojca. Zbliżali się do czterech żołnierzy, którzy szybko wycofali się na pewny grunt, ale nadal blokowali koniec mostu. Wyglądali na zdezorientowanych, niepewnych - celowali jednak z karabinów i wszystkiego można było się po nich spodziewać. Ostatnim rozkazem Hausera było, żeby ich przepuścić - ale czy go wykonają?

Dowódca grupy, porucznik, uniósł broń i zawołał:

- Stać!

- Przepuść nas! - krzyknął po hiszpańsku Tom. Ani on, ani jego bracia się nie zatrzymali.

- Nie. Wracajcie.

- Hauser rozkazał wam nas przepuścić!

Tom czuł, że most drży. Płonąca lina mogła w każdej chwili puścić.

- Hauser nie żyje - powiedział porucznik. - Teraz ja dowodzę.

- Na miłość boską, most się pali!

Na twarzy *teniente* pojawił się uśmiech.

- Istotnie.

Jakby na dany znak most podskoczył; Tom i jego bracia padli na kolana. Pękła jedna z lin i w przepaść posypała się kaskada iskier, podczas gdy cała konstrukcja zakołysała się z powodu nagle zmienionego rozkładu napięć.

Tom dźwignął się na nogi i pomógł braciom podnieść ojca.

- Musisz nas przepuścić!

Żołnierz odpowiedział serią z broni nad ich głowami.

- Zginiecie razem z mostem. To mój rozkaz! Białe Miasto jest teraz nasze!

Tom odwrócił się; dym i płomienie buchały ze środka mostu, podsycane powiewami powietrza od dołu. Zobaczył, że rozpadają się włókna drugiej liny, płonące kawałki pryskały w przestrzeń.

- Trzymajcie się! - krzyknął i chwycił ojca.

Lina pękła, jej części odskoczyły gwałtownie. Cała konstrukcja opadła niżej jak spuszczana kurtyna. Bracia wczepili się w dwie pozostałe liny, starając się przytrzymać osłabionego ojca. Most bujał się w obie strony jak sprężyna.

- Żołnierze czy nie, zmiatajmy stąd, do cholery - powiedział Tom.

Zaczęli posuwać się naprzód wzdłuż dwóch ocalałych lin. Przestawiali nogi po dolnej i przekładali ręce po górnej, ciągnąc ze sobą ojca.

Porucznik i trzej żołnierze podeszli dwa kroki bliżej.

- Przygotować się do ognia - wydał rozkaz *teniente*.

Żołnierze złożyli się do strzału.

Tom i pozostali byli niecałe dziesięć metrów od brzegu, tamci mieli idealne warunki do otworzenia ognia. Jednak nie było wyboru - Broadbentowie musieli posuwać się dalej w stronę ludzi szykujących się, by ich zabić.

Trzecia lina pękła jak zwalniana sprężyna i cały most zatrząsł się tak, iż o mało nie pospadali. Resztki konstrukcji wisiały już tylko na jednym sznurze i kołysały się tam i z powrotem.

Porucznik wycelował w zbliżających się uciekinierów.

- Teraz zginiecie - powiedział po angielsku.

Rozległ się głuchy stuk - ale nie z jego broni. Na twarzy *teniente* pojawił się wyraz zaskoczenia. Wykonał jakby ukłon przed Broadbentami.

Z jego potylicy sterczała długa strzała. Spowodowało to chwilowy zamęt wśród reszty żołnierzy; w tej samej chwili rozległ się mrożący krew w żyłach wrzask od strony lasu i posypała się chmara strzał. Wojownicy z plemienia Tara wypadli z dżungli i pognali przez odkryty teren, krzycząc i wypuszczając w biegu kolejne strzały. Zaskoczeni niespodziewanym atakiem z flanki najemnicy w panice odrzucili broń, chcąc uciec. Po chwili zamienieni w poduszki do igieł zataczali się jak pijane jeżozwierze, aż w końcu padli na ziemię.

Zaraz potem Tom i pozostali dotarli na brzeg - w chwili, gdy ostatnia lina pękła w kaskadzie iskier. Dwa płonące kawałki mostu leniwie poszybowały ku ścianom przepaści. Uderzyły w nie z hukiem, a lawina sypiących się szczątków opadła w otchłań.

Było po wszystkim. Most przestał istnieć.

Tom zobaczył, że Sally biegnie w ich stronę z zarośli. Ruszył z braćmi w jej kierunku, wojownicy pomagali im prowadzić ojca. Po paru chwilach spotkali się i Tom mocno objął Sally. Uścisnęli się, a Włochaty Wałkoń, znowu siedzący w kieszeni, gwałtownym trajkotaniem wyraził niezadowolenie, gdy o mało nie został zgnieciony.

Tom spojrzał za siebie: obie części mostu wciąż płonęły. W Białym Mieście zostało uwięzionych sześciu ludzi. Stali na skraju przepaści i wpatrywali się w wiszące resztki mostu. Mgła wzbijała się coraz wyżej; oszołomione, milczące postacie stopniowo znikały.

W chacie było ciepło i unosiła się tam woń dymu oraz ziół. Tom wszedł do środka, a za nim Vernon, Philip i Sally. Maxwell Broadbent leżał z zamkniętymi oczami w hamaku. Na zewnątrz w ciemnościach skrzeczały żaby. Pod bacznym spojrzeniem Borabaya młody szaman plemienia Tara ucierał zioła w kącie chaty.

Tom położył rękę na czole ojca. Temperatura rosła. Czując jego dłoń, ojciec uniósł powieki. Miał ściągniętą twarz od gorączki, oczy mu lśniły w blasku ognia. Jednak zdobył się na uśmiech.

- Gdy tylko mi się poprawi, Borabay pokaże mi, jak łowi się ryby włócznią. - Borabay pokiwał głową. Maxwell wodził niespokojnie wzrokiem po synach, szukając pociechy. - Prawda, Tom? Co ty na to?

Tom spróbował coś odpowiedzieć, ale nie zdołał. Młody szaman wstał i podał rannemu gliniany kubek, wypełniony mętną, brunatną cieczą.

- Znowu to samo? - mruknął Broadbent. - To gorsze od tranu, który codziennie wmuszała mi matka.

- Pij, ojcze - powiedział Borabay. - Dobre dla ciebie.

- Co to jest? - spytał Broadbent.

- Lekarstwo.

- Wiem, ale jakie? Nie możesz oczekiwać, że cokolwiek wypiję, nie wiedząc, co to takiego. - Maxwell Broadbent był trudnym pacjentem.

- To *una de gavilan* - koci pazur, *Uncaria tomentosa* - powiedziała Sally. - Jej suszony korzeń zawiera antybiotyk.

- Pewnie mi nie zaszkodzi. - Wziął kubek i wypił łyk. - Wygląda na to, że aż nadmiar tutaj konowałow. Sally, Tom, Borabay, a teraz ten młody szaman. Można by pomyśleć, że to coś poważnego.

Tom popatrzył na Sally.

- Czego to nie zrobimy razem, kiedy dojdę do siebie! - dodał Broadbent.

Tom przełknął znowu ślinę. Ojciec, widząc jego zakłopotanie - nic nigdy nie uchodziło jego uwagi - odwrócił się ku niemu.

- Cóż, Tom? Jesteś tutaj jedynym prawdziwym lekarzem. Jaka prognoza?

Tom postarał się przywołać uśmiech na twarz. Ojciec przyglądał mu się długo, aż wreszcie opadł z westchnieniem na hamak.

- Kogo ja oszukuję?

Zapadło długie milczenie.

- Tom? I tak umieram na raka. Nie możesz mi powiedzieć nic gorszego.

- Cóż, kula przebiła jamę otrzewnej - odrzekł. - Masz zakażenie, dlatego gorączkujesz.

- A rokowania?

Tom znów przełknął. Trzej bracia i Sally wpatrywali się w niego z natężeniem. Wiedział, że ojciec nie przyjmie od niego niczego z wyjątkiem całej, nieukrywanej prawdy.

- Niedobre.

- Mów dalej.

Tom nie mógł zmusić się do odpowiedzi.

- Aż tak złe?

Pokiwał głową.

- A co z tymi wszystkimi antybiotykami, które dostaję od szamana? A co z cudownymi środkami z Kodeksu, który dopiero co uratowaliście?

- Ojcze, takiej infekcji, posocznicy, nie zwalczy się żadnym antybiotykiem. Tu byłaby potrzebna rozległa operacja, a pewnie i na to już zbyt późno. Leki nie pomogą na wszystko.

Zapadło milczenie. Broadbent odwrócił się i podniósł wzrok.

- Cholera - mruknął wreszcie do sufitu.

- Nadstawiłeś się za nas pod kule - powiedział Philip. - Uratowałeś nam życie.

- Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Tom położył rękę na ramieniu ojca, przypominającym gorący patyk.

- Przepraszam.

- Ile mi w takim razie zostało?

- Dwa-trzy dni.

- Chryste. Tak mało? - Tom pokiwał głową. Broadbent poprawił się w hamaku i westchnął. - Choroba i tak wykończyłaby mnie za parę miesięcy, chociaż byłoby cholernie miło spędzić ten czas razem z synami. Choćby tydzień.

Borabay podszedł i położył mu rękę na piersi.

- Przykro, ojcze.

Broadbent przykrył jego dłoń swoją.

- Mnie też przykro. - Odwrócił się i popatrzył na synów. - I nawet nie mogę popatrzeć jeszcze raz na „Madonnę" Lippiego. Kiedy byłem tam w grobie, cały czas myślałem, że jeśli zdołam jeszcze raz ją zobaczyć, wszystko będzie dobrze.

Tę noc spędzili w chacie, czuwając nad umierającym. Był niespokojny, ale zioła przynajmniej na razie powstrzymywały postępy zakażenia. Gdy nadszedł świt, Maxwell był jeszcze przytomny.

- Dajcie mi trochę wody - powiedział chrapliwym głosem.

Tom poszedł z dzbankiem w stronę pobliskiego strumienia. Wioska właśnie się budziła. Rozpalano ogniska, wyciągano piękne francuskie niklowane i miedziowane garnki, łyżki i wazy, żeby przyrządzić posiłki. Dym wzbijał się spiralnymi pasmami w poranne niebo. Kury drapały ziemię na środkowym placu, kręciły się szukające odpadków kundle. Mały chłopiec w koszulce z Harrym Potterem wyszedł na chwiejnych nogach z chaty i zrobił siusiu. Nawet do tak odległego plemienia sięga cywilizacja, pomyślał Tom. Ile czasu minie, nim Białe Miasto odsłoni przed światem swoje skarby i tajemnice?

Wracając z wodą, Tom usłyszał ostry głos. Stara wiedźma, żona Caha, wyszła z chaty i przywoływała go zgiętą ręką.

- *Wakha!* - powiedziała, gestykulując.

Tom zatrzymał się niepewnie.

- *Wakha!*

Ostrożnie zrobił krok w jej stronę, na poły spodziewając się, że starucha znowu szarpnie go za włosy lub ściśnie mu jądra. Kobieta jednak zamiast tego ujęła go za rękę i pociągnęła w stronę swojej chaty.

- *Wakha!*

Niechętnie wszedł za nią do zadymionego wnętrza.

A tam, w mętnym świetle, oparta o tyczkę stała „Madonna z winogronami" Fra Filippa Lippiego. Krańcowo oszołomiony Tom utkwił wzrok w renesansowym arcydziele i zrobił niepewnie krok naprzód. Nie

potrafił uwierzyć, że to może być prawda. Kontrast między obskurną chatą i malowidłem był zbyt duży. Nawet w mroku obraz wręcz promieniał wewnętrznym światłem. Złotowłosa Madonna, pewnie niemająca jeszcze dwudziestu lat, trzymała na kolanach dziecko, które dwoma różowymi paluszkami wkładało sobie do ust winogrono. Nad nimi unosiła się gołębica, biły od niej złote promienie.

Tom odwrócił się do kobiety z niedowierzaniem. Patrzyła na niego z szerokim uśmiechem na pomarszczonej twarzy, a jej różowe dziąsła lśniły. Podeszła do płótna, podniosła je i wepchnęła Tomowi w ręce.

- *Wakha!*

Wytłumaczyła mu gestami, by zabrał obraz do chaty ojca. Szła za Tomem, popychając go delikatnie rękami:

- *Teh! Teh!*

Tom przeszedł przez wilgotną polanę z obrazem w rękach. Był to cud - widocznie Cah zatrzymał sobie „Madonnę". Tom wszedł do chaty i wysunął malowidło przed siebie. Philip popatrzył, krzyknął i cofnął się. Ojciec utkwił w nim spojrzenie rozszerzonych oczu. Zrazu nic nie powiedział, a potem odchylił się w hamaku z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Do diabła, Tom, zaczynam mieć halucynacje!

- Nie, ojcze. - Przysunął obraz bliżej. - Dotknij, jest prawdziwy.

Chory wyciągnął drżącą rękę i musnął palcami płótno.

- Witaj - mruknął i podniósł wzrok na Toma. - Nie śnię.

- Nie, nie śnisz.

- Na miłość boską, skąd go masz?

- Ona go miała.

Wskazał starą kobietę, która stała w wejściu z uśmiechem na bezzębnej twarzy. Borabay zaczął ją wypytywać; tłumaczyła coś długo. Borabay słuchał i kiwał głową. Wreszcie odwrócił się do ojca.

- Mówi, że mąż chciwy, trzyma wiele rzeczy z grobu. Chowa je w jaskini za wioską.

- Jakie rzeczy? - zapytał ostro Maxwell.

Borabay i kobieta znowu zamienili kilka zdań.

- Nie wie. Mówi, że Cah kradnie prawie wszystkie skarby z grobu. Ładuje zamiast do skrzyń kamienie. Mówi, że nie chce kłaść skarbów białego człowieka do grobu Tara.

- Coś podobnego - powiedział Broadbent. - W grobowcu wydawało mi się, że niektóre skrzynie są lżejsze, niż powinny, prawie puste. Nie mogłem ich po ciemku otworzyć. Po to właśnie wszedłem do grobowca, zanim pojawił się Hauser - żeby spróbować rozwikłać tę zagadkę. Cholerny, szczwany Cah. Powinienem był się domyślić. Zaplanował wszystko na samym początku. Chryste, był równie chciwy jak ja. - Wodził wzrokiem po obrazie. Odbijały się w nim płomienie ogniska, blask roz-

jaśnił młodą twarz Madonny. Broadbent długo się w nią wpatrywał, wreszcie przymknął oczy i powiedział: - Przynieście mi pióro i papier. Skoro mam wam coś zostawić, spiszę nowy testament.

84

Przynieśli ojcu pióro i zwój papieru z kory.

- Mamy cię zostawić? - spytał Vernon.

- Nie. Potrzebuję was przy sobie. Ciebie też, Sally. Zbierzcie się tutaj.

Podeszli bliżej do hamaka. Maxwell odchrząknął.

- Cóż, synowie, i... - popatrzył na Sally - moja przyszła synowo. Oto tu jesteśmy. - Urwał. - Muszę przyznać, że mam wspaniałych synów. Szkoda, że tak długo trwało, zanim to zrozumiałem. - Kaszlnął. - Zostało mi niewiele siły i mam wrażenie, jakbym miał głowę wielką jak dynia, więc będę się streszczał. - Powiódł wciąż przytomnym wzrokiem po zgromadzonych w chacie. - Gratulacje. Udało się wam. Pokazaliście mi, że był ze mnie idiota, nie ojciec.

- Ojcze...

- Nie przeszkadzać! Mam parę rad na pożegnanie. - Wciągnął chrapliwie powietrze. - Jak mogę się powstrzymać, skoro jestem na łożu śmierci? - Znowu zaczerpnął głośno tchu. - Philipie, ze wszystkich synów jesteś najbardziej do mnie podobny. W ciągu minionych lat widziałem, że perspektywa wielkiego spadku rzuciła cień na twoje życie. Nie jesteś chciwy z natury, ale oczekiwanie na pół miliarda dolarów może zdeprawować człowieka. Widziałem, że żyjesz ponad stan i starasz się odgrywać bogatego, wyrafinowanego konesera w swoim nowojorskim kręgu. Zachorowałeś na to samo, co ja: musiałeś posiadać piękno. Zapomnij o tym. Po to są muzea. Żyj prostszym życiem. Ogromnie cenisz sztukę i to powinno być dla ciebie nagrodą samo w sobie, a nie uznanie i sława. Słyszałem też, że jesteś piekielnie dobrym nauczycielem.

Philip skinął krótko głową, niezupełnie niezadowolony ze słów ojca. Broadbent odetchnął nierówno kilka razy, a potem zwrócił się do Vernona.

- Vernonie, wciąż poszukujesz i wreszcie zrozumiałem, jak bardzo to dla ciebie ważne. Twój problem polega jednak na tym, że dajesz się nabierać. Jesteś naiwny. Pamiętaj o prostej zasadzie, synu: jeśli chcą od ciebie pieniędzy, to jest religijny kant. Modlenie się w kościele nic nie kosztuje.

Vernon pokiwał głową.

- A teraz Tom. Ze wszystkich moich synów jesteś najbardziej odmienny ode mnie. Nigdy cię naprawdę nie rozumiałem. Jesteś najmniej

materialistycznie nastawiony z moich synów. Skreśliłeś mnie dawno temu, i zapewne ze słusznych powodów.

- Ojcze...

- Cicho! W odróżnieniu ode mnie jesteś zdyscyplinowany i poważnie podchodzisz do życia. Wiem, że naprawdę chciałeś zostać paleontologiem i odkopywać skamieniałe resztki dinozaurów. Jak idiota pchałem cię na medycynę. Wiem, że jesteś dobrym weterynarzem, chociaż nigdy nie rozumiałem, dlaczego tracisz swój wielki talent na kurowanie szkap pociągowych w rezerwacie Nawahów. Wreszcie zrozumiałem, że muszę szanować i respektować twoje życiowe wybory. Dinozaury, konie, wszystko. Rób, co chcesz, z moim błogosławieństwem. Zasady moralne to coś, czego zawsze mi brakowało, dlatego wytrącało mnie z równowagi, kiedy widziałem je tak silnie zakorzenione u jednego z moich synów. Nie wiem, co byś zrobił z wielkim spadkiem, i spodziewam się, że ty też nie. Nie potrzebujesz pieniędzy i tak naprawdę ich nie chcesz.

- Tak, ojcze.

- A teraz ty, Borabay... Jesteś moim najstarszym, a jednak najpóźniej poznanym synem. Znam cię tak krótko, ale w dziwny sposób czuję, że rozumiem cię najlepiej. Rozpracowałem cię i myślę, że jesteś trochę chciwy tak jak ja. Nie możesz się doczekać, aż wyjedziesz stąd do Stanów i będziesz się rozkoszował zamożnością. W gruncie rzeczy nie pasujesz do swego plemienia. Cóż, i bardzo dobrze. Szybko się uczysz. Miałeś fory, bo wychowywała cię dobra matka i nie musiałeś się użerać z mącącym ci w głowie ojcem. - Borabay chciał coś odpowiedzieć, ale Broadbent uniósł rękę. - Czy człowiek na łożu śmierci nie może się wypowiedzieć, żeby mu nie przerywano? Borabay, bracia pomogą ci wyjechać do Stanów i otrzymać obywatelstwo. Nie mam wątpliwości, że będziesz bardziej amerykański niż ci, którzy mieszkają tam od pokoleń.

- Tak, ojcze.

Broadbent westchnął i popatrzył na Sally.

- Tom, oto kobieta, jakiej nigdy nie spotkałem i teraz tego żałuję. Byłbyś idiotą, gdybyś pozwolił jej się wymknąć.

- Nie jestem rybą - odparta kategorycznie Sally.

- Ach! O to właśnie mi chodzi. Może trochę drażliwa, ale zdumiewająca kobieta.

- Masz rację, ojcze.

Maxwell umilkł i ciężko oddychał. Mówienie sprawiało mu już wysiłek; pot wystąpił na czoło.

- Zaraz spiszę swoją ostatnią wolę i testament. Chcę, by każdy z was wybrał sobie jedną rzecz z kolekcji w tej jaskini. Resztę, o ile uda sieją wam wywieźć z tego kraju, macie podarować dowolnemu wybranemu muzeum czy muzeom. Zaczniemy od najstarszego do najmłodszego. Borabay, ty pierwszy.

- Wybieram ostatni - odrzekł Borabay. - Co ja chcę, nie ma w jaskini.

- Dobrze. - Broadbent kiwnął głową. - Philip? Jakbym się nie domyślał. - Jego spojrzenie powędrowało ku „Madonnie". - Lippi jest twój. - Philip próbował coś odpowiedzieć, ale nie zdołał. - A teraz Vernon.

Nastąpiło milczenie.

- Chciałbym Moneta - zdecydował się wreszcie Vemon.

- Sądziłem, że tak powiesz. Myślę, że możesz dostać za niego co najmniej pięćdziesiąt milionów. I mam nadzieję, że go sprzedasz, ale proszę cię, Vernonie, żadnych fundacji. Nie rozdawaj tych pieniędzy. Kiedy wreszcie znajdziesz to, czego szukasz, może wreszcie będziesz miał dość mądrości, żeby przekazać część - niewielką część swoich pieniędzy.

- Dziękuję, ojcze.

- Odeślę was też z torbą klejnotów i szlachetnych kamieni, żebyście mogli spłacić Wuja Toma.

- Dobrze.

- A teraz Tom - twoja kolej. Co wybierasz?

Tom obejrzał się na Sally.

- Chcielibyśmy Kodeks.

Broadbent pokiwał głową.

- Interesujący wybór. Jest twój. A teraz Borabay - ostatni, ale nie najmniej ważny. Cóż jest takiego cennego, czego nie ma w jaskini?

Borabay podszedł i szepnął mu coś do ucha. Umierający pokiwał głową.

- Wspaniale. Możesz uznać to za załatwione.

Zrobił szeroki gest piórem. Twarz perliła się mu od potu, oddychał szybko i płytko. Tom domyślał się, że ojcu zostało niewiele czasu, zanim straci przytomność. Wiedział, jak wygląda śmierć od posocznicy.

- Teraz dajcie mi dziesięć minut na osobności, żebym spisał moje ostatnie postanowienia i testament, a później zbierzemy świadków i go podpiszemy.

85

Tom stał z braćmi i Sally w przypominającym katedrę gaju, patrząc, jak wielki pogrzebowy orszak wędruje krętą ścieżką w stronę grobowca, świeżo wykutego w wapiennych skałach wysoko nad wioską. Był to zdumiewający widok. Czterej wojownicy dźwigali nosze z ciałem Maxwella Broadbenta zabalsamowanym starą metodą Majów. Podczas ceremonii pogrzebowej nowy wódz wioski zamienił zwłoki w *El Dorado* - Pozłacanego Człowieka z indiańskich legend - tak Majowie wieki temu chowali swoich władców. Ciało posmarowano miodem i obsypano w ca-

łości złotym proszkiem, by dokonała się metamorfoza cielesnej powłoki w postać, jaką będzie miała w zaświatach.

Za noszami posuwał się długi orszak Indian, niosących dobra grzebalne - kosze suszonych owoców i warzyw, orzechy, gliniane dzbany oleju i wody, wreszcie mnóstwo tradycyjnych wyrobów Majów, takich jak nefrytowe statuetki, malowane naczynia, dzbany i półmiski z klepanego złota, bronie, kołczany pełne strzał, sieci, włócznie - wszystko, czego Maxwell Broadbent mógłby potrzebować w zaświatach.

Za nimi właśnie w tym momencie pokonywał zakręt kulejący Indianin z obrazem Picassa w rękach, przedstawiającym nagą kobietę z trzema oczami, kwadratową głową i rogami. Dalej dwóch spoconych mieszkańców wsi dźwigało wielki obraz „Zwiastowanie" Pontorma, po nim następowały portret Bronzina Bii de'Medici, para rzymskich posągów, kilka kolejnych obrazów Picassa, Braque, dwóch Modiglianich, Cezanne, kolejne rzeźby - dwudziestowieczne dobra grzebalne. Niezwykła procesja pięła się po zboczu i znikała w grobowcu.

Na końcu szła orkiestra, jeśli tak można było ją nazwać - grupa mężczyzn grających na fletach z tykw i długich drewnianych trąbach oraz uderzających patykiem o patyk. Ostatni szedł młody chłopiec, waląc z całych sił w odrapany basowy bęben w zachodnim stylu.

Tom czuł jednocześnie smutek i katharsis. Śmierć jego ojca oznaczała koniec pewnego etapu. Było to ostatnie pożegnanie z dzieciństwem. Mijały go rzeczy, które znał i kochał, z którymi się wychował. Były to też rzeczy, które kochał jego ojciec. Ciemność grobu najpierw połknęła wszystko - ludzi i dobra grzebalne - a potem Indianie mrużący oczy w słońcu wyszli na zewnątrz z pustymi rękami. Kolekcja ich ojca miała pozostać tam w zamknięciu, w suchym i bezpiecznym schronieniu, pilnowana przez plemię, aż bracia będą mogli wrócić po swoje dziedzictwo. Oczywiście skarby Majów miały zostać w grobowcu na zawsze, by zapewnić Maxwellowi Broadbentowi piękną i szczęśliwą egzystencję w zaświatach. Zachodnie skarby należały jednak do jego synów; plemię Tara je tylko przechowywało. Był to pogrzeb nad pogrzeby; tak chowano jedynie władców Majów, a i to ponad tysiąc lat temu.

Trzy dni po podpisaniu testamentu Maxwell Broadbent odszedł z tego świata. Jeszcze dzień zachował trzeźwość myśli, a potem pogrążył się w delirium i następnie w śpiączce, aż umarł. Żadna śmierć nie jest elegancka, pomyślał Tom, ale tę cechowała pewna szlachetność, jeśli w ogóle można było użyć takiego słowa.

Tom rozmyślał nie tyle o śmierci ojca, ile o ostatnim dniu, kiedy Maxwell miał jeszcze jasny umysł. Czterej synowie zostali razem z nim. Niewiele rozmawiali, a jeśli już, to o drobiazgach - zapomnianych miejscach, wspólnych radościach, dawno zmarłych ludziach. Dzień błahych rozmów i banalnych wspomnień okazał się jednak cenniejszy od dziesię-

cioleci rozprawiania o ważnych sprawach, pouczeń, ojcowskich napomnień, rad, filozofowania i dyskusji przy kolacjach. Po całym życiu sprzeciwiania się zamiarom synów Maxwell wreszcie zrozumiał ich, a oni jego. Dlatego mogli po prostu gawędzić dla przyjemności. Było to aż tak proste - i tak głębokie.

Tom uśmiechnął się na myśl, że ojcu spodobałby się ten pogrzeb. Z zachwytem przyglądałby się wędrówce wielkiej procesji przez las, słuchałby wielkich drewnianych trąb, bicia w bębny, gry na bambusowych fletach, obserwował na zmianę śpiewających i klaszczących mężczyzn i kobiety. W skale wykuto wielki grobowiec, zapoczątkowując nową nekropolię plemienia. Spalenie mostu odcięło drogę do Białego Miasta; zostało tam sześciu najemników Hausera. Nowy grobowiec przygotowywano przez sześć tygodni i przez ten czas codziennie wieś huczała od plotek o uwięzionych żołnierzach. Od czasu do czasu tamci wychodzili na pozostałości mostu, strzelali, krzyczeli, błagali, grozili. W miarę mijania dni i tygodni z sześciu żołnierzy zostało czterech, trzech, wreszcie dwóch. W końcu pojawiał się tylko jeden niska, zgarbiona sylwetka, w milczeniu wyczekująca na śmierć. Tom próbował przekonać członków plemienia, by go uratowali, ale Indianie odpowiadali kategorycznie, że tylko bogowie mogą odbudować most. Gdyby chcieli oszczędzić żołnierza, zrobiliby to.

Bogowie jednak oczywiście okazali się niewzruszeni.

Basowe bicie bębna sprawiło, że myśli Toma wróciły do toczącej się ceremonii. Wszystkie dobra grzebalne złożono w grobowcu; nadszedł czas, aby go zamknąć. Mężczyźni i kobiety zebrali się na skraju lasu, śpiewając przenikającą do głębi duszy, smutną pieśń; kapłan wymachiwał garścią zapalonych świętych ziół, okadzając wszystkich dymem. Ceremonia trwała, aż słońce dotknęło horyzontu na zachodzie. Skończyła się uderzeniem przez wodza w drewniany rygiel. Wielkie kamienne drzwi grobowca zasunęły się z głośnym hukiem w momencie, gdy zgasły ostatnie promienie słońca.

Zapanowała całkowita cisza.

- Żałuję tylko, że ojciec tego nie widział - powiedział Tom w drodze powrotnej do wioski.

- Widział. - Yernon otoczył go ramieniem. - Na pewno widział.

88

Lewis Skiba siedział w bujanym fotelu na pokrzywionym ganku zbitego z deszczułek domku z widokiem na jezioro. Wzgórza stały okryte jesienną szatą, woda zamieniła się w pociemniałe zwierciadło, odbijają-

ce krzywiznę wieczornego nieba. Wszystko było dokładnie tak, jak to zapamiętał. Krzywy pomost wybiegał w jezioro, przywiązany do niego kołysał się kajak. Na przeciwległym brzegu zawołał nur, jego smętny głos odbił się echem od wzgórz. Odpowiedział mu drugi, gdzieś jeszcze dalej, głosem tak słabym jak blask gwiazd.

Lewis upił łyk świeżej źródlanej wody i zakołysał się w tył. Fotel i ganek zaskrzypiały w proteście. Skiba stracił wszystko. Był przy upadku dziewiątej pod względem wielkości firmy farmaceutycznej na świecie. Przyglądał się, jak kurs akcji spadł do pięćdziesięciu centów, nim na zawsze zawieszono obrót nimi. Był zmuszony do złożenia wniosku o bankructwo; dwadzieścia tysięcy pracowników musiało pożegnać się z funduszami emerytalnymi i oszczędnościami całego życia. Rada go wyrzuciła, udziałowcy i komitety Kongresu lżyli, stał się ulubionym obiektem ciętych komentarzy późnowieczornych programów telewizyjnych. Prowadzono przeciwko niemu dochodzenie w związku z podejrzeniem o oszustwa księgowe oraz manipulacje kursem aukcji z łamaniem przy tym zasad dostępu do informacji i spekulowaniem na własną korzyść. Stracił dom i żonę; prawnicy niemal do reszty pochłonęli jego majątek. Nikt go nie kochał z wyjątkiem dzieci.

Mimo to Skiba czuł się szczęśliwy. Nikt nie był w stanie tego zrozumieć. Myśleli, że postradał rozum, że przechodzi jakieś załamanie nerwowe. Nie wiedzieli, co to znaczy uniknąć w ostatniej chwili ognia piekielnego.

Co spowodowało, że trzy miesiące wcześniej w ciemnym gabinecie powstrzymał się przed ostatecznym krokiem? I że nie zdecydował się na to również później? Trzy miesiące milczenia Hausera były najczarniejszym okresem w życiu Skiby. Gdy już się wydawało, że koszmar nigdy się nie skończy, nagle pojawiły się informacje. W „New York Timesie" ukazał się zagrzebany w sekcji B artykuł, w którym donoszono o zarejestrowaniu Fundacji Alfonsa Boswasa - niedochodowej organizacji, mającej na celu przetłumaczenie i opublikowanie pewnego dzieła Majów z dziewiątego stulecia, odnalezionego w kolekcji nieżyjącego Maxwella Broadbenta. Według przewodniczącej fundacji, doktor Sally Colorado, ów Kodeks był księgą medyczną Majów, która powinna okazać się niezmiernie przydatna przy poszukiwaniu nowych leków. Fundację założyli i sfinansowali czterej synowie niedawno zmarłego Maxwella Broadbenta. W artykule odnotowano, że zmarł on nieoczekiwanie podczas wakacji z rodziną w Ameryce Środkowej. To wszystko. Nie było wzmianki o Hauserze, Białym Mieście, zaginionym grobowcu, grzebiącym się ze swoją fortuną szalonym ojcu - o niczym.

Skiba poczuł się, jakby zdjęto mu z barków ciężar całego świata. Broadbentowie żyli. Nie zostali zamordowani. Hauserowi nie udało się zdobyć Kodeksu, ale przede wszystkim nie zdołał ich zabić. Skiba miał

nigdy się nie dowiedzieć, co się wydarzyło, zresztą szukanie informacji na ten temat było zbyt ryzykowne. Wiedział jedynie, że nie jest winien morderstwa. Owszem, był winien straszliwych przestępstw i miał wiele do odpokutowania, ale pośród jego grzechów nie było nieodwracalnego odebrania ludzkiego życia - w tym również własnego.

Do tego dochodziło jeszcze jedno. Straciwszy wszystko - pieniądze i inny majątek, reputację - wreszcie odzyskał jasność widzenia. Łuski opadły mu z oczu. Widział znowu tak klarownie jak dziecko całe wyrządzone przez siebie zło, popełnione przestępstwa, swój egoizm i chciwość. Mógł prześledzić z idealną dokładnością spiralę upadku etycznego, dzięki której odnosił sukcesy w interesach. Tak łatwo się zagubić, pomylić prestiż z uczciwością, władzę z odpowiedzialnością, lizusostwo z lojalnością, zyski z zasługą. Trzeba być obdarzonym wyjątkowo klarownym umysłem, by w takim systemie zachować czyste sumienie.

Skiba uśmiechnął się, patrząc na zwierciadlaną powierzchnię jeziora, rozpływającą się w wieczornym zmroku. Miał wrażenie, jakby jednocześnie znikało wszystko, nad czym pracował, co kiedyś było dla niego tak ważne. W końcu będzie musiał pożegnać się nawet z drewnianym domkiem i już nigdy nie spojrzy na jezioro.

Nie miało to znaczenia. Umarł i właśnie się odrodził. Teraz mógł zacząć nowe życie.

7

Skończywszy rozmowę telefoniczną, sierżant Jimmy Martinez z Wydziału Policji Santa Fe usiadł z powrotem w fotelu. Liście na krzewie bawełny pod oknem nabrały bogatej złotej barwy, z gór niósł się zimny wiatr. Martinez obejrzał się na swojego partnera, Wilsona.

- Znów rezydencja Broadbenta? - spytał Wilson.

- No - przytaknął Martinez. - Można by pomyśleć, że sąsiedzi się wreszcie przyzwyczają.

- Bogacze, kto ich zrozumie? - Martinez prychnął na znak aprobaty. - Jak myślisz, kim naprawdę jest ten typ? Widziałeś kiedyś coś takiego? Wytatuowany Indianin z Ameryki Środkowej paraduje w garniturach staruszka, pali jego fajkę, jeździ jego końmi po całym wielkim ranczu, dyryguje służbą, odgrywa dżentelmena z wiejskiej posiadłości i upiera się, żeby wszyscy zwracali się do niego „sir".

- Jest teraz właścicielem rezydencji - powiedział Martinez. - Sprawdzaliśmy, wszystko zgodnie z prawem.

- Pewnie, że jest właścicielem. Moje pytanie jednak brzmi: jak położył na niej łapę? Ta posiadłość jest warta dwadzieścia do trzydziestu mi-

lionów. Cholera, samo jej utrzymanie musi kosztować parę milionów rocznie. Naprawdę myślisz, że taki facet ma na to kasę?

- No. - Martinez się uśmiechnął.

- Co: no? Jimmy, ten gość ma spiłowane zęby. To przerażający dzikus.

- Nie, to nie dzikus. To Broadbent.

- Zwariowałeś? Myślisz, że Indianin z takimi uszyskami, że wloką się po ziemi, to Broadbent? Daj spokój, Jimmy, czegoś ty się napalił?

- Wygląda jak tamci.

- Widziałeś ich kiedyś?

- Dwóch tak. Mówię ci, to kolejny syn staruszka.

Zdumiony Wilson utkwił w nim wzrok.

- Facet miał reputację kobieciarza. Pozostali synowie dostali dzieła sztuki, a on dom i od cholery pieniędzy. Proste.

- Indianin synem Broadbenta?

- Pewnie. Założę się, że staruszek przeleciał jakąś Indiankę podczas którejś z wypraw do Ameryki Środkowej.

Wilson odchylił się w fotelu; najwyraźniej zrobiło to na nim duże wrażenie.

- Któregoś dnia dochrapiesz się stopnia detektywa-porucznika, wiesz, Jimmy?

Martinez kiwnął skromnie głową.

- Wiem.

DOUGLAS PRESTON STWORZYŁ NIEZAPOMNIANĄ OPOWIEŚĆ
O CHCIWOŚCI, PRZYGODZIE I ZDRADZIE.
PRAWA DO EKRANIZACJI „TESTAMENTU" KUPIŁA
WYTWÓRNIA FILMOWA PARAMOUNT!

TESTAMENT

Szokującymi pozdrowieniami z krainy zmarłych zaczyna się oświadczenie Maxwella Broadbenta znalezione na taśmie wideo po jego zniknięciu. Poszukiwacz skarbów i rabuś grobów, Broadbent zgromadził wartą ponad pół miliarda kolekcję dzieł sztuki i wyrobów artystycznych, które znikły wraz z nim z rezydencji w Nowym Meksyku.

Prawda okazuje się niezwykła: kolekcjoner pogrzebał się ze swoim skarbem w jakimś zakątku świata. Jego trzej synowie, aby odzyskać bajeczny spadek, muszą znaleźć starannie ukryty grobowiec. Ale nie tylko oni szukają skarbu. Pół miliarda dolarów oraz starożytny kodeks Majów, mogący kryć lekarstwo na raka, to łakomy kąsek dla wielu awanturników. Niektórzy nie cofną się przed niczym, by dobrać się do pogrzebanego z Broadbentem bogactwa.

DOUGLAS PRESTON

Regularnie piszący o archeologii dla *The New Yorkera*, pracował w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej i wykładał anglistykę na Uniwersytecie Princeton. Obecnie jest współpracownikiem Laboratorium Antropologicznego w Santa Fe. Wspólnie z Lincolnem Childem wydał powieści „Gabinet osobliwości", „The Ice Limit" „Nadciągająca burza", „Riptide", „Relikwiarz", „Laboratorium" oraz zekranizowany przez Hollywood „Relikt". Na podstawie napisanej samodzielnie przez Prestona powieści „Jennie" nakręcono film telewizyjny.

Patronat medialny

GILDIA.PL ANTYRADIO merlin.pl wp.pl matras KSIĘGARNIE